



Tessa Gratton *Magia krwi*

Bestsellerowa powieść Tessy Gratton - „Magia krwi”.

Tuż po tragicznej śmierci rodziców Silla Kennicot otrzymuje niezwykłą przesyłkę zawierającą list oraz księgę z magicznymi zaklęciami. Czy naprawdę spisał ją jej tata, jak sugeruje autor listu? Dziewczyna postanawia wtajemniczyć w arkana magii brata Reese'a oraz nowego przyjaciela Nicka. Niespodziewanie ktoś, komu sztuka magiczna nie jest obca, odwiedza grób państwa Kennicot i kreśli na nim runy. Czy ojciec Silli przed śmiercią został opętany? Czy opętany może być każdy?

Już wkrótce tom drugi - „Strażniczka krwi”.



Tak oto zebrane zostały owoce ziemi, której ciało zostało rozdarte. Żywe ustępuje miejsca zgniliznie; taka jest zasada zepsucia. Jest to śmierć istniejącego, a początek przyszłego.

Richard Selzer, *Mortal Lessons*

ROZDZIAŁ 1

Nazywam się Josephine Darly i zamierzam żyć wiecznie.

ROZDZIAŁ 2

S I L L A

Człowiek nie wie, kim naprawdę jest, dopóki nie znajdzie się sam na cmentarzu.

Przez cienką koszulkę czułam na plecach zimny kamień nagrobka i strużki potu. Zmierzchało, cienie rozmyły się. Czuć było przemijanie - ani dzień, ani noc, szara, ponura godzina. Siedziałam po turecku na porośniętej kępami trawy mogile moich rodziców, z książką na kolanach.

Omiotłam okładkę z kurzu. Książka była przeciętnych rozmiarów; w moich dłoniach wydawała się taka mała i niepozorna. Od wieloletniego użytku rudobrazowa skórzana oprawa zużyła się i wystrzępiła. Kolor na rogach starł się zupełnie, podobnie jak złocenie brzegu kartek. Otworzyłam książkę i jeszcze raz przeczytałam motto, szeptem, jakbym chciała upewnić się, że to dzieje się naprawdę:

Zapiski o przemienieniu i transcendencji

*Bogdaj to trwałe, zbyt wytrwałe ciało
Stopniało, w lotną parę się rozwiało!**

To z *Hamleta*. Tata bardzo lubił tę sentencję. Wygłaszała ją, kiedy ja albo Reese pokazywaliśmy fochy. Mawiał, że w porównaniu z księciem Danii my nie mieliśmy na co się uskarżać, a jego niebieskie oczy mrużyły się i patrzyły na mnie zza szkieleł.

Książkę dostałam pocztą po południu. Przyszła zawinięta w papier pakowy. Adresu nadawcy nie było. Na przesyłce dużymi, drukowanymi literami napisano: „Drusilla Kennicot”; -brzmiało to jak wezwanie. W rogu miała sześć znaczków. Pachniała krwią.

Poczułam w gardle ten metaliczny zapach, który przywoływał tyle wspomnień. Zamknęłam oczy i w wyobraźni zobaczyłam smugę krwi na regale z książkami. Gdy na nowo je otworzyłam, nadal byłam sama na cmentarzu.

Za okładką znalazłam grubą kartkę gładkiego papieru złożoną na trzy. List. Zaczynał się: „Sillo!”. Zadrżałam na widok swojego imienia wykaligrafowanego staroświeckim charakterem pisma. Dolny łuk „S” zawijał się w nieskończoność.

Sillo!

Drogie dziecko, odczuwam Twoją stratę jak swoją własną. Znałem Twego ojca przez większą część jego życia.

* W. Szekspir, *Hamlet*, przeł. J. Paszkowski, Prószyński i S-ka, Warszawa 2001, s. 24.

Był mi przyjacielem. Żałuję, że nie mogę być obecny przy pożegnaniu; ufam wszelako, że życie jego jest wychwalane, a śmierć szczerze opłakiwana.

Mam nadzieję, że księga posłuży Ci za pociechę, jeżeli coś w ogóle może Cię pocieszyć. Znajdziesz w niej wszystkie tajemnice, jakie studiował Twój ojciec. Jest tu wiele lat poszukiwań, cała jego życiowa wiedza. Był niebywale utalentowanym magiem i uzdrowicielem. Dumnym z Ciebie, z Twojej siły. Jestem pewien, że pragnąłby, abyś otrzymała niniejszy owoc jego pracy.

Pozostaję z wyrazami szacunku i nadziei dla Ciebie i Twego brata.

Podpisano jedynie „Diakon”. Żadnego nazwiska czy adresu kontaktowego.

Kruki zaskrzeczały i wzbiły się w powietrze z pobliskich grobów. Czarna ptasia chmura przecięła szare niebo, bijąc skrzydłami i kracząc wrzaskliwie. Patrzyłam, jak lecą na zachód w kierunku mojego domu, pewnie żeby prześladować sójki mieszkające w klonie na podwórzu.

Wiatr dmuchnął i moje krótkie włosy przykryły mi twarz. Odgarnęłam je. Kim mógł być ten Diakon? Twierdził, że przyjaźnili się z tatą, ale ja nigdy o nim nie słyszałam. I dlaczego wypisywał takie dziwactwa, że mój ojciec był jakimś magiem i uzdrowicielem, skoro tylko uczył w liceum łaciny? Tak czy inaczej miałam pewność, że trzymam w rękach książkę napisaną ręką taty. Rozpoznałam jego piękny, subtelny charakter pisma: pętelka przy każdym dużym „L” i idealnie wyważone „R”. Tata nie znosił wydruków z komputera. Suszył nam z Reese'em głowy, żeby nasze odręczne pismo było przejrzyste.

Jednak Reese zgodził się pisać drukowanymi literami, a mnie za bardzo podobały się wybujałe zawijasy tradycyjnego pisma ręcznego, że bym martwiła się o czytelność.

Nie wiedziałam, skąd książka się wzięła, ale bez wątpienia należała do taty.

Przeglądałam ją strona po stronie. Każdą kartkę pokrywały rzędy równiutkiego pisma i starannie naszkicowanych diagramów przypominających sieci pajęczne. Diagramy składały się z większych i mniejszych okręgów, greckich liter, dziwnych znaków i run. Były tam trójkąty, ośmiokąty, pentagramy, kwadraty i siedmioramienne gwiazdy. Na marginesach tata zanotował komentarze, a z diagramami przeplatały się ustępy po łacinie i spisy różnych substancji.

Na większości owych spisów figurowała sól. Były tam też między innymi: imbir, wosk, paznokcie, odłamki lustra, pazury koguta, kocie zęby i barwne wstążki. Jednak niektóre nazwy były mi nieznane, na przykład *tynktura*, *pieciornik* czy *nard*.

I krew. Wśród składników zawsze znajdowała się kropla krwi.

Z tego, co zrozumiałam, były to zaklęcia. Jedne pomagały odnaleźć zgubę, inne błogosławiły niemowlęta lub odczyntwały urok. Niektóre umożliwiały jasnowidzenie, zapewniały obronę przed złymi czarami albo leczyły wszelkie choroby i rany.

Przewracałam strony. Moje serce płonęło niedowierzaniem i lękiem. Czułam też dreszcz ekscytacji, jakby przez gardło przebiegał mi prąd. Czy to możliwe? Tata przecież nie należał do tych, co lubią magiczne sztuczki. Mimo upodobania do starych ksiąg i opowieści rycerskich kochał przede wszystkim prostotę.

Może któreś zakłęcie uda się wypróbować. Żeby się przekonąć.

W tej samej chwili znów poczułam w ustach ten posmak. Krew uderzyła mi do zatok i zeszała w dół przełykiem jak lepki dym.

Uniosłam książkę do nosa i głęboko wciągnęłam jej zapach. Wydawało mi się, że czuję tatę. Nie wszechobecną krew, która nasaczyła mu koszulę i dywan, w miejscu gdzie leżało jego ciało, ale tę lekko oleistą woń tytoniu i mydła, wyczuwalną, kiedy po porannym prysznicu i papierosie w ogrodzie przychodził na śniadanie. Odłożyłam książkę i szybko zamknęłam oczy, żeby nie uciekł mi obraz taty siedzącego naprzeciwko mnie, dotykającego mojego prawego kolana.

Kiedy byłam mała, przychodził do mojego pokoju tuż przed snem i siadał na łóżku, dotykając ręką mojej nogi. Przymykałam się coraz bardziej i bardziej, aż w końcu kładłam mu głowę na ramieniu albo sadowiłam się na kolanach, a on opowiadał mi skrócone wersje znanych książek. Najbardziej lubiłam *Frankensteina* i *Wieczór Trzech Króli*. Wciąż o nie prosiłam.

Na cmentarzu odezwał się samotny kruk, lecący powoli w ślad za krewniakami.

Uniosłam książkę i upuściłam ją, żeby otworzyła się w przypadkowym miejscu. Kiedy chybotające się kartki zdecydowały się w końcu, w którą stronę się przechylić, przygięłam je i spojrzałam na nazwę zakłęcia: *Odnowa*.

Przywraca życie. Stosować ostrożnie, gdy tkanka cieleśna jest chora lub obumarła. Wzmacnia kwiaty.

Diagram przedstawiał okrąg z węzową spiralą w środku.

Potrzebowałam jedynie soli, krwi i oddechu. Łatwizna.

Na cmentarnej ziemi narysowałam patykiem koło. Z reklamówki, do której wcześniej zapakowałam składniki, jakie udało mi się znaleźć w kuchni, wyjęłam pudełko gruboziarnistej soli. Rozsypałam nieco dookoła kręgu. Kryształki migotały wśród źdźbeł trawy.

Tata napisał: „Umieścić przedmiot na środku koła”. Przygryzłam dolną wargę. Nie miałam fragmentów martwej tkanki, a kwiatów o tej porze roku nie było. Ale naprzeciwko mnie, pod kamienną tablicą, zebrała się garść suchych liści klonu. Wstałam i wybrałam jeden, a potem delikatnie ułożyłam go pośrodku. Był pomarszczony, z ciemnymi, pozawijającymi brzegami, ale wciąż dawało się dostrzec szkarłatne żyłki. Drzewa dookoła jeszcze nie zaczęły tracić liści, więc ten pochodził pewnie z poprzedniej zimy. Wehłonał wiele cmentarnych godzin.

Teraz najtrudniejsze. Wyciągnęłam z dzinsów scyzoryk, otworzyłam go i dotknęłam końcówką skóry na lewym kciuku.

Znieruchomiałam. Ścisnęło mnie w żołądku. Zastanawiałam się, czy będzie bardzo boleć. A jeśli cała ta księga zaklęć to jeden wielki żart? Chyba zwariowałam. Przecież to niemożliwe. Magia nie istniała.

Ale jednak - napisał to tata. On nigdy w życiu nie zrobiłby nic podłego. Ani nie był szalony, wbrew temu, co powtarzali niektórzy. Tata musiał wierzyć w te zaklęcia, inaczej nie trafiłby na nie czasu. A ja wierzyłam tacie. Nie miałam wyjścia.

To przecież tylko kropelka krwi.

Nacisnęłam scyzorykiem skórę. Ostrze ugięło ją, ale nie skaleczyło. Cała się trzęsłam. Zaraz się dowiem, czy magia

istnieje. Czułam na języku cierpki posmak strachu. Nacięłam głęboko.

Przez zaciśnięte wargi wyrwał mi się stłumiony okrzyk. Przecięcie nabiegło ciemną, gęstą jak olej krwią. Wyciągnęłam rękę i obserwowałam kroplę płynącą powoli w dół mojego kciuka. Czułam tępy ból, promieniujący wzdłuż ramienia aż do łopatki, gdzie w końcu się rozpląnął. Drżała mi ręka, ale już się nie bałam.

Pospiesznie strząsnęłam krople: jedną, dwie, trzy. Krew kapłała na liść, zbierając się na nim w maleńką kałużę. Pochyliłam się i wbiłam w nią wzrok, jakbym czekała na sygnał. Bardzo tęskniłam za tatą. To musiała być prawda.

— *Ago vita iterum* — wyszeptałam powoli. Mój oddech owiał liść i poruszył lekko taflą kałuży z krwi.

Nic. Włosy znowu zaczął szarpać mi wiatr, więc osłoniłam liść dłońmi. Popatrzyłam w dół. Pewnie moja łacina była kiepska. Ścisnęłam skaleczony kciuk. Znowu zebrała się na nim krew i spadło kilka kropel. Powtórzyłam zakłęcie.

Liść zadrżał od mojego oddechu. Jego brzegi rozwinęły się jak płatki rozkwitającego w przyspieszonym tempie kwiatu. Szkarłatna plama na środku rozlała się i sięgnęła brzegów, przemieniając się w soczystą, jasną zieleń. Na środku kręgu leżał rozprostowany i świeży, jak gdyby dopiero co zerwany liść.

Nagle zaszeleściła trawa. Gwałtownie podniosłam głowę. Jakiś chłopak obserwował mnie z szeroko otwartymi oczami.

ROZDZIAŁ 3

N I C H O L A S

Chciałbym móc powiedzieć, że na cmentarz przyszedłem z nostalgii albo żeby zgłębiać przeszłość. Ale prawda była taka, że nie mogłem już wytrzymać w domu z macochą.

Ona, tata i ja jedliśmy kolację. Siedzieliśmy przy długim stole w eleganckiej jadalni. Ja skubałem biały obrus i zastanawiałem się, czy gdybym rozlał na niego parę kropel wina, to Lilith błysnęłaby białkami oczu i zaczęła recytować wersety Biblii od końca.

- Nick, cieszysz się, że idziesz jutro do szkoły? - zapytał tata, unosząc do ust lampkę wina. Stosował metodę stopniowego i kontrolowanego oswajania mnie z alkoholem, tak jak bym samodzielnie nie poznał w szkolnej toalecie uroku procentów, zanim skończyłem czternaście lat.

- Tak samo, jak marzę o zjechaniu z góry żyłek.

- Nie będzie tak źle. - Na twarzy Lilith pojawił się prowokujący uśmiezek. Zsunęła zębami kawałek befsztyka z widelca.

- Jasne. Nowa szkoła na początku ostatniej klasy, i to na jakimś zadupiu. Na pewno będzie super.

Ściągnęła nadmuchane usta.

- Nick, daj spokój. Tutaj będzie ci równie łatwo zachowywać się jak odludek i nie nawiązywać przyjaźni z rówieśnikami co w Chicago.

Specjalnie odstawiłem kieliszek trochę za mocno. Wino chlupnęło na obrus.

- Nick! - Tata spojrział na mnie gniewnie. Nadal miał krawat, mimo że wrócił do domu parę godzin temu.

- Tato, nie słyszałeś, co ona...

- Synu, masz już prawie osiemnaście lat. Najwyższy czas, żebyś przestał...

- A ona ma trzydzieści dwa! To ona powinna wydorośleć. - Zerwałem się. - Ale takie są efekty małżeństwa z kimś o trzynaście lat młodszym.

- Możesz odejść od stołu - powiedział spokojnie tata. Zawsze był spokojny.

- Ekstra. - Chwyciłem szparaga i zaszutowałem nim Lolith. Wygrała tę bitwę. Jak zwykle. Owinęła sobie tatę wokół palca.

Gdy wchodziłem do przedpokoju, usłyszałem, jak mówi do ojca:

- To nic takiego, kochanie. Właśnie do tego służy odplamiacz.

Zgrzytnąłem zębami. Z szafy w przedpokoju złapałem bluzę i wypadłem z domu, trzaskając drzwiami. Gdybym był u siebie, w Chicago, pobiegłbym do Treya parę domów dalej i poszlibyśmy razem do kawiarni albo do Mikey'ego postrzelać na konsoli. Ale zamiast tego byłem sam na podwórzu wiejskiego domu w Missouri, gdzie największą atrakcją okolicy był walący się cementarz. Przeżułem do końca szparaga, zapiąłem suwak bluzy i ruszyłem żwirową dróżką.

Słońce schowało się za drzewami rosnącymi przy domu i zapadł zmrok, mimo że niebo na górze było ciągle jasne. Pokazało się dopiero parę gwiazd. Wcisnąłem ręce do kieszeni

bluzy i poszedłem w stronę drzew. Z mojego okna widziałem cmentarz. Postanowiłem poszukać grobu dziadka.

Dziadek umarł w lecie. Całą posiadłość zostawił w spadku mnie, chociaż spotkaliśmy się tylko raz, kiedy miałem siedem lat. Pamiętałem, że przez większość czasu byłem wtedy chory, a dziadek krzychał na moją mamę z powodu, którego nie rozumiałem. Ale najwyraźniej z wiekiem człowiek dziwaczeje, a ja byłem jego jedynym żyjącym krewnym, z wyjątkiem mamy, która nie odzywała się do żadnego z nas.

Niezła z nas rodzinka.

A potem dom, kiedyś chyba całkiem ładny, nawiedzili Lilith z tatą. Zdarli zabawną staromodną tapetę i zastąpili ją czarno-białym, bezdusznym art deco. Gdyby tylko ich życie erotyczne było tak powściągliwe.

Lilith przez kilka dni piała z zachwytu nad posiadłością. „Cóż za wspaniałe miejsce dla pisarza!”, „Kochanie, tu jest cudownie! Co za krajobraz!” oraz „Nigdy więcej nie wydam trzech tysięcy dolców na płaszcz od projektanta!” No dobra, tego ostatniego nie powiedziała, a powinna.

Najgorsze było to, że tata planował latać do Chicago co tydzień na cztery dni, żeby nie stracić kontaktu z klientami. Czyli nie tylko utknąłem na prowincji, gdzie najbardziej szkodną knajpą była lodziarnia, ale utknąłem z L i l i t h .

Całe szczęście, że musiałem zostać tu tylko kilka miesięcy, do ukończenia liceum. I całe szczęście, że straciłem tylko miesiąc szkoły, więc będę w stanie w ogóle ukończyć liceum.

Przedzierałem się przez las. Nie potrafię odróżnić dębu od wiązu nawet w sprzyjających warunkach, a co dopiero po zachodzie słońca, kiedy było ciemno jak w grobie i wszystkie drzewa ścisnęły się dookoła niczym liściaste blokowisko dla

wiewiórek. Owady i żaby brzęczały i skrzeczały tak głośno, że nie usłyszałbym samego siebie, gdybym coś powiedział. Na ziemi zalegały warstwy starych liści, a kiedy wzburzyłem je stopami, poczułem kuszący aromat zgnilizny i pleśni. Parę razy prawie się przewróciłem, ale zamachnąłem się rękami i złapałem drzewa. Fajnie było ryć przez ściółkę, przypominało mi to przekopywanie się w dzieciństwie przez sterty zagrabionych liści w ogrodzie. Mama czarowała je, żeby tańczyły i kołowały nad moją głową, a potem spadały na mnie zniecka. Mówiła, że to samolociki dla żuków...

No właśnie. Dlatego nie chciałem przeprowadzać się do Yaleyah. Wszystko przypominało mi o mamie i o tym, o czym powinienem zapomnieć. W domu zatrzymywałem się pod każdymi drzwiami i zastanawiałem się, czy to jej pokój. W kuchni myślałem, czy sama nauczyła się robić ten pyszny sos do spaghetti, czy dostała przepis od swojej mamy. Czy także patrzyła przez okno na cmentarz, jak ja poprzedniej nocy przed snem? Czy raczej nie interesowały jej duchy? Nigdy się tego nie dowiem, bo mieszkała teraz w Arizonie i kompletnie wymazała mnie z pamięci.

Las skończył się niespodziewanie. Nie zauważyłem nawet, kiedy zrobiło się jaśniej. Od zrujnowanego muru cmentarza dzieliła mnie droga, a właściwie dwa ślady po kołach poprzerastane zielskiem. Przeciąłem ją i bez problemu przeszedłem przez syjące się ogrodzenie. Na fioletowym, bezchmurnym niebie uśmiechał się do mnie cienki księżyc i mrugało kilka gwiazd. Przede mną cmentarz ciągnął się co najmniej przez pół kilometra i kończył potężnym żywopłotem, odgradzającym go od domu naszych najbliższych sąsiadów.

Na cmentarzu nie wypadało dalej maszerować, rozkopując

trawę, dlatego zwoleń i stapałem po cichu. Większość kamieni nagrobnych zrobiono ze ciemnego granitu lub marmuru. Inskrypcje były wytarte i ledwo widoczne w mroku. Odczytałem kilka nazwisk i parę dat z tysiąc osiemset któregoś. Nie mogłem się powstrzymać, żeby ich nie dotknąć, więc wyjąłem ręce z kieszeni i szedłem, klepiąc jedno i przesuując palcami po innych. Kamień był zimny, szorstki i brudny. Po kilku tablicach pięły się więdnące kwiaty. Wyglądało na to, że nagrobki są poustawiane przypadkowo. Kiedy już mi się wydawało, że zauważyłem równy rząd, linia zakrzywiła się w dziwny owal. Raczej nie było ryzyka, że się zgubię, bo po jednej stronie widziałem wyraźnie ciemny las dookoła mojego domu, a z drugiej - żywopłot sąsiadów. Zastanawiałem się, kto tam mieszka i czy pola na południe należą również do nich, czy do kogoś innego.

Było cicho. Słyszałem tylko ciche bzyczenie owadów z lasu i kruki wrzeszczące co jakiś czas jeden na drugiego. Po chwili odfrunęły gromadą, głośno kłócąc się i dziobiąc między sobą. Poczułem, że się rozluźniam. Przynajmniej w towarzystwie trupów mogłem się wyluzować. Pewnie wszystkie zwłoki już się rozłożyły. Może poza dziadkiem. Uważnie rozglądałem się za nowym, jasnym nagrobkiem.

Ciekawe, czy bym go polubił, gdybym go odwiedził. Mogłem do niego przyjechać. Chyba nawet powinienem być. Ale nigdy go tak naprawdę nie poznałem. Tata nie poruszał tematu rodziny mamy, a ja nad tym specjalnie się nie zastanawiałem. Teraz też nie było sensu się tym zamartwiać.

Posąg jakiegoś trzy metry przede mną poruszył się. Zamarłem, potem rzuciłem się za spory obelisk podobny do pomnika Waszyngtona. Wyjrzałem zza niego i zdałem sobie sprawę, że

ten dziwny posąg ma na sobie dżinsy i koszulkę, a we włosach spinki, błyszczące fioletowo w świetle księżyca. Ale ze mnie kretyn.

Dziewczyna siedziała na ziemi, plecami opierając się o nowy nagrobek, a obok leżała otwarta książka i niebieska reklamówka. Była chuda i miała krótkie, fajnie nastroszone włosy. Mógłbym przeczesać je palcami, a ona nie ofuknęłaby mnie, że psuję jej fryzurę (jak co poniektóre dziewczyny), bo i tak byłaby rozczochrana. Otworzyłem usta, żeby się przywitać, ale nic nie powiedziałem, bo ona nagle przyłożyła sobie scyzoryk do kciuka.

Co jest?

Po chwili wahania zacisnęła usta i skaleczyła się. *Nie!*

Po jej skórze spływała krew. Pomyślałem o plastrach na palcach mojej mamy. Czasami nakłuwała sobie palec i rysowała krwią kreskę na lustrze, żeby pokazać mi ruchome obrazy. Albo kapała nią na plastikowego dinozaura-zabawkę, szepcząc słowo, które sprawiało, że stegozaur poruszał kolczastym ogonem. Nie chciałem sobie o tym przypominać. Nie chciałem przyjąć do wiadomości, że nie było to tylko nasze rodzinne wariactwo.

Dziewczyna pochyliła się i szepnęła coś do liścia przed sobą. Liść zadrżał, rozwinął się i zabarwił na jasnozielono.

Ja pierdolę.

Podniosła głowę i popatrzyła na mnie. Otworzyłem szeroko usta. Nie było opcji, że widziałem to, co widziałem. To niemożliwe. Nie tutaj. Nie znowu. Gdy zamknąłem usta z powrotem, ona zerwała się na równe nogi i schowała scyzoryk za plecami.

Obszedłem kamień nagrobny. Patrzyłem jej w twarz; liść omijałem spojrzeniem.

- Przepraszam - wydusiłem z siebie. - Akurat przechodziłem i zobaczyłem... - Zerknąłem na liść.

- Co zobaczyłeś? - wykrztusiła, jakby coś utkwiiło jej w gardle.

- Nnic... nic. Ciebie.

Miała powściągliwą minę.

- Nie znam cię.

- Nazywam się Nicholas Pardee. - Zwykle mówiłem o sobie „Nick”, ale pełna wersja imienia jakoś bardziej pasowała do krajobrazu. Jakby było ważne, jak się jej przedstawiam. - Właśnie wprowadziłem się do starej willi przy cmentarzu. - Prawie się skrzywiłem. Zabrzmiało to kretyńsko. *Cześć, wprowadziłem się do mrocznego domu starego Harleigha. Bardzo lubię snuć się po cmentarzach. Zwykle mam ze sobą psa o imieniu Scooby-Doo.*

- A, słyszałam. - Spojrzała na mój dom. - Ja jestem Silla Kennicot. Mieszkamy tam. - Machnęła scyzorykiem w stronę żywopłotu, ale najwyraźniej uświadomiła sobie, co ma w ręku, bo szybko schowała nóż za plecami.

Wciągnąłem głęboko powietrze. No dobra. Mieszka obok. Jest w moim wieku. Ładna. I najwyraźniej porąbana. Albo to ze mną jest coś nie tak. Bo to przecież niemożliwe. Ja, ona i coś, co wyglądało jak... nie. *Nie*. Poczułem klucie, jakbym wyspał sobie kolce jeżozwierzka za kołnierz. Chciałem rzucić jakąś złośliwość, żeby poczuć się lepiej i powrócić do pionu. Ale zamiast tego wymusnęło mi się coś strasznie słabego:

- Silla. To chyba rzadkie imię. Podoba mi się.

Spojrzała gdzieś w przestrzeń. Jej twarz zakrzepła. Potem odezwała się głosem tak cichym, jakby miał zaraz zaniknąć.

- To zdrobnienie od Drusilli. Mój tata uczył w liceum łaciny.

- Łaciny. Hmm. - „Uczył”. W czasie przeszłym.

- To znaczy coś w rodzaju „silna” - powiedziała ironicznym tonem.

Patrzyliśmy na siebie. Miałem ochotę jednocześnie wrzasnąć na nią, że wiem doskonale, co tam robiła, i że musi przestać, zanim kogoś skrzywdzi... i udawać, że oboje jesteśmy normalni, a krew to nic takiego. Może była po prostu idiotką, która lubi się ciąć, a może to był wypadek. Bez związku z mamą. Może tak naprawdę nic się nie stało. Omijałem wzrokiem leżący na ziemi liść.

- Skończyłeś liceum? - zapytała.

Zaskoczyła mnie. Odparłem trochę zbyt głośno:

- Nie, nie. Jutro zaczynam szkołę. - Uśmiechnąłem się cierpko. - Hurra.

- Ostatnia klasa?

- Mhm.

- To pewnie nie będziemy mieć razem lekcji. Ja jestem niżej.

- Jestem beznadziejny z historii — pochwaliłem się.

- A ja jestem w klasie z rozszerzoną historią. — Zmrużyła oczy w szczerym uśmiechu. Nie wyglądały już tak niepokojąco i przepastnie.

- Uuu. - Roześmiałem się.

Silla skinęła głową i spojrzała na ziemię. Podczas naszej rozmowy zacierała stopą narysowany na ziemi okrąg. Teraz zostało już tylko kilka linii oraz trochę suchej trawy i liści. Żadnych dziwactw. Odetchnąłem z ulgą i odzyskałem pewność siebie.

- Z dłonią w porządku?

- Yyy, tak. - Wyjęła ręce zza pleców i schowała złożony

scyzoryk do kieszeni dżinsów. Na każdym palcu miała pierścionek. Rozcapierzyła dłoń i przyjrzała się kciukowi. Był pomazany krwią.

- Woda utleniona - powiedziałem szybko. Mama jej używała. Nie znosiłem tego zapachu.

- Co?

- Powinnaś przemyć wodą utlenioną.

- To nic takiego. Zwykle skaleczenie — wymamrotała.

Otoczyła nas cisza przerywana tylko skrzeczeniem kruków gdzieś daleko. Silla otworzyła usta, zawahała się i po chwili westchnęła cicho:

- Pójdę już do domu przykleić plaster.

Żałowałem, że nie mam nic do powiedzenia. Ale byłem rozdarty. Z jednej strony pragnąłem zapomnieć, co być może widziałem, a z drugiej — zażądać wyjaśnień. Jedyne, czego byłem pewien, to że chciałem ją tu zatrzymać.

- Odprowadzę cię.

- Nie trzeba. Nie mam daleko.

- Dobra. — Schyliłem się i podniosłem jej książeczkę. Miała jednolitą okładkę bez tytułu. Wyglądała na starą. - Rodowe dziedzictwo? — zażartowałem.

Silla zamarła z półotwartymi ustami, jakby przestraszona, ale zaraz się roześmiała.

- Żebyś wiedział. - Zrobiła minę, jakby usłyszała świetny dowcip, i wzięła książkę. - Dzięki. Na razie, Nicholas.

Uniosłem rękę i pomachałem jej. Chwilę potem zniknęła bezszelestnie w mroku, ale nawet gdy straciłem ją z oczu, w głowie dźwięczało mi moje długie i nieco egzotyczne imię, które wypowiedziała cicho.

ROZDZIAŁ 4

S I L L A

Zatrzasnęłam za sobą drzwi z moskitierą. Usłyszałam głos babci Judy nagrywający się na automatyczną sekretarkę: „Hej dzieciaki, gra w kości się przeciąga, pewnie przez to, że dolałam wódki do ponczu Margie. Nie wrócę na kolację, ale jak chcecie, żeby coś kupiła, to zadzwońcie. Strzała”.

Na szczęście. Z nerwów cała się trzęsłam. Chciałam porozmawiać z Reese'em, zanim wróci babcia. Skierowałam się korytarzem do kuchni i myślałam o Nicholasie Pardee, który nieomal zobaczył magię. Nie przyszło mi do głowy, że na cmentarzu mogę kogoś spotkać. Chadzałam tam tylko ja. Dziadka Nicholasa, pana Harleigha, pochowano tam gdzie wszystkich, na nowszym cmentarzu po drugiej stronie miasteczka. Rodziców pogrzebano tutaj, bo tata poprosił o to w testamencie. Chciał leżeć blisko domu.

Nicholas zatroszczył się o moją rękę i spoglądał na mnie bardzo zagadkowo. Jakby znał mój sekret. A przecież to niemożliwe. Gdyby zobaczył przemianę liścia, na pewno pomyślałby, że mu się przywidziało. Nikt nie wierzył w magię.

Skinęłam głową na potwierdzenie własnych myśli, zapaliłam światło w kuchni i położyłam na stole książkę z zaklęciami. Odkręciłam wodę w zlewie i przemyłam sobie kciuk. W otwartym oknie nad zlewem w lekkim wietrze poruszyły

się firanki. Wyobraziłam sobie, że śpiewam melodyjkę z ulubionego programu w telewizji, a mama stoi obok, obiera ziemniaki w swoim fartuchu w kreskówkowe króliki i nuci razem ze mną. Teraz jej fartuch leżał złożony w szufladzie przy piekarniku.

Osuszyłam dłoń i przyjrzałam się ranie. Była mała i gładka, bo scyzoryk miał ostry brzeg. Piekła. Wciąż nie mogłam do końca uwierzyć, że magia zadziałała, a ja naprawdę się zraniłam, żeby to sprawdzić. Że się odważyłam. Obróciłam się i oparłam o blat. Popatrzyłam na książkę. Poczułam, jak ścisł mi się żołądek i kurczą płuca. To była prawda. Za pomocą paru kresek na ziemi, krwi i kilku słów ożywiłam liść.

Magia istniała. Tata nie był szalony.

Tak mi ulżyło, że aż musiałam usiąść przy stole. Słyszałam tylko cichutkie tykanie zegara dziadka w przedpokoju i własny oddech. Wcisnęłam łokcie w drewniany blat i złączyłam dłonie. Moje stopy gorączkowo stukały o podłogę, jakby chciały pognać jak najdalej. Nie mogłam ich zatrzymać. Chciałam biegać, krzyczeć, wzbic się wysoko i popatrzeć z góry na zmieniony świat.

Dwie godziny temu byłam zagubioną dziewczynką, której rodzice zginęli, a brat był wściekły na życie. Teraz czułam, że dzięki tej książce, dzięki magii mój tata żył nadal.

Twarz mi się rozjaśniła. Wyobraziłam sobie, że na twarzy mam maskę. Intensywnie żółto-niebieską, mieniącą się złotym brokatem i wesołymi różowymi kwiatami na policzkach, z szerokim uśmiechem.

Była ósma wieczorem. Reese miał wrócić lada chwila. Czekaając na niego, nie mogłam skupić się na pracy domowej. Zrobiłabym coś do jedzenia albo posprzątała, ale nie byłam

głodna, a w domu było czysto. W ostatnich miesiącach mnóstwo czasu spędziłam na sprzątanu i gotowaniu, żeby zająć czymś myśli - ale nie można sprzątać w nieskończoność.

Wstałam. W przedpokoju koło drzwi leżał papier pakowy, w który była zawinięta książka z zaklęciami. Zmięłam go w kulkę i wyrzuciłam do kosza na papier pod zlewem. Wyjęłam naczynia ze zmywarki i poprawiłam margerytki w wazonie w jadalni. Zamiotłam drewnianą podłogę w korytarzu i dookoła dywanów w pokoju telewizyjnym, w sypialni babci Judy i kuchni, ale kurzu na szufelce było ledwie co. Potem przejechałam mopem wszędzie poza gabinetem taty, lecz frędzle mopa pozostały czyste, bo myłam podłogę przedwczo-raj. Wzięłam jedną z książek Reese'a, kryminał retro, ale zaczynał się od opisu krwi, i nie mogłam dalej czytać. Zabrałam się więc za lewicujące magazyny babci Judy. Słowa wirowały na stronach, przypominając mi runy i spisy magicznych składników.

Za oknem usłyszałam trzaśnięcie drzwi samochodu. Serce mi załomotało. Zamknęłam oczy i wciągnęłam głęboko powietrze, żeby się uspokoić. Rozpoznałam na werandzie ciężkie kroki Reese'a. Drzwi z moskitierą otworzyły się. Przycisnęłam książkę do piersi i wyszłam mu na spotkanie.

Reese stał w progu tyłem do mieszkania i czyścił buty z błota. Był ode mnie starszy o dwa lata. Powinien teraz uczyć się na Uniwersytecie Stanowym w Kansas, ale po śmierci rodziców postanowił odroczyć studia. Rozumiałam dlaczego.

Odrzucił się, żeby wejść. Nie spodziewał się mnie zobaczyć. Zaskoczony, odruchowo wyciągnął dłoń i rąbnął w drzwi.

- Jezu, Sil, co ty wyrabiasz?

Podawałam mu książkę oburącz.

- Co to jest? - Wmaszerował do środka, po drodze łapiąc bezceremonialnie książkę. Jęknęłam w duchu i z niepokojem przygryzłam wargę.

Minał mnie i wszedł do kuchni. Rzucił na stół portfel, a obok książkę. Wyjął z szafki szklanę i nalał sobie wody.

- Skąd to masz?

- Należała do taty — odparłam, trochę oburzona jego bez troską.

Zamarł ze szklanką w pół drogi do ust. Ostrożnie odstawił ją na blat i odwrócił się. Miał zaciśnięte szczęki.

- Zobacz. - Otworzyłam książkę i wyjęłam list od Dia-kona, omijając wzrokiem pismo taty. Zamachałam Reeseowi kartką.

On wyciągnął rękę powoli, jak gdyby pokonując opór wody. Rozłożył list i zaczął czytać, a ja obserwowałam jego twarz. Jak zwykle miał trzydniowy zarost. Jego skóra była bardzo opalona, bo pracował teraz przy żniwach i spędzał dużo czasu na świeżym powietrzu. Słońce pozłociło jego włosy i wsiąkło w pory. Wyglądał przez to starzej. A może z powodu rodziców.

Usta wykrzywiły mu się gorzko, a na policzki wystąpiły ciemne rumieńce. Nagle zmiął list w dłoni.

- Reese! - Przyskoczyłam do niego.

- To jakieś pierdoły - oświadczył, przeglądając książkę z zaklęciami.

- Wcale nie!

- Uważasz, że to prawda? - Zrobił krok do przodu i rzucił książkę na stół.

- Wiem, że to prawda. - Ujęłam jego pięść w dłoń, odgięłam palce i wyjęłam list. Znowu trzęsły mi się ręce.

- To chore. Jeżeli naprawdę napisał to tata, to znaczy, że wszyscy mówią prawdę. Że oszalał i zrobił to z premedytacją.

Język przysechł mi do podniebienia. Jak zwykle nie miałam siły zaprotestować przeciwko przerażającej pewności Reese'a.

- Tak, Sil. Z premedytacją. Zaplanował, że ją zastrzeli.
- Głos mu drżał. Zwinął dłonie w pięści, jakby znowu chciał walnąć w ścianę.

- Nie. - Skoczyłam do stołu i chwyciłam książkę. - To wszystko prawda. Sprawdziłam. Na...

- Gówno prawda. - Ostre słowa zniszczyły moją radosną maskę, spod której wyłoniła mi się twarz. Reese skrzyżował ręce na piersi. - Silla, daruj sobie pierdoły. Jestem zmęczony.

- Mówię prawdę. - Mój głos brzmiał rozsądnie, gładko.
- To działa, Reese. Przemieniłam suchy liść. Magia działa, więc tata nie był szalony. I nieprawda, że zrobił to, co mówią.

- Śmiało, powiedz to. Zabił mamę. Mówią tak, bo to prawda.

Potrząsnęłam głową i ostentacyjnie położyłam książkę na stole.

- Popatrz. No popatrz. Zaraz ci pokażę. - Musiałam wyjść na powietrze.

Śmignęłam korytarzem na tyły domu i zbiegłam po schodach do ogrodu. Na zewnątrz w ciemności trzeszczały świerszcze i cykady. Zamknęłam oczy. W wyobraźni zobaczyłam mamę i tatę ze splecionymi ramionami i nogami, leżących w kałuży krwi, której strumyczki sięgały moich butów. Stałam skamieniała, mogłam tylko patrzeć jak zahipnotyzowana i łykać powietrze lepkie od krwi i śmierci. Czy gdybym potarła oczy bardzo mocno, udałoby mi się wydrapać obraz ciał rodziców leżących na podłodze w gabinecie?

- Silla. - Reese wyszedł z domu, niosąc ze sobą książkę.
- Błagam, uwierz w niego - jęknęłam.
- Widziałem... - Reese złapał mnie za rękę - widziałem ich, tak jak i ty. Już zapomniałaś?
- Nie zapomniałam. - Wyszarpnęłam się.
- Widzisz to, co chcesz. Czy kiedykolwiek słyszałaś o tym całym Diakonie? Nie. Nie wiemy, kto to jest ani czy w ogóle istnieje. W najlepszym razie to jakiś słaby żart. A w najgorszym - coś, w co tata naprawdę wierzył i co dowodzi, że był chory psychicznie.

Reese, magia naprawdę istnieje. Patrzę teraz na świat inaczej, pomyślałam. Westchnęłam głęboko i powoli. Nie uwierzy, dopóki nie zobaczy.

- Nasz tata by czegoś takiego nie zrobił.

Reese rzucił książkę na trawę.

- A jednak. Cholera, śledztwo to przecież wykazało. Nie było wątpliwości. Nieważne, czy jakieś nawiedzone zaklęcia działają, czy nie. Tata pociągnął za spust. Szeryf Todd był jego kumplem. Zrobił wszystko, co mógł... - zawiesił głos i pokręcił bezsilnie głową. Już o tym rozmawialiśmy.

- Nie zrobił tego. Magia...

Przeciął ręką powietrze. Zamilkłam. Ale jego gniew zaraz stopniał.

- Bączku - powiedział, a gdy znowu zrobił krok w moją stronę, nie odsunęłam się. - To już trzy miesiące. Musisz się z tym pogodzić.

- Tak jak ty?

Objął mnie, a ja odwzajemniłam uścisk. W nosie połaskotały mnie pyłki z siana. Poczułam zapach potu i smaru do traktora, znajomy i stateczny jak sam Reese. Zazdrościłam mu

tej jego niezachwianej pewności i siły. Tego, że potrafił wyładować gniew na ścianie albo w pracy fizycznej.

- Taa - mruknął z nutą goryczy. Z ulgą zauważyłam, że Reese także nie mógł oswoić się z myślą, że tata ją zabił. Też tego nie rozumiał.

Po chwili odezwał się:

- Potrzebuję browara. Chcesz?

- Nie. - Byłam wystarczająco znieczulona.

- Gdzie babcia?

- Ogrywa panie Grander ze wszystkiego, co mają.

- No tak, dziś wieczór kości. - Uniósł na moment głowę i już myślałam, że przeprosi, że na mnie nakrzyczał. Ale wtedy ja też musiałabym się pokajać. Zamiast tego powiedział: - Idę zrobić kanapki.

- Dobra. Ja tu chwilę zostanę.

Reese skinął głową i wszedł do domu. Moje tenisówki zapadały się w trawę. Miałam nadzieję, że ziemia pochłonie moje kostki, łydki, kolana, zakleszczy się na mnie całkowicie i zostanę tu na zawsze.

ROZDZIAŁ 5

18 marca 1904 roku

Philip namawia mnie, bym spisała, co pamiętam. Pomysł uważam za idiotyzm i stratę czasu, bo ani trochę nie pragnę pamiętać, skąd pochodzę. Ale inaczej pan Okropna Bestia nie będzie mnie więcej uczył.

A zatem, wbrew mej woli, spisuję, jak poznałam Dra Philipa Osborna (czyli Bestię).

Stało się to w roku ubiegłym, gdy miałam lat czternaście. Pamiętam tamten wstrętny zapach tkalni. Ucieszyłam się, gdy spadła na mnie słabość, bo wiedziałam, że z powodu influency wysłał mnie do szpitala św. Jakuba. W tkalni byłam najstarsza. Ta sekutnica pani Wheelock wściekła się, że odchodzę, bo przędłam nader szybko. Grałam jej na nosie, mimo iż gorączka przeszywała me kości. Ułożono mnie obok innych w wąskiej izbie na tyłach szpitala św. Jakuba. Byłam odcięta od świata. Przypuszczałam, że po naszej śmierci po prostu spalą całą salę bez należącego pochówku.

W łóżku nieopodal leżało roztrzęsione gorączką dziewczę, przekonane, że jesteśmy przeklęte. Żałosna, tchórzliwa istota. Uczepiła się mnie. W uszach brzęczały mi jej modlitwy, bezużyteczne jak szczury. Ja nie zamierzałam umierać.

Gdy po raz pierwszy ujrzałam twarz Philipa, pojąłam, że dziewczynka obok mnie modliła się do niewłaściwej osoby. W spojrzeniu miał niewypowiedzianą intensywność, a jego miedziane włosy i długie palce chirurga zbudziły we mnie coś, co już nigdy nie zasnęło. Przyszedł pomóc chorym dzieciom. Skoro nie mógł nas uleczyć, pragnął nam chociaż ulżyć. Patrzyłam na kącik jego ust, który wyginał się, gdy usiłował ukryć okropną prawdę podczas osłuchiwania dziewczynki w łóżku obok. Wpatrywałam się w niego uporczywie, wtedy on odwrócił się ku mnie i zapytał: „Ty nie zamierzasz umierać, prawda?”. Ja odrzekłam: „Nie, proszę pana”.

Tydzień później z całej sali ocalałam tylko ja. Philip zabrał mnie ze szpitala do swego apartamentu w mieście. Ludzie sądzili, że umarłam. Wcale mnie to nie martwiło. Nie znosiłam

mieszkania z panią Wheelock. Wolałam zaryzykować ucieczkę z obcym, niż wracać. Mogłam się obmyć. Philip dal mi osobny pokój, wannę z kutego żelaza i mydło, które sam ugotował. Pachniało kwiatami! Ale kołtunów z włosów nie mogłam pozbyć się nawet za pomocą mydlin i wrzącej wody. Przez chwilę trwożyłam się, iż odeśle mnie z powrotem do tkalni. Ale gdy znalazł mnie we łzach na podłodze, obciął mi strąki małym sztylcikiem i odezwał się: „Josephine, każdy problem da się rozwiązać. Zapamiętaj tę zasadę, a poradysz tu sobie znakomicie. Nauczę cię pisać i czytać, a jeśli się przyłożysz, być może czegoś jeszcze”. Myślałam, że chodzi mu o sprawy między kobietą a mężczyzną. Były mi one już znane, ale zataiłam to, bo pragnęłam, by miał mnie za niewinną. I radowałam się na naukę czytania i pisania. Wykształcona już nigdy nie będę musiała wracać do tkalni. Zachwyćę go sprytem, energią i urodą, a pokocho mnie nade wszystko.

Nie rozumiałam, że to, czego chce mnie nauczyć, jest dalece potężniejsze niż miłość.

ROZDZIAŁ 6

N I C H O L A S

Liceum w Yaleylah składało się z dwóch budynków z żółtej cegły: trzypiętrowej szkoły i hali do wuefu. Wyglądały żałośnie. Pośrodku był parking, a od południa - plac trawy, zapewne boisko do piłki, baseballu i bieżnia w jednym, w zależności od

pory roku. Trochę dziwne, że mając tyle pól i łąk naokoło, nie wydzielili osobnego miejsca na każdy sport. Nawet w Chicago drużyna baseballowa dzieliła boisko tylko z softballowcami.

Byłem jeszcze bardziej poirytowany niż zwykle, bo spałem fatalnie. Znowu całą noc śniło mi się, że jestem uwięziony w ciele psa (przemilczę ten temat; nie wiem, co by o tym powiedział Freud, i niech tak zostanie). No i byłem nowy, w dodatku z miasta. Ubierałem się inaczej (w jedyny słuszny sposób), słuchałem innej muzy, co innego jadłem i w ogóle byłem z innej kultury. Kurde, nawet mówiłem inaczej. Na długiej przerwie cheerleaderka nie zrozumiała, co powiedziałem. Pokazałem jej środkowy palec.

No i ta dziewczyna z cmentarza. Już jej nie zobaczyłem, mimo że od soboty codziennie snułem się między grobami. Miałem nadzieję, że ją spotkam, bo nie mogłem przestać o niej myśleć, a jednocześnie obawiałem się, że robiła to, co myślałem.

Rozglądałem się za nią po szkole. W Chicago zwykle pędziłem po korytarzach, ale tutaj większość sal ostatniej klasy była na pierwszym piętrze, jedna obok drugiej. W szkole było na oko maks czterysta osób. Wszyscy oczywiście wiedzieli, jak się nazywają, znali swoje historie rodzinne i tak dalej. Było mi niedobrze na widok tyłu par butów kowbojskich.

W środę na matematyce pani Trenchess powiedziała, żebyśmy dobrali się w pary i zajęli pracą domową. Nie miałem nic zadane, ale kolo z ławki obok wyciągnął do mnie ponad prześcieniem rękę.

- Cześć, jestem Eric.

Podniosłem wzrok znad funkcji logarytmicznych, które ozdabiałem świńskimi haiku. Zmarszczyłem brwi, jakby

mówiąc: „No i co z tego?”. On klepnął dłońią w blat i uśmiechnął się.

- Rzeczywiście dupek z ciebie. Tak wszyscy mówią.
Nadal milczałem.

Eric wyjął z kieszeni dzinsów srebrną zamykaną zapalniczkę. Zsunął się niżej na krzesło, żeby pani Trenchess nie zauważyła, co robi, i pstryknięciem otworzył i zamknął zapalniczkę.

- Luz, i tak wiem, jak się nazywasz, Nick.

Schował zapalniczkę w dłoni i powoli przechylił się przez przejście w moją stronę. Myślałem, że spadnie z krzesła. Przeczytał wiersz, jaki napisałem na marginesie podręcznika:

- „Bezgranicznie pokuczona/pani Trenchess jest koszmarem/wszystkich uczniów”. - Zamilkł na chwilę. - Haiku?

Nie mogłem być zupełnie chamski dla kogoś, kto zna się na poezji.

- Zastanawiałem się, czy nie wyryć go na ławce obok „TYLKO MENDY GRAJĄ W SZACHY”, ale to by nie było wystarczająco błyskotliwe.

Roześmiał się wysokim skowytem.

- Masz inne?

Zawahałem się, ale w końcu stwierdziłem: a co tam. Na końcu zeszytu znalazłem najnowsze wiersze.

*Ułamki, pierwiastki, potęgi
to kawał prawdziwej mordęgi.
Większe korzyści
mam z picia whisky,
oszczędzę sobie mitregi.*

I kolejny:

*Paszczur ze spojrzeniem
Ciężkim pod warstwą cieni
Myśli, że mi się podoba.*

- To chyba o Sarze Turner - powiedział Eric po chwili zastanowienia.

- Dzisiaj rano na kulturze europejskiej wściekła się, że nie chce z nią gadać. Nawet nie próbowałem zapamiętać, jak się nazywa.

- Chcesz być poetą?

- Nie.

Usiadł z powrotem prosto i czekał, aż rozwinę temat, ale ja nic nie powiedziałem. Eric potrząsnął głową.

- Podobno fruzie lecą na poetów.

Obaj się uśmiechnęliśmy.

- Słuchaj - powiedziałem - kojarzysz Sillę Kennicot?

Jego twarz stężała, a po sekundzie napiął skórę dookoła ust, jakby próbował się nie skrzywić.

- Mhm. A co?

- Mieszkamy obok siebie - odpowiedziałem jak gdyby nigdy nic. O co chodzi?

- A, rzeczywiście. Wyleciało mi z głowy. Poznałeś ją?

- Taa. Trochę dziwna.

Eric znowu pstryknął zapalniczką.

- No co ty. Od śmierci rodziców ma doła. - Zamilkł, po czym dodał: - Nic dziwnego.

Najwyraźniej oczekiwał, że będę go ciągnął za język. Ja jednak zapytałem, czy nie potrzebuje pomocy z pracą domową. Odparł, że nie potrzebuje, bo nie odrobił.

Po lekcji miałem okienko. Eric odprowadził mnie kawałek. Kiedy przechodziliśmy koło tablicy ogłoszeniowej, zatrzymał się i wskazał odblaskowo pomarańczowy plakat, który obwieszczał:

„MAKBET. Szukamy chętnych! Sława i chwała bez pamięciówki!”

- Może się zapiszesz? - zaproponował. - W ekipie technicznej możesz się wyłóżliwiać do woli.

Tłum uczniów popchnął mnie bliżej tablicy. Na dole pomarańczowego plakatu przeczytałem napis małym druczkiem:

„Zaprasza koło teatralne *Dzika Świnia*. Eric Leilenthal, p.o. przewodniczący”.

- Pełniący obowiązki? Nie wyglądasz na obowiązkowego.

Eric nie wyglądał mi też na fana teatru. Bardziej pasowałyby do wiejskiej drużyny baseballowej.

Wyciągnął z kieszeni długopis i zamazał „p.o.”.

- Wredna baba. - Schował długopis z powrotem i ciągnął:
- Wendy Cole upiera się, że musimy zrobić głosowanie, ale ja byłem wice, więc to chyba normalne, że kiedy przewodnicząca zrezygnowała, to stanowisko przeszło na mnie.

- No, nieźle. Dramat w kółku teatralnym.

- Hm, słuchaj, ta twoja Silla gra w przedstawieniu. To co, wpadasz? - uśmiechnął się szyderczo.

Podobało mi się, że Eric też był trochę dupkiem. No i musiałem znaleźć miejsce, gdzie po szkole będę się krył przed Lilith.

- Dobra. Gdzie?

- Po lekcjach w auli. To nara, idę poszukać Wendy. - I oddalił się korytarzem.

Ciekawe, gdzie oni zmieścili tu aulę, pomyślałem.

S I L L A

Lekcje jak zwykle przemknęły niczym we mgle. Od soboty każdą wolną chwilę spędziłam w swoim pokoju pochylona nad książką zaklęć. Czytałam ją na głos, tak jak dawniej teksty sztuk, kiedy przygotowywałam się do roli. Przeczytałam od deski do deski, a potem jeszcze raz, przesuwając palce po wgłębieniach, jakie na grubym papierze zostawiło pióro taty. W głowie falowały mi ornamenty liter. Słyszałam jego głos: „Magia sympatyczna opiera się na skojarzeniach. Tynktura działa szybciej, jeśli dodać kroplę krwi. Truciznę wyciąga ogień. Czerwona wstążka wiąże. Do przemieniania najlepiej używać świec z wosku pszczelego. Dodać krew. Kropla krwi... Naciąć... Dać... Złożyć w ofierze”.

Miałam do niego tyle pytań. Co to jest magia sympatyczna? Dlaczego do wypalania złych zaklęć stosuje się imbir, a do ochrony i zaklęć neutralnych - sól? I co to właściwie znaczy „neutralnych”?

Wszystko to nie dawało mi spokoju. W szkole męczyły mnie wspomnienia o tacie i o tym, co przeczytałam w książce. Ale też ciągle powracała do mnie chwila, gdy udało mi się ożywić liść, a z cmentarnego mroku wyłonił się przyczajony niczym goblin Nicholas Pardee. Wspomnienia przesłoniły mi film, jaki pan Edwards pokazywał na historii, i wykład z fizyki. A nawet dyskusję o *Powrocie na wrzosowisko* Thomasa Hardy'ego; usiłowałam się skupić i wysłuchać pytań pani Sackville na temat istoty wyobcowania i tożsamości seksualnej, ale wszyscy naokoło wydawali mi się wyblakli i pozbawieni życia niczym kamienie nagrobne. Tylko magia była prawdziwa.

A dziś wieczorem pokażę ją Reese'owi. Przygotowałam się najlepiej, jak umiałam, przeczytałam wszystko dokładnie. Teraz

muszę mu udowodnić, że to prawda, żeby przestał nienawidzić taty. Razem odkryjemy sekrety magii. Wskrzeszę coś bardziej imponującego niż liść. Będzie musiał mi uwierzyć.

Nadeszło w końcu w pół do czwartej. Wymknęłam się do auli. Tam mogłam schować się za teatralną maską i zatracić się w cudzych słowach. Z ulgą usiadłam na krawędzi sceny, bujałam spuszczone nogami i słuchałam, jak Wendy i Melissa sprzeczą się, czy rzeczywiście wszyscy starający się o rolę w musicalu *Wicked* śpiewali z przesadą. Ich rozmowa odbijała się echem od rzędów czerwonych foteli. Zapach starej farby i zatęchłej kurtyny sprawiał, że czułam się na właściwym miejscu. Zawsze uwielbiałam teatr. Tutaj mogłam stać się kimkolwiek, a nie tylko dziewczyną, która znalazła na podłodze zwłoki swoich rodziców; nie chudym, przygaszonym dzieciakiem z coraz gorszymi ocenami i nastroszonymi włosami, tylko Ofelią, Laurą Wingfield albo Christine Daae. Udując kogoś innego, przyjmując cudze słowa, smutki, romanse za swoje, czułam, że wiem, kim jestem.

A przynajmniej tak było kiedyś, gdy byłam prawdziwą Sillą Kennicot - przewodniczącą koła teatralnego, mistrzynią oratorstwa i przyszłą gwiazdą filmową.

Do auli wszedł Eric z Nicholasem Pardee. Eric pokazał w naszą stronę środkowy palec. Zmarszczyłam brwi, ale Wendy zachichotała.

- Wygląda na to, że widział plakat - powiedziała.
- Byłam przy tym. - Melissa też się roześmiała.

Wciągnęłam nogi na scenę i usiadłam po turecku. Patrzyłam na Nicholasa. Nicholas - właśnie tak go w myślach nazywałam, imieniem, którym mi się przedstawił. Wydawało mi

się, że w jakiś sposób przynależy do tamtego cmentarza, a to długie, staroświeckie imię dopełniało całości. Ale tutaj, w realnym świecie, wszyscy mówili na niego po prostu „Nick”. Z dała od atmosfery magii, krwi i śmierci stracił trochę swojej tajemniczości. Ta zwyklesza wersja jego imienia pasowała do sposobu, w jaki przeszedł między fotelami i stanął obok Stokesa, naszego nauczyciela teatru. Eric wmaszerował po schodach na scenę.

- Fajne plakaty - rzekł, patrząc na naszą trójkę.

- Jak twój tyłek, misiu. - Wendy posłała mu całusa w powietrzu.

Eric znowu pokazał jej środkowy palec i przeszedł w głąb sceny, gdzie razem z Trentem zdjęli buty i zaczęli rozgrzewkę.

- Czarownice, ustawcie się z przodu! - zawołał Stokes i odwrócił się do Nicka.

Na szczęście znałam dobrze układ sceny i mogłam nie spuszczać oczu z Nicka, nawet gdy musiałam udać się z Wendy i Melissą za kulisy, by poczekać na sygnał wejścia. Mimo że siedział teraz wciśnięty w fotelik, widać było, że jest wysoki. Jego włosy były raczej dłuższe i zaczesane do tyłu - fryzura, jakiej nikt tu nie nosił. Odsłaniała twarz, dzięki czemu mogłam mu się przyjrzeć lepiej niż w sobotę wieczór.

- Chryste, Silla, ale się rozdziawiłaś - powiedziała Melissa.

Spuściłam wzrok na zniszczoną podłogę sceny, potem spojrzałam na Melissę. Wykrzywiłam usta w podkowę.

Wendy szturchnęła Melissę.

- Daj jej spokój. Dobrze, że w ogóle zwróciła na kogoś uwagę.

Moja wdzięczność za interwencję stopniała.

- Ciacho z niego - zauważyła Melissa.

- Mieszka w tym starym domu koło mnie - powiedziałam.
- Niedawno się wprowadził.

Spojrzały na mnie, jakby wyrósł mi z twarzy bliźniak syjamski. Wendy zamrugała, a Melissa roześmiała się:

- No co ty? Sil, wiemy. Cała szkoła o nim huczy. Jerry powiedział, że to wnuk pana Harleigha.

- Mhm. - Nie był podobny do pana Harleigha, który chodził zgarbiony w pół, jak gdyby chował coś na brzuchu.

- W dodatku jego macocha jest podobno supersławną pisarką. Ale używa pseudonimu. Nie słyszałaś, jak na przerwie obiadowej Eric i Doug przyjmowali zakłady, co pisze?

Stokes zamachał pulchnymi dłońmi w stronę sceny. Przesu-
nęłyśmy się tam, gdzie nas ustawiał.

- Skoro jest sławną pisarką, to dlaczego przeprowadziła się tutaj? - zapytałam, ale nie usłyszałam odpowiedzi, bo akurat wtedy Nick podniósł na mnie wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się krzywo. Jego kolana i łokcie sterczały na boki. Wyglądał jak upchnięty w fotelu wielki strach na wróble. Odwróciłam oczy.

- Dobra, zaczynamy od aktu czwartego! - zawołał Stokes.

N I C H O L A S

Nigdy nie byłem znawcą teatru, ale nawet ja zobaczyłem, jak Silla zmienia się w roli. To było... sam nie wiem, jak to opisać. Silla stała się jakby kimś więcej niż sobą. Na scenie znajdowała się czarownica i mówiła o żabim oku i łbie jaszczurzym. Teraz było inaczej niż na cmentarzu. Ale równie prawdziwie.

Czyli aktorstwo nie jest tylko przechowalnią dla osób, które nie dostały się na studia?

Pan Stokes zatrzymał scenę i Silla wypadła z roli. Jakby ktoś ją wyłączył. Przebiegała wzrokiem od reżysera do mnie i z powrotem. Uśmiechnąłem się do niej, ale odwróciła oczy.

Obserwowałem ją, gdy Stokes przeszedł do sceny, w której nie grała. Stała oparta o kolumnę z boku sceny. Wierciła się w miejscu, a mnóstwo pierścionków na jej palcach migotało w kolorowych światłach i rzucało wielobarwne zajączki na czarną scenę.

ROZDZIAŁ 7

S I L L A

Po próbie Nick czekał na parkingu. Opierał się o drzwi pasażerskie czarnego, lśniącego kabrioletu.

Wendy szturchnęła mnie ramieniem.

- Znowu się na ciebie gapi. Może to wariat? Podobno jego mama była w zakładzie.

- W zakładzie?

- Dla umysłowo chorych.

- Ej, wy dwoje nawet do siebie pasujecie - zachichotała Melissa.

Sama powinnam się obronić, ale to Wendy trzepnęła Melissę.

- Jezu, Melissa, daruj sobie.

Gdy podeszłyśmy bliżej, Nick powiedział:

- Cześć, Silla.

Zbliżyłam się do niego nieufnie. Wendy wybierała się z Melissą i jej chłopakiem starą toyotą camry do Evanstown na hamburgery. Nie miałam ochoty jechać z nimi; może Nick da mi alibi.

- Cześć, Nick.

- Podrzucić cię do domu? Mam po drodze.

Cienie rozmięczyło szare popołudniowe światło przebijające się przez chmury. Widziałam dokładnie wszystkie pąszczyzny jego twarzy. Oczy miał ciemnobrązowe z zielonym zabarwieniem, jak świeżo zaorane pole. Rzęsy zawijały mu się jak końcówki wstążek na prezencie urodzinowym.

- Silla?

- A, tak. - Opuściłam głowę i popatrzyłam przez chwilę na jego czarne głany stojące na asfalcie. Wendy dotknęła mojej dłoni, jakby mówiła: „Jedź, wariatko”. Uśmiechnęłam się do Nicka. - Bardzo chętnie.

- Super. - Otworzył mi drzwi.

Pomachałam Wendy, która pobiegła za Melissą. Wsunęłam się na fotel obok kierowcy i powiedziałam z grzeczności:

- Fajne auto.

- Dzięki. Taty.

Nick obszedł samochód i usiadł za kierownicą. Przyjrzałam się jego profilowi. Miał kiedyś złamany nos. Zanim zdażyłam o to zapytać, Nick zwiększył obroty i wyjechał z parkingu. Moją krótką czuprynę szarpał wiatr. Przez chwilę zatęskniłam za długimi włosami smagającymi twarz i szyję. Zamknęłam oczy i oparłam się na zagłówku z miękkiej skóry.

- Nie wiem, czy powinienem pytać... - odezwał się Nick.

Poczułam skurcz w żołądku. Zaraz zapyta o rodziców. Nie otwierałam oczu.

- Dlaczego to nie ty grasz Lady Makbet? Widać, że jesteś tam najlepsza. O wiele lepsza niż ta blondynka, która dostała rolę.

Spojrzałam na niego zaskoczona. Trzymał oburącz kierownicę i patrzył na drogę, ale zerkał na mnie co jakiś czas. Poczulałam, jak usta miękną mi w uśmiechu.

- Dzięki. Ale moja rola mi się podoba. Czarownice są fajne.

- No tak, ale... Nie znam się na teatrze, a mimo to widzę, że jesteś lepsza. - Wzruszył ramionami, jakby przepraszając za komplement.

Nagle poczułam ogromną chęć, żeby go dotknąć. Położyć mu dłoń na ramieniu, kolanie. Splotłam ręce na kolanach. Oczka pierścionków migotały. Każdy z nich przypominał mi o jakimś słowie albo minie taty. Westchnęłam głęboko i odparłam:

- Jestem im bardzo wdzięczna, że w ogóle mnie zaangażowali.

Nick zmarszczył brwi i nic nie odpowiedział. Odezwał się, dopiero kiedy minęliśmy trzecią przecnicę Main Street i skręciliśmy w Ellison ku naszej części miasteczka.

- Jak to?

Patrzeć na niego mnie peszyło, więc wyjrzałam na migające za szybą zbrązowiałe, połamane łodygi kukurydzy. Na tle szarego nieba wyglądały prawie złociście.

- To z powodu moich rodziców - wyrzuciłam z siebie. Z jego milczenia wywnioskowałam, że wie, o czym mówię. - Chciałam grać Lady Makbet, ale jest taka scena, w której ona wpada w obłąd i widzi krew na rękach. - Moje drżenie maskował ruch pędzącego auta. - Stokes nie chciał, żebym musiała przez to przechodzić na każdym spektaklu. Plus próby. A gdybym to ja była Lady Makbet, cała widownia

myślałaby o moich rodzicach, a nie o treści sztuki. - Zwilżyłam wargi i spuściłam wzrok.

Nick nic nie mówił, bo i nie było nic do powiedzenia.

Po chwili samochód zwolnił i z chrzęstem wtoczył się na nasz podjazd wysypany jasnym żwirem. Pamiętam, że poplamiałam go kapiącą z dłoni krwią. Gdybym wygrała w totka, od razu kazałabym wyłożyć drogę kostką. Następnym wydatkiem byłby bilet na drugi koniec Stanów.

N I C H O L A S

Zatrzymałem auto za starym golfem oblepionym nalepkami na zderzaku i tylnej szybie. Silnik mojego chryslera sebringa mruczał cichutko. Wyjąłem kluczyki ze stacyjki i wczytałem się w napisy na nalepkach na golfie. Czy ktoś naprawdę jeździ jeszcze z hasłami Greenpeace'u na zderzaku? Okazuje się, że tak. I z kolekcją wszystkich znaczków z kampanii demokratów od lat osiemdziesiątych.

Przekręciłem się, opierając plecami o drzwi i wciągając kolano na fotel. Silla siedziała skamieniała, tylko jej krótkie włosy powiewały na wietrze. Wbiła spojrzenie w swoje zwinęte na kolanach dłonie. Skąd ma te wszystkie pierścionki? Nie wyglądały na tandetę z H&M-u. Były ozdobione jakby celtyckimi ornamentami, które związały się w węzły i eleganckie spirale. Założyłbym się, że przynajmniej niektóre kamienie były szlachetne. Przesunąłem wzrok po jej ramionach aż do twarzy.

- No, Silla. - Podniosła powoli głowę. - To twój samochód?

Jej usta rozchyliły się w zdziwieniu. Nie takiego pytania się spodziewała.

- Yyy, nie. To babci Judy. Ostra z niej zawodniczka - uśmiechnęła się.

Chciałem porozmawiać o sobotnim wieczorze. Zapytać, czy to, co widziałem wtedy na cmentarzu, przywidziało mi się, czy jak. Ale ona wyglądała na zmęczoną. I smutną. A co jeżeli pomyśli, że jestem świrem? Dotknąłem jej nadgarstka.

- Jak palec?

- Palec? - Uniosła rękę i zamrugała powiekami. - Aaa... dobrze. Przemyślałam go wodą utlenioną, tak jak mówiłeś. - Pokazała plaster przyklejony na ranę.

- Powinnaś uważać.

Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak protekcyjnie, ale opatrunek na palcu przypomniał mi mamę. Silla zerwała się nagle, jakby zorientowała się, że płonie. Złapała plecak spod nóg i otworzyła drzwi.

- Dzięki za podwózkę.

Kiedy odwróciła się, żeby wysiąść, zmarszczyłem się. Chyba zachowałem się jak palant i ją wystraszyłem.

- Nie ma sprawy. Pewnie zobaczymy się na próbie.

- Tak? — Zamknęła delikatnie drzwi i stojąc, pochyliła się w moją stronę. Czyżby się ucieszyła? Nie, pewnie mi się przywidziało. - A właśnie, miałam cię zapytać, o czym tak rozmawiałeś ze Stokesem.

- Wziął mnie do ekipy technicznej.

Uśmiechnęła się szeroko i bez wątpienia szczerze.

- Super. - Znowu schowała uśmiech pod swoją milczącą maską. - Na razie, Nick.

- Do zobaczenia, Silla.

Zmusiłem się, żeby nie czekać, aż wejdzie do domu. Zapaliłem silnik i szybko zjechałem na ulicę.

S I L L A

Stałam na werandzie i słuchałam, jak Nick odjeżdża. W cie-
niu było chłodno. Jak zwykle, zanim weszłam do domu, od-
czekałam chwilę pod drzwiami i zastanawiałam się, co tym
razem zastanę w środku. Gdybym zaproponowała Nickowi,
że przedstawię go babci Judy, nie musiałabym wchodzić sama.
Dziwne, pragnęłam podzielić się z kimś przerażeniem.

Dotknęłam czołem chłodnej framugi. Z wnętrza dobiegał
folk. Uwielbiana przez babcię Joni Mitchell śpiewała: „You're
in my blood like holy wine”^{*}.

Teraz przyda się radosna maska. Niebieska jak górskie je-
zioro ze srebrnymi zawijasami dookoła oczu. Wyobraziłam ją
sobie na twarzy i popchnęłam drzwi.

- To ty, Drusillo?

Mój plecak huknął na podłogę w przedpokoju.

- Tak, babciu.

- Judy - poprawiła mnie.

Kiedy weszłam do kuchni, nie podniosła wzroku z ga-
zety. Odsunęłam krzesło i usiadłam. Przypomniałam so-
bie wyraźnie, jak trzymałam w rękach książkę z zaklęciami
jeszcze bezpiecznie zawiniętą w warstwy papieru pakowego.
Potem odpakowałam ją i uwolniłam demony. Teraz książka
leżała wciśnięta pod materac w moim pokoju. Oparłam brodę
o dłoń i spojrzałam, co czyta babcia Judy. *Mother Jones*.

- Ciekawe? - zapytałam.

- Mhm, czuję się doinformowana i wkurzona. - Poło-
żyła gazetę okładką do góry na stole i uśmiechnęła się. Był
to uśmiech a la mały, głodny terier, jednak w ciągu ostatnich

* W dosłownym tłumaczeniu - „Jesteś w mojej krwi jak wino święcone”.

tygodni nauczyłam się, że to było najradośniejsze wydanie babci Judy. Kiedy zjawiła się na pogrzebie, wszyscy myśleliśmy, że jest wścibską reporterką, która przyjechała w poszukiwaniu sensacji na temat przerażającego morderstwa w małym miasteczku. Reese nie chciał jej wpuścić do domu, ale poklepała go po ramieniu i powiedziała: - Byłam ulubioną macochą waszego taty. Odsuń się, zrobię kolację. - Nie mieliśmy siły dyskutować. W końcu pokazała nam zdjęcia przedstawiające ją, rodziców i nas z Reese'em na wycieczce do Saint Louis. Byliśmy wtedy mali; nic nie pamiętaliśmy. Obecność babci okazała się błogosławieństwem, popłaciła rachunki i umieściła gdzie trzeba pieniądze z polisy.

Włosy miała śnieżnobiałe i na tyle długie, że mogła je zapleść w warkocz i owinać dookoła głowy. Nosiła taką fryzurę, odkąd ja obcięłam się na chłopaka. To był u niej najwyższy stopień solidarności w bólu. Nie powiedziałam jej, że obcięłam włosy dlatego, że końcówki zamoczyły się we krwi mamy. Kiedy tylko czułam na szyi któryś kosmyk, przypominała mi się tamta noc i rozmowa z szeryfem Toddem. Siedzieliśmy wtedy nad zimną kawą, a unurzane we krwi włosy zaschły i zrobiły się brązowe i sztywne.

- Silla, o czym ty, kochanie, rozmyślasz?

Zamrugałam. Babcia Judy westchnęła i sięgnęła po szklanke wypełnioną burbonem z lodem.

- Jakbym nie wiedziała. - Jednym ruchem nadgarstka wzięła sobie resztę drinka do gardła i wskazała okno kuchenne. - Co to za chłopak, który cię odwiózł?

- Nowy w szkole. Nazywa się Nick Pardee. - Wstałam, by nalać sobie wody. Przy okazji podałam Judy trochę lodu, żeby dołała sobie burbona. - Wnuk pana Harleigha.

Wróciłam do stołu. Babcia była zadumana. Odchyliła się na krześle.

- Aha, mieszka w domu tam, w lesie? W liceum twój tata spotykał się z dziewczyną stamtąd.

- Naprawdę?

- Tak. Nazywała się Daisy, Delilah czy jakoś tak. Nie pamiętam. Zerwali kilka miesięcy przed tym, jak poznał twoją mamę. Jakoś tak nagle. No, ale wtedy twój tata szykował się do wyjazdu na studia, a to nie jest dobry moment, żeby się wiązać.

Babcia uważała, że żaden moment nie jest dobry, żeby się wiązać. Potarłam o siebie zziębnięte dłonie, a pierścionki zadzwoniły niczym kieliszki.

- Jest w ekipie technicznej. Odwiozł mnie, bo miał po drodze.

- Jak miło z jego strony!

Spojrzałam na nią. Judy odkręciła butelkę burbona i na-lała trochę trunku na świeże kostki lodu. Palce miała długie i kościste, opalone i pomarszczone jak reszta jej ciała. Kończyły się francuskim manikiurem. Upiła drinka, patrząc na mnie sponad szklanki. O nic nie pytała; pozwalała mi samej się wygadać. Cierpliwość i parę kropel alkoholu: w ten sposób sprawiała, że ludzie się jej zwierzali, a ona nie robiła wrażenia wścibskiej. Ja zadowolłam się wodą.

- Fajny jest.

- To zaproś go na randkę.

- Babciu!

- No co?

- To nie takie proste... - *Patrzy na mnie tak, że mogłabym wskoczyć ze skóry.*

- Co stoi na przeszkodzie? Brzydko mu pachnie z ust czy jak? Nie jest przystojny?

Wzruszyłam ramionami.

- Silla, oczywiście jeżeli ci się nie podoba, to się z nim nie umawiaj.

- Nie... wydaje się miły. - Zaczęłam wiercić się na krześle. Z mamą do takiej rozmowy nigdy by nie doszło. Ona natychmiast zaczęłaby mi przypominać, żebym broń Boże nie całowała się na pierwszej randce. Babcia Judy pewnie myślała, że już dawno poszłam z chłopakiem na całość.

- To w czym problem?

- Nie mam ochoty.

Wywróciła oczami.

- To dosyć słaba wymówka. Musisz powrócić do świata żywych. Wyrwij się wreszcie z tego kręgu rozpaczy.

- Nie mam ochoty.

Babcia opuściła nieco głowę i spojrzała na mnie wymownie.

- Judy... - Postanowiłam wykręcić się naszym spotkaniem na cmentarzu. - Chyba zrobiłam na nim złe wrażenie. - Choć, o dziwo, jakoś go to nie odstraszyło.

- Och, gie prawda. - Wyciągnęła ręce przez stół i chwyciła mnie za dłonie. - Skarbie, dobrze ci zrobi, jak umówisz się z kimś, kto nie znał cię całe życie. Kto nie znał cię przedtem.

Przygryzłam język i spojrzałam na nasze dłonie. Moje były blade i obwieszane pierścionkami, które przytłaczały drobne palce. Babcji Judy były stare, eleganckie i mądre.

- Bo jestem cieniem dawnej siebie? - szepnęłam, wiedząc, że to prawda.

Ścisnęła moje dłonie. Pierścionki wbiły mi się w palce.

- Nie jesteś cieniem. Po prostu dużo przeszłaś. Dobry flirt przypomni ci o miłości i ogrzeje to twoje ciało.

Tego było za wiele. Zarumieniłam się na purpurowo i wyrwałam rękę.

- Muszę odrobić lekcje.

Najfajniejsze w babci Judy było to, że wiedziała, kiedy dać człowiekowi spokój. Oparła się na krzesło i powiedziała:

- Kolacja o ósmej.

N I C H O L A S

Wszystkie tutejsze stacje radiowe nadawały country albo piosenki oazowe, więc na podłodze po stronie pasażera woziłem kolekcję płyt. Wrzucałem je do odtwarzacza na chybił trafił. Tego dnia kolej padła na Ellę Fitzgerald. Płyta była stara i porysowana, należała jeszcze do mamy. Zaczynała się w połowie *Over the Rainbow*.

Co nie było problemem, bo od Silli do domu było góra półtorej minuty drogi.

Ale po kilku dźwiękach rąbnąłem w guzik, żeby wyłączyć piosenkę. Muzyka mnie drażniła. Dlaczego nie zjechałem na pobocze i nie zapytałem Silli o tamten liść? Zwykle waliłem prosto z mostu i raczej nie przejmowałem się, że kogoś urażę. Co z tego, że była ładna? Co z tego, że niedawno umarli jej rodzice? Musiałem się dowiedzieć, czy naprawdę zna magię. Pięć lat udawałem, że magia nie istnieje, odsuwałem od siebie wspomnienia, ale teraz obraz Silli schylonej nad czymś na cmentarzu utkwiał mi w głowie na dobre. Kiedy pomyślałem o oklejonych plastrami palcach mamy, były przybrane pierścionkami Silli.

Ścisnąłem kierownicę, aż zbiełały mi knykcie. Musiałem

utrzymać magię z dala od mojego życia, bo znowu wszystko się spieszy. Musiałem o tym wszystkim zapomnieć i przetrwać jakoś ostatnie miesiące liceum, a potem uciec daleko od taty i Lilith, i od tego zadupia, gdzie co drugi to czubek.

Tylko że... cały czas myślałem o Silli.

Byłem na siebie wściekły. Zaparkowałem na podjeździe przed otwartym garażem, w którym drugi kabriolet taty stał koło wypasionego jeepa Lilith. Oboje byli w domu, rewelacja. Nie chciałem się zastanawiać, co tu robili cały dzień. Wysiadłem i sięgnąłem do tyłu po torbę. Przerzuciłem ją przez ramię i wszedłem przez garaż do kuchni. Może uda mi się prześlizgnąć do mojego pokoju i udawać, że od dwóch godzin odrabiam lekcje.

Niestety. Lilith stała w kuchni w uroczym fartuszk w kwiatki. Cholerna żonusia. Jej bordowe pazury były długie i zakrzywione; kapały z nich kawałki na wpół zmasakrowanego kurczaka. Kąciki ust mi zadrżały. Pasowało idealnie.

- Cześć - odezwałem się, zanim zdążyła oskarżyć mnie o ponuractwo.

- Nick! - uśmiechnęła się i z granitowego blatu wzięła ścierkę, którą wytarła sobie ręce. - Spóźniłeś się. Mam nadzieję, że nie musiałeś za karę zostać po lekcjach?

Zamrugałem. Byłoby łatwo skłamać. Nie sprawdziliby tego. Ale prędzej czy później musiałbym powiedzieć prawdę.

- Nie.

Chwila ciszy.

- Gdzie byłeś?

- Tu i tam.

Zawinąłem stopę o stołek barowy przy blacie na środku kuchni i usiadłem. Obok porcelanowego kurczaka

trzymającego jajko z napisem „Pierwszy był kucharz” leżała miseczka z oliwkami nadziewanymi papryką jalapeño. Wrzuciłem sobie jedną do ust.

- Co na kolację?
- Kurczak z sałatką caprese.
- Gdzie tata?
- W gabinecie.

Zjadłem jeszcze jedną oliwkę. Czy już wystarczy tej pogawędki i będę mógł spędzić spokojny wieczór w swoim pokoju? Zależy, w jakim Lilith jest humorze. Dalej oprawiała kurczaka. Była chuda, kanciasta i wyższa ode mnie w butach na niskich obcasach, a tatę przewyższała i na bosaka. Czarne włosy miała ułożone, podejrzewam, nawet podczas snu, a jej brwi były bez przerwy wygięte jakby na znak niezadowolenia.

- Dobra - powiedziałem i wstałem. - Na razie.

Lilith skinęła głową. Przesunąłem wzrokiem po czarno-białych płytkach na podłodze.

- Aha, Nick...
- Hm? - Znieruchomiałem plecami do niej. Ten niewinny ton zawsze oznaczał, że będzie się nade mną pastwić.
- W szafie w przedpokoju i przy drzwiach do piwnicy są laktarki.

Nie tego się spodziewałem.

- Okej. - Stałem plecami do niej, więc zrobiłem minę.
- Na wypadek gdyby ktoś wykradał się z domu po zmroku.

Wstrzymałem oddech. Co prawda, usłyszałem, jak odkręca kran i otwiera skrzypiące drzwiczki do piekarnika, ale miałem wrażenie, że stoi tuż za mną i mlaska swoim smoczym językiem, żeby poczuć mój strach. Grała ze mną w tę gierkę, odkąd ją poznałem. *Wiem wszystko, Nicky. Powiem ojcu, kiedy*

tylko zechcę. Cicho odetchnąłem, żeby odegnąć te myśli. Tata też słyszał, jak wychodzę z domu każdego wieczoru. A Lilith przecież nie mogła wiedzieć, co działo się na cmentarzu. Obróciłem się, rzuciłem jej uśmiech i odparłem:

- Dobra, dzięki.

Pognałem na górę po krętych schodach, jedną ręką przytrzymując się stalowej poręczy. Śmignąłem przez piętro i popędziłem do siebie na strych. Bałagan w moim pokoju był wytchnieniem po sterylności na dole. Ściany obkleiłem plakatami filmowymi i ulotkami we wszystkich kolorach tęczy, które pozrywałem ze słupów ogłoszeniowych w Chicago. Były tam reklamy wydarzeń, których próżno szukać w Yaleylah, a których bardzo mi brakowało, zwłaszcza koncertów punkowych i slamów poetyckich. No i tęskniłem jeszcze za kawiarniami i placem Lincolna, gdzie mogłem dojść na piechotę. Tutaj jedyne życie nocne to bar obok lodziarni.

Rzuciłem torbę na biurko, złapałem najbardziej wściekłą płytę, jaką miałem, i wsunąłem ją do odtwarzacza. Pokój wypełnił łoskot perkusji i walenie w klawisze Narkotiki. Pogłosiłem i wyciągnąłem spod łóżka małe pudełko.

Szkatułka była stara i porysowana, pokryta laką zdobną w czarne ptaki na tle fioletowego nieba. Kiedy po odejściu mamy rzuciłem nią o ścianę, w zamku wyłamał się kluczyk. Parę lat później wyważyłem wieczko. Od tego czasu zamknięcie z brązu zwisało zepsute. Odsunąłem je i otworzyłem szkatułkę.

W środku były trzy rzędy po sześć drewnianych przegródek. Piętnaście przegródek wypełniały idealnie dopasowane kształtem, wąskie szklane słoiczki. Słoiczki mieściły różne proszki, kawałki metalu, wysuszone płatki kwiatów, nasiona,

w jednym były wiórki złota, a w innym maleńkie nieoszlifowane rubiny. Słoiczki opisano drobnym, równiutkim pismem: „Tynktura”, „Żelazo”, „Pył kostny”, „Pokrzywa”, „Drapacz lekarski”, „Łuski węża” i tym podobne. W trzech pozostałych przegródkach spoczywały kwadraty czarnego pergaminu, cienkie paski wosku i kłębki kolorowych nici. Narzędzia mamy. Do upuszczania krwi używała ostrego pióra. Przesuwałem palcami po brązowej, nakrapianej lotce. Pewnie z indyka. Nie zapytałem jej, zanim odeszła.

Zerwałem ze ściany pięć kolorowych plakatów i podarłem je na kawałeczki: trójkąty, kwadraty, błyskawice w kolorach żółtym, czerwonym i pomarańczowym. Rozłożyłem je na podłodze i wyjąłem słoiczek z napisem „Woda święcona”. Odkorkowałem, zanurzyłem w wodzie końcówkę pióra i na wewnętrznej stronie lewej dłoni narysowałem kółko. Delikatnie, żeby nie naciąć skóry. Jeszcze nie czas.

W dzieciństwie bawiłem się w to z mamą setki razy. Robiła mi na ręce kółko z wody, potem nacinała sobie palec i wewnątrz kółka rysowała krwią siedmioramienną gwiazdę. Łaskotało, śmiałem się, ale nigdy nie cofnąłem ręki. Mama całowała mnie w każdy palec i mówiła, że jestem dzielny. Potem szybko kłuła mnie w dłoń. Pojawiała się kropelka krwi i mieszała z jej krwią. Czułem ciepło i mrowienie w całym ciele. Mama dotykała palcem mojej ręki, a potem odciskała krwawy ślad na wycinkach z papieru. Szeptaliśmy razem w kółko: „Gwiazdki z papieru, czuwajcie nade mną, nie chcę być sam, gdy zrobi się ciemno”.

Teraz na podłodze mojego pokoju zrobiłem to samo. Kółko z wody, potem siedmioramienną gwiazdą. Woda rozmywała kreski krwi; gwiazda miała blade, różowe końcówki.

Łaskotało, ale tym razem się nie śmiałem. Śmiech ugrzązł mi w gardle, ostry jak kawałek skały. Palcem umaczanym we krwi dotknąłem po kolei moich wydzieranek i powiedziałem:

- Gwiazdki z papieru, czuwajcie nade mną, nie chcę być sam, gdy zrobi się ciemno.

Przez chwilę sądziłem, że to ściema. Wspomnienia o mamie były jak złamane kości, które ranią od środka. Oszukała mnie. Wmówiła, że magia istnieje.

Ale potem przypomniałem sobie jej radosny uśmiech. I nagle leżące na dywanie wydzieranki zaczęły wibrować, jakby poruszył je lekki powiew wiatru. Zadrżały silniej, niektóre uniosły się na kilka centymetrów.

Odskoczyłem. Przesunąłem dłonią po podłodze i zostawiłem krwawą smugę. Zakłęcie się skończyło. Kawałki papieru spadły na dywan.

Wcisnąłem słoik z wodą święconą do szkatułki, zatrzasnąłem ją i wrzuciłem pod łóżko. Zebrałem strzępki papieru, usiłując zapamiętać, jak w dzieciństwie kładłem się spać z dzieśiatkami kolorowych gwiazdek z papieru kwitujących pod sufitem. Były lepsze niż najlepsza lampka nocna, lepsze niż kocyk, miś albo figurka power rangersa. Bo, jak mówiła mama, gwiazdki wirowały w powietrzu tylko dzięki jej miłości. Dopóki były nade mną, jej i moja krew były złączone. Byłem bezpieczny.

Teraz zgmiotłem moje magiczne kawałki papieru i wyrzuciłem je do plastikowej torby na śmieci.

Kiedy pierwsza gwiazdka, bladożółta i zakurzona, powoli spadła na dywan, miałem tylko osiem lat.

ROZDZIAŁ 8

27 marca 1904 roku

Oto jak dowiedziałam się o magii.

Przez pierwszych dziewięć miesięcy u niego nie tylko czytałam i pisałam bez ustanku. Przepisywałam całe stroniczki z romanów pani Radcliffe i niemądrej książeczki pana Twaina. Nocami Philip czytał mi poezje Whitmana i Edgara Allana Poe, a ja notowałam, co słyszałam, i niebawem potrafiłam pisać tak szybko, jak on czytał. Wolałam wiersze, bo łatwiej było przewidzieć, w którym kierunku pójdzie słowo. Biblioteczka Philipa jest mała i zatłoczona, ale książki piętrzą się jedna na drugiej i wydaje mi się, że któregoś dnia dom zawali się pod ich ciężarem. Pod ścianą stoją stare księgi w skrzypiących oprawkach, które w środku mają obrazki martwych ciał i części człowieka. Jedną z półek zajmują sztuki Szekspira, ale Philip oświadczył, że jestem nie dość wyrobiona. Wzięłam więc tę zatytułowaną Burza i przeczytałam monolog istoty imieniem Ariel. Czytałam dopóty, dopóki nie wrył mi się w pamięci, a po obiedzie wstałam i wyrecytowałam go Philipowi. On klasnął w ręce i nazwał mnie swoim duszkiem powietrznym. Posmutniał na twarzy i zapytał, czy rozumiałam słowa Ariela. Odrzekłam:

— Tak. Rozpętał burzę i zgubił ludzi z miłości do Prospera.

— Z miłości do Prospera — powtórzył i roześmiał się cicho.

— Duszku, czy zechcesz jutro towarzyszyć mi w pracy?

Naturalnie zgodziłam się.

I już nazajutrz pomagałam mu zbierać krew.

Bierze ją od pacjentów. Upuszcza im krwi, jak czynili niegdyś lekarze, ale nie żeby wyplukać chorobę z ciała. To niemądry zabobon, mówi Philip z odrazą, nie ma w nim ziarna prawdy. Ale jego pacjenci nie mają wyboru. Gdyby nawet się opierali, to nikt nie wysłuchałby skarg ludzi, którzy nie mogą iść do szpitala, którzy są biedni, brudni i wstrętnei. Dlaczego im pomaga? Nie rozumiem.

Obawiałam się wracać w te miejsca, ale teraz, gdy jestem czysta i elegancka, nikt mnie nie rozpozna. Wcześniej smród mi nie przeszkadzał, ale teraz okrutnie mnie brzydzi. Philip jednakże nie zwraca na to wszystko uwagi. Klęka przy nich i zdaje się nie zauważać, że pacjentka jest czarna od brudu albo że jakieś dziecko ma wymiociny zaschnięte w kącikach ust. Stoję za nim z porcelanowym kubkiem, do którego leci krew. Wpatruję się w nich i udaję, że nigdy nie leżałam na podobnym łożu zawieszona i cała w krostach, że nigdy nie byłam brzydka, że moje dłonie zawsze były takie miękkie od olejków Philipa. Przysmykam oczy i staram się nie pamiętać rytmicznych ruchów czółenka i gorącego dotyku nici, którą musiałam rozplątać, zanim pani Wheelock zauważy. Ignoruję dobiegający z kuchni chorych zapach gotowanej cebuli, która niegdyś była moim głównym pożywieniem.

To okropne! Nienawidzę go za to, że przypomina mi, kim byłam. I kim przenigdy się już nie stanę, przysięgam na mą nieśmiertelną duszę.

Wymazuję te wspomnienia z pamięci. Teraz jesteśmy aktorami na ciemnej scenie. Razem z mym Prosperem zbieramy krew, której użyjemy podczas naszych nocnych rytuałów.

Każdemu choremu upuszczamy tylko troszeczkę, ale wyobrażam sobie, że kubek staje się ciężki, aż ramiona drżą mi z wysiłku. Odlewam krew do buteleczek z jego torby lekarskiej i opisuję je różnymi literami i różnymi kolorami atramentu. Kolory oznaczają stan zdrowia pacjentów, a litery — rodzaj choroby, jaka ich toczy. W domu zabieram buteleczki do laboratorium i ustawiam w odpowiednim porządku.

Pewnego popołudnia stałam w ciemnym kącie laboratorium i przyglądałam się, jak w butelce rozwarstwia się krew. Bardzo mnie to dziwiło. Zastanawiałam się, dlaczego nie zachowuje się tak w moim ciele. Wtedy do pokoju wszedł Philip. Na czole miał kropelki potu. Nie dostrzegł mnie. Ziewnął, aż strzyknęło mu w szczęce, i opadł na fotel za biurkiem. Okna były szczelnie zasłonięte, gdyż lubię mrok. Palily się jedynie dwie lampki gazowe. Philip oparł się na krzesło i wyszeptał:

— Nigdy tego nie znajdę.

Podeszłam do niego od tyłu i pogłodziłam jego plecy, tak jak pani Wheelock głodziła plecy pana Wheelocka, gdy w piątki przychodził do tkalni.

*— Josephine, dziecko — powiedział i dotknął mych dłoni.
— Nie spostrzegłem cię.*

Pochyliłam się i ucałowałam jego palce. Nie jestem dzieckiem. Jestem jego duchem powietrznym.

Ujął moją dłoń, poprowadził dookoła i ustawił twarzą do siebie. Sam też się obrócił.

— Naprawdę nie przeszkadza ci, że tkwisz w takiej ciemności, otoczona krwią?

Roześmiałam się.

— Nie, oczywiście, że nie. — Potrząsnął głową. — Chodź.

Trzymał mnie zimnymi palcami za rękę. Podeszłam za nim

do długiego stołu. Nie tego z fiołkami i buteleczkami, tylko drugiego. Na blacie wryty był okrąg, obwiedziony ciemną substancją, która wsącżyła się w słoje drewna. Wewnątrz tego kręgu Philip narysował kredą drugi, mniejszy, i połączył oba liniami. Potem naszkicował na środku dziwny znak.

— Podaj chustkę.

Z kieszeni spódnicy wyciągnęłam kwadrat lnu. Tę chustkę dostałam od niego w pierwszym tygodniu pobytu tutaj. W rogu miała małego motylka wyhaftowanego niebieskimi i żółtymi niemi.

— Dziękuję. — Philip wziął chustkę i złożył haftem do góry na tajemniczym znaku narysowanym kredą. Szeptał w kółko dwa słowa w obcym języku. Potem wyciągnął rękę po moją dłoń. Podałam mu ją.

Drugą ręką podniósł ten sam sztylecik, którym obciął mi włosy. Wzdrygnęłam się, ale on rzekł:

— Nie bój się, Josephine. Ukażę ci twą siłę.

Zacisnęłam szczęki i nie zważałam na ściśnięcie w żołądku. Rozcapirzyłam palce, żeby dłoń przestała drżeć. Gdy Philip przytknął ostrze do mego środkowego palca, krzyknęłam cicho. On zatrzymał się i popatrzył na mnie cierpliwie. Pokiwałam głową i szepnęłam:

— Proszę, pokaż mi to.

Przeciął skórę. Przeszył mnie ostry ból. Przygryzłam koniec języka, a kropla krwi wezbrała na skórze jak łza i powoli spłynęła z palca na chusteczkę, barwiąc motyla na czerwono.

Philip szepnął mi do ucha:

— Pochyl się i powiedz: „Darowuję ci życie”.

Zwróciłam twarz w jego stronę. Nigdy wcześniej nie byliśmy tak blisko. Jego ciemne oczy skupiały w sobie całe światło.

Zadrzał mi oddech. Potrzebowałam tej bliskości bardziej niż cegokolwiek na świecie. Tak więc spjrzałam na krew wsączającą się w nici haftu i powiedziałam:

— Darowuję ci życie, motylku.

A ten oderwał się od materiału i uleciał swawolnie. Odskoczyłam, nie mdlejąc tylko dlatego, że Philip mnie obejmował. Serce łomotało mi w rytm skrzydeł motyla. Ja także wzbiłam się w powietrze, uwięziona w ramionach mego Prospera, bo otworzyły się przede mną nowe horyzonty.

— Josephine, każda krew niesie życie i energię — powiedział, kiedy ja wpatrywałam się w trzepoczącego skrzydłami owada — ale krew niektórych, na przykład moja i twoja, kryje w sobie moc Boga i jego aniołów.

W świetle lampy gazowej skrzydła motyla błyskały niebiesko, żółtawo i czerwono.

ROZDZIAŁ 9

S I L L A

Po kolacji poszłam do siebie. Zamierzałam poczekać, aż babcia Judy położy się do łóżka. Reese poszedł pobiegać. Kiedy wróci, babcia będzie już spać; wtedy pójmę do niego na palcach i wyciągnę go na dwór. Tam udowodnię mu, że magia istnieje.

Tymczasem po raz któryś czytałam zaklęcie *Odnova* i powtarzałam wskazówki. Spacerowałam w kółko po pokoju,

a moimi strażniczkami i tajemną widownią były wiszące na ścianie maski teatralne.

Po jakimś czasie wrócił Reese. Trzasnął drzwiami na dole i wparował pod prysznic. O godzinie 20.37 Judy zawołała ze swojego pokoju na dole:

- Dobranoc!

- Dobranoc! - odkrzyknęłam. Usłyszałam odpowiedź Reese'a przytłumioną szumem wody. Skończył się myć i poszedł do siebie.

Przytknęłam czoło do zimnej szyby w oknie. Wysiłałam wzrok, żeby zobaczyć coś na ciemnym podwórzu przed domem. W żółtawym świetle z werandy widać było zarysy niemal bezlistnego klonu. Jego czerwone liście leżały w stertach na ziemi. Pomyślałam, że mogłabym tchnąć w nie życie i sprawić, żeby niczym motyle pofrunęły z powrotem na gałęzie. To byłoby coś: klon ognistorudy aż do wiosny. Jego intensywny krwisty kolor kontrastowałby z bielą i szarością zimy.

Piętnaście kolejnych minut dłużyło mi się, jakbym patrzyła na wschodzący księżyc.

W końcu założyłam buty i sweter. Do plastikowej torby schowałam sól, sześć świeczek i książkę z zakłęciami. W tylnej kieszeni dżinsów spoczywał bezpiecznie scyzoryk.

Przemknęłam korytarzem, zapukałam cicho do Reese'a i otworzyłam drzwi. Nie było co pukać, bo leżał na łóżku ze słuchawkami na uszach.

Gdyby żyli rodzice, pewnie siedziałyby teraz przy biurku pochylony nad puzzlami z pięciu tysięcy kawałków. Lubił te najtrudniejsze, przedstawiające na przykład nocne niebo albo pustą plażę. A może grałby online z kolegami z Saint Louis albo

czytał starą opasłą powieść science fiction i złościł się z powodu błędów merytorycznych.

Jego twarz z zamkniętymi oczami była nieruchoma i pozbawiona emocji; tylko palec wskazujący poruszał się w rytm szaleńczych uderzeń perkusji.

Po pogrzebie Reese zdarł ze ścian wszystkie plakaty. Ilekroć tu zaglądałam i patrzyłam na puste ściany, sama czułam się pusta. Ich białą płaszczyznę przełamывała tylko dziura koło drzwi, którą kiedyś wybił pięścią. Musiałam zabandażować mu knykcie. Babcia Judy o mało nie zemdleła wystraszona hałasem. Całe szczęście, że nic sobie nie złamał. Dobrze, że nie uderzył we framugę.

Dziś musiałam pokazać mu, że magia istnieje. Być może to wreszcie da mu nowy temat do rozmyślań. Coś, co będzie mógł przeanalizować. Będzie się nad tym głowił, aż zrozumie od podszewki i wytłumaczy mnie.

- Hej - powiedziałam i dotknęłam jego czoła.

Reese gwałtownie otworzył oczy i przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu. Cała moja wcześniejsza odwaga stopniała pod jego ponurym, analitycznym spojrzeniem. Uciekłam wzrokiem na iPoda leżącego na jego piersi.

Zdjął nogi z łóżka i usiadł.

- Co jest, bączku?

- Nic. Chcę cię tylko o coś poprosić. - Popatrzyłam mu w oczy. Uniósł brwi, a ja ciągnęłam: - Chodź ze mną na cmentarz. Pokażę ci magię.

- Silla, myślałam, że dałaś sobie spokój z tymi bzdurami.

- Zmarszczył się jak tata.

Pokręciłam głową.

- Chcę ci pokazać, czego się nauczyłam.

- To jakaś ścierna. Przecież o tym rozmawialiśmy.
- Żadna ścierna!
- Ten cały Diakon cię wkłęca. Nas. To pewnie jakiś jajcarz ze szkoły albo ten duppek Fenley z policji. Nie znosi mnie.
- Skąd by wziął pismo taty?
- Może coś ukradł. Nie wiem.
- Ale magia działa.

Usta Reese'a utworzyły prostą kreskę. Uniosłam podbródek. Śmiało, niech mnie nazwie wariatką.

- Silla.
- Pokażę ci.
- Bączku...
- Reese. Proszę. - Dotknęłam jego dłoni, a on schował w niej moje zziębnięte palce. Nie chciał patrzeć na pierścionki. - Pokażę ci. Jeżeli za godzinę dalej będziesz uważał, że mam źle w głowie, zrobię, co zechcesz. Codziennie będę chodzić do pani Tripp albo nawet pójde do prawdziwego psychoterapeuty w Cape Girardeau. Co zechcesz.

Nadal miał zaciśnięte szczęki. Czekałam. W jego oczach zobaczyłam strach. Zastanawiałam się, co myśli. Boi się, że oszalałam? A może raczej - że mówię prawdę? Powoli skinął głową.

- Dobra. Masz godzinę - powiedział napiętym głosem i ścisnął mi dłoń.

Ulżyło mi. Podniosłam się energicznie.

- Weź ze sobą to. - Wskazałam szkielet wróbla, którego pieczołowicie poskładał z kostek w pierwszej klasie liceum, kiedy miał fazę na zoologię.

- To? — Wytrzeszczył oczy.

- Tak. - Zanim zdążył zaprotestować, odwróciłam się

i wyszłam z pokoju. Schodząc na dół, wyobraziłam sobie odpowiednią maskę. Powinna być dramatyczna i wyrazista: czarna, błyszcząca, z czerwonymi ustami i mocną czerwoną kreską biegnącą przez oczy. Maskę idealnie dopasowała się do mojej twarzy.

- To jakiś absurd - narzekał Reese, kiedy przykucnęliśmy przy grobie rodziców. Wywalczyłam, żeby pochowano ich zgodnie z prośbą w testamencie taty, chociaż wszyscy uważali, że na to nie zasłużył.

- Cierpliwości. - Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami na chłodnej ziemi i wyjęłam książkę. - Znajdź zaklęcie *Odnowa*. Jest pod koniec.

Reese otworzył książkę.

- Sil, to jest chore. Tata był chory.

- Albo przerażony.

- Tak, jak wariat, który widzi wszędzie niebezpieczeństwo.

Pokręciłam głową i zaczęłam wyjmować świece, a Reese przeglądał książkę. Płomienie zapałek raz po raz rozświetlały ciemność. Kiedy chronił nas krąg płomyków, otworzyłam torebkę z solą i dookoła grobów rodziców usypałam okrąg. Kryształki soli błyszczały na ciemnej ziemi jak diamenty.

Chłodny wiatr dmuchnął w nas i wpełzł mi za kołnierz. Zadygotałam.

- Przeczytałeś to o magii sympatycznej?

- Mhm. I o właściwościach magicznych pierwiastków. I symbolach. Wstażki wiążą, wosk przemienia, kamień rzeczny uśmierza ból... Mówię ci, to jakieś zabobony. Nie mają prawa działać. Tata pewnie pisał jakąś pracę naukową czy coś.

- A krew? Która stymuluje magię?

- To żadna nowość. Ludzie nieoświeceni, nieznający zdoby-
czy nauki, od dawna uważają, że krew ma magiczne właściwo-
ści. W zasadzie nawet chrześcijanie tak sądzą.

- Może mają rację.

- Silla, to niemożliwe. Krew to tylko białko, tlen, hormony
i zwykła woda. Gdyby naprawdę była magiczna, wiedzieliby-
śmy o tym. Ktoś by to odkrył.

- No właśnie tata to odkrył.

Reese pokręcił głową. W migotliwym blasku świeczek jego
twarz przykrywała jakby maska, tak samo jak moja.

- To symbole. Nieświadomość, tak jak w psychologii.
Można niby wpływać na rzeczy siłą woli, a przynajmniej tak
niektórzy sądzą.

- Skąd wiesz to wszystko? Przecież ledwie co przejrzałeś
książkę. Widzisz tam to, co chcesz.

- A ty może nie?

Splotłam dłonie i ścisnęłam, aż pierścionki wpiły mi się
w skórę. Uniosłam podbródek.

- Nie podejrzewałam, że tyle wiesz na temat zabobonów.

Nie odpowiedział, zacisnął tylko szczęki. Nawet w pół-
mroku widziałam, jak na jego twarzy ruszają się mięśnie.

- Reese?

Spojrzał na mnie gniewnie.

- Tata miał o tym parę książek.

Milczałam.

Wiatr buszował w zwiędłych liściach w lesie koło domu
Nicka. Dookoła nas rzucał liśćmi o kamienie nagrobne i dmu-
chał w sól, ale nie przerwał okręgu.

- Reese - powiedziałałam i chwyciłam go za rękę. Ścisnął
książkę z zaklęciami, aż wystawały mu kostki. - Reese, to

jest cudowne. Wcale nie straszne. Jakby ciepłe mrowienie we krwi. Czujesz przyjemność i... siłę.

Zmarszczył się jeszcze bardziej.

- Wciąga, co?

- Może i tak. - Oderwałam jego dłoń od książki i splotłam nasze palce. - Spróbujmy razem. Tylko przez chwilę. Zapomnij na moment, że jesteś zły na tatę. Wiem, że sobie na to zasłużył, ale... zgódź się. Dla nas. Dla mnie. Proszę. Pomyśl o tych wszystkich rzeczach, które moglibyśmy zrobić.

Reese popatrzył mi w oczy. Wytrzymałam jego spojrzenie, mimo że świdrowało mnie na wylot. Mocniej ścisnęłam jego rękę, zimną jak moja.

- Rany, wyglądasz teraz dokładnie jak on - szepnął. Nie odwróciłam wzroku, ale twarz zasnuły mi smutek i tęsknota.

- Zgoda, bączku.

Odetchnęłam z ulgą; trudny moment się skończył. Wyprostowałam się i powiedziałam energicznie:

- Dobra, postaw szkielet na środku koła.

Wróbel miał rozłożone skrzydła i był bardzo kruchy. Kiedyś, na początku, bałam się jego wielkich oczodołów, ale Reese powiedział: „Czaszka to jakby jedna z twoich masek, tylko że pod twarzą, a nie na niej”.

Dookoła szkieletu ułożyłam popielate piórka, które obrastały ptaka, gdy Reese znalazł go martwego na schodach przed wejściem. Może wróbel przypomniał sobie, jak wiatr straszny mu pióra. Liczyłam, że magia sympatyczna zadziała.

Przesunęłam się i usiadłam naprzeciwko Reese'a. Pomiędzy nami, na środku kręgu, stał szkielet. Otworzyłam scyzoryk i przyłożyłam go do dłoni. To nie były liście, więc pewnie będę potrzebować więcej krwi niż z zadrażnienia w kciuk.

Przy Reesie nie mogłam ryzykować, że coś nie wyjdzie. Przygryzłam wargę od wewnątrz i przygotowałam się na nieprzyjemny ból. To było najgorsze. Ale musiałam się poświęcić, żeby magia zadziałała. Nie mogłam się teraz zawahać.

Nacięłam.

Reese syknął przez zęby i utkwiał wzrok w krwi zbierającej się w mojej dłoni. Była piękna. Ciemna i lśniąca, jak gdyby z ciała sączyło mi się to nocne niebo. Przycisnęłam ostrze do skóry, żeby płynęła szybciej. Ból przeszył mi nadgarstek i owinał się dookoła przedramienia niczym rozgrzany drut kolczasty.

- Siila, pospiesz się. Musimy cię opatrzyć.

- Nie trzeba. - Nabrałam głęboko powietrza i odepchnęłam od siebie ból. W oczy zaszczypały mnie łzy. Późnopaździernikowa noc pachniała palonymi liśćmi. Pochyliłam się nad wróblem i zlałam krew na poźółkłe kostki. Oświetlona jedynie świecami, rozprysnęła się jak rozcieńczona farba. Wyobraziłam sobie, że szkielet obrasta w mięśnie i ścięgna, ciało i pióra. Wyobraziłam sobie, że ożywa i śpiewa dla nas. Wyszepiałam:

— *Ago vita iterum.*

Sprawiam, że ożyje na nowo.

Schyliłam się tak nisko, że mój oddech omiółł kości, a ustami prawie ich dotknęłam, i powtarzałam kulejącą łaciną:

— *Ago vita iterum. Ago vita iterum. Ago vita iterum.*

Za każdym powtórzeniem z dłoni spadał kolejny kleks krwi.

Poczułam magię wibrującą w dłoni, a potem biegnącą w górę ramienia jak rój maleńkich pszczoł. Syknęłam i cofnęłam rękę znad wróbla.

- Silla - odezwał się Reese piskliwym, drżącym głosem i ścisnął moją zdrową rękę.

Szkielet zadygotał. Skrzydła poruszyły się i rozpostarły, jakby chciały odlecieć. Z kości nagle strzeliły wysmukłe, cienkie pióra. W czaszce zaświeciło oko. Nie potrafiłam odwrócić wzroku, nawet gdy kości oplatały włókna mięśni, a pióra rozrastały się i gęstniały. Reese zgniatał moje palce. Serce przepełniało zdumienie i szczęście, miałam ochotę śpiewać, śmiać się i krzyczeć.

- *Ago vita iterum!* - zawołałam. Świece zafurkotały i zgasty. Ptaszek wzbił się w powietrze, gorączkowo trzepocząc skrzydłami. Zaświergotał i odleciał w ciemne niebo.

Zostaliśmy na cmentarzu sami, spowici w cieniu.

- O rany - powiedział Reese i puścił moją dłoń. Pochylił się i przesunął ręką po miejscu, gdzie stał szkielet. Piórka także zniknęły.

Nagle zakręciło mi się w głowie. Wzdrygnęłam się i splótłam palce. Księżyc spłynął z nieba. Ogień zgasł i zrobiło mi się zimno. Ale zaśmiałam się. Cicho i zwycięsko.

Reese zapalił jedną ze świec.

- Boże. - Sięgnął do torby po szmatkę. - Masz. - Pokręciłam głową. Reese złapał moją rękę i przycisnął do niej szmatkę. — Jezu, chyba trzeba cię będzie szyć.

Na środku dłoni poczułam ciepłe mrowienie. Na krawędzi magii czaił się ból.

Kilka metrów dalej z nieba spadł ptak. Jego kości rozbiły się o ziemię, a martwe niczym suche liście pióra uniósł wiatr.

ROZDZIAŁ 10

3 maja 1904 roku

Och, magia. Ją pragnę pamiętać po wsze czasy.

Nic nie może się z nią równać. Słowa nie oddadzą tego uczucia, gdy ciemna krew plami czerwoną wstążkę albo wpływa w runy wyryte w drewnie. Magia pali moje żyły i przyprawia o dreszcz, buzuje we mnie, kiedy zajmuję się innymi sprawami, błagając mnie, żebym rozcięła skórę i pozwoliła jej wypłynąć na zewnątrz.

Żeby uwolnić krew, muszę kaleczyć się w żywe ciało, a to oczywiście boli. Nie udało mi się zwalczyć młającego momentu wahania, zanim zagłębię igłę w skórze. Czuję, że świat wstrzymuje oddech razem ze mną i czeka na falę bólu, która przynosi siłę. Jak mawia Philip, ofiara to klucz do wszystkiego. Dajemy coś, by otrzymać moc stwarzania.

To istny raj. Philip to mój anioł zwiastujący, albo raczej ja jestem Morgana, a on czarodziejem, który uczy mnie rządzić światem. Magiczne mikstury przygotowujemy w blasku świec, gotujemy je w żelaznym kotle niczym stare wiedźmy. Dym czerwieni mi policzki i często się do niego uśmiecham, mając nadzieję, że to zauważy.

Philip ma obsesję uzdrawiania. Uważa, że dar naszej krwi pomoże ludzkości. A przynajmniej mieszkańcom Bostonu. Większość jego zaklęć leczy bóle głowy, gorączki, ułatwia porody i usmierza

cierpienia umierających. Philip pragnie lepszych, mocniejszych zaklęć, którymi uzdrowi za jednym razem całe rzesze ludzi. To dlatego kradnie tyle krwi. Ale w jego książce można znaleźć także inne rodzaje magii. Są zaklęcia, które przemieniają kamień w złoto albo odnajdują zgubione przedmioty. Używał ich dawniej, kiedy chciał zgromadzić władzę, ale teraz zapomniał o nich, odkąd ma zapewniony komfort. Ale ja nie. Ćwiczę przemienianie powietrza w ogień pstryknięciem zakrwawionych palców, jednym słowem zmieniam wodę w lód albo war.

Któż mógłby sądzić, że we wstążce albo wysuszonym dziobie kaczkki drzemie taka moc? Kto pomyślałby, że woda święcona z kroplą mojej krwi może uleczyć kaszel? A kamienie? Małe, szorstkie, niekiedy z ostrymi brzegami. Philip pokazał mi, jak trzymać je w dłoni i szeptać nad nimi misternie ułożone magiczne frazy niby-słów. Takie kamienie zbierają w sobie moją moc i dzięki nim zaklęcia stają się bardziej precyzyjne. Noszę taki cały dzień w kieszeni lub zatknięty za gorset i czuję dreszcz magii bijącej równo z moim sercem.

Nie chcę się z tym nigdy rozstawać.

Możemy wszystko.

ROZDZIAŁ 11

S I L L A

W czwartek nie poszłam do szkoły.

Zostaliśmy z Reese'em na cmentarzu prawie do pierwszej

w nocy. Zgłębialiśmy razem książkę taty. Pierwszym zakłębciem, jakie wypróbował Reese, była *Odnowa*. Użył jej do za-gojenia mojej rany na dłoni. Ciągłe pobolewała i widać było różową szramę, ale zasklepiła się i nie musiałam jej bandażo-wać.

Potem odnowiliśmy stertę suchych liści. Eksperymentowa-liśmy z ilością krwi, zakłębciem i sprawdzaliśmy, ile liści uda nam się przemienić naraz. To było cudowne. Wystarczyła jedna kropla na okrąg usypany z soli, żeby niczym ożywiony, pączkujący wzór wstąpiło w nie życie.

Oboje dawno nie czuliśmy się tak dobrze. Śmialiśmy się podekscytowani, podrzucając w górę garście liści skropionych krwią, żeby opadły powoli już wygładzone i pulsujące szma-ragdowym życiem.

Pomyślałam, że moglibyśmy wskrzesić zakłębciem rodziców, ale zaraz przypomniałam sobie, jak ożywiony ptak zmienił się w zawiniątko z kości i piór i spadł na ziemię. Magia nie trwała wiecznie. Reese uważał, że pewnie energia z naszej krwi może tylko na chwilę poruszyć, a nie naprawdę stworzyć życie. Ja natomiast byłam zdania, że wróbel spadł dlatego, że stracił już duszę.

Jak mama i tata. Ich dusze uleciały. Były nieosiągalne.

Kiedy w końcu wgramoliłam się do łóżka, byłam tak zmęc-zona, że zapadłam w sen bez snów, a rano nie usłyszałam budzika. Judy zbudziła mnie, gdy przyszła go wyłączyć. Ję-zyk miałam ciężki i sztywny, a czoło lepkie od potu. Czułam się, jakby moje ciało topiło się z gorąca. Babcia zadzwoniła do szkoły uprzedzić, że zostaję w domu. Dostałam cały dzień na odespanie i powrót do sił. Reese też nie poszedł do pracy, cho-ciaż nie czuł się aż tak wyprany z energii jak ja. Spędziliśmy

popołudnie, zjadając miski zupy pomidorowej Judy i szepcząc między sobą o składnikach, które musimy zamówić przez internet oraz które pozycje z książki wypróbujemy w weekend. Było jasne, że między zakłęciami potrzebujemy odpoczynku. Czuliśmy ogromne zmęczenie, którego nie dało się wytłumaczyć utratą krwi. Najwyraźniej magia zużywała więcej energii, niż mieliśmy w zapasie.

Chciałam, żeby ten dzień trwał wiecznie. Reese mówił o magii z pasją - miałam wrażenie, że odzyskałam brata przed wakacji. Od dziecka miał umysł chłonny niczym gąbka. Wybierał jakąś dziedzinę, na przykład przeszczepy albo genetykę, i przez kilka tygodni czytał na ten temat każdą książkę, jaką udało mu się znaleźć. Często zastawałam go w pokoju obłożonego stertami książek z biblioteki i wydrukami z sieci. Po tem lektury znikają i przez jakiś tydzień nie wspominał o nurtującej go dziedzinie, jakby jego mózg obrabiał informacje. I w końcu: bach, temat wypływał na powierzchnię, wtłoczony w jego życie jakby zawsze się tam znajdował. Wiedziałam, że to samo stanie się z zakłęciami.

W piątek Reese musiał wrócić do pracy w polu, a ja czułam się na tyle dobrze, że poszłam do szkoły. Wolałabym zostać w domu i pomyśleć nad magią, ale skoro i babcia Judy, i Reese zauważyli, że wydobrzałam, nie było mowy o labie.

Na trzeciej lekcji miałam fizykę. Siedziałam zatopiona w myślach, tęskniąc za uczuciem magicznego mrowienia we krwi. Wendy przesłała mi karteczkę z pytaniem, czy byłam chora.

„Już OK”, odpisałam.

„Super. Co z Nickiem?”, zapytała.

A, rzeczywiście, w środę pojechaliśmy razem do domu. Nagryzmoliłam: „Pojechał do siebie”.

Wendy: „?”.

Ja: „Nic”.

Wendy uniosła brwi i dwukrotnie podkreśliła znak zapytania. Wzruszyłam ramionami i spoglądałam na wykres, który pan Faulks rysował na tablicy. Po chwili Wendy wyjęła różowy błyszczący i udawała, że nakłada go w skupieniu, podczas gdy tak naprawdę pozwalała, żebym nie zwracała na nią uwagi.

Poczułam w brzuchu ukłucie winy. Jeżeli odstraszę Wendy, nie zostanie mi nikt ze starych znajomych. Napisałam: „Podboba mi się” i położyłam karteczkę na brzegu ławki, żeby mogła przeczytać.

Otworzyła szeroko oczy i uśmiechnęła się. Kiwnęła głową, a różowe spinki podtrzymujące jej jasne włosy zamigotały w świetle jarzeniówek. Odpisała:

„Fajnie! Cieszę się. To mogę umówić się z Erikiem?”.

„COO?”

„Pytam, bo to twój eks”.

„Nie znosisz go!”

„Słodziak z niego”.

Popatrzyłam na nią osłupiała. Dwa lata temu spotykałam się z Erikiem przez parę miesięcy, ale tylko dlatego, że byliśmy jedynymi pierwszoklasistami w obsadzie musicalu *Oklahoma!*. Od tamtego czasu między nim a Wendy była jakaś niezdrowa rywalizacja. A odkąd zastąpił mnie w roli przewodniczącego kółka, ona cały czas po nim jeździła.

Wendy wzruszyła ramionami i pokazała mi uśmiezek winowajcy.

Po lekcji złapała mnie za łokieć, pochyliła się i szepnęła:

- Musisz mnie dzisiaj wspierać na imprezie.

- Na jakiej imprezie?

Przewróciła oczami.

- Sil, pobudka! Impreza antyfutbolowa u Erica!

Faktycznie. Impreza, którą przewodniczący koła teatralnego organizował każdej jesieni dla wszystkich kółek i klubów niezajmujących się sportem. Zawsze wtedy, kiedy nasza szkolna drużyna futbolowa grała mecz z największymi rywalami, klubem „Pantery” z Glouster. Zmarszczyłam się. Umówiłam się z Reese'em, że tego wieczoru zajmiemy się magią... ale Wendy uśmiechała się do mnie tym uśmiechem, który niby miał być beztroski i nic nieznaczący, ale wiedziałam, że bardzo jej zależy. Przybrałam bardziej przyjazną minę.

- Myślisz, że Eric będzie zainteresowany?

- Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać - powiedziała lekkim tonem. - A tobie przyda się impreza. Od tamtej pory nigdzie nie chodzisz.

Przygryzłam język.

- Silla, to ważne. A ja cię potrzebuję.

Takiej prośbie nie mogłam odmówić. Reese wymyślił sobie coś na wieczór.

- Dobra. Przyjdę.

- Jupi! - zapiszczała, a jej loki podskoczyły jak sprężynki.

N I C H O L A S

Gapiłem się na nią w stołówce. Stała w kolejce, a potem nałożyła sobie na tacę tylko miseczkę galaretki. Włosy sterczały jej dziś na wszystkie strony, z twarzy odgarniała je cienka niebieska opaska. W środę wieczorem zjawiła się w końcu na

cmentarzu, ale był z nią jakiś szeroki w barach kolo, który pewnie zgniótłby mi głowę w dłoniach, gdyby miał ochotę. Miałem nadzieję, że to jej brat. Chwilę się im przyglądałem, ale przestałem, bo to już się kwalifikowało jako inwigilacja.

A propos inwigilacji, w dwie minuty wygooglowałem, co stało się z jej rodzicami. W wakacje tata zastrzelił mamę, a potem siebie. To Silla znalazła ich ciała w domu. Dopiero parę godzin później wrócił jej brat i wezwał policję.

Nic dziwnego, że lubiła cmentarze. Musiała być nieźle popaprana. Sam widziałem zdecydowanie za dużo krwi mamy i wiedziałem, jak to jest. Niełatwo o czymś takim zapomnieć.

Wczoraj Silli nie było w szkole. Niewykluczone, że to z tego powodu cały dzień byłem jeszcze bardziej gburowaty niż zwykle. Na próbie jej kwestie czytał Stokes. Było to na tyle irytujące, że obiecałem sobie, że jeśli nie będzie jej następnym razem, koniec z teatrem. Zastanawiałem się oczywiście, czy rozchorowała się z powodu magii. Mama potrafiła godzinami leżeć w łóżku. „Nick, to tylko migreny”, mówiła. Ale ja wiedziałem swoje.

Na szczęście w piątek Silla przyszła na próbę, czym uratowała moją karierę sceniczną. Wyglądała na zmęczoną. Ona chyba zawsze tak wyglądała, ale w ogóle mi to nie przeszkadzało, zwłaszcza kiedy przyglądałem się jej dzinsom opinającym uda i biodra.

Jej przyjaciółka Wendy wzięła porcję zapiekanki z fasolki szparagowej i postawiła jej na tacy. Silla skrzywiła się, ale nie odstawiła zapiekanki. I w dodatku pozwoliła Wendy wziąć dla siebie kartonik dwuprocentowego mleka czekoladowego.

- Nie możesz oderwać od niej oczu - roześmiał się Eric i klapnął koło mnie. - Stary, ta dziewczyna to chodzący problem.

- Bo jej rodzice nie żyją?
- Bo jest walnięta.
- Tak? - Przeżuwałem porcję zapiekanki. Smakowała o wiele lepiej niż w Chicago.

- Tak.
- Nikt nie jest w pełni normalny.
- Uu, wzięło cię.

Nadziałem na widelec kawałek klopsa i wycelowałem nim w Erica.

- Słuchaj, ty byś po prostu chciał, i zazdrościsz...
- Taa. Mam to już za sobą. - Oczy Erica powędrowały do miejsca, gdzie Silla i Wendy usiadły pod oknem razem z grupką innych dziewczyn. - W pierwszej klasie, kiedy była z niej jeszcze laska.

- Jeszcze? Przecież jest boska.
- Nie tak jak przedtem.
- Przedtem, czyli kiedy?
- Zanim w lecie... jej rodzice... - Wrzucił sobie do ust kawałek klopsa i spojrzał na mnie wymownie.

Skinąłem głową, udając, że wiem, o czym mówi, ale cała moja wiedza ograniczała się do tego, co przeczytałem w sieci. Parę razy już prawie kogoś o to zapytałem, ale jakoś... nie mogłem. Wolałem porozmawiać o tym z nią samą.

- Była naprawdę niezła. I chętna. Niektórzy tylko czekali, aż jej brat wyjedzie na studia. Jednak po tym, co się stało... zrzuciła jakieś dziesięć kilo z miejsc, które wcześniej były zaokrąglone, wiesz... obcięła włosy. I już nie flirtowała. To oczywiście nie jej wina. No, ale teraz jest tylko wychudzonym szkielecikiem.

- To chyba dobrze, że nie mam z czym porównać - skwitowałem, ale coś czułem, że wolę jej obecne wcielenie.

S I L L A

Biurko pani Tripp stało pod oknem, ale kiedy odwiedzałam ją w gabinecie, nigdy go nie używała. Siadałyśmy po prostu na żółtej pluszowej kanapie, jakbym wpadła na herbatkę.

- Dobrze, Drusillo. Powiedz, co ciekawego robiłaś w tym tygodniu. - Pani Tripp uśmiechnęła się i złożyła ręce na skrzyżowanych kolanach.

- Poznałam nowego sąsiada - wymamrotałam, gdy usadowiłam się już na kanapie. Wzięłam na kolana jedną z intensywnie fioletowych poduszek i głąskałam palcami jej haft. Nie znosiłam rozmawiać z panią Tripp, choćby była nie wiem jak miła. Poprawiłam na twarzy spokojną maskę, koloru morskigo z muszelkami dookoła brzegu i policzkami ozdobionymi udającym uśmiech pomarańczowym korałem.

- A, ten nowy uczeń. Nazywa się Nicholas, prawda? Na pewno cieszy się, że go mile powitałaś. Kiedy ja sama tu przyjechałam, wszyscy byli niezwykle gościnni. - Mówiła łagodnym tonem, bez słów prosząc mnie, żebym na nią spojrzała.

Nie chciałam wyjść na gbura, więc spojrzałam. Pani Tripp miała uroczą minkę rodem z romansu, a dookoła głowy - aureolę kręconych włosów, które wymknęły jej się z kucyka. Uwielbiała chodzić w zapinanych sweterkach. Jej uśmiech pewnie pomagał dziewczynom w lepszym stanie niż ja. Podczas pierwszej wizyty zapytała: „O czym chciałabyś dzisiaj porozmawiać?”, ale szybko zorientowała się, że najbardziej chciałabym milczeć. Teraz zawsze miała coś w zanadrzu. Kiedy niepewnie odwzajemniłam jej uśmiech (żeby szybko czmychnąć), zapytała:

- Jaki najlepszy prezent dostałaś od ojca?

Książkę z zaklęciami, chociaż, technicznie rzecz biorąc,

to nie był prezent od niego. Ale nie zamierzałam opowiadać o tym pani Tripp. Spuściłam spojrzenie na dłonie leżące płasko na poduszce. Pierścionki migotały nikłym blaskiem. Poruszyłam palcami, marząc o chwili, kiedy będę mogła nakłuć skórę i dostać się do świeżej krwi. Do świeżej magii.

- Te pierścionki. - Reese'owi tata dał do kompletu bransoletkę z tygrysim okiem. Nie nosił jej od lipca. Nawet na nią nie spozrzał.

- Śliczne.

- Dostawałam po jednym na urodziny, odkąd skończyłam dziewięć lat. Osiemnasty miał być ostatni. - Prawy palec serdeczny był pusty. Ciekawe, jak wyglądałby ten ostatni pierścionek. W miarę jak dorastałam, stawały się coraz bardziej wyszukane i cenne. Tej wiosny dostałam obrączkę z białego złota z wprawionym szmaragdem o szlifie schodkowym, jak wyjaśnił mi tata. Nosiłam go na środkowym palcu lewej dłoni.

- Kiedy miałam dziewięć lat, powiedział, że zbuduje dookoła mnie tęczową tarczę.

- Żebyś była bezpieczna?

- Mhm.

- A co miałyby ci grozić?

Wlepiła spojrzenie w moje ręce. Splotłam dłonie i przysunęłam je do siebie. W przedwczorajszej bliźnie czułam mrowienie.

- Nie wiem. Cokolwiek.

- Stwory, które straszą małe dzieci? Obcy ludzie? Śmierć?

- Mówiła lekkim głosem, ale gdy uniosła oczy, zobaczyłam w nich falę emocji. Zastanawiałam się, jak ktoś tak wrażliwy może pracować jako psycholog. Dokończyła: - On sam?

Jakbym dostała w przeponę. Oddech utknął mi boleśnie w gardle.

- Może wolałabyś, żeby raczej ochronił twoją mamę?

- On jej nie zabił - wycedziłam. Wykręcałam dłonie, aż pierścionki wbiły mi się w skórę.

- Skarbie, posłuchaj. Spróbuj na chwilę założyć, że może jednak tak. To nie znaczy, że jesteś złą czy nielojalną córką. Myślisz, że twój tata chciałby, żebyś zamykała oczy na prawdę?

- Dlaczego wszyscy starają się nastawić mnie przeciwko tacie?

- Nie o to nam chodzi.

- Ale tak to wygląda.

Skinęła głową, jakby była ze mnie zadowolona. Policzki mi pałały. Znowu zeszło na temat moich uczuć. Zacisnęłam usta i skoncentrowałam się na masce, którą stworzyłam w wyobraźni, zanim tu weszłam: masce spokojnej, uporządkowanej, przypominającej zimny ocean bez dna. Rumieńce natychmiast zniknęły. Pani Tripp westchnęła.

- Drusillo. - Wypowiedziała moje imię tak, jak gdyby chciała mi przypomnieć, czym ono jest. - Chcę ci pomóc. Wszystko, co czujesz, jest całkowicie normalne. Ja jestem tu po to, żeby ułatwić ci nazwanie tych uczuć, żeby ustalić, skąd się biorą, i uporządkować twoje myśli. Żeby cię wysłuchać. Nie mam zamiaru potępiać ani ciebie i twoich potrzeb, ani twojego taty.

- Mogę już pójść? — Było dosyć wcześnie. Zwykle rozmawialiśmy pół godziny.

- Oczywiście. Nie trzymam cię pod przymusem. - Wstałyśmy. Wyciągnęła ciepłą dłoń i uściśnęła moją. Wszyscy mieli cieplejsze ręce niż ja. - Do zobaczenia za tydzień, chyba że będziesz chciała przyjść wcześniej. Jesteś zawsze mile widziana.

- Dziękuję. - Podniosłam plecak. Mrowienie różowej, wrażliwej linii na dłoni przypominało mi, co zrobiłam. I co mogłam zrobić znowu.

ROZDZIAŁ 12

17 kwietnia 1905 roku

Magia nie jest wyłącznie piękna.

Nie wiem, jak ubrać to w słowa, ale Philip rzeki: „Musisz pamiętać”. To zdarzenie chciałabym zapomnieć bardziej niż cokolwiek innego, ale mała cząstka mnie pojmuje teraz to, czego nie pojmo wałam wcześniej. Trzeba pamiętać.

Od początku. Oto jak się to odbywa.

W grudniu Philip przyniósł do domu koszyk z kociętami. Dał mi je i pokazał, jak należy podawać im do ssania nasączoną mlekiem szmatkę. Zajmowałam się nimi, gdy rosły. Kochane, miauczące żyjątka. Mięciutki e, ale z ostrymi ząbkami i pazurkami skorymi do zabawy. Ustawiłam im koszyk na moim łóżku i gdy spałam, wtulały się we mnie. Ja i kotki przyjaźniłyśmy się przez trzy tygodnie.

I wreszcie tego ranka Philip zawołał mnie do laboratorium i posłał po jedno z kociąt.

Mogłam jakoś przewidzieć, co nastąpi.

Gdy wróciłam, utworzył już krąg do pracy. Obok zwinięty w kłębek leżał cienki, czarny warkocz z ludzkich włosów, nóż do krwi, wstążki, nieco patyków i plaster wosku. Philip objaśnił,

że zwrócono się do niego po wyjątkowe zakłęcie ochronne. Błagała o nie babka kobiety bitej przez męża. Trzymałam kotkę, którą nazywałam „Spokojna”, i głaskałam jej płowe futerko. Z wosku i patyków Philip uformował lalkę. Palcem wyżłobił jej oczy i wyciął nożem złowrogi uśmiech. Na szyi lalki zawiązał wstążkę, a do woskowej głowy przykleił warkocz.

— Skąd ta babka wiedziała, żeby tu przyjść? — zapytałam.

Z tego, co pamiętam, Philip miał minę raczej gniewną. Nie lubił tego rodzaju zajęć.

— Znała Diakona. On świadczył takie usługi całej południowej części miasta oraz większości okolicznych wiosek i miasteczek. Pewnie pomyślała, że jestem jego uczniem. Nie pomyliła się.

Wciąż nie wiem, co stało się z tym całym Diakonem. To on nauczył Philipa tajemnic krwi. Czasami chciałabym go spotkać, innym razem lękam się tego.

— Dlaczego częściej nie przygotowujesz takich zaklęć?

— Bo to paskudne zajęcie, duszku. Ludzie pragną rzeczy, których ja nie chcę im dawać. Uzdrawiania i ożywiania, ale także klątw i śmierci, tak jak teraz. A im więcej osób dowie się, czym się zajmujemy, tym trudniej będzie prowadzić moje eksperymenty.

Położył lalkę na środku kręgu i popatrzył na nią w milczeniu.

— Ale przecież pomagasz biedaczce.

— Ale jakim kosztem, skarbie.

— Ucierpi jej mąż, ale zasługuje na to, skoro ją bije.

Pamiętam, że powiedziałam to dosyć stanowczo. Philip podniósł głowę i rzucił mi niechętnie spojrzenie.

— Wszyscy ucierpiemy — odparł i wyciągnął ręce po Spokojną. Nagłe zrozumiałam.

— Co? Nie! — Przytuliłam ją do siebie, a ona pisnęła i wpiła się we mnie pazurami.

— Josephine, właśnie w tym celu zostały tu przyniesione. Podaj mi ją.

— Kot?! Mówiłeś, że nasza krew jest wyjątkowa, że posiada moc. Jeśli krew innych ludzi nie potrafi przyspieszyć zaklęcia, to na co nam krew kota?

Philip obszedł stół i zbliżył się do mnie powoli. Stałam bez ruchu.

— Krew niektórych zwierząt — odezwał się cicho — też ma magiczne właściwości. Łatwo domyślić się których. Kotów, kraków, niektórych psów. Szczurów. One mogą być chowańcami, czyli zwierzętami towarzyszącymi czarownikom i czarownicom. Chociaż muszą ofiarować znacznie więcej krwi niż tylko kroplę. Trzeba pozbawić je życia.

Cały czas kręciłam głową.

— Philipie, dla ciebie to tylko draśnięcie w palec.

— Do takiego zaklęcia nie użyję własnej krwi, ani też twojej, bo mogłoby ono zwrócić się przeciwko nam.

— Jak to?

— Niektórzy znają przebiegłe sztuczki. Nawet jeżeli ich krew nie jest magiczna, mogliby użyć naszej i odwrócić moc zaklęcia czy zrobić coś równie niebezpiecznego.

Spokojna wepchnęła łepkę pod moją brodę. W oczach poczułam łzy. Czuję je i teraz.

— To nie zabawa. — Philip przyparł mnie do muru. — Traktujesz to nazbyt lekko. Musisz pojąć, że potrzebna jest ofiara. Trzeba zachować harmonię.

Zrozumiałam, że dał mi kocięta właśnie po to, bym się tego nauczyła. Przycisnęłam Spokojną do siebie, ale Philip zabrał

ją i zabił na laboratoryjnym stole. Jej krew błysnęła na twarzy lalki.

Tego wieczoru, po raz pierwszy, odkąd u niego zamieszkałam, nie czytaliśmy razem. W milczeniu udałam się do swojego pokoju, żeby napisać te słowa.

Teraz słyszę, jak pozostałe kocięta miauczą, żebym je nakarmiła. Lecz ja mam ochotę zanieść je do wanny i zanurzyć ich łebki pod wodę.

ROZDZIAŁ 13

N I C H O L A S

Niech się dzieje, co chce, dziś wieczorem odcisnę swoje piętno na kole teatralnym w Yaleylah oraz jego licznych satelitach.

Tylko niedobrze, że na imprezę miała zawieźć mnie moja paskudna macocha. Lewa tylna opona sebringa złapała gumę na jakimś okruchu żwiru czy innym złośliwym kawałku czegoś na drodze. Mogłem albo zostać w domu z tatą i Lilith, albo zorganizować sobie podwózkę. Byłbym nawet zadzwonił do Silli, ale bardzo sprytnie nie wziętem jej numeru, ani nawet Erica. A tylko oni wchodzili w grę. Już miałem poprosić tatę, ale Lilith rzuciła się na okazję jak wściekły wilk pod samochód.

Na scenę wchodzi piersiówka wypełniona whisky z colą.

Przemknąłem po schodach na dół do kuchni w nadziei, że uda mi się doprowadzić kluczyki do jej jeepa albo auta

taty. Ale niestety, czekała na mnie pod drzwiami wejściowymi w płaszczu o krwiojajczym odcieniu czerwieni i machała na palcu kluczykami.

- Masz zamiar w tym iść? - zapytała.
- Przykro mi, że moje ciuchy nie są w guście samic alfa.
- Mimo woli uśmiechnąłem się złośliwie.

Słyszając mój wredny ton, Lilith uniosła brwi.

- Wyróżnisz się z tłumu, to na pewno.
- Ekstra. Chodźmy już. - Minąłem ją w drzwiach i wyszedłem. Lilith pożegnała się z tatą i podążyła za mną. Z kieszeni wyjąłem kartkę ze wskazówkami dojazdu. Dokładnie sprawdziłem, dokąd jedziemy, żeby mieć stuprocentową pewność, że nie zgubię się z nią na jakiejś polnej drodze. Idealna scenaria dla horroru a la *Koszmar minionego lata*. Tylko że nie byłem pewien, które z nas wykończy które.

Zamiast zawrócić na szerokim podjeździe, Lilith postanowiła zjechać po żwirowej drodze na wsteczny. Odwróciła się, żeby spojrzeć przez tylną szybę, a dla równowagi wpiła się palcami w mój fotel. Jej ostre pazury znajdowały się niebezpiecznie blisko mojego ramienia.

Gwałtownie skręciła i wjechała trochę w zarośla. Cienkie, czarne gałązki szorowały po karoserii samochodu z mojej strony. Dziewczyna raczej się nie martwi o zadrapania na lakierze. Miałem ochotę zaprotestować, ale wiedziałem, że jak chce, to potrafi prowadzić, a teraz robi tak tylko po to, żeby mnie wkurzyć za ten tekst o samicach alfa. Na pewno byłaby zachwycona, gdybym się wściekł. Nic z tego. Włączyłem radio. Złapaliśmy jakąś szumiącą i rzeżącą audycję radia publicznego o wybuchu na Filipinach. Cud, że w ogóle cokolwiek tutaj odbiera. I że Lilith tego słucha.

Kiedy w końcu udało się jej wyjechać na główną drogę biegnącą koło domu Silli, pokazała, żebym poszukał innej stacji. Nacisnąłem guzik wyszukujący częstotliwości w nadziei, że uda mi się uniknąć rozmowy. Ale niestety, radio łapało trzy stacje z szumami na jedną względnie znośną, czyli taką, która nadaje tyle brzdąkania i rozdzierających wyć, że krwawią człowiekowi bębenki.

- Słuchaj, Nick...

- Tutaj skręć w lewo. - Przysunąłem do okna kartkę z dojazdem, żeby oświetlił ją zaskakująco jasny księżyc.

Skręciła. Z jednopasmówki zjechaliśmy na coś, co robiło tu za drogę krajową. Przynajmniej miało dwa pasy.

- Słuchaj, czemu cię tak ostatnio ciągnie na cmentarz? To niepodobne do ciebie zajmować się czymś zajmującym.

- Za jakieś półtora kilometra znowu skręcamy w lewo, stamtąd to już blisko. Jezu, mogłem pójść na piechotę.

- Po ciemku, misiaczkę? Nie wiadomo, co tam na ciebie czyha.

- Nic gorszego niż tutaj.

Kątem oka zauważyłem, że Lilith uśmiecha się złośliwie.

- Spodziewałam się bardziej błyskotliwej riposty. Chyba wychodzisz z formy.

- Twoje zagranie było nieczyste. Trudno zrobić cokolwiek z piłką wybitą na aut.

Wzruszyła ramionami i zabębniła paznokciami w kierownicę.

Pieprzone radio nie było w stanie złapać czegokolwiek w miarę normalnego, więc je wyłączyłem. Jeżeli ten wstęp do mojego osobistego horroru szybko się nie skończy, zacznę modlić się o siekiere.

S I L L A

Furgonetka podskakiwała na wyboistej drodze do gospodarstwa Leilenthalów. Opuściłam osłonkę i popatrzyłam na siebie w lusterku.

- W porządku? - Reese rzucił mi spojrzenie.

- Naprawdę nie mam ochoty na imprezę. Wolałabym poćwiczyć zaklęcia.

- Dobrze ci to zrobi, odprężysz się.

- Wiem. Tyle że to nawet w połowie nie jest tak fajne jak... magia. To takie cudowne, kiedy liście latają w powietrzu! Wypróbowałabym też zaklęcia na opętanie. Wyobrażasz sobie wejść w umysł zwierzęcia? Na przykład kruka, tak jak napisał tata w książce? Szybować nad polami, śmigać przez chmury...

- Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie cmentarz z lotu ptaka. Kamienie nagrobne i falujące bezkresnie jesienne pola.

- Racja, ale nie dzisiaj - odparł Reese. - Jutro po południu. Dziś będziemy udawać, że jesteśmy normalni.

- Normalni... hmm. - Dawno przestałam zaliczać się do normalnych. Popatrzyłam na gojącą się różową kreskę na otwartej, spoczywającej na kolanach dłoni. Na tle hipernormalnego samochodu Reese'a i moich zwyczajnych dżinsów blizna wyglądała dziwnie. Jakby tu nie pasowała. Dlaczego tak marzę o tym, żeby wziąć nóż i przeciąć sobie skórę? Co jest ze mną nie tak? W żołądku i gardle poczułam mdłości. Zamknęłam dłoń.

- Przecież zawsze lubiłaś tę imprezę.

- Będą tam ludzie, z którymi się już nie zadaję.

- W twojej sztuce gra młodszy brat Douga, prawda?

- Tak. Eric.

- Z nim możesz pogadać.

- Szkoda, że nie zostajesz.

- Serio? Chciałabyś spędzić imprezę z bratem?

Zrobił minę, ale kiedy na mnie spojrział, jego oczy były pełne współczucia.

- Wolałabym zostać w domu.

Skręcił w dróżkę w stronę stodoły. Do Erica jechało się raptem trzy minuty. Wendy nie mogła mnie zabrać, bo obiecała, że zawiezie młodszą siostrę do koleżanki. Mogłam - powinnam - pójść na piechotę, ale Reese akurat jechał na mecz, skoro okazało się, że ma wolny wieczór. Zabrałam się więc z nim.

Przed nami blask ogniska zamieniał drzewa w czarne, wydłużone sylwetki. Reese zatrzymał auto obok rzędu zaparkowanych samochodów, wyłączył silnik i odwrócił się do mnie.

- Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować. Przyjadę tu w kwadrans. Po meczu idziemy do Barleya. I zadzwoń, jeśli będzie miał cię kto podwieźć do domu. Jak nie zadzwonisz, będę tu około północy, dobra?

- Okej. - Zaczęłam wysiadać. Zatrzymałam się na krawędzi fotela. - Reese?

- Co?

Otworzyłam usta. Chciałam powiedzieć: „Nie pij”.

- Fajnie, że masz znajomych, z którymi cały czas chcesz się spotykać.

Dotknął mojego łokcia i już miał coś powiedzieć, ale opuścił jednocześnie wzrok i dłoń. Wzruszył ramionami.

- Wiesz, gdybym wyjechał na studia, w ogóle bym się z nimi nie widywał. Więc jest przynajmniej jeden plus tego wszystkiego, prawda? - Zmusił się do uśmiechu. Bywały marniejsze kłamstwa.

- Racja. No to na razie, Reese.

- Strzałka, bączku.

Gdy zatrzasnęłam drzwi, osypała się z nich rdza. Stałam tak, oparta o niebieskiego chevroleta należącego do Sherry Oliss, i patrzyłam, jak zawraca i odjeżdża.

Z tyłu, z ogromnych, ustawionych po obu stronach wejścia do stodoły głośników braci Leilenthalów ryczała dziarska muzyka country. Osobiście wołałabym Johnny'ego Casha. Coś mrocznego, w sam raz dla dziewczyny, która lubi się ciąć. Zamknęłam oczy i objęłam się ramionami, czekając na cudowne nadejście towarzyskiego nastroju. Ale nie nadszedł.

Obróciłam się i ruszyłam przez zielsko w stronę imprezy.

Była może dziewiąta. Dookoła ogniska kręciło się ze trzydzieści osób, reszta bawiła się wewnątrz stodoły. Stanęłam na krawędzi cienia i próbowałam odnaleźć w złocistym półmroku jakąś znajomą twarz. Albo raczej: przyjazną. Wszystkie były znajome. Koło stodoły dostrzegłam parę osób z kółka teatralnego, a wśród nich Nicka ubranego w prążkowany garnitur z kamizelką. Wyglądał jak żywcem wyjęty z musicalu *Faceci i laleczki*. Rozmawiał nie tylko z Erikiem i innymi chłopakami, ale także z paroma dziewczynami. Kelsey Abridale cały czas muskała zachęcająco kłapy jego garnituru, a Molly Morris o wiele za głośno śmiała się z jego żartów.

Przez chwilę miałam ochotę podejść prosto do niego i dowiedzieć się, czy odwiózł mnie dlatego, że mu się podobam, czy po prostu lubi podrywać dziewczyny. Rok temu pewnie stałabym teraz koło niego i droczyła się z nim, mówiąc, jaki ma zabójczy kapelusz. Ale teraz... Skoro gimnastykowało się przed nim tyle dziewczyn, to dlaczego miałby zainteresować się dziwaczką, która włóczy się po cmentarzach?

W zasadzie do szczęścia nie potrzebowałam flirtu. Miałam magię. Prawdziwą. Więc po prostu usiadłam na pieńku i obserwowałam ognisko, ciemne zarysy postaci oraz gwiazdy migoczące na górze. Na niebie po mojej lewej wisiał księżyc w pełni. Pomyślałam o jednej z uzdrawiających mikstur, którą powinno się odstawić na noc; tata napisał, że najlepiej zrobić to podczas pełni. Reese powiedział, że to głupoty, ale przypomniałam mu, jak ożywiliśmy szkielet wróbla tylko za pomocą soli i krwi, więc skąd wie, co potrafi światło księżyca?

Popołudnie było ciepłe, idealnie październikowe, ale teraz ochłodziło się i pożałowałam, że nie wzięłam kurtki.

No, fantastycznie. Siedziałam sama i rozczulałam się nad sobą, zamiast pogadać ze znajomymi i poznać fajnego koleśka. *Żałosne. Wstawaj i podejdź do ogniska*, rozkazałam sama sobie. Potarłam dłonie. W chłodzie pierścionki były nieco za luźne. Przed wakacjami bez problemu zagadałabym do ludzi albo zaczęła tańczyć. Kiedyś uwielbiałam rozprawić o nauczycielach, chłopakach, teatrze, muzyce... Ale teraz wydawało mi się, że to wszystko nic nie znaczy. Jakby lada chwila mogło zniknąć. Istniała tylko krew.

Zwilżyłam wargi. Były spierzchnięte i zimne.

Moją uwagę przykuł wybuch śmiechu w którejś z grupek. Erin Pills. Była klasę niżej, w zeszłym roku grała ze mną w *Into the Woods*. Z nią i grupką jej koleżanek na pewno udałoby mi się zacząć rozmowę. Okrażyłam ognisko. Mimo że byłam trzy metry od ognia, czułam, jak ciepło muska moje ramię.

O, dzięki Bogu, Wendy. Znalazłam ją.

- Hej - powiedziałam.

- Silla. - Wendy uśmiechnęła się, a różowy błyszczący zamigotał. Ja nigdy nie mogłabym malować się taką ilością brokatu; po nałożeniu czegoś takiego miałam wrażenie, że do skóry przykleił mi się piasek.

Skinęłam głową. Ona złapała mnie za rękę, odciągnęła na bok i rozejrzała się.

- Jak myślisz, jaka strategia będzie najlepsza? Zaatakować go zniecka, pocałować go po prostu? Czy raczej być arcy-miła?

- Przymilanie się zszokuje go tak samo, jakbyś nagle wcisnęła mu język do ust.

- Hmm. Może i tak.

Skierowałam wzrok w miejsce, gdzie stali Eric z Nickiem.

- Ja bym go pocałowała. - Wpatrywałam się w usta Nicka flirtującego z Molly.

- Rzeczywiście. Tak zrobię. - Uśmiechnęła się bezczelnie.

- Z tym mieczem wygląda nieziemsko. Nie mogę się doczekać, aż założę kilt.

- Stokes chyba wspominał, że nie gramy w tradycyjnych kostiumach.

Uśmiech spłynął jej z twarzy.

- Cholera. No trudno. I tak mi się podoba. - Zrobiła pauzę i spojrzała na mnie z ukosa. Kiedyś często jej doradzałam.

- Powinam czy nie powinienam?

- Trudno mi powiedzieć. Straciłam z nim kontakt - odparłam. Wzięłam ją za rękę. Chciałam dać to, czego potrzebowała. — Ale myślę, że jeżeli ci się podoba, powinnaś spróbować. Zawsze był fajny.

- Stoi tam z Nickiem. Moglibyśmy - Wendy zacisnęła usta - umówić się na podwójną randkę.

Spojrzałam tam, gdzie ona, w stronę stodoły. Grupka śmiała się z czegoś, co powiedział Nick. A Nick patrzył prosto na mnie. O m a m o . Moja ochronna maska opadła i ukazała mu szare oczy i zimną skórę. Szybko zwróciłam wzrok na Wendy.

- Nie wiem, czy jestem gotowa.

- Na randki? - Wendy powstrzymała się, żeby nie przewrócić oczami. — Sił, to dla twojego dobra.

- Mówisz jak moja babcia.

- Posłuchaj, musisz pozwolić, żeby w twoim życiu zaczęły się dziać dobre rzeczy.

Przygryzłam dolną wargę. Nie wyobrażałam sobie, że po śmierci rodziców mogłabym chcieć cokolwiek dobrego.

- Chodźmy — powiedziała i pociągnęła mnie za sobą. Mogłam albo zacząć się szarpać, albo się poddać.

Nick uśmiechnął się na nasz widok. Poczulałam łaskotanie biegnące aż do stóp.

- Cześć, Silla - przywitał się, kiedy podeszłyśmy bliżej. Stał oparty łokciem o ramię Erica. W jego plastikowym kubeczku zachlupotało, gdy uniósł go w pozdrowieniu.

- Cześć, Nick. - Uśmiechnęłam się do Erica, Molly i Kelsey.

- Cześć. - Eric pozdrowił mnie ruchem podbródka.

- Cześć, Silla. — Molly dźgnęła Kelsey pod żebro i obie zachichotały.

- Może się napijemy? - odezwała się Wendy, patrząc tylko na Erica.

Eric wyswobodził się spod łokcia Nicka i wyciągnął rękę do Wendy.

- Czemu nie.

Ona uśmiechnęła się do mnie przelotnie i odeszli, zostawiając mnie z Nickiem i dziewczynami. Lekko wydułam usta.

- Nick, jak tam twoja pierwsza impreza antyfutbolowa?
- Teraz o wiele lepiej. - Nick przysunął się do mnie, wykluczając z rozmowy Molly i Kelsey. - Zatańczymy? - Wyciągnął do mnie rękę.

Uśmiechnęłam się lekko i spojrzałam mu w oczy. Wyobraziłam sobie maskę ze spiralami różowych cekinów na policzkach.

- Dobrze.

Brzdąkanie country było teraz spokojne, nastrojowe. Wsunęłam swoje dłonie w jego, a on poprowadził mnie w kierunku ogniska, z dala od miejsca, gdzie staliśmy. Molly i Kelsey popatrzyły za mną gniewnie. Byłam zachwycona.

- Eric niespecjalnie lubi moje towarzystwo, zdaje się - zauważyłam niemal wesołym tonem.

- Nie chodzi o ciebie - odparł Nick, obejmując mnie delikatnie w pasie. Czułam przez koszulkę jego gorący dotyk.

- Uważa, że wyświadcza mi przysługę.

- A tak jest? - Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej.

Nick unióśł palec do kapelusza i obniżył jego rondo w ukłonie.

- No pewnie. - Schował moje palce w swoich dłoniach.

- Rany, pewnie umierasz z zimna. Masz, to cię rozgrzeje.

- Z wewnętrznej kieszeni marynarki wyjął piersiówkę.

- Nie, dzięki.

- To Jameson. Whisky.

Skrzywiłam się.

- Mmm... to dobre dla duszy - spojrzał na mnie z nadzieją. Roześmiałam się. - No dobrze, dobrze. - Schował piersiówkę z powrotem. - W takim razie rozgrzeję cię tańcem.

Pociągnął mnie przez tłum bliżej ogniska. Nikt nie tańczył. Obrócił się plecami do płomieni i uśmiechnął szelmowsko.

Na tle pomarańczowego blasku ledwo widziałam jego twarz. Pochylił się, wziął mnie za drugą rękę i przyciągnął do siebie. Jego oczy były ukryte w ciemności pod rondem kapelusza. Serce zabiło mi szybciej. Zamrugałam, żeby otaczająca go poświata zniknęła. Był Mefistofešem, a ja jego doktorem Faustem, którego wabił do tańca.

Zamknęłam oczy i zrobiłam krok do przodu. Dłonie oparłam mu na ramionach; kości moich palców chciwie chłoneły ciepło ognia. Nick też był ciepły. Naśladowałam jego ruchy, pozwoliłam, żeby stopy zabrały mnie tam, dokąd mnie prowadził. Jego dłonie dotykały miejsca trochę powyżej moich dzinsów biodrówek, obracały mnie, popychały to w tył, to w przód. Nacisnęłam palcami moje biodra, lekko, ale tak, że miałam ochotę rzucić mu się w ramiona. Pragnęłam zatracić się w tańcu, pomiędzy pomarańczowymi językami ognia a czarnym niebem.

Gdy zmieniła się piosenka, wyszeptał mi do ucha:

- To rytm swingowy. Potrafisz tańczyć swing?

Trzymał mnie teraz za jedną rękę. Zakręcił mną, przesuwając pod swoim ramieniem. Ja w obrocie oddaliłam się od niego na wyciągnięcie ręki i zaraz wróciłam. On przesunął się, złapał mnie w ramiona i wygiął do tyłu. Krzyknęłam cicho. Potem wyprostował mnie i obrócił dookoła siebie. Nie wiedziałam, co się dzieje, czułam tylko jego kierujące mną dłonie, dotyk jego bioder, którym mówił mi, gdzie iść. W ciele szumiała mi krew, tak jak w chwili przed wypowiedzeniem zaklęcia. A przecież tylko tańczyliśmy.

Gdy znowu mną zakręcił, opuściłam głowę do tyłu. Nad nami wirowały gwiazdy, a księżyc wydawał się niezwykle duży i bliski. Roześmiałam się. Część ciężaru, który od dawna nosiłam na barkach, zniknęła.

Nick przyciągnął mnie do siebie. Przyłgnęłam do jego ciała. Położył mi dłonie płasko na plecach i znowu wygiął do tyłu, tym razem głębiej i na dłużej. Wczepiłam się w jego ramiona.

- Trzymam cię, Silla - powiedział. - Spokojnie.

Przypomniałam sobie moment, kiedy zeszłej soboty spotkałam go na cmentarzu. Wydawało mi się, że przynależy do tego miejsca razem ze mną. Czy to możliwe, żeby krew kogoś innego także mogła mieć magiczne właściwości? Na przykład krew Nicholasa, mojego chłopaka z cmentarza? Czy udałoby mi się obudzić tę część jego osobowości, którą widziałam tamtej nocy, gdy oddałam krew w ofierze magii? Śmiech wyparował ze mnie. Odwróciłam wzrok.

Nick podniósł mnie powoli.

- Silla, co się stało?

Czułam pod dłońmi jego gorącą klatkę piersiową. Przez chwilę miałam ochotę przycisnąć do niej policzek, wtulić mu twarz w szyję. Pragnęłam tego, co obiecywały jego ręce. Ale mimo to zrobiłam krok do tyłu i uśmiechnęłam się pogodnie.

- Nic.

- Silla. — Zmarszczył się, a jego oczy zasnuł jeszcze głębszy cień.

- Jak to, nie wiesz? Jestem wariatką. - Odwróciłam się i dodałam: - To u nas dziedziczne.

N I C H O L A S

Zostawiła za sobą wielką zimną wyrwę. Odchodząc, znowu otuliła się ramionami. Jej pierścionki migotały.

- Cholera - syknąłem i pogałem za nią. - Silla, zaczekaj.

Zaszedłem jej drogę. Zatrzymała się, ale patrzyła w ziemię. Jej twarz rozjaśniało światło ze stodoły. Miała brokatowy cień

do powiek, a na ustach delikatną szminkę w kolorze wina, pod kolor jej dopasowanej koszulki. W końcu na mnie popatrzyła. Nawet z takiej odległości nie musiałbym się schylać, żeby ją pocałować. Ale widziałem, że jest zmęczona. Miała to wypisane na twarzy: na krawędziach powiek, w wygiętych ku dołowi kąciakach ust. Na moment dostrzegłem siateczkę naczyń krwionośnych, mięśni i ścięgien ukrytych pod jej skórą w odcieniu kości słoniowej. Tak bardzo chciałem ją pocałować, że aż bolało.

- Co? - Ścisnęła łokcie mocniej.

- Napijesz się czegoś?

Skinęła głową.

- W stodole jest dzban wody. Mama Erica mówi, że wodę trudniej zaprawić alkoholem.

- Sprytnie.

Miałem ochotę wziąć ją za rękę, ale w końcu tylko pokazałem jej gestem, żeby poszła pierwsza.

Drewnianą podłogę oświetlały jarzeniówki, a za ławki służyły bele siana. Na składanym stoliku leżały trzy w większości spustoszone tace z jedzeniem. Na ławce za stolikiem stały dwulitrowe butelki z wodą gazowaną i wieżyczki plastikowych kubków. Sięgnąłem po dwa i poszedłem za Sillą do kąta z dystrybutorem wody.

Wyposażeni w kubeczki z wodą usiedliśmy na beli siana - ja okrakiem, a Silla prosto, ze złączonymi kolanami. Spod jej dżinsów wystawały czerwone kowbojki. Były niezwykle urocze. W myślach odszczekałem wszystkie złościwości na temat takich butów.

W stodole poza nami jeszcze tylko trzy osoby kręciły się przy stoliku z jedzeniem. Upiłem łyk wody i przyglądałem się delikatnemu profilowi Silli.

- Właśnie nie wiem - powiedziałem. To oczywiście było kłamstwo. Wiedziałem wszystko od Erica.

- Czego nie wiesz? - zapytała zaskoczona, jakbym wybudził ją z zadumy.

- Że jesteś wariatką.

- A... - Wbiła oczy w ziemię i zakręciła wodą w kubku.

- W końcu jesteś tu dopiero tydzień.

- Ty mi opowiedz. - Roześmiała się. - Nie, serio. Twoją wersję chcę usłyszeć pierwszą. - Uśmiechnąłem się i zsunąłem nieco kapelusz z czoła.

- Jesteś niesamowity, Nick. - Obróciła się i położyła zgięte kolano na ławie z siana.

- Wiesz, ta tutejsza atmosfera pod tytułem „wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich” to dla mnie nowość. W Chicago nikt się nie przejmuje plotkami. Wszyscy są wariatami.

- W takim razie Chicago to jakiś zamek pośród chmur.

Przyglądała się mojej twarzy, a jej pogodna mina powoli zniknęła. Zrobiłem zeza, żeby ją rozbawić. Uśmiechnęła się i wypita resztę wody.

- No dobra. Było tak. Tamtego popołudnia poszłam z Wendy i Melissą na zakupy. Kupiłam sobie fajne dzinsy. Kiedy wróciłam do domu, zauważyłam na podjeździe oba samochody rodziców. Nie było to takie dziwne, bo w lecie tata nie miał lekcji. Ale drzwi były otwarte na oścież, mimo że z nieba lał się żar. Weszłam, rzuciłam torbę na ziemię. Poczułam okropny smród. - Zwilżyła usta, uniosła podbródek i spojrzała mi w oczy. - To była krew. Znalazłam ich w gabinecie taty. Leżeli objęci, jedno na drugim. W klatce piersiowej mamy i głowie taty były wielkie dziury po kulach. Wyglądało, jakby dookoła nich ktoś wylał

hektolitry jasnoczerwonej farby. Podłoga lepiła się od śmierdzącej krwi. Zamarłam w progu. Krew była na biurku, na regałach. Szkoda, że nie przyjrzałam się szczegółom, ale kto w takiej chwili... - Potrząsnęła głową, zamrugała, nacisnęła pięściami na uda. Potem odwróciła wzrok i wzięła głęboki oddech. Przez chwilę myślałam, że już skończyła, ale zaraz odezwała się cicho: - Reese znalazł mnie jakąś godzinę później. Klęczałam na podłodze i gapiłam się na nich. Dżinsy nasiąkły mi krwią. Wyciągnął mnie na zewnątrz i postawił na słońcu, a sam zadzwonił na policję. Ja nie zrobiłam nawet tego. Znalazłam rodziców leżących w kałuży krwi i nie zrobiłam nic.

Nie powiedziałem banałów w rodzaju: „Nie mogłaś nic zrobić” czy „To nie twoja wina”. Zamiast tego zapytałem:

- To dlatego ludzie uważają, że zwariowałaś?

- Nie. - Uśmiechnęła się gorzko. - Mają mnie za wariatkę, bo według raportu policyjnego tata w szale zabił mamę, potem siebie, a ja, kiedy to usłyszałam, wpadłam w furję. Rozniosło się po okolicy.

- To według mnie dosyć normalna reakcja. Na twoim miejscu też bym się wściekł.

- To było najbrutalniejsze morderstwo w historii miasteczka. Wcześniej wszyscy tatę uwielbiali. Był spokojny i uprzejmy, świetny nauczyciel. Ale najwyraźniej wewnątrz czaił się psychopata. - Silla zacisnęła szczęki.

- Pewnie ludzi przeraziło zwłaszcza to, że uczył w szkole, prawda?

Spojrzała na mnie zaskoczona.

- Właśnie. Tak łatwo stracili wiarę w tatę. Banda tchórz. Jeżeli naprawdę go szanowali, to powinni byli trochę

się wysilić, żeby go zrozumieć. - Policzki zabarwił jej gniew. Kciukiem tarła gorączkowo wnętrze drugiej dłoni.

Ująłem jej rękę i zacząłem masować ją oboma kciukami. Nigdy nie czułem, żeby miała tak ciepłą skórę. Prawie gorącą. Popatrzyłem na jej dłoń. Pośrodku widniała cienka różowa linia, jak gdyby zagojona szrama, która ściągała skórę i zmniejszała trochę linię życia. Może zraniła się podczas jakiegoś upadku, może skaleczyła o skałę albo stłuczony talerz. To mogło być cokolwiek.

Tyle że ja wiedziałem, co to było. Tak jak byłem pewien, że nie spędzę reszty życia w tej kowbojskiej zapadłej dziurze, tak wiedziałem, że Silla sama przecięła sobie rękę.

Syknęła i wyrwała dłoń.

- Silla. - Obserwowałem jej mimikę. *Opowiedz mi o magii.*

Unikała mojego wzroku.

- Muszę iść.

- No to chodźmy. - Wstałem i pociągnąłem ją za rękę.

- Nick, nie musisz... to znaczy zostań tutaj.

- Nieee. Impreza średnia. I tak a propos wpadania w furję, miałem ochotę porąbać te głośniki na kawałki.

- Możesz mnie odwieźć do domu?

Zmarszczyłem się.

- Niestety nie. Nie mam tu samochodu. Dzisiaj rano złapałem megagumę.

Silla zawahała się, lekko przygryzła dolną wargę i zapytała:

- A mógłbyś mnie odprowadzić?

- No raczej.

Wyszliśmy ze stodoły, trzymając się za ręce. Złapałem spojrzenie Erica i pomachałem mu. Parę osób zauważyło nas razem. I bardzo dobrze.

- Gdzie teraz?
- Trzy kilometry z hakiem w tamtym kierunku. — Silla wskazała na prawo.

- Blisko. Nie zmarzniesz?

- Jakoś przeżyję.

- Jakby co, rozgrzeje cię whisky.

Zatrzymała się i spojrzała na mnie z ukosa.

- I ty?

- No, mam taką nadzieję! - Na mojej twarzy pojawił się szeroki uśmiech.

Parę minut szliśmy w milczeniu. Nie było ścieżki, więc brodziliśmy po kolana w zielsku. Trzeba będzie oddać spodnie do czyszczenia. Szkoda, że nie założyłem czegoś praktyczniejszego, na przykład džinsów. Mówi się trudno. Za to Silla przedzierała się przez trawę, kompletnie nie zwracając uwagi na stan swoich ciuchów. Zachichotałem na myśl o mojej eksstapującej po czymkolwiek, co nie było betonem albo przystrzyżonym trawniczkiem.

- Co się stało? - zapytała Silla.

- Właśnie myślałem o dziewczynach z Chicago. One w życiu by nie wlażyły w takie chaszczki.

- Tęsknisz?

- Za nabzdyczonymi laskami? Żartujesz. To jest o wiele lepsze. - Ścisnąłem jej dłoń.

- Nie, za Chicago.

- Aaa. - Przeciagnałem ten dźwięk, jakbym dopiero teraz zrozumiał, co miała na myśli. Silla przewróciła oczami i uśmiechnęła się. - W takim razie: tak. Prawie cały czas. Tam zawsze coś się działo. Kina, kluby, biblioteki. Mogłem wskoczyć do kolejki i dojechać w każdy punkt miasta. Nie potrzebowałem samochodu.

- Pewnie był niezły tłok, co?
 - Mhm. Było ekstra.
 - Dlaczego się tu przeprowadziłeś?
 - Hm. Mój tata jest prawnikiem i doszedł do wniosku, że dla bezpieczeństwa mojej macochy musimy wynieść się z Chicago. Podobno ktoś ją prześladował czy coś. Wielki sekret. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby chodziło o coś bardziej nielegalnego. Albo gdyby sama wszystko wymyśliła, żeby zagrać na uczuciach taty. Wzięli ślub parę miesięcy temu, więc może chciała jeszcze bardziej go opleść. I przywlec nas tutaj.
 - Nieźle.
 - Dziadek Harleigh przekręcił się w idealnym momencie.
 - Znałeś go?
 - Nie. Widziałem tylko raz. Nie mam pojęcia, dlaczego zapisał mi dom. Pewnie nie miał innej rodziny.
 - Wrócisz do Chicago, jak skończysz szkołę?
 - Będę się tam pojawiał.
 - Ale nie przeprowadzisz się tam?
 - Nie.
 - A jakie masz plany po liceum? Studia?
- Razem przeskoczyliśmy mały strumyczek.
- Poszukam mamy.
 - Nie wiesz, gdzie jest?
 - Kiedy miałem od niej ostatnie wieści, była w Nowym Meksyku, robiła za Indiankę.
 - Co?
 - Mamy w żyłach jakieś śladowe ilości krwi Czirokezów, naprawdę piąta woda po kisielu. Mama ubzdurała sobie, że musi powrócić do korzeni, jak to ujęła. Nie zostawiła adresu,

na który mógłbym napisać, żeby powiedzieć jej, że Czirokezi nie osiedlali się na pustyniach.

- Ile miałeś wtedy lat?

- Kiedy zniknęła po raz pierwszy? Osiem. Pamiętam z tego głównie szpital. Podczas mało oryginalnej próby samobójczej zakrwawiła całą łazienkę. Wiem też od taty, że ćpała. Przez jakiś czas była czysta, potem, kiedy miałem dziewięć lat, znowu wpadła w ciąg, kolejna próba samobójcza, odwyk, i tak w kółko. W końcu przespała się z dilerem i tata wykorzystał to jako pretekst do rozwodu. Dostał pełną opiekę, a ona właściwie zakaz zbliżania się do mnie. Ostatni raz widziałem ją, kiedy miałem trzynaście lat. Czasem wysyła pocztówki. Twierdzi, że przeszła odwyk i jest na dobrej drodze. Chcę się przekonać, czy rzeczywiście. Kiedy skończę osiemnaście lat, tata nie zabroni mi się z nią zobaczyć. - Zamilkłem. Dawno nikomu o tym nie opowiadałem. Noc zwierzeń.

Silla nic przez chwilę nie mówiła. Moje czarne, błyszczące buty szurały przez suchą trawę. Pomyślałem o mamie, która w hostelowym pokoju albo na jakimś dworcu gryzmoli do mnie kilka słów, przykleja znaczek i na kolejnych parę miesięcy zapomina o moim istnieniu. Albo znowu podcina sobie żyły żyłką. Nie śmiałem nawet prosić, żeby przestała to robić. Była uzależniona. Z jakiegoś zagadkowego powodu nienawidziła swojej krwi. A gdy nie udało jej się wykrwawić całokowicie, użyła narkotyków, żeby osłabić siłę magii.

- To rzeczywiście słabo, Nicholas - rzekła w końcu Silla poważnie, jakby zamykała jakiś rytuał. Nikt przedtem nie zareagował w ten sposób na opowieść o mojej mamie.

- Lubię, kiedy mnie tak nazywasz - przyznałem. - Brzmi prawdziwie.

- Nicholas - powtórzyła, tym razem powoli.

Przeszły mnie ciarki i musiałem wstrząsnąć ramionami, żeby odzyskać równowagę.

- A ty, Siila? Co chcesz robić po liceum?

Ściągnęła brwi. Chętnie dowiedziałbym się, co jej przeszło przez myśl.

- Nie wiem. Pewnie pójdę na studia. Zamierzałam zdać na Uniwersytet Missouri w Springfield. Mają tam świetną ścieżkę teatralną.

- Czyli aktorstwo.

- Zawsze uwielbiałam występować. Widownia, język, dynamika, cała ta otaczająca scenę energia. Ale muszę poczekać, aż znowu to poczuję.

- Teraz pewnie starasz się czuć jak najmniej.

- Tak jest łatwiej.

Nie mogłem przepuścić takiej okazji. Przystanąłem. Ona też się zatrzymała. Odwróciła się do mnie z uniesionymi brwiami. Przysunąłem się do niej, ująłem jej twarz w dłonie i pocałowałem.

Delikatnie, tylko żeby sprawdzić, jak zareaguje. Jej makijaż pachniał lekko, pudrowo, a w szmince wyczułem nutę słodkiego owocu o intensywnym smaku.

Siila zacisnęła palce na brzegu mojej kamizelki i przycisnęła się do mnie. Nagle zdałem sobie sprawę, że krew hucząca mi w uszach zagłusza bzyczenie chrząszczy i wiatr szeleszczący suchymi liśćmi. Siila zadrżała, oderwała usta i przytknęła czoło do mojej szyi. Miała zimny nos. Objąłem ją mocno ramionami, opierając podbródek o czubek jej głowy. Wtuliła się we mnie, jakby chciała się schronić. Pocałowałem jej włosy.

- Nicholas. - Uniosła twarz.

- Hm? - szepnąłem.

Powędrowała dłońmi w górę mojego ciała i zanurzyła je we włosach. Kapelusz spadł na ziemię. Bardzo mocno przycisnęła swoje usta do moich, jak gdyby chciała połamać mi zęby. Gwałtownie nabrałem powietrza, chwyciłem ją za ramiona, przygryzłem jej wargę i odwzajemniłem pocałunek. Wczepiliśmy się w siebie i całowaliśmy jakby w pojedynku.

Nagle Silla odskoczyła i odwróciła się plecami. Brakowało nam tchu. Ja byłem trochę skołowaciały. I ostro podniecony.

- Silla? Co się stało?

Pokręciła głową i odwróciła się twarzą do mnie. Jej oczy jaśniały jak księżyc. Uniosła lewą dłoń, tę z różową blizną. Opuszka palca środkowego była umaczana w czymś ciemnym i błyszczącym.

- Leci mi krew.

- Cholera, przepraszam - powiedziałem zawstydzony i wziąłem ją za rękę.

- Nie, nic się nie stało. Tylko wiesz... krew. - Pokręciła głową, jakby odganiała jakieś niedobre myśli, i uśmiechnęła się powściągliwie. Na jej wardze zobaczyłem ciemnoczerwoną kroplę.

I zrozumiałem. Po tym, co się stało z jej rodzicami, surowy zapach krwi, zwłaszcza z wnętrza jej ust, musiał nią nieźle wstrząsnąć. Jak dawała sobie radę z magią? Zaczerpnąłem gwałtownie powietrza.

- Chodźmy.

- Dobra.

Nie poruszyliśmy się. Po chwili znowu się całowaliśmy, napierając na siebie ciałami. Posmakowałem jej cierpkiej krwi. Z upojenia zakręciło mi się w głowie. Byłem wniebowzięty, serce pompowało mi w żyły gorącą krew.

Nagle Silla straciła równowagę i upadła. Nie udało mi się jej złapać i z dziewczęcym piśnięciem wylądowała na miękkiej kępie gęstej trawy.

- Silla, przepraszam...

Gdy oparła dłonie na ziemi, trawa dookoła niej zaczęła się przemieniać.

Zielonozłote łodygi zadrżały i przebarwiły się na cytrynowo; na gałązkach zakwitły purpurowe kwiaty, obok rozwijały się kolejne pączki, fioletowe, intensywnie szafirowe i jaskrawopomarańczowe.

Pośrodku tej krainy Oz w technikolorze siedziała ona. Otworzyła usta i przesuwając palcami po trawie i kwiatkach.

Moje myśli furkotały jak mały helikopter, wirując coraz szybciej i szybciej, aż wszystko zagłuszył mi hałas śmigieł. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego.

Silla zakryła usta dłońmi i skoczyła na równe nogi.

- Nawet nic nie powiedziałam! - krzyknęła, jakby wyjaśnieniem mogła cofnąć to, co się stało. Przytuliła się do mnie. Wiatr zaczął zrywać płatki i ciskać nimi wkoło. Przez chwilę poczułem się jak w reklamie skittlesów.

Popatrzyła na mnie.

- Nick, posłuchaj. Yyy... - Płatała się. To był wymarzony moment, żeby wszystko jej powiedzieć. Powinienem być tak zrobić. Powinienem być położyć jej ręce na ramionach i spokojnie wyjaśnić, że nie musi się martwić. Ja wszystko wiem.

- Nick — wyszeptwała. Jej zimne palce odnalazły moje.

- Już dobrze - powiedziałem powoli. Jakoś nie mogłem się przemóc. Może dlatego, że byłem w stanie myśleć tylko o tym, czy znowu mnie pocałuje. - To wszystko mi się nie przywidziało, prawda?

- Nie. To... magia. Wiem, że mi nie uwierzysz, to brzmi nieprawdopodobnie - odparła i zabrała ręce.

- Poczekaj. Widziałem, co zrobiłaś na cmentarzu, co się stało z tym liściem. Tak mi się wydawało. To teraz było jakby... potwierdzeniem. - Mówiłem prawdę. Nie byłem pewien co do tamtego. Nie chciałem być pewien.

Wypuściła powietrze przez zęby.

- Ja bym nie uwierzyła, gdyby nie to, że sama to sprawiłam.

Nic nie powiedziałem, tylko oblizałem usta. Czułem jeszcze mrowienie od pocałunków. Całe moje ciało mrowiło, tak bardzo chciałem znowu ją przytulić i pocałować, sprowokować do magii. Helikopter w mojej głowie huczał.

- To magia, Nicholas. Magia krwi. Nie powinieneś w nią wierzyć.

- Ale wierzę - odparłem. Przyciągnąłem ją za ręce i pocałowałem. *W życiu nie widziałem nic piękniejszego niż ty w morzu kolorowych kwiatów.*

S I L L A

Wlekliśmy się przez pastwisko pana Meroona, uważnie omijając krowie placki. Ja cały czas zerkałam na Nicka. Chciałam znowu zanurzyć palce w jego czuprynie, pocałować go i stracić mu kapelusz. W świetle księżyca trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy, ale ewidentnie o czymś rozmyślał. Pewnie o mnie. I o magii krwi. Miałam nadzieję, że nie zastanawia się, jak zwiąć.

Od chłodnego podmuchu dostałam gęsiej skórki. Przyspieszyłam. Właściwie to powinnam się martwić, że nie chcący wywołałam magię, ale jakoś nie potrafiłam. Wieczór minął cudownie, a obok mnie był świetny chłopak,

któremu udało się poprawić mi nastrój i który nie uważał mnie za wariatkę. Magia stanowiła po prostu sumę mojej radości, dobrego samopoczucia i katalizatora w postaci kropli krwi z ust. Z naszych pocałunków. To było ucieleśnienie naszego nastroju.

- To cmentarz? — Pytanie Nicka przywróciło mnie do rzeczywistości. W palcach czułam mrowienie.

Zza niewysokiego muru wyłaniały się mleczne kamienie nagrobne.

- Tak. Twój dom jest tam - wskazałam na prawo. - Ta ciemna kępa to las dookoła.

- Mhm. - Skinął głową w zamyśleniu. - Dlaczego byłaś na cmentarzu? Wtedy z liściem? Czy to musi odbywać się na cmentarzu?

- Nie, pewnie nie. Ale tam byłam blisko taty.

Przeleźliśmy przez cmentarny murek.

- Często tu kogoś chowają?

- Nie. Moi rodzice byli pierwsi od lat. Twój dziadek leży na ładniejszym, nowoczesnym, na północy Yaleylah. Chociaż nie wiem, dlaczego ludzie wolą tamten. Jest zbyt sterylny. Jakby sztuczny. - I dodałam cicho: - Śmierć taka nie jest.

- Może ludzie chcą, żeby była. Pomyśl o cmentarzach wojskowych. Rzędy białych tablic, wszystkie takie same. Uporządkowane. Zupełnie inaczej niż wojna.

Miałam ochotę znowu wziąć go za rękę. Obserwowałam go, gdy wyprzedził mnie trochę, żeby wyminąć długą, niską mogiłę. Był taki wysoki, szczudlasty. Przypominał młode zwierzę z dużymi łapami i zbyt długimi nogami, o którym wiadomo, że niebawem dorośnie i przeistoczy się w coś nieznośnie przystojnego. Z potarganymi od kapelusza włosami.

Uświadomiłam sobie, że fantazjuję o Nicku na cmentarzu, gdzie leżą moi rodzice, i czym prędzej przestałam się uśmiechać. Dogoniłam go. On obejrzał się i zapytał, unosząc brwi:

- W porządku?

- Yhm. - Wysunęłam brodę i przyspieszyłam, prawie truchtem wchodząc w zakręt zarośniętej ścieżki. - Możemy pójść tędy, wtedy już tylko kawałek wzdłuż muru i jesteśmy u mnie.

Uniósł brwi jeszcze wyżej. Roześmiałam się nerwowo.

- Yyy, to znaczy jeśli chcesz. Zapraszam.

Zrobił krok w moją stronę, objął i znowu pocałował. Przechylił mnie tak jak wcześniej podczas tańca.

- Bardzo - odparł, zbliżając usta do moich, i podniósł mnie z powrotem.

Nie mogłam złapać tchu, więc tylko skinęłam głową i odwróciłam się, żeby poprowadzić go zdradziecką ścieżką.

ROZDZIAŁ 14

S I L L A

Całą uwagę skupiałam na maleńkich syczących bąbelkach w czajniku. Usiłowałam nie myśleć o tym, że kiedy Nick pochylił się nad moim ramieniem do okna, żeby odsunąć białą firankę, prawie dotknął mojej ręki.

- Moja macocha padłaby trupem, gdyby tu weszła. Mogę ją zaprosić?

- Dlaczego jej nie lubisz?

Wskoczyłam na blat obok dwóch bliźniaczych kubków, z których zwisały papierowe metki od torebek herbaty.

- Pewnego dnia pojawiła się u taty w biurze, żeby zatrudnić go do obrony przed tym całym prześladowcą, i założyłam się, że przespali się ze sobą jeszcze przed kolacją. - Wzruszył ramionami, zapatrzony w okno.

Zakołysałam nogami skrzyżowanymi w kostkach, stukając obcasami w szafki. Nick zauważył, że mu się przyglądam. Oblizałam usta i spuściłam wzrok na pierścionki.

- No więc - ciągnął, przechodząc do stołu i wysuwając jedno z krzeseł - jest tak: Lilith mówi, tata słucha. Kiedy dowiedzieliśmy się, że dziadek jest umierający, powtarzała w kółko: „Ach, to wprost wymarzone miejsce dla pisarza”. Oświadczyła, że nie chce wychowywać dzieci w mieście. Dzieci! Wyobrażasz sobie? On jest pod pięćdziesiątkę.

- A ona?

- Młodsza, trzydzieści dwa lata.

Czajnik zapiszczał. Zsunęłam go z palnika, zaraz gdy zaczął wyc. Nalałam do kubków gorącej wody i przykryłam je spodkami.

- Żeby szybciej naciągnęły - wyjaśniłam Nickowi, który uniósł pytająco brwi, i zaniósłam kubki na stół. Usiadłam metr od niego i oparłam łokcie na blacie. — Nie musisz... możesz iść, jeśli chcesz.

Był nieruchomy jak posąg.

- Chcesz, żebym poszedł? - zapytał cicho, patrząc mi w oczy, potem na usta.

Zanim zdążyłam pomyśleć, odsunęłam gwałtownie krzesło i stanęłam przy Nicku. On odchylił głowę i spojrzał mi w oczy. W ostrym świetle mosiężnej lampy kuchennej

wyglądał doroślejsz, a jego brązowe oczy pojaśniały. Był silny i spokojny. Dłonie złożone na kolanach robiły wrażenie dużych, mogących utrzymać wiele. Zamrugął. Przesunęłam palcami po jego twarzy od kącika oka w dół, po miejscu, gdzie kiedyś pojawiają się zmarszczki.

Pocałowałam go, a moje zamknięte powieki zatrzepotały.

Dłuższą chwilę nie ruszaliśmy się i prawie nie oddychaliśmy; stykały się jedynie nasze usta. Potem Nick położył mi dłonie na biodrach, a ja osunęłam mu się na kolana. Otworzyłam oczy. Był tuż przy mnie. Pocałowałam go w kącik ust, policzek, znowu w usta i rozchyliłam wargi, żeby dać mu przedsmak. Wszystko działo się powoli. Było mi dobrze. Całowałam go i wdychałam zapach jego skóry i żelu, którym zaczesywał włosy do tyłu. Na skórze czułam mrowienie, ale nie bolesne jak wtedy, gdy używałam magii.

Nick dotknął mojej szyi i ujął w dłonie twarz, głaszcząc palcami włosy za uszami. Wzdłuż kręgosłupa przebiegł mi dreszcz. Całowaliśmy się bez końca. Pragnęłam, żeby to trwało wiecznie.

Do mojej świadomości przedarło się przytłumione trzaśnięcie drzwiami samochodu i jakieś dźwięki. Bez tchu odsunęłam się od Nicka i spojrzałam w jego zamglone, błędne oczy.

- Nie - zaprotestował miękko, niczym dziecko, które odesłano do kąta z powodu zawiłych reguł w świecie dorosłych.

Pocałowałam go delikatnie.

- Ktoś przyszedł.

Zmarszczył brwi, starając się uchwycić, co mówię. Zamrugął powoli kilka razy. Miękka skóra pod oczami aż prosiła się, bym jej dotknęła.

- Mhm. Twój brat?

- Może. A może babcia Judy. - Niechętnie wstałam z jego kolan.

Nick przesunął palcami po włosach, zamarł i spojrzał do góry, jakby chciał ocenić skalę zniszczeń. Czupryna sterczała mu na wszystkie strony. Zachichotałam.

- Jezu, gdzie jest łazienka?

- Na końcu korytarza, pierwsze drzwi po lewej.

Kiedy wybiegł, ja zdjęłam spodki z kubków z herbatą. Buchnęła para. To znaczy, że nie całowaliśmy się znowu tak długo, ale miałam wrażenie, że minęła cała wieczność. Zamknęłam oczy i zadrżałam. Oparłam się o stół. Policzki mi pałyły, a usta zupełnie spierzchnęły. Rozcięcie wewnątrz ust pulsowało w rytm bicia serca. Nigdy się tak nie czułam. Jakbym była naelektryzowana.

Ktoś otworzył kluczem drzwi wejściowe. Usłyszałam kroki babci Judy i klapnięcie jej skórzanej torebki o terakotę w przedpokoju. Ucieszyłam się, że to nie Reese, i nagle uświadomiłam sobie, że powinnam dać mu znać, że nie ma mnie na imprezie.

Wyciągnęłam z kieszeni telefon i napisałam SMS-a: „Już w domu!”. Akurat kiedy nacisnęłam guzik wysyłania, Judy weszła do kuchni.

- Cześć - przywitałam się. Odłożyłam telefon i podałam jej mój nietknięty kubek herbaty.

- O, jesteś w domu? Dziękuję, skarbie. - Wzięła kubek, odstawiła go na stół i usiadła na krześle. Jedną ręką rozpiniała żakiet, a drugą zdejmowała z uszu klipsy z perłami. - Co za wieczór. Zupełnie nie rozumiem gustu filmowego tutejszych dziewczyn.

- Byłaś u pani Pensimonry?

- Tak! Wiedziałaś, że będzie okropnie?

- Jej wnuk chodził do klasy z Reese'em. Powiedziała mu kiedyś, że odkąd mają telewizję satelitarną, całymi dniami ogląda Animal Planet.

- Silla, wyobraź sobie, że istnieją całe programy o ratowaniu zwierząt z rąk właścicieli, którzy źle się nimi zajmują. Niemal dokumenty. Miałam ochotę się roześmiać, ale zobaczyłam, że wszyscy poza mną siedzą z przerażeniem na twarzy. Gdybym poprosiła o coś bardziej ambitnego, skazałabym się na towarzyską banicję.

- Idziesz tam za miesiąc? - Nalałam wrzątku do trzeciego kubka i wyjęłam z szuflady torebkę herbaty.

- Penny obiecała mi Cary'ego Granta, więc pewnie pójdę.

- Upiła łyk herbaty. - A jak twój wieczór?

- W porządku. - Wzruszyłam ramionami i usiadłam.

- Jak wróciłaś?

Właśnie w tym momencie wszedł Nick. Udało mu się uklepać włosy we względnie schludną fryzurę.

- Babciu, to jest Nicholas Pardee. - Upajając się jego pełnym imieniem, objęłam dłońmi kubek.

Judy wstała i wyciągnęła ku niemu rękę.

- Dobry wieczór.

- Bardzo mi miło panią poznać. Jest pani babcią Silli?

- Mów mi Judy. Nie, przez parę lat byłam żoną dziadka Silli, ale już po narodzinach jej taty.

- Nie jesteś stąd, prawda?

- Nie. I poznaję po twoich samogłoskach, że ty też nie.

Oboje uśmiechnęli się szeroko. Z pewną zazdrością obserwowałam, jak się bratają.

Judy, która oczywiście mieszkała jakiś czas w Chicago, prze-maglowała go pytaniami o jej ulubione miejsca: promenadę

nad oceanem i wystawy w galerii „Atlas”. Nick o galerii nigdy nie słyszał, ale opowiedział, co słyhać w oceanarium „Shedd”. Po chwili Judy rozprawiała o swoim trzecim mężu, zaraz po dziadku, który na początku lat osiemdziesiątych miał tam mieszkanie. Nick słuchał z zainteresowaniem, a przynajmniej udawał lepiej niż większość znanych mi chłopaków. Kiwał głową i zadawał pytania z nieznacznie tylko uniesionymi kącikami ust. Oparłam brodę o dłoń i przyglądałam się linii jego kości policzkowej, uchu i sterczącym kosmykom włosów wołającym rozpaczliwie o grzebień czy żel. Chociaż z rozczochowaniem było mu do twarzy.

Nigdy tak gwałtownie nie pragnęłam z kimś być. Wcześniej, owszem, umawiałam się z chłopakami, flirtowałam, ale cały czas starałam się utrzymać ich na dystans, bo wiedziałam, że wyjeżdżam na studia. Nie zamierzałam angażować się w nic stałego. Kumplowałam się z chłopakami z kółka teatralnego i spędzałam trochę czasu z kolegami Reese'a, w dwóch się nawet zakochałam. Był oczywiście Eric, a w drugiej klasie Petey. Ale związek z Nickiem nie polegał na czekaniu, aż mnie zauważy, uśmiechnie się do mnie albo się ze mną umówi. Po dzisiejszym wieczorze miałam pewność, że czuje to samo co ja. Patrzył na mnie, jakby chciał całować mnie do końca świata, ale nie tylko to; miałam wrażenie, że przez warstwę masek widzi moją prawdziwą twarz. Drżałam z niecierpliwości.

Nick, tak samo jak książka z zaklęciami, pojawił się w moim życiu nagle, kiedy chciałam jak najwięcej zapomnieć i skupić się na przetrwaniu. Książka kusiła mnie swoją wiedzą, możliwością wyjaśnienia śmierci mamy i taty, m a g i a. A czym kusił mnie Nick? Wszystkim, co zniknęło z mojego życia, gdy klęczałam w krwi rodziców? Tym, co ze mnie wyparowało,

ustępując miejsca zapachowi lęku. Radością, śmiechem, randkami, szybką jazdą, myśleniem z nadzieją o przyszłości...

A może po prostu pocałunkami. Albo perspektywą paru godzin poza domem. W optymistycznym scenariuszu - zaufaniem. I miłością?

- Silla?

- Hm?

Nick i babcia Judy patrzyli na mnie oboje.

- Zasympiałaś na dłoni. - Judy pokręciła głową, z trudem maskując uśmiech. - Miałaś bardzo ciężki tydzień, powinnaś się położyć.

- Wróćę pieszo, to niedaleko - powiedział Nick i wstał.

- Poczekaj, odwiozę cię. Mogę wziąć twoje auto, babciu, prawda? - Poderwałam się i zakręciło mi się w głowie. To pewnie przez kwiaty. Wyczarowałam je tak szybko i nagle. Kwiaty i pocałunki zużyły całą moją energię.

- Nonsens, Nick to duży chłopiec, może pójść pieszo. To dżentelmen, a ty jesteś zmęczona. - Machnęła ręką, żeby uciąć dyskusję, zebrała kubki i włożyła je do zlewu.

- Sil, naprawdę, nie ma potrzeby. Może mnie kawałek odprowadzisz? - Wziął mnie za rękę i splótł swoje palce z moimi.

Różowa blizna na dłoni zaszczypała.

- Dobra.

Wyszliśmy. Zaprowadziłam go na tyły domu, gdzie krzewy forsycji okalały ogród wysokim, wybujałym żywopłotem. Przedarliśmy się przez miejsce, w którym gałęzie były rzadkie. Stamtąd dwanaście kroków i byliśmy pod zniszczonym murem cmentarza.

Szliśmy w milczeniu, ze splecionymi razem palcami. Księżyc świecił na tyle mocno, że widać było tylko najjaśniejsze gwiazdy. Z zachodu napłynęły strzępiaste chmury,

przypominające ciemnoszare smugi farby na horyzoncie. Westchnęłam i ścisnęłam Nicka za rękę. A potem pojawiła się natarczywa myśl: *Spodobałby się mamie.*

Ścisnęło mnie w gardle. Odwróciłam twarz, żeby Nick nie zobaczył, że ściągnęła się w bólu. Nieważne, jak bardzo ktoś mi się podobał, teraz czy w przyszłości. Nigdy nie przeżyję tej pełnej zakłopotania chwili, kiedy przedstawiam chłopaka mamie. Nigdy nie poczuję zdenerwowania, gdy tata lustruje go od stóp do głów i mówi: „Nie gorzej niż Ofelia”. Jeżeli chłopak się roześmiał, zdawał test.

- Silla?

Nick pociągnął mnie delikatnie za rękę, żebym na niego spojrzała. Byliśmy w pół drogi do niego, staliśmy przy ponurej rzeźbie cherubina. Nie podnosiłam wzroku, bo nie byłam pewna, czy nad sobą panuję. Maską koloru morskiego czekała w pobliżu.

- O czym myślisz? - zapytał.

- O Ofelii.

- Dziewczynie Hamleta?

- Tak.

- Tej, co się utopiła?

- Tak.

Przysunął się do mnie i musiałam podnieść twarz, żeby nie rozgniótł mi nosa podbródkiem. Zetknęliśmy się ustami. Nick odsunął się, mamrocząc:

- A może jakaś weselsza, co? Na przykład... nie. Albo... nie. Rany, wszystkie dziewczyny Szekspira, jakie znam, są z tragedii. Nie ma jakiejś wesołej, która żyła długo i szczęśliwie?

- Jest. Miranda z *Burzy*. Wychowała się z magią. - *Jej tata*

był potężnym magiem. Zaśmiałam się smutno.

- Dobra, Miranda. Dzięki za herbatę, mała.

Światło księżycy cyzelowało rysy jego twarzy.

- Było... fajnie - powiedziałam i natychmiast zawstydziałam się, że wygaduję takie banały. Żeby ocalić chwilę, pocałowałam go. Oddał pocałunek wargami, ciałem zachowując dystans. Miałam ochotę otworzyć jego usta i zanurkować do środka, ale Nick odsunął się.

- To jak, magiczna dziewczyno, pokażesz mi więcej?

W górę kręgosłupa przebiegł mi dreszcz.

- Tak. Przyjdź na cmentarz jutro po południu. - Pocałowałam go. Przytuliłam się. Nie chciałam, żeby odchodził.

Nick jęknął i cofnął się.

- Mała, nigdy się stąd nie ruszę, jak będziesz tak robić.

- Przepraszam. - Zrobiłam krok w tył i objęłam się ramionami. Już tęskniłam za jego ciepłem.

- Nie przepraszaj, tylko... - Wyciągnął rękę, ale zaraz ją opuścił. - Do zobaczenia jutro.

- Mhm.

Ani drgnął. Patrzyliśmy na siebie, aż powiedział w końcu powoli:

- Zjesz ze mną kolację?

Roześmiałam się cicho. Nie przypuszczałam, że aż tak się ucieszę na myśl o randce.

- Tak.

- Adieu. - Zasalutował zawadiacko i oddalił się między rzędy nagrobków.

- Cześć - szepnęłam.

Stałam tak w świetle księżycy, dopóki nie zaczęłam szczerkać zębami.

N I C H O L A S

Dziewczyna w kwiatach skąpana

Całusy w technikolorze

Chyba nie zasnę do rana

Mój Boże...

Czułem się wspaniale. Pewnie dlatego z głowy wylewały mi się rymy. Nawet nie starałem się wkradać po cichu, tylko poszedłem prosto do garażu, kopnąłem ubłocone kalosze Lilith i wpadłem do kuchni. Niewykluczone, że nuciłem coś pod nosem.

Skierowałem się do lodówki. Moje buty stukały po kafelkowej podłodze. Wyjąłem sok pomarańczowy i na wpół zjedzoną kiełbasę.

- To ty, Nick?

- Tak! - odrzyknąłem; nawet się nie martwiłem, że Lilith pewnie przyjdzie i będzie mnie zagadywać.

Wkroczyła do kuchni, zamiatając podłogę jedwabnym brzegiem podomki.

- Skarbie, mogę ci coś ugotować, jeśli jesteś głodny.

- Daruj sobie, dobrze? - Uśmiechnąłem się.

Znieruchomiała.

- Co masz na myśli?

- Tę szopkę z udawaniem mamy, strażniczki domowego ogniska. - Oczekiwałem, że zrobi mi awanturę albo wbije szpilę i wyjdzie obrażona. Pomyślałem o Silli i wskoczyłem na blat. Piersiówka wbiła mi się w tyłek, ale nie chciałem jej wymować przy Lilith.

- Złaż z blatu.

Zostałem tam, gdzie siedziałem, i wgrzyłem się w kiełbasę.

- Widzę, że tylko pogarszam sytuację. - Odsunęła taboret stojący przy wysepce na środku kuchni i usiadła z gracją, złączając długie palce, jakby miała zamiar modlić się o zbawienie mojej duszy. - To co mam robić? Ignorować cię? Traktować jak śmiecia i tylko czekać, żeby cię wyrzucić, kiedy skończysz liceum?

- To byłaby miła odmiana.

- Twój ojciec nie byłby zachwycony.

- Nie wiadomo, sam dość skutecznie mnie ignoruje.

Przez chwilę myślałem, że będzie bronić taty. Ale ona tylko westchnęła i zapytała:

- Jak było na imprezie? Wcześniej wróciłeś.

- Bez obaw, zaliczyłem.

Wygięła usta w podkowę.

- Zaliczyłeś? Nicholas, chyba nie chcesz powiedzieć, że uprawiałeś seks?

Właśnie wtedy postanowiłem, że tylko i wyłącznie Silla może mnie tak nazywać.

- Nick. Nie mów do mnie Nicholas. Jezu, ta rozmowa to jakaś pomyłka. - Zeskoczyłem z blatu. - Idę spać. - Zawinałem kiełbasę z powrotem w folię, schowałem do lodówki i popatrzyłem na Lilith. - Laweta przyjeżdża jutro o dziewiątej. Cześć.

- Dobranoc, Nick. - Powoli podniosła się z taboretu.

Wychodząc, czułem między łopatkami jej świdrujące spojrzenie. Grr.

S I L L A

Księżyc w pełni oświetlał mi drogę nie gorzej niż słońce. Szłam, klucząc, nie zależało mi specjalnie na tym, żeby wrócić szybko do domu.

Muskałam palcami znajome kamienie nagrobne. „David Klauser-Keating, zm. 1953. Pokój jego duszy”. Klauserowie nadal mieszkali w miasteczku, byli właścicielami jednej ze stacji benzynowych. Dalej: „Panna Margaret Barrywood, ukończona córka. 1912-1929”. Zmarła, mając tyle lat co ja. Zatrzymałam się i dotknęłam palcami szorstkiej granitowej tablicy. Ciekawe, czy zdążyła się z kimś całować.

Miałam nadzieję, że tak.

Uśmiechnęłam się tym wewnętrznym uśmiechem, który zmienia całą twarz, od warg aż po nasadę włosów. Wyrwał mi się chichot. Zawstydzona szybko zakryłam usta dłońmi. Odchyliłam głowę i wyszczerzyłam się do wiszącego prosto nade mną księżycy. Oświetlał mnie jak teatralny reflektor. *Oto Siila Kennicot*. Po raz pierwszy od dawna zatęskniłam za sceną. Wyobraziłam sobie, że kurtyna już zapadła, a ja stoję z wyrzuconymi ramionami i gestem proszę widownię, żeby uniosła mnie oklaskami. Teraz moją widownią były kamienie nagrobne. Chciałam, żeby zapamiętały ten wieczór tak samo jak tamten, gdy przelałam krew i przywróciłam cmentarzowi życie.

Wreszcie poczułam, że żyję.

W olśnieniu pobiegłam do grobu rodziców. Nie wiedziałam, czy słuchali ani czy ich duchy w ogóle mnie rozpoznają - żywą, rozpromienioną dziewczynę, ale musiałam opowiedzieć im o Nicku.

Pędziłam, a przed oczami migała mi moja kamienna widownia. Zimne powietrze wypalało mi gardło i płuca. Zatrzymałam się ślizgiem; pod podszewkami zachrobotały suche liście. Coś było nie tak. W czystym powietrzu wyczuwałam cierpką woń. Wstrzymując oddech, powoli obeszałam mogiłę rodziców.

Całe powietrze uszło ze mnie w okrzyku przerażenia.

Inskrypcję znaczył bryzg czerwieni. Przycisnęłam pięści do brzucha. Na ziemi na ich grobie pojawił się znak. Oddychałam szybko, jakbym na języku miała ptaszka bijącego skrzydłami o moje zęby. Powoli uklęknęłam i przyłożyłam dłonie do ziemi. Czułam mrowienie, zwłaszcza na lewej dłoni - blizna pulsowała, jakby krew chciała wytrysnąć spod skóry.

Przyjrzałam się wyrysowanemu znakowi. Ostre linie i kąty. Nie mogły pojawić się przypadkiem. Jakiś symbol, ale nie z książki taty. Co znaczyło, że to nie Reese, nawet gdybym wymyśliła powód, dla którego mógłby zrobić coś takiego.

Ktoś wiedział o magii. I był tutaj. Blisko. Ktoś, kto mógł użyć magii przeciwko tacie. Żeby zabić jego i mamę.

Upadłam do tyłu, uderzając łokciem o kamień nagrobny. Podniosłam się i rozejrzałam w poszukiwaniu ruchu, cokolwiek odbiegającego od normy. Ale w srebrzystym blasku księżycy wszystko było nieruchome. Wiatr ucichł. Dookoła tłoczyli się umarli, którzy przed chwilą mnie oklaskiwali. Czułam na karku ciężar ich spojrzeń. Drżałam aż po koniuszki palców.

Ale byłam przecież sama.

Uciekłam.

ROZDZIAŁ 15

S I L L A

Całą wieczność dzwoniłam na komórkę Reese'a.

Oparłam plecy o drzwi mojego pokoju i przyciągnęłam kolana do siebie.

- Odbierz - syknęłam.

Ale telefon cały czas tylko dzwonił i dzwonił. W końcu włączyła się poczta głosowa. „Tu Reese”. Piiiip.

- Reese, przyjeżdżaj szybko. Jestem w domu, wróciłam z cmentarza. Ktoś jeszcze wie o magii. Mówiłam ci, że magia może wyjaśnić, co stało się z rodzicami. Miałam rację. Ktoś wie. Proszę, przyjeźdź. Uważaj. - Ostatnie słowo wyszeptałam. Zatrzasnęłam klapkę komórki i ścisnęłam ją w dłoni.

Co robić?

Przyłożyłam telefon do czoła i zamknęłam oczy. Na dole babcia Judy oglądała w swoim pokoju telewizję. W całym domu słychać było tylko śmiech z offu i wiatr szumiący w drzewach za oknem.

Na kolanach przeszłam po dywanie do łóżka i wyciągnęłam spod materaca książkę z zaklęciami. Przekartkowałam ją w poszukiwaniu symbolu podobnego do tego, który ktoś wyrysował na grobie rodziców. Czarne znaki odcinały się od wiekowych stronic.

Nic. Żaden nie pasował. Tamten kształt przypominała co nieco jedynie siedmioramienna gwiazda do odpędzania kłatw.

Znowu zadzwoniłam do Reese'a. I znowu nic.

Może zabalował w barze i nie usłyszał telefonu. Wszystko było dobrze. Pewnie dostał wcześniej SMS-a, że jestem w domu, i przestał się o mnie martwić. Ja też powinnam zacząć się martwić dopiero po północy, czyli za jakieś pół godziny. Wtedy miał wrócić.

Bez niego nie mogłam nic zrobić. Musiałam poczekać, aż przyjdzie, chociaż nie miałam pojęcia, co wtedy wymyślimy.

Wspięłam się na łóżko i wbiłam wzrok w sufit. Miałam wrażenie, że łóżko kołysze się lekko, jak poruszany wiatrem hamak. Gdy zamknęłam oczy, wrażenie znikło, ale pod powiekami widziałam tylko bryzg krwi na kamieniu i czerwoną kałużę wsiąkającą w dywan w gabinecie. Wolałam już gapić się w sufit i czuć bujanie łóżka.

Byłam wyczerpana magią, mimo że do wyczarowania kwiatów użyłam bardzo niewielkiej ilości krwi. Energia mnie opuściła. I zapewne nie pomogły też gorączkowe pocałunki Nicka, a potem fala lęku i adrenaliny.

Muszę nauczyć się kontrolować działanie magii. Może z czasem będzie lepiej. Magia była jakby nowym mięśniem, który muszę wyćwiczyć, teraz obolałym od intensywnego używania.

A może... może nie muszę używać własnej krwi? Tylko jakiegoś innego organizmu, na przykład zwierzęcia. W końcu historie o czarownicach pełne były ofiar ze zwierząt. Zawsze towarzyszył im chowaniec.

Wyskoczyłam z łóżka. To miało sens.

Złapałam bluzę i komórkę, na wypadek gdyby dzwonił Reese. Uchyliłam ostrożnie drzwi i przemknęłam na dół. W ciemnej kuchni wypiłam szklanek wody i z zamkniętymi

oczami oparłam się o blat. Wsłuchiłam się w noc. Dom skrzy-
piał cichutko, a wiatr uderzał gałązkami o okna na górze i szu-
miał nad polami. Wycie wiatru stwarzało iluzję, że wszędzie
dookoła jest woda. Bardzo mi się to podobało.

Ciszę przerwały głosy z filmu w pokoju babci Judy. Zaprag-
nęłam poprosić ją o radę.

Zamiast tego wyobraziłam sobie, że siedzę z tatą przy stole
kuchennym i pytam go o wszystko. Skąd brała się moc? Dla-
czego moja krew przemieniła suchą trawę w kwiaty? Dlaczego
płoneża we mnie magia? On wzięłby pióro i kawałek papieru
i nakreślił odpowiedź; tak jak wtedy, gdy byłam w gimna-
zjum, a on codziennie po obiedzie rozrysowywał mi łaćń-
skie zdania. Mama zbierała naczynia i czasami mimochodem,
jakby w zamyśleniu, przeczesywała włosy taty.

Tata powiedziała by, że jestem wyjątkowa, a moja krew - nie-
zwykle mocna.

Odwrociłam się twarzą do blatu, odstawiłam szklanę
i oparłam się dłońmi o zimne kafelki. Na ścianie lśniły ostrza
noży kuchennych przyczepionych do magnetycznych pasków.
Wzięłam tasak. Jego drewniany trzonek był chłodny i gładki.
Potrzebowałam też pojemnika na krew.

Wyszło mi w gardle. Kilkakrotnie przełknęłam ślinę.

Pan Meroon między drzewami na krańcu swojego pola za-
stawiał pułapki na króliki. Kiedy byliśmy z Reese'em mali,
wyszukiwaliśmy wnyki, uwalnialiśmy zwierzątka i nastawia-
liśmy pułapki z powrotem, żeby pan Meroon nie domyślił się,
że coś się w nie złapało. Zastawiał je zwykle w tych samych
miejscach. Nawet dziesięć lat później doskonale wiedziałam,
gdzie ich szukać.

Dotarłam na miejsce trochę przed pierwszą. O tej porze wszystko spało. Cykady i żaby zamilkły; jedynym dźwiękiem w pobliżu było wycie wiatru. Ostrożnie rozchylałam krzaki jeżyn i paproci, które zasłaniały pułapki. Pod moimi butami chrzęściło poszycie.

Trzecia pułapka miała gościa. Uklęknęłam i odłożyłam na ziemię nóż oraz plastikowy pojemnik na żywność. Gdy dotknęłam trzonka, zadrżała mi ręka.

- Poczekaj - szepnęłam do siebie.

To był tylko królik. Mały zajęczak. Pan Meroon i tak go zabije, a potem oskóruje. Równie dobrze ja mogę go wykorzystać. Położyłam pojemnik na kolanach i zdjęłam pokrywkę. Gruby, poplamiony plastik zniszczył się już przez lata używania. Powinam go była wyrzucić. Wyobraziłam sobie mamę precyzyjnie układającą w nim resztki zapiekanki. Zawsze starała się odmierzyć małą porcję, nie do pełna, bo inaczej pokrywka zgniatała potrawę albo górna warstwa jedzenia przyklejała się do plastiku. Nawet resztki musiały wyglądać estetycznie.

Ale wspomnienia o mamie nie pasowały do tej scenarii.

Pułapka otworzyła się niezwykle łatwo. Zmierzwiony, brązowy królik wyrwał się i drapał pazurami o ścianki pułapki. Szybko wyciągnęłam go za łapę, przygryzłam wargę i przycisnęłam oburącz do ziemi. Tylne nogi kopały powietrze. Unosząc się na kolana, prawą dłońią sięgnęłam po tasak. W uszach łomotało mi serce, a żołądek pełen był ciężkich, przewracających się kamieni. *Silla, dasz radę. Raz, dwa, trzy.* Byłam otumaniona i skamieniała.

W tym samym momencie królik nieomal mi się wyrwał, więc uchwyciłam go mocniej za futro. I wtedy zaczął wyć. Wył i wył bez końca, jak dziecko albo syrena. Przez zaciśnięte

gardło nie mogłam oddychać. Przycisnęłam zwierzaka, ale on walczył i wył dalej. Wzięłam w palce trzonek noża i zamrugałam, żeby się nie rozpłakać. Czy to naprawdę konieczne? Czy jestem w stanie to zrobić? Żołądek przewracał mi się i podchodził do gardła. Jeszcze chwila i zwymiotuję.

Pomyślałam o nieżyjących rodzicach. O Reesie, wciąż żywym, którego za wszelką cenę musiałam chronić. Nie miałam kogo zapytać o radę. Musiałam poznać prawdę o magii. Musiałam.

Zanurzyłam ostrze w karku królika i nacisnęłam całym ciężarem ciała. Krzyki ucichły. Nóż przeszedł przez futro, skórę, mięśnie, kości i wbił się w ziemię z drugiej strony. Krew natychmiast zalała mi dłoń, nóż i wsiąkła w trawę. Wyciągnęłam tasak, podniosłam się do kucek i gorączkowo wycierałam ręce o dzinsy. Nabrałam głęboko i boleśnie powietrza. Serce rozsadało mi żebra. Cudem nie wyplułam płuc. Popatrzyłam na królika bez głowy. Z jego korpusu ciurkała krew.

Nagle przypomniałam sobie, że muszę ją zebrać.

Obróciłam się i złapałam pojemnik. Kręciło mi się w głowie. Stanowczo kazałam swojej ręce podnieść królika za tylne łapy i umieścić nad pojemnikiem. Miałam wrażenie, że robi to ktoś inny.

Krew płynęła szybko. Najpierw bębniła kroplami o plastik, potem rozlała się ciemnoczerwoną kałużą na dnie. Dyszałam płytko, z trudem. Ręka, którą trzymałam królika, zmęczyła mi się, więc przeniosłam go do drugiej. Wpatrywałam się w strunę gęstej krwi łączącą plastikowy pojemnik mojej mamy z króliczym korpusem bez głowy.

Wkrótce zwierzę całkiem się wykrwawiło, lecz krwi w pojemniku było ledwie co. Sporo rozlałam dookoła. A królik ważył niewiele ponad kilo. Biedaczek.

Wstałam i przełknęłam gulę nudności zbierającą mi się w gardle. Zrobiłam to. Nie mogłam w to uwierzyć. I... nagle cały mój entuzjazm wyparował. Rzuciłam ciało zwierzęcia na bok. Naje się nim jakiś kojot.

Głowa leżała obok noża. Podniosłam ją za ucho i z całej siły cisnęłam w krzaki. Słyszałam, jak w locie uderza o szeleszczące gałązki.

Zamknęłam pojemnik i podniosłam nóż. Ręce lepiły mi się od krwi, a zawartość pojemnika stygła. Stałam w ciemności pośrodku małej polanki i nasłuchiwałam cichego lasu. W uszach szumiał mi własny oddech.

I wtedy poczułam ten zapach. Wszechogarniający odór krwi. Zakrztusiłam się i opadłam na kolana.

Gdy odczołgałam się na tyle daleko, że nie czułam krwi i mogłam wstać, niebo na wschodzie zabarwiły już pierwsze promienie brzasku. Było bardzo późno. Dotarłam do domu i niepewnym krokiem przecięłam frontowy trawnik. W tej samej chwili na podjazd wjechała furgonetka Reese'a. Usłyszałam spod kół chrzęst żwiru — najgorszy dźwięk na świecie. Krew na rękach, w nosie, na żwirowej drodze... gdybym zamknęła oczy, znowu zobaczyłabym to wszystko.

Reese wysiadł powoli. Zamknął drzwi ostrożnie, żeby nie obudzić mnie i Judy. Na mój widok odskoczył i uderzył łokciem o blachę auta.

- Silla? - Pokręcił głową i ruszył w moim kierunku, przyglądając mi się w ciemności. Najpierw zwolnił, a potem przyspieszył, aż stanął przede mną. - Wszystko w porządku? Co się stało? - Chciał złapać mnie za rękę, ale ja trzymałam w dłoniach nóż i plastikowy pojemnik. - Silla?

Co robisz z tym nożem? - zapytał nieufnie, jakbym była dzikim zwierzęciem.

- Zabiłam królika. - Podałam mu pojemnik.

Wziął go odruchowo, a potem prawie upuścił.

- O Boże!

- To tylko krew.

Świdrował mnie szeroko otwartymi oczami, potem spojrzał na pojemnik i z powrotem na mnie.

- Złożyłaś go w ofierze?

- Pan Meroon i tak by go zabił.

- Tak, żeby go zjeść, do diabła!

- Zwróciłam go lasowi.

Zauważyłam, że się napina. Dłonie zwinął w pięści i zacisnął szczękę.

- Słuchaj, bączku. Trochę mnie przerażasz. Mówisz jak wariatka.

- Jaki ojciec, taka córka. - W głowie mi zawirowało, byłam bliska omdlenia.

Reese puścił moje bredzenie mimo uszu, odstawił pojemnik, jakby zawierał truciznę, i delikatnie wyjął mi tasak z ręki.

- Jesteś cała we krwi. - Wbił nóż w ziemię.

- Więcej na mnie niż w pojemniku. Mama nie byłaby zachwycona.

Rzucił mi ostre spojrzenie.

- No co ty.

Patrzyliśmy sobie w oczy. Dzieliło nas pół metra powietrza. Byliśmy tego samego wzrostu, chociaż on dzięki chromosomowi Y oraz kilkunastu latom gry w piłkę miał szersze ramiona. Mama mawiała, że Reese ma oczy taty. Jasne i baczne.

Nagle przyszło mi do głowy, że krew królika nie zadziała. Była stara i bezużyteczna.

- Odsłuchaj pocztę.

Zmarszczył się.

- Przeczytałem SMS-a od ciebie. Dotarłaś do domu cała i zdrowa... prawda? - Mówiąc to, sięgnął do kieszeni dzinsów po komórkę.

- Tak - wyszeptałam - ale...

Otworzył kłapkę kciukiem, nacisnął guzik i przyłożył telefon do ucha.

Odeszłam kawałek i usiadłam na schodach werandy. Stopy miałam jak z betonu. Reese otworzył szeroko oczy. Spojrzał na mnie i zacisnął usta. Wzruszyłam ramionami i oparłam głowę o poręcz.

- Chryste Panie, Silla! - Staął przede mną i pociągnął mnie do góry za ramiona. - Nic ci nie jest? Stało się coś jeszcze? Kto to zrobił?

- Nie wiem. - Mimowolnie pokręciłam głową.

- Chodźmy tam.

- Nie mam siły. Poczekajmy parę godzin, aż... wszędzie słońce i wypali księżycowe cienie...

- Jezu.

Oparłam się o niego z rękami założonymi na piersi i pięściami wbitymi w żebra. Złożyłam mu głowę na ramieniu.

- Chyba nie zadziała.

- Co?

- Krew królika.

-Sil...

- Nie ma w niej życia. Jest stara. Nie użyłam jej wystarczająco szybko. Boże. Królik. Co to w ogóle za pomysł.

Reese objął mnie i posadził na schodach, a sam opadł koło mnie. Oparłam o niego głowę.

- Wszystko mi opowiedz.

Opowiedziałam. O pocałunkach Nicka, o kwiatach, o zbezczeszczonym grobie. O poszukiwaniach w magii czegoś, co nie będzie się wiązało z moją krwią. Gdy skończyłam, Reese milczał. Zaskoczona, otworzyłam oczy i spojrzałam na niego. Z gniewną miną spoglądał w stronę domu Nicka.

- Reese.

- Cholera, zrobił ci krzywdę.

- Nie to jest najważniejsze. - Ujęłam go za podbródek i zmusiłam, żeby na mnie spojrzał. - Przestań mnie niańczyć.

Reese wyrwał się.

- Nie ma mowy. — Patrzyłam mu w oczy, starając się zachować poważną minę. W końcu skinął głową.

- To dobrze, bo przychodzi w tym tygodniu na magię. Chce spróbować.

- Silla!

- Dobrze będzie zobaczyć, czy on także to potrafi. Dowiemy się, czy krew innych też ma magiczne właściwości.

Reese wręcz zawarczał z niezadowolenia. Ale po chwili ciekawość wzięła w nim górę i przyznał przez zęby:

- Masz rację. Zrobimy eksperyment.

Oparłam głowę z powrotem na jego ramieniu i powiedziałam jak gdyby nigdy nic:

- Tak się zastanawiałam, czy rodzice mogli zostać zabici za pomocą magii. Skoro ktoś jeszcze o niej wie. - Na czubku głowy poczułam, jak Reese zaciska szczęki. — To zaklęcie na opętanie. W książce tata pisał o ptakach, ale pewnie działa też na ludzi.

- Kurcie, Silla. - Reese odsunął się i zamrugał, jak wtedy kiedy jego mózg potrzebował chwili do zastanowienia. Taka klepsydra, która pokazuje, że trzeba poczekać, bo komputer myśli. - To ma ręce i nogi. Jest cała masa historii o czarownicach, które opętały zwierzęta albo ludzi. Czarownice, no i oczywiście diabły - mówił miękko. Spojrzał gdzieś w przestrzeń. - Myślisz, że ktoś opętał tatę, żeby zastrzelił mamę i siebie?

- Tak. - Z powrotem ułożyłam mu głowę na ramieniu.

- Ale Silla, kto? Kto zrobiłby coś takiego? Kto by potrafił?

- Nie wiem. Może inny czarodziej.

- Sil, to nie *Harry Potter*.

- „Czarownik” brzmi jakoś dziwnie.

- Diakon pisał o nim „mag”.

- Mag to prawie magik, jak Houdini.

- Mhm. - Głowa Reese'a opadła delikatnie na moją. - Houdini też zgłębiał wiedzę tajemną.

Mruknęłam i otuliłam się mocniej rękoma. Reese mnie objął.

- Musimy sprawdzić, czy zaklęcie na opętanie działa - powiedziałam.

- Jest zbyt skomplikowane. Powinniśmy jeszcze trochę poćwiczyć.

- Mamy mało czasu.

- Może istnieje jakieś zaklęcie ochronne.

- Jedno z tych przeciwko złym mocom?

Reese westchnął.

- No tak, ale tata przecież znał je wszystkie. A mimo to zginął.

Przerażona ścisnęłam go za rękę.

- Musimy coś wymyślić.
- Powinniśmy się skupić na szukaniu sprawcy.
- Może użyjemy modyfikacji zaklęcia na odnajdywanie zgubionych przedmiotów? Ten ktoś w pewnym sensie się zgubił. Nam.

- Może.

Ziewnął tak szeroko, że strzeliła mu szczeka; po chwili ziewanie przeszło na mnie. Przytuliłam się do niego.

Dom miał wejście od północnego zachodu, wiedziałam więc, że wszystkie gwiazdy będą widocznie jeszcze przynajmniej przez godzinę. Po cichu nazywałam znane mi gwiazdozbiory. Wielki Wóz. Perseusz. Chłodne, przedranne powietrze pachniało wilgotnymi liśćmi i suchym dymem. I perfumami.

- Pachniesz perfumami.
- Byłam z Danielle.
- Ohyda.
- Taa, po twoich wycieczkach z Nickiem Pardee raczej nie powinnaś pierwsza rzucać kamienia.

- Może i tak.

- Ufasz mu?

- Babcia go lubi - odparłam cichutko.

Reese westchnął.

- Silla, coś wymyślimy. Nie mamy innego wyjścia.

Ja tylko wpatrywałam się w gwiazdy. Zawsze chciałam zobaczyć, jak się poruszają.

ROZDZIAŁ 16

14 czerwca 1905 roku

Ujrzałam nasze przeznaczenie!

Dzisiaj Philip zabrał mnie do lasu i ukazał sztukę Opętania. Najpierw jak zwykle mnie ostrzegł, że choć opętanie jest cennym narzędziem do ćwiczeń, stanowi broń kuszącą, acz niebezpieczną. Ja uwielbiam pokusy.

Sądziłam, że umiejętność tę ciężko będzie opanować, bo Philip, mimo że jest niezwykle doświadczony, z trudem utrzymuje władzę nawet nad małą sójką. Ale ja wskoczyłam w jej ciało, jak gdybym latała od chwili narodzin. Gdy po raz pierwszy wróciłam do ciała po podniebnych saltach, śmiałam się upojona. Philip położył się obok mnie i obserwował, jak kręcę się dookoła własnej osi.

— Nie jesteś zmęczona? - zapytał, oparłszy się na łokciach.

Uśmiechnęłam się do niego, patrząc na jego jasne włosy opadające na czoło, niezapiętą kamizelkę i wyciągnięte nogi.

— Czuję się żywa — odparłam. Położyłam się koło niego, objęłam za szyję i pocałowałam go uśmiechniętymi ustami.

— Josie — zaprotestował i odsunął mnie. Nadąsałam się, a on, śmiejąc się i kręcąc głową, dotknął mego policzka. — Josie, jesteś pijana magią.

— Tak!

Philip roześmiał się.

— *Opetanie nigdy nie wychodziło mi zbyt dobrze. Leżę po nim godzinami. Ty, gdybyś zechciała, mogłabyś pewnie zawładnąć człowiekiem, nawet na długo.*

— *Człowiekiem? — Myśl ta przeszła mnie szybciej niż błyskawica. W głowie narodził mi się milion pomysłów na psoty i zabawy.*

Lecz Philip pokręcił głową.

— *Josephine, to poważna sprawa. Za czasów Diakona ludzi za to zabijano. Za to wszystko, czym się zajmujemy.*

— *Ale dlaczego ktoś miałby nas mordować z powodu magii? Przecież leczymy i wymyślamy zaklęcia...*

— *Duszku, jesteś czarownicą. A ja czarownikiem.*

Szybko zakryłam usta dłońmi i rozejrzałam się po ciemnym lesie. Myślałam o tym, ale nigdy nie wypowiedziałam tego słowa na głos.

— *Czarownica — powtórzyłam cicho. — Ale nasza magia nie pochodzi od diabła.*

— *Nie uważasz, że jest we mnie coś diabelskiego, skoro uczę cię tajemnych sztuk?*

— *Z całą pewnością nie. Przecież nawet nie chcesz mnie pocałować.*

Roześmiał się i spojrzał na moje usta. Już wkrótce mnie pocałuje, wiem to.

Rozmyślałam o tym, co powiedział: że zabija się nasze plemię, ale nie frasuję się tym zbyt. Posiadam moc. Nikt nie zwiąże mnie łańcuchem, bo moja krew przemieni żelazo w wodę. Potrafię przechodzić przez ściany. Teraz wiem, że mogę zawładnąć innym człowiekiem i bez trudu otworzyć każdą klatkę. Philip i ja jesteśmy niezwyciężeni. Jak Bóg. Albo diabeł.

Philip tyle mnie nauczył, że wszystko mu przebaczyłam. Gdy zamyka się ze mną w pracowni albo idziemy za miasto nazbierać kamyków, ziół i żywej ziemi, myślę, że pokocha mnie tak jak ja jego. Nasze palce stykają się mimochodem, nasza krew się miesza.

ROZDZIAŁ 17

N I C H O L A S

Ponieważ spałem przy otwartym oknie, rano obudziłem się zawinięty w pościel jak burrito. Znowu miałem ten durny sen o uwięzieniu w ciele psa, więc kiedy budzik w telefonie ryknął techniawką, ledwo zwlokłem się z łóżka.

Na dole, już ubrany, zdążyłem tylko złapać ciastko i wybiegłem na dwór. Tak pędziłem, że znów potknąłem się o cholerne kalosze Lilith. Dlaczego ona nie trzymała ich gdzie indziej? Przetawiłem je dalej od drzwi. I tak raczej nie będzie nic robić w ogrodzie, był prawie listopad i ziemia zmarzła.

Spędziłem kilka upojnych chwil w lawecie z facetem we flanelowej koszuli, z trudem powstrzymując się, żeby nie powiedzieć mu, że właściwie to mam głęboko gdzieś niedzielny mecz klubu „Tryki” z Saint Louis i czy mógłby, proszę, po prostu udawać, że mnie tu nie ma, bo chciałbym gapić się przez okno i rozmyślać o Silli? Później spotkałem się z Erikiem w sklepie „U Mercera”, zaraz koło mechanika łamane przez stacji benzynowej. I lodziarni, oczywiście. I baru z neonowymi żabami Budweisera w oknie. I sklepu żelaznego. I trzech sklepików ze

starzyzną, które już otwierały z hukiem swoje drzwi. Całkiem miło tak mieć wszystko w zasięgu ręki. Jeżeli potrzebuje się starych mebli, piwa albo młotków, rzecz jasna.

Tuż za szklanymi, przesuwanymi drzwiami spożywczaka mieściło się małe stoisko z kawą, prowadzone przez niejaką panią April McGee. Za kwadrans dziesiąta rano w sobotę była kolejka.

- Nie do wiary - powiedziałem. - W Yaleylah istnieją inne miejscówki poza lodziarnią!

- Za taki tekst stawiasz kawę, dupku. Piję z podwójnym cukrem.

Roześmiałem się i kupiłem nam kawy. Parę minut później dołączyłem do Erica w sklepie żelaznym po drugiej stronie ulicy. Podałem mu tekturowy kubek i stanąłem obok, gapiąc się na ściany pełne narzędzi.

- Co kupujesz?

- Młotki.

Uśmiechnąłem się złośliwie.

- Co cię tak bawi? W Chicago nie macie młotków? A może nie wiesz, co to takiego?

- Nie, nic. Tylko zdaje się, że powiedziałeś „młotki”, w liczbie mnogiej.

- Mhm. Do kółka. W tym tygodniu po szkole musimy... a właściwie ty musisz, członku ekipy technicznej, zbudować estradę na przedstawienie.

- Mega. - Upiłem łyk zaskakująco smacznej kawy i podszedłem bliżej półek, żeby przyjrzeć się wiszącym na haczykach młotkom. Różniły się rozmiarem, niektóre duże jak moje przedramię, inne małe jak dłoń. Po co komu takie małeńki młoteczek? Były takie z drewnianymi i z plastikowymi

trzonkami. Pomalowane albo nie. Uświadomiłem sobie, że wiedza o tych wszystkich rodzajach młotków jest mi niepotrzebna, więc obróciłem się na pięcie w stronę Erica. On medytował nad wyborem młotka, tak jakby robiło to jakąkolwiek różnicę.

- Mogę ci zadać nietypowe pytanie?

- Pewnie.

- Słyszałeś coś dziwnego o moim dziadku?

- Masz na myśli pana Harleigha? - Eric zerknął w moją stronę i wzruszył ramionami. - Jasne, że tak. Stary, twój dziadek mieszkał samotnie przy cmentarzu, aż się prosiło o mroczne historie.

- Czyli to wszystko nieprawda.

Spojrzał na mnie, jakby mówiąc: „No co ty?”.

- Nie znałem go — wyjaśniłem.

- I potrzebujesz paru bajeczek, żeby wypełnić puste miejsca.

- Bingo.

- Dobra, posłuchaj tego. - Zamarł; jedynym ruchem dookoła niego była para ulatująca z kawy. Potem odezwał się niskim, przyciszonym głosem: - Podobno pan Harleigh w chwili śmierci miał dwieście lat i przez jakieś sześć pokoleń utrzymywał nieśmiertelność za pomocą mikstury, którą robił z kości z cmentarza, ale przestał, kiedy... - Zamilkł i odwrócił wzrok z miną winnego, jakby zorientował się, że zaraz powie coś przykrego o mojej rodzinie.

Otrząsnąłem się ze skupienia.

- Kiedy co?

- Kiedy z twoją mamą było źle - powiedział głosem już bez teatralnego dramatyzmu.

- Yhm. - Ramiona pokryły mi się gęsią skórką, ale zamaskowałem zdenerwowanie ironicznym uśmiechem. - Masz na myśli, kiedy sfiksowała.

Eric z ulgą klepnął mnie w plecy.

- Właśnie. Wszyscy o tym wiemy. Dobrze, że ty też.

- Trudno było nie zauważyć.

- Ty też powinieneś uważać.

- Bo co, szaleństwo w genach? Spoko, tata jest najbardziej normalną i nudną osobą na ziemi.

- Nie, nie chodzi mi o geny, stary. - Eric uśmiechnął się.

- Tylko o cmentarz.

- Cmentarz?

- Jest jakby ogniskiem zła. - Jego twarz rozbłysła. - Od zawsze krąży o nim opowieści. Dziadek mówił, że krowy, konie, psy i tak dalej unikają tego miejsca. I jeszcze, że czasem widać tam dziwne światła. No i zobacz, kto mieszka przy cmentarzu? A teraz pomyśl, kto w okolicy w ciągu ostatnich trzydziestu lat zwariował albo został brutalnie zamordowany?

Kawa skwaśniała mi w żołądku.

- Jeżeli tak to ująć...

Eric roześmiał się.

- Masz wreszcie coś do namysłu, kiedy wgapiasz się w Sillę.

Eric miał niestety słuszność. Mimo że nie wiedział nic o magii.

S I L L A

Kruki podfrwały niespiesznie cztery metry od grobu moich rodziców. Żeby je przywabić, ja i Reese rozkruszyliśmy dla nich bochenek czerstwego chleba. Wyraźnie zadowolone skakały tu i tam i krakały do siebie, sprzecząc się o kąski. Ponad

nami rozpościerała się błękitna płachta nieba, a dookoła ciągnął się złocisty jesienny krajobraz; my jednak, zamiast korzystać z pięknej pogody, siedzieliśmy na cmentarzu między zmurszałymi grobami i kępami suchej trawy.

Położyłam się pośrodku kręgu z soli i świec. Czułam, jak hucząca krew pulsuje mi w palcach stóp i rąk. Trawa była nieprzyjemnie szorstka. Zacisnęłam oczy i oddychałam głęboko, skupiając się na ruchu przepony. Zanurzyłam paznokcie w ziemi. Pachniała świeżością i chłodem. Magia paliła mnie w żyłach, a głowa bolała, jakbym zwiesiła się do góry nogami i zabujała - ale zakłęcie nie chciało zadziałać.

Westchnęłam. Spróbowałam się rozluźnić, zapomnieć, gdzie jestem, i miękko wtopić w ziemię.

- Dalej nic? - dopytywał się Reese.

- Jak widać.

- Sil, to nie jest proste jak narysowanie trójkąta. Musisz się nauczyć całkiem nowego języka.

Otworzyłam oczy. Sylwetka Reese'a odcinała się od błękitnego nieba i trudno mi było dostrzec, jaki ma wyraz twarzy. Nie wiedziałam więc, czy żartuje, ale założyłam, że tak, i pokazałam mu język. Roześmiał się.

- Zależy mi na tym! - Usiadłam. — Wszystkie inne zaklęcia mi się udały, więc czemu to nie? Czuję... czuję, że przepływa przeze mnie magia, od głowy - dotknęłam wyschniętego śladu krwi na czole — po ręce. - Pokazałam mu dłonie z runami narysowanymi krwią. - Pulsuje w rytm mojego serca. Reese, tak bardzo bym...

- Może właśnie za bardzo się starasz.

- To chyba nie to. Tata pisał, że ważne są w o l a i w i a r a. Im bardziej tego chcę, tym powinno być łatwiej.

- A więc jakaś część ciebie nie wierzy, że to możliwe.

Przygryzłam dolną wargę.

- Bo... to zakłęcie jest inne. Poprzednie oddziaływały na różne przedmioty, nigdy na mnie samą. Czuję się, jakbym miała się zatracić.

Reese prychnął.

- Silla, ty po prostu lubisz siebie. Zawsze wiedziałaś, kim jesteś.

- Już nie wiem.

- Boisz się? - Reese popatrzył na mnie troskliwie.

Czy się bałam? Na tę myśl poruszyłam się niespokojnie na chłodnej ziemi.

- A ty?

- Raczej nie. Wcielając się w jakieś zwierzę, mógłbym się wiele nauczyć. Byłoby super latać albo polować jako lis...

- Zwrócił twarz w stronę lasu.

Dotknęłam jego ręki.

- Rzykujesz, że się w tym zagubisz. Jak ludzka dusza mogłaby pomieścić się w kuku?

Pokręcił głową i spojrzał z powrotem na mnie.

- Dusza nie ma wymiaru materialnego. Nie ma objętości. Zmieściłaby się i na czubku szpilki, tak jak aniołowie.

Pomimo grzejącego nas słońca zadrżałam. Nieopodal nieświadome naszego istnienia kuki dreptały i podziobywały tu i tam.

- Ja spróbuję. Nie boję się, że stracę siebie.

Nabrałam głęboko powietrza i skinęłam głową.

- Dobra. Zamiana.

Bardzo powoli wstałam i wyszłam poza krąg. Kolana mi drżały, a ziemia cmentarza zakołysała się nagle. Reese złapał mnie za rękę.

- Sil, pomału.
- Kręci mi się w głowie.
- Bardzo?
- Mhm. Starałam się ze wszystkich sił i czułam, że magia jest o włos. Wykończyło mnie to. - Opadłam na kolana i oparłam się plecami o kamień nagrobny rodziców, a Reese mnie przytrzymał. - Rany, niedobrze mi.
- Tata coś o tym pisał, widziałas?
- Tak.
- „Na nudności po opętaniu zaleca się imbir albo herbatę rumiankową. Zakłęcie może mieć szkodliwy wpływ na zdrowie. Spożywać cukier i wodę” - czytał Reese. - Mamy rodzyнки i ciastka.

Podał mi plecak, z którego wyjęłam butelkę wody i torebkę z rodzynkami.

- Ble. - Nie byłam głodna.
- Napij się.
- Moje ciało chyba nie chce być tylko pustą skorupą.
- Mądrze robi.
- Fúj. - Otworzyłam torebkę rodzynek i wyciągnęłam kilka.
- Teraz moja kolej. Masz nóż? - Reese usiadł na ziemi wewnątrz kręgu. Podałam mu scyzoryk i patrzyłam, jak kaleczy się we wnętrze dłoni.
- Szkoda, że nie wyszło z królikiem - powiedziała, marszcząc usta.

Krew zwierzaka ścięła się w pojemniku w obrzydliwą galaretkę. Zamiast próbować ją wskrobać, po prostu wyrzuciłam całość do śmieci. Biedny królik zabity na próżno.

- Może dobrze, że używamy własnej. Dzięki temu ofiara jest jakby pełniejsza. Ale szkoda, że nie możemy zapytać taty.

Reese złożył dłoń w łódeczkę.

- Mhm i przynajmniej wiemy, skąd pochodzi.

Opornie zamoczyłam palec w szkarłatnej kałuży. Krew była ciepła, lepka i ohydna. Wzdrygnęłam się, ale namalowałam na czole Reese'a runiczny znak. On wolną ręką odsłonił kawałek torsu. Narysowałam mu taką samą runę na sercu i dłoniach. Potem przesunął krwawiącą ręką nad kręgiem, wzmacniając moc soli. Według strzałki na rysunku taty miało to pomóc duszy odnaleźć drogę z powrotem do ciała.

Do zaklęcia nie potrzeba było więcej składników. Tylko krew, ogień, wyobraźnia i parę słów po łacinie. Zauważyłam, że zaklęcia natychmiastowe zwykle wymagają mniej zachodu. Natomiast więcej czasu trzeba było poświęcić tym, które miały trwać długo: zaklęciom ochronnym czy eliksirom przynoszącym zdrowie i bogactwo.

Przyłożyłam złożoną ściereczkę do wnętrza dłoni Reese'a.

- Teraz rozluźnij się i wypowiedz zaklęcie. Skup się na sylabach i wyobraź sobie, że jesteś w ptaku.

- Sil, ja też czytałem instrukcje. - Reese zamknął oczy.

- A próbowałaś tyle razy, że zdążyłem nauczyć się słów.

Pacnęłam go w rękę.

- Ej, nie było łatwo, wiesz?

- Mhm. — Reese nabrał powoli powietrza i złożył na udach dłonie ściskające ściereczkę. W miarę jak się odpręzał, rozluźniał szczęki i poruszał zamkniętymi powiekami. Mimo że słońce świeciło mocno, chłodny powiew zwichrzył mu grzywkę, a moje ramiona pokryły się gęsią skórką. Popatrzyłam na wałęsające się kruki, które zjadły już prawie cały chleb. Cmentarz był ich ulubionym miejscem zabaw. Często urządzają też wycieczki w stronę naszego domu. W dzieciństwie

nadałam im wszystkim imiona, choć pewnie tak naprawdę wcale ich nie rozróżniałam; ale miałam tylko sześć lat i nikt nie miał serca mi tego powiedzieć.

Oddech Reese'a stał się szybszy i płytszy, jakby dopasowywał się do oddechu ptaka. Raptem jego ciało się rozluźniło; głowa opadła, palce rozkurczyły się. Osunął się na ziemię. Świecek zgasły.

Przysunęłam się bliżej. Udało się!

Kruki zafurkotały skrzydłami. Zwróciłam ku nim twarz. Poczulałam, że zaczyna kręcić mi się w głowie, więc żeby opanować to uczucie, wbiłam pięści w żołądek i przełknęłam ślinę. Zmrużonymi oczami przyjrzałam się krukowi uważnie. Jeden z nich zamarł, otrząsnął się, wskoczył na kamień nagrobny i powoli zamrugał pionową błoną na oczach. Słońce zasłoniła przepływająca po niebie chmura — znaleźliśmy się w cieniu. Kruk zatrzepotał skrzydłami, zadrżał, poderwał się z marmuru i wzbił w powietrze.

Reszta kruków ze skrzeczeniem poleciała za nim. Podniosłam się, opierając się o nagrobek, ale szybko zgubiłam brata w stadzie to kołujących, to pikujących ptaków. Stanęłam tuż przy kręgu soli. Klatka piersiowa Reese'a unosiła się i opadała, jakby był pogrążony we śnie. Znowu pomyślałam o duszach. Powiedział, że nie boi się, że straci siebie. Czy właśnie tego pragnął?

Dobrze było zobaczyć go ze spokojną twarzą. Czasami pragnęłam doznawać emocji, przełamać tę nieczułą skorupę. Reese jednak czuł wszystko bardzo mocno. Również moją porcję bólu. Właśnie przez to wściekał się, rzucał przedmiotami, za dużo pił i sypiał ze swoją byłą, która tak naprawdę nigdy mu się nie podobała.

Ziemia zakołysała się pod moimi stopami. Złapałam się najbliższego nagrobka. Powinnam zjeść to cholerne ciastko i napić się wody. Dlaczego nie wyszło mi zaklęcie? Bez wysiłku sprawiłam, że zakwitła cała łąka kwiatów, jakby moja krew sama wołała o magię. A teraz... zawiodłam.

Wtem ciało Reese'a drgnęło. Usiadł, podrzucił biodra do góry, otworzył oczy i opadł z powrotem na ziemię. Roześmiał się i rozpostarł ramiona, niszcząc krąg z soli.

- Boże, Silla! - Serce wskoczyło mi na miejsce. Mój brat był cały i zdrowy. Przewrócił się na brzuch i uśmiechnął. - To było cudowne. Latałem! Czułem wiatr na skrzydłach, stawiał opór jak woda. Nie bałem się, że spadnę, nie było takiej siły, która mogłaby mnie ściągnąć na ziemię.

- Super - wyszeptałam, zielona z zazdrości.

Skinął głową i ukląkł. Odszukał wzrokiem kruka, w którego się wcielił. Teraz ptak dreptał w kółko.

- Nie wiem, jak ci to opisać... nagle zrozumiałem wiele rzeczy. I... - zamknął oczy - kolory... drzewa miały tysiąc odcieni zieleni, a niebo... Jezu, niebo... Nie niebieskie, tylko niebieskosrebrnobiałozielononiebieskoniebieskie. Nie ma na to słowa. Wiatr szumi ci w piórach, latasz, kołujesz, wirujesz, spadasz i podlatujesz, zawsze wiesz, co się dzieje, gdzie są chmury, czy nie jesteś za wysoko, a skrzydła... skrzydła! Podwinąłem nogi, mięśnie i kości nagle wiedziały, jak się poruszać. - Reese zakołysał się i otworzył oczy. - Ups, kręci mi się w głowie. - Złapał mnie za rękę. Wyglądał jak mały chłopiec.

- Brzmi niesamowicie.

- To było niesamowite. Też się nauczysz. Pomogę ci. - Ścisnął moją dłoń. Ja odciągnęłam go poza krąg i rzuciłam mu na kolana paczkę ciastek.

N I C H O L A S

Kiedy dotarłem na cmentarz, Silla z bratem siedzieli i wcinali ciastka. Oboje byli ubrani w dżinsy i swetry, a na czołach mieli krew, która psuła trochę ten sielankowy obrazek. O ile w ogóle na cmentarzu może mieć miejsce sielanka. Chyba jednak nie za bardzo.

Zwolniłem, uniosłem rękę i odezwałem się:

- Cześć.

Silla wstała powoli. Mrużyła oczy, jakby bolała ją głowa.

- Cześć, Nick. To mój brat Reese.

- Hej. - Reese wstał i podał mi dłoń.

Potrząsałem nią, ciesząc się, że nie kręcą go samcze konkursy w „kto mocniej ściśnie rękę”.

- Miło cię poznać.

Był ode mnie większy, ale nie wyższy. Stał zwyczajnie, jak facet, który zawdzięcza masę mięśniową pracy, a nie godzinom spędzonym na pojedynkach z przyrządami do ćwiczeń.

- Nawzajem. - Reese ze skrzyżowanymi ramionami oparł się o kamień nagrobny.

W innych okolicznościach wygłosiłbym uwagę, że jest na tyle przypakowany, że chyba nie potrzebuje używać tyłka do przesunięcia kamienia, ale nie chciałem go wkurzać tak od razu. Ani Silli.

- Głodny? - zapytała. Splotła dłonie, a ja zauważyłem, że lewą ma owiniętą niebieską szmatką.

Miałem ochotę ją pocałować. Od ostatniego razu minęło jakieś piętnaście godzin. Chciałem wziąć jej twarz w dłonie i całować do utraty tchu. Ale zamiast tego pokręciłem głową.

- Nie, dzięki.

- Odpoczywaliśmy trochę i jedliśmy, bo zakłęcie jest wyczerpujące. Usiądziemy? - Wskazała na ziemię.

Spojrzałem na krąg z soli. Kryształki migotały w słońcu jak diamenty. To, co chciałem powiedzieć, raczej nie było przeznaczone dla uszu Reese'a.

- No więc, jak tam dzisiejsza magia?

- Reese latał.

- Latał? - Zerknąłem na niego, ale on tylko uśmiechnął się zadowolony.

- Zakłęcie nazywa się *Opętanie*. Reese przeniósł się do ciała jednego z tamtych kruków - wyjaśniła. - I pofrunął.

Po lewej stronie szwendały się kruki; niektóre dreptały po nagrobkach, inne sprzeczały się o kawałki czerwonych liści.

- Niesamowite - rzekłem do Silli, która wyglądała, jakby oberwała dechą, bo schnąca krew na jej czole ściekła do nasady nosa. Reese to samo. - Ta krew to część zakłęcia?

Ciepła ciecz spływa mi do oka. Chcę je wytrzeć, ale mama mówi: „Nicky, nie rób tak, skarbie”. Westchnąłem i odepchnąłem od siebie ten przebłysk pamięci.

- Aktywizuje umiejętność oddzielenia ducha od ciała czy coś w tym stylu.

- Czakra trzeciego oka. - Owszem, wymądrzałem się, bo chciałem zamaskować zmieszanie.

Reese spojrzał na mnie wilkiem.

- Co takiego?

- Yyy, no wiesz... Energetyczne punkty na ciele, które...

- Żadne z nich nie dało sygnału, że wie, o czym mówię.

- Z tradycji hinduistycznej... i bardzo w klimacie New Age... zresztą nieważne.

Silla pociągnęła mnie za rękę, żebym usiadł.

- Cieszę się, że przyszedłeś - powiedziała.

Dłonie miała lodowate. Spletliśmy palce.

- Ja też.

Z bliska dostrzegłem, że znak na jej czole wygląda znajomo. *Nick, pomyśl o piesku. Wyobraź sobie, że biegniesz z nim przez trawę. Czujesz łapami, jaka jest miękka? Czujesz, jak kłapią ci uszy?* Wzdrygnąłem się. Opętanie.

- Nick? - Silla ścisnęła mnie za rękę i czule pocałowała w knykciec palca wskazującego.

- Ja po prostu... chyba mam trochę tremę. - Posłałem Reese'owi nerwowy uśmiech. - Nie przepadam za krwią. - Była to nieomal prawda.

Reese posłał Silli spojrzenie pełne rozczarowania moją osobą.

- Jeśli chcesz brać w tym udział, musisz zacisnąć zęby - rzucił cierpko i otworzył szczyryk.

S I L L A

Siedzieliśmy wewnątrz kręgu z soli. Przed wyjściem z domu przedyskutowaliśmy z Reese'em, które zaklęcie wypróbujemy z Nickiem. Problem był taki, że większość zaklęć działała z opóźnieniem, i trudno byłoby stwierdzić, czy nam wyszło. Zaklęcie ochronne było widać, tylko jeśli nie działało. Zaklęcie przynoszące szczęście wymagało czasu. Mogliśmy spróbować zaklęcia na dalekowiedzenie, żeby poszukać zabójcy rodziców, ale żadne z nas nie chciało poruszać z Nickiem tego tematu. I nie mieliśmy krwawnika, jednego ze składników. Inne zaklęcia wymagały rzeczy jeszcze trudniejszych do zdobycia albo takich, o których nigdy nie słyszeliśmy.

Zatem postanowiliśmy, że użyjemy słynnego już przemienienia.

Reese sięgnął po ceramiczną miseczkę stojącą obok nagrobka. Była jasnego koloru, z falowanymi brzegami, a na dnie widniała japońska rybka o pomarańczowych łuskach. Babcia Judy zamówiła miskę z sierpniowego katalogu wysyłkowego, ale potem upchnęła ją na dnie kredensu i nie dotknęła nigdy więcej.

Wyjęłam z plecaka butelkę wina i postawiłam między mną a bratem.

- Na pewno, Sil? - zapytał Reese. - Nie jesteś zmęczona?

- Nie, w porządku. Musi mi się coś dzisiaj udać. - Podniosłam z trawy scyzoryk. Do opętania musieliśmy przeciąć dobrze ukrwione miejsce na dłoni, bo potrzebowaliśmy dużo krwi do run. Było to bardzo bolesne, ciągle czułam lewą rękę. Teraz wystarczyła jedna kropla.

Reese nalał wody z butelki do porcelanowej miseczki babci Judy, rozchlapując trochę po ściankach. Kruki zaskrzeczały, jakby wiedziały coś, czego my nie wiedzieliśmy. Poczekaaliśmy, żeby woda w miseczce się uspokoiła. Jej zmarszczona powierzchnia odbijała srebrny blask słońca, aż musiałam zamrugać i odwrócić wzrok. Złowiłam spojrzenie Nicka; uśmiechnęliśmy się do siebie.

Reese przysunął do siebie butelkę wina i odkręcił zatyczkę.

- Wino? - Nick uniósł brwi.

- To numer stary jak świat. - Reese wyszczerzył się.

Przez chwilę Nick siedział ze zmarszczonym czołem, potem spojrzał na wodę, na mnie i powiedział:

- Przemiana wody w wino.

Skinęłam głową, a moje tętno przyspieszyło.

- Wyobrażasz sobie? - wyszeptalam.

- Nie muszę sobie wyobrażać. - Wziął mnie za rękę.

Reese odchrząknął.

- Gotowi?

Jak na dany znak wypuściliśmy z Nickiem powietrze przez ściągnięte usta. Gdyby nie ścisnął mnie za rękę, drżałyby mi palce. Byliśmy stworzeni, żeby zrobić to razem.

- Jesteś gotowy? - zapytałam Nicka cicho. - Reese wkrapła wino, a my mówimy „*Fionovus*”. To znaczy „Czynię nowym”.

- Dlaczego po łacinie? - Wyglądał na zdziwionego.

- No bo... tak kaže książka - odparłam niepewnie i stuknęłam w okładkę książki, niemal niewidocznej na tle suchej trawy.

- Dodajemy parę kropeł wina, żeby nauczyć substancję, w co chcemy ją przemienić - wyjaśnił Reese. - Krew daje energię, a słowa - wolę.

- Rozumiem. - Nick pokiwał głową.

- Wino - powiedział Reese i przechylił butelkę, z której wylała się cienka strużka rubinowego płynu i niemal od razu rozpuściła. Woda pośrodku miski pociemniała, a refleksy nie raziły już tak bardzo.

Pochyliłam się nad powierzchnią. Nick i Reese położyli mi dłonie na kolanach. Drasnęłam się w palec wskazujący i wyciągnęłam go nad miskę. Na opuszcze powolutku zebrała się kropla krwi.

Całą rękę wypełniała paląca magia. Poczułam, jak w brzuchu zbiera mi się fala energii i przesuwają wzdłuż ramienia aż do dłoni. W maleńkiej kropelce krwi pulsowała moc. Wstrzymałam oddech. Kropla zadrżała i wreszcie spadła z cichym pluskiem. Szkarłatna kropka nie rozpuściła się od razu, tylko unosiła przez chwilę w wodzie.

- *Fio novus* - wyszeptałam. Czynię nowym.

- *Fio novus* — powtórzyli chłopcy. Potem wypowiedzieliśmy

to jeszcze raz, schylając się tak nisko, że nasze oddechy muskały powierzchnię wody. Tafla zafalowała, jakby poruszyło ją małe trzęsienie ziemi.

Na środku, tam gdzie kapnęła krew, pojawił się dziwny czerwony wir. Powiększał się i dotykał już ramionami brzegów miski, powierzchni wody i japońskiej rybki na dnie. Karmazynowe pnącza robiły wrażenie oleistych, bo nie mieszały się z wodą. Wir był żywym, rozrastającym się organizmem. Przypominał roślinę wodną. Nerwy miałam jak postronki, ledwo śmiałam oddychać.

- *Fio novus!* — syknęłam.

Organizm wybuchł czerwienią, w mgnieniu oka przemieniając wodę w ciemny, lśniący płyn, który cicho chlupotał o ozdobne brzegi naczynia.

Wlepiliśmy wzrok w miskę. Przypomniałam sobie czarownice z *Makbeta* skupione wokół kotła. „Nuże, pokątne, stare prorokinie, co tam stwarzacie? Bezimienne dzieło”.*

Groby dookoła nas milczały. My także.

N I C H O L A S

Pochyliłem się i zanurzyłem palec w misce. Potem, po chwili wahania, włożyłem go do ust i spróbowałem. Na języku poczułem słodko-kwaśny posmak.

Silla obserwowała mnie uważnie.

- No i? — zapytał Reese.

- Wino. - Roześmiałem się i wzruszyłem ramionami.

- Marne, ale wino.

* W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 72.

Silla wydała okrzyk triumfu i także umoczyła palec. Po-smakowała i skrzywiła się:

- Jezu, chyba muszę poćwiczyć.

- Ty i tak nie lubisz wina. - Reese uśmiechnął się. - Może teraz spróbujemy przemienić wodę w mleko czekoladowe?

Roześmiała się. Na chwilę wytworzyli między sobą nic hermetycznego porozumienia między bratem a siostrą. Tak mocną, że prawie, kurde, świeciła. Powiedziałem sobie w du-chu, że pewnie wszystkie rodzeństwa tak mają.

Obrócili się do mnie równocześnie.

- Twoja kolej - rzekł Reese.

Otworzyłem usta, ale akurat nie przyszła mi do głowy żadna złośliwość.

- Nie chcesz? - Silla dotknęła mojego kolana. W takich wa-runkach nie dało się myśleć.

- Chcemy się przekonać, czy ktoś spoza naszej rodziny też bę-dzie potrafił posługiwać się magią. - Reese podniósł się jednym ruchem, trzymając w rękach miskę z alpaga. Odszedł kilka kro-ków i wylał je półkolistym strumieniem na grób jakiegoś kolesia.

- Nicholas.

Na dźwięk mojego imienia odzyskałem mowę.

- Tak - wymamrotałem, biorąc do ręki dłoń, którą poło-żyła mi na kolanie. Przynąłem zraniony palec do ust i poca-łowałem. - Chcę spróbować.

Choć i bez tego doskonale wiedziałem, że mi się uda.

Reese odstawił miskę na środek kręgu i nalał do niej resztę wody. Silla ścisnęła, a potem puściła moją rękę. Odszukała w trawie upuszczony scyzoryk i podała mi go.

- Zaczekaj - odezwał się Reese - nie masz jakichś chorób zakaźnych?

Silla wydeła usta:

- I mówisz to ty, który sypiasz z Danielle Fenton?

Ale Reese dalej się we mnie wpatrywał. Wytrzymałem jego spojrzenie, starając się przybrać minę możliwie obojętną, jakby w ogóle nie ruszała mnie jego manifestacja siły. Trochę mnie irytowało, że znowu muszę odgrywać coś takiego, ale dzięki Lilith byłem dobry w te klocki. Powtarzałem sobie, że nie jest tak, że Reese mnie nie lubi. Po prostu nie chce, żebym dotykał jego siostry. Szanowałem to. Będzie musiał pogodzić się z myślą, że jesteśmy razem, ale szanowałem jego obiekcje.

W końcu skinął głową. Silla westchnęła z rozdrażnieniem i podała mi szczyryk. Reese znowu nalał trochę wina do wody i, tak jak wcześniej z Sillą, oboje położyli mi ręce na kolanach, żeby zamknąć krąg.

Przyłożyłem ostrze do palca i nacisnąłem. Od razu poczułem ból, bo naciąłem zbyt głęboko, a szczyryk nie był tak precyzyjny jak pióro mamy. Starałem się nie zblednąć jak cienias. Przesunąłem palec nad miskę i skupiłem się na tym, czego chcę. O powierzchni wody ciężko plusnęło kilka kropel krwi. Całe ciało świerbiło mnie od magii. Nie pamiętałem tego uczucia.

- Niech woda winem się stanie — powiedziałem bez zastanowienia, rozkojarzony przypływem magii. - A deszcz winobranem.

Poczułem raczej, niż zobaczyłem, że Silla i Reese się zawahali, ale mimo to mówiłem dalej:

- Niech woda stanie się winem. Krew z moich żył ma wielką siłę. Niech woda stanie się winem.

Energia tapnęła bezgłośnie, a cała miska wody przemieniła się nagle w ciemnoczerwone wino.

Silla zakryła usta dłońmi.

- Nick! - wykrzyknęła zduszonym głosem.

Reese zanurzył palec w płynie i popróbowował. W zamyśleniu wygiął kąciki ust ku dołowi i stwierdził:

- Lepsze.

Wzruszyłem ramionami.

- No wiecie... w filmach zaklęcia są rymowane. - *A mama uczyła mnie układać zaklęcia wierszem.*

- U Szekspira też! - roześmiała się Silla i pokręciła głową, patrząc na mnie.

- Mamy odpowiedź na dwa pytania — rzekł Reese i pociągnął łyk wina, które stworzyłem. — Ty też możesz posługiwać się magią oraz nie musimy mówić po łacinie.

- Chodzi o sens słów - dodała Silla.

Przyssałem się do wciąż krwawiącego palca. Smak krwi przypominał mi pocałunki Silli.

Reese klasnął i zaraz syknął, patrząc na zranioną dłoń.

- Chodźmy do domu. Musimy się umyć, przygotować kolację. Zdrzemnąć. Nick, będziesz się czuł wykończony. Oszczędzaj się dzisiaj.

- Dobra. - Zgiąłem palec. Krew płynęła coraz wolniej.

- A może - Reese rozejrzał się po niebie i otwartej przestrzeni cmentarza - następnym razem powinniśmy poćwiczyć zaklęcia u nas w ogrodzie? Kiedy Judy gdzieś wyjdzie? Mieliśmy tam więcej prywatności.

- Nie, musimy robić to tutaj, z rodzicami - odparła Silla.

- Silla, ich tu nie ma.

- Ale ja cały czas czuję, że tu leżą, to znaczy... - Unikając wzroku Reese'a, uważnie zamazała krąg, podniosła książkę z zaklęciami i wrzuciła ją do plecaka. Razem spakowaliśmy pudełko gruboziarnistej soli, scyzoryk i nadpalone świece.

Zasunęła suwak plecaka i rzekła do milczącego Reese'a:

- Chodzi mi o to, że magia nas z nimi łączy. Kiedy tu jestem, cały czas pamiętam, dlaczego to robię. - Wylała wino jak ofiarę na ziemię na grobie rodziców.

- Może i tak. - Reese wziął miskę i plecak. - Pobiegnę do domu i pierwszy wezmę prysznic, dobra?

- Zgoda. - Silla rzuciła mu szybki uśmiech. Nie odwzajemnił go.

- Na razie - rzekłem i nagle coś przyszło mi do głowy.

- Możesz zostawić książkę? Chciałbym ją przejrzeć, jeśli mogę.

Reese wyciągnął plecak do Silli, a ona wygrzebała książkę z zakłęciami.

- To cześć. - Reese oddalił się, a ja zachodziłem w głowę, co go tak rozstroiło.

Silla i ja staliśmy twarzami do siebie. Tuliła książkę, zakrywając ją troskliwie ramionami. Podeszedłem bliżej i dotknąłem grzbietu okładki.

- Będę na nią uważał, mała.

- Wiem.

- Obiecuję.

- Wiem.

Chciałem wziąć książkę, ale ona nie puszczała, tylko przyglądała się bacznie mojej twarzy.

- Silla, wszystko w porządku? — Trzymając książkę, centymetr po centymetrze przyciągnąłem Sillę bliżej.

- Mhm. — Jej dolna warga wyglądała tak, jakby przygryzała ją od środka. Poczułem ochotę, by samemu przygryźć jej wargę. Silla jakby czytała w moich myślach: nagle puściła książkę i objęła mnie.

- Kiedy mogę cię zabrać na kolację? Poniedziałek? Wtorek?
- zapytałem, odwzajemniając uścisk.
- W środę nie mam próby.
- Mnie pasuje.

Zrobiłem to, na co miałem ochotę od początku. Uniosłem jej podbródek i pocałowałem ją. W świetle dnia pocałunek smakował inaczej; był jakby bardziej rzeczywisty. W uszach wciąż dźwięczała mi magia. Dostałem dowód, że wszystko, co stało się po wczorajszej imprezie, nie przyśniło mi się.

Uśmiechnęła się, cały czas mnie całując. Przynurzałem się bliżej. Jej ciało cudownie przyciskało się do mojego. Rozdziałała nas tylko książka. Chciałem więcej.

- Nick. - Silla zrobiła krok do tyłu i nabrała głęboko powietrza. Książka została w moich dłoniach. - Babcia zaraz będzie czekać z kolacją. Muszę iść, niestety.

- Szkoda. - *Wielka szkoda.*

Przez kilka sekund patrzyłem, jak odchodzi. Było to kilka dobrze spędzonych sekund.

S I L L A

Dookoła świeciło radosne popołudniowe słońce. Kiedy przechodziłam przez rozpadający się mur cmentarza, do moich uszu dotarł śpiew ptaków. Wydawało mi się, że ćwierkaniem pochwalają naszą magię. Byłam rozpromieniona — i nie wiedziałam, czy to z powodu magii, czy pocałunków. Właściwie nie miało to znaczenia, bo w najbliższej przyszłości planowałam dużo i tego, i tego.

Na dźwięk głosu Reese'a nieomal się potknęłam.

- Hej, bączku, spójrz na to.

Znalezienie go zajęło mi chwilę. Kucał pod żywopłotem

z forsycji wyznaczającym granicę naszego ogrodu. Podeszłam bliżej i schyliłam się.

- Co?

- Tutaj. - Wskazał pożółkłą trawę. Była poorana, tu i ówdzie leżały grudki ziemi. - Wyobraź sobie tutaj wzór, o taki - powiódł palcem po rozoranych liniach - czy to nie wygląda jak runa?

- O Boże. Myślisz, że to dzieło taty?

- Mhm. Przypomina trochę potrójną gwiazdę z zaklęcia ochronnego. I spójrz na to. - Wstał i pociągnął mnie ze sobą. - Widzisz pas suchej trawy wzdłuż krzaków? Okrąża cały dom. Krag suchej trawy.

Otworzyłam usta w niedowierzaniu i spojrzałam w obie strony. Trudno było dostrzec różnicę, bo jesienna trawa dookoła także była zwiędła i spłowiała.

- Jakim cudem to zauważyłeś?

- Kiedy latałem. - Reese zerknął w niebo. - Wydawało mi się, że dookoła domu widzę jakby odbarwiony krag. Mówiłem ci, że tam na górze wszystko wygląda inaczej.

- Idź tam - wskazałam południe - ja pójde w drugą stronę. Zobaczymy, czy ciągnie się dalej.

Teraz, kiedy wiedziałam, jak patrzeć, bez problemu odnajdywałam coś w rodzaju żółtej ścieżki z *Czarnoksiężnika z Oz*. Żłocista droga okrążała całą naszą posiadłość. Przy bramie znalazłam kolejne miejsce z pooraną darnią. Zauważyłam, że układa się w runę.

Spotkaliśmy się kilka minut później. Trochę drżały mi ręce, więc schowałam je w kieszeniach.

- W jednej czwartej drogi znalazłam kolejne runy.

- Ja też - powiedział poważnym tonem. Zrozumiałam, że

on także nie jest zachwycony znaleziskiem. — Trawa pewnie obumarła po śmierci taty.

Kolana ugięły się pode mną. Upadłam. Reese miał rację. Trawa musiała zacząć wysychać późnym latem. Wcześniej mama zauważyłaby, że coś niedobrego dzieje się z trawnikiem, i na pewno by się wściekła.

- Jeżeli runa jest taka sama co w zakłęciu ochronnym, to znaczy, że krąg miał nas chronić — wyszeptałam. Wolałam myśleć o zasadach działania magii niż o martwej trawie.

- Tata bronił domu.

Reese nic nie mówił, ale wiedziałam, co myśli. *Niewystarczająco.*

ROZDZIAŁ 18

10 sierpnia 1905 roku

Widziałam, jak na nią spogląda, gdy w zeszłym tygodniu leczyliśmy służących jej ojca.

Byliśmy u nich z powodu epidemii influency, tej samej choroby, która mnie niemal pokonała, ale i ukazała mi drogę do Philipa. Jak zwykle pragnął ich uleczyć. Ja jednak nie chciałam, by znalazł sobie nową pomocnicę.

Ona była jedyną córką pana domu. Panna Maria Foster. Przyniosła nam chłodną herbatę i szmaty do mycia chorych. Jego wzrok spoczął na jej ustach i powłóczystych, ciemnych rzęsach trzepoczących nad policzkami. Podziękował jej słowami dalece

grzeczniejszymi niż te, którymi zwracał się do mnie, a uścisk ich dłoni był nader długi.

Zauroczenie nie mijało. Siadłam przy jego boku, łaskocząc go w ucho i przeczesując palcami jego włosy, żeby zwrócił na mnie uwagę. Ale on nic, tylko pisał ten swój idiotyczny pamiętnik. Dojrzałam tam jej imię. Wydarłam mu pamiętnik i cisnęłam przez pokój. On uniósł mnie i powiedział, że zachowuję się niegrzecznie i niestosownie. Krzyknęłam mu w twarz, że woli wdzięki jakiejś głupiej dziewczyny z bogatego domu niż mnie, oddaną jemu i jego tajemnicom.

Odpart, że to prawda. Ze woli jej wdzięki.

Tamtej nocy opuściłam jego dom i poszłam do niej. Poczekałam, aż pojawi się w oknie, a gdy ujrzałam jej twarz, wtargnęłam w nią. Moje własne ciało uderzyło o mur, ale nie dbałam o to. Byłam panną Marią Foster. Miałam na sobie jej gorset, krynolinę i buciki. Oddychałam przez jej usta należącymi do niej płucami.

Dobre traktowanie zmienia człowieka. Zawołałam służącą, żeby ubrała mnie w suknię wieczorową. Inna służąca nałożyła mi porcję jedzenia. Kłaniano mi się, odsunięto mi krzesło, bym usiadła. Pan Foster poklepał mnie po dłoni, a pani Foster łagodnie napomniała mnie za łapczywość. A moi nowi bracia droczyli się ze mną. Gdy przeniesiliśmy się do salonu, to mnie poproszono, bym zabawiła wszystkich grą na fortepianie. Rzecz jasna, nie umiem grać, więc zgodziłam się przeczytać wiersze ze zbiorku Tennysona. Jeden z gości, niejaki pan Dunbar, był nadzwyczaj miły, trzymał mnie za łokieć i dyskutował ze mną o wielu rzeczach. Obawiam się, że wszyscy odnieśli wrażenie, że panna Maria jest zmęczona, gdyż wiele poruszanych tematów musiałam zbyć milczeniem. Nic dziwnego, że podoba się Philipowi.

Jest nie tylko elegancka, ale także urocza i wykształcona. Widzę to po sposobie, w jaki każdy się do niej odnosi. Jest uwielbiana.

Gdy wróciłam, na górę, kręciło mi się w głowie. Czułam, że lada moment mogę ulecieć z jej ciała. Szybko podeszłam nią do okna i wróciłam do siebie. W alejce na dole długo wymiotowałam na czworakach. Musiałam odczekać chwilę, aż nabiorę sił.

Ale w minionym tygodniu co dzień wracałam tam i pożyczalam pannę Marię Foster. Dotychczas nie powiedziała nikomu o utracach świadomości, ale wkrótce może to zrobić. Muszę jej używać, póki mogę.

W niej każdy mnie podziwia.

ROZDZIAŁ 19

N I C H O L A S

Tata z Lilith sączyli w ogrodzie Margarity. Książkę z zakłęciami schowałem za wyschniętym krzewem kwiatowym i poszedłem w ich stronę.

Dzbanek z Margaritą świecił w słońcu odblaskową zielenią. Obok leżał talerzyk z solą i limonkami. Lilith gapiła się w przestrzeń, a tata siedział ze stertą papierów, z czerwonym długopisem i zakreślaczem w dłoniach. Miałem nadzieję, że przegląda zeznania, a nie że robi redakcję jej tekstu lub coś równie słodkiego i pełnego miłości.

- Cześć - powiedziałem. Potarłem dłonią kark, ale napięcie ściskające mi czaszkę nie ustąpiło.

- Nick. Jak popołudnie? - Tata odłożył długopis.

- I samochód? - dodała Lilith, przesuwając palcem po brzegu kieliszka z Margaritą.

- Dobrze. Samochód naprawiony. - Mówiłem zboląłym głosem, bo pękała mi głowa. I to nawet nie z powodu magii, tylko natłoku wspomnień. *Mama naciska palcami moje czoło i mówi: „Wypędzam cię z tego ciała”. Trach-prach w brzuchu i siedzę na podłodze. Patrzę na mamę, a jej dłoń dotyka pyska psa. Naszego Szympansa. Z mojego pieprzonego snu.*

- To świetnie - odparła Lilith. — Ale następnym razem możemy go zaholować do Cape Girardeau, żeby uniknąć kontaktu z folklorem.

- Tak? A przecież właśnie po to tu przyjechaliśmy, dla folkloru. - Nachmurzyłem się. Ona popatrzyła na mnie znad brzegu kieliszka, który przechyliła do ust. - Tato, muszę z tobą porozmawiać.

- Jasne, co tam?

Zrobiłem znaczącą pauzę.

- Na osobności.

Lilith zsunęła się z krzesła ogrodowego.

- Pójdę po bruschetty. Właśnie myślałam, że mam ogromną ochotę na pomidory.

Kiedy zniknęła za szklanymi drzwiami, popatrzyliśmy z tatą na siebie. On nawet w swojej wyluzowanej, sobotniej wersji wyglądał, jakby wybierał się na salę sądową. Wyprasowane džinsy, koszula zapięta pod szyję, przyczesane włosy. Siedział i czekał, aż się odezwę. Przecież nie będzie tracił energii, żeby mnie zachęcić do mówienia.

Jezu, Nick, wyduś to z siebie. Od czego zacząć? Wyszło mi w gardle. Nie chciałem mówić o tym z tatą, ale nie mogłem

zapytać mamy ani dziadka. A tata na pewno wiedział, co się ze mną tutaj działo. Jeśli nie, to znaczy, że jest jeszcze bardziej beznadziejny, niż myślałem. Przeniosłem ciężar ciała na palce i z powrotem na pięty.

- Dlaczego nigdy nie poznałem dziadka?

Obniżył brew. Był zły?

- Twoja matka z nim nie rozmawiała.

Słońce rozgrzało mi ramiona i szyję. Usiłowałem zebrać myśli w pytanie, które tata by zrozumiał.

- Wiem, ale dlaczego? Co się wydarzyło, kiedy mnie tu przywiozła? Kiedy miałem siedem lat?

- A co pamiętasz?

- Tato.

- Nick, cały czas byłeś chory. Twoja matka mówiła, że dziadek zachowywał się tak, jakby uważał, że ciąży na tobie jakaś klątwa czy coś takiego. Podobno wariował. Zranił cię w policzek. Wtedy zabrała cię do domu.

Ale to mama mnie zraniła w policzek. Pamiętałem to dosyć wyraźnie. Zanurzając ostrze w mojej skórze, uśmiechała się uspokajająco i obiecywała, że wszystko będzie dobrze. Ranka na palcu zapiekła.

- Synu, co się dzieje?

Niepokój musiałem mieć wymalowany na twarzy, jak aktor w kiepskim filmie.

- Nie wiesz, skąd brały się te jej rany? - zapytałem. Kłamał czy naprawdę nic nie wiedział? Dlaczego, do cholery, nie znał sekretu mamy? Bo miał ją gdzieś?

- Zawsze była z niej niezdara, ty na szczęście tego nie odziedziczyłeś. Ciągle się kaleczyła w palce, na przykład nożem podczas gotowania czy właściwie czymkolwiek, co

było ostre. Papierem, gwoździami, drzazgą - dosłownie wszystkim. A co?

Nie wiedział. Nie chciał wiedzieć. Inaczej musiałby jej pomóc.

- Nic, po prostu przypomniałem sobie, że nosiła plastry.

Tata wykrzywił usta ku dołowi.

- Przestała się kaleczyć, kiedy byłeś malutki. Przed...

- Przed pierwszą kąpielą w wannie — podpowiedziałem. Zaraz po wizycie u dziadka.

Skinął głową.

- Trochę dziwna rozmowa jak na taki ładny dzień, Nick.

Zatrzymałem w ustach przekleństwo. Zamiast tego wytłumaczyłem mu to tak, żeby pojął to jego mózg godny Spocka.

- No wiesz, mieszkam tu, gdzie mama się wychowała, chodzę do tej samej szkoły.

- To prawda.

- Myślę czasami o jej pobycie tutaj i zastanawiam się, czy gdyby została w Yaleylah, też by zwariowała.

Tata tylko nieznacznie uniósł lewą brew, ale cała jego twarz nabrała smutnego wyrazu. Nie zamierzałem mu jednak przyznawać taryfy ulgowej.

- To stąd zawsze starała się uciec, Nick. Przed wspomnieniami i więzami krwi. Cały czas usiłowała uwolnić się od tu-tejszej rodziny, nawet gdy założyła własną.

Co było tak okropne, że musiała przed tym tak opętańczo uciekać? "Wykorzystywanie? Dziadek? Magia? Coś na cmentarzu, jak mówił Eric? Ja?

- Nie powiedziała ci nigdy, czego tak nienawidziła? - *Nie zapytałeś?*

Tata fuknął przez nos, wyraźnie zirytowany.

- Nick, z czasem mówiła coraz dziwniejsze rzeczy. Wolałem nie pamiętać. Przykro mi.

Jasne.

Szklane drzwi rozsunęły się i stanęła w nich Lilith z półmiskiem grzanek i pokrojonych pomidorów.

- Chłopcy, skończyliście pogawędkę? Głodni?

- Mhm - odparłem.

- Wygląda przepysznie. - Tata wstał, żeby wysunąć krzesło dla Lilith. Jezu.

- O, dziękuję, kochanie.

- Który pokój należał do mamy? - zapytałem.

We troje popatrzyliśmy na tylną ścianę domu. Moje okno na strychu było otwarte, pozostałe zakrywały zasłony.

- Ostatnie okno tam, po prawej. Na końcu korytarza na drugim piętrze - odezwała się Lilith.

- Skąd wiesz? - Zabrzmiało to ostrzej, niż chciałem, ale twarz Lilith pozostała pogodna.

- W garderobie było jej imię. Znalazłam je w lipcu podczas wstępnych oględzin z fachowcami.

Powinienem był przeprosić. Wytłumaczenie było najzupełniej sensowne. Tata posłał mi karcące spojrzenie, ale je zignorowałem. Okrążyłem dom, z krzewów przy wejściu zabrałem książkę i wszedłem do domu.

Pokój mamy znajdował się na samym końcu korytarza na drugim piętrze. Zatrzymałem się przed drzwiami i dotknąłem ich ręką i czołem. Zamknąłem oczy.

„Donna, jak śmiesz go wykorzystywać!”

„Tato, nie miałam wyjścia”.

„Miałas. To twoje dziecko, a nie chowaniec. Twój syn. Mój wnuk!”

„Musiałam to zrobić”.

Trzęsły mi się ręce, a twarz bolała od grymasu, jakim usiłowałem zamaskować całą tę nagłą falę gniewu. Przypomniałem sobie, jak wyszedłem z łóżka, spocony i drżący - tak jak teraz, ale od gorączki. Usłyszałem, jak się kłóca. Mama płakała. Szlochała.

„Pakuj się. Zabieraj chłopca do domu i nie rób tego nigdy więcej. Jesteś zła. To, co robisz, jest złe!”

Ale oni odeszli. To tylko wspomnienie.

Kilka głębokich oddechów później wszedłem do pokoju. Był pusty. Jakieś dwanaście metrów kwadratowych, ściany pomalowane na kremowo, parę starych mebli wciśniętych w kąt.

W poszukiwaniu napisu z imieniem mamy otworzyłem drzwi do garderoby. Ale wewnątrz także przemalowano na kremowo, pod kolor reszty pokoju. Czy Lilith miała jakiś problem z intensywnymi barwami? Odsunąłem zasłony i popatrzyłem na ogród. Stałem pod złym kątem, żeby wycelować w nią moją złość, więc spojrzałem w stronę domu Silli. Ale las był zbyt wysoki. Stąd nie widziałem nawet cmentarza, tylko same brązowozielone drzewa.

Usiadłem z książką na środku pokoju. Wydawała mi się ciężka. Przejrzałem ją ostrożnie. Niektóre znaki kojarzyłem, jakby były odmianami znanych mi zaklęć. Trochę inny układ oparty na tym samym systemie. Składniki pokrywały się z przedmiotami z ławkowej szkatułki mamy. To ta sama magia. Niby wpadłem na to wcześniej, ale teraz miałem potwierdzenie.

„Robert Kennicot”

Przeczytałem to imię na dole którejś strony. Upuściłem książkę, a ona uderzyła o twarde drewno. W pustym pokoju rozległo się echo.

Mama szepcze: „Robbie Kennicot”. Opieram się o jej kolano, a dłonie opieram na podłodze po obu stronach lustra, które ma przed sobą. Tafla szkła faluje, odbicie mamy ku mojemu zdumieniu rozwiewa się w szarej mgle. Ukazuje się inna twarz. Mężczyzny. Nie znam go. Wygląda jak szalony profesorek, ma małe okrągłe okulary. Dziwaczne, z różowymi szkłami. „Och, Robbie”, mówi mama. Na szkło kapie woda i w mgnieniu oka w lustrze znowu pojawia się jej twarz. Mama odwraca lusterko i dotyka mojego policzka. „Syneczku, uratujemy go, prawda?”

Zerwałem się na równe nogi i pogałem na górę po szkatułkę. Chwyciłem małe lusterko z łazienki i zapałki. Z kuchni przyniosłem sól, a ze schowka - torebkę tealightów Lilith. Dokładnie wiedziałem, jakiego zaklęcia użyję. Nie potrzebowałem zaglądać do tej durnej książki. Znałem je na pamięć.

Wszystkie znałem na pamięć.

Nagle jakby coś we mnie wybuchło - albo się złamało. Przypomniałem sobie lekcje magii, które tak cholernie chciałem zapomnieć. Gdzie kupować zioła, jak suszyć te z własnego ogródka, że przedmioty, których nie potrafiłem nazwać, trzeba sprzedawcom rysować. Że rymy pomagają skoncentrować wolę. Że kropla krwi upuszczona na ziemię asekuruje i sprawia, że zaklęcie nie męczy tak bardzo. Słowa mamy przepływały przeze mnie z hukiem. Nie rozróżniałem wszystkich, ale i tak rozumiałem.

Magia paliła mi żyły. Temperatura w pokoju sięgała chyba czterdziestu stopni.

Szybko usypałem krąg z soli, ustawiłem w rogach cztery świece. Wysypałem ze słoiczka na dłonie suszone kwiaty krwawnika, po czym rozkruszyłem je na lusterko. Piórem

mamy drasnąłem się w palec wskazujący i napisałem krwią na szkle odpowiednią runę. Pod lusterkiem położyłem ostatnią pocztówkę od mamy, którą - gdy przyszła osiem miesięcy temu - zatknąłem za wieczko szkatułki. Nabazgroliła na niej: „Nicky, na pustyni czuję się świetnie. Łatwo się tu zgubić, co jest przyjemne, gdy ktoś zwykle jest zagubiony. Kocham Cię. Mama”.

Położyłem lusterko na podłodze i patrzyłem na delikatną smugę krwi na jego tafli. Dłonie oparłem po obu jego stronach, tak jak w dzieciństwie. Pochyliłem się nad schnącą krwią i wyszeptałem jej imię. Rozszczerpiłem wzrok jak przy oglądaniu jednego z tych trójwymiarowych obrazków. Moja twarz rozmazała się.

- Donna Harleigh - powiedziałem. - Mama.

Na włoskach przedramion poczułem podmuch powietrza. Usłyszałem wiatr szumiący w koronach drzew i jakiś młody śmiech. W lustrze moje oczy zanikły, a na ich miejsce pojawiły się jeszcze ciemniejsze, osadzone w twarzy starszej i węższej niż moja. Na czoło mamy opadł kosmyk. Gdy uniosła rękę, żeby go odgarnąć, rękaw się zsunął i zobaczyłem maleńkie srebrne blizny na nadgarstku. Uśmiechała się.

Obraz zniknął. Z lustra spoglądały na mnie tylko moje własne wściekłe oczy.

ROZDZIAŁ 20

23 sierpnia 1905 roku

Przyprowadziłam ją tutaj, do Philipa. Był u niej dwukrotnie z wizytą pod pretekstem zanieśienia medykamentów. Za każdym razem zostawiał mnie w domu samą. Zakochiwał się w niej. Sprawię, że zakocha się we mnie.

Zadzwoiłam do mych własnych drzwi. On otworzył z wyrazem zdziwienia na przystojnej twarzy. Uśmiechnęłam się.

— Panno Foster, proszę wejść — rzekł, lekko się zająknawszy.

Podalam mu rękę i zrobiłam, jak prosił.

— W czym mogę pani pomóc? — zapytał.

Zachwyt, który dostrzegłam w jego oczach, był druzgoczący i żaloszny. Roześmiałam się. Gdy zaczął się cofać, ujęłam jego twarz w dłoń.

— Doktorze Osborn, szaleję za panem — powiedziałam i pocałowałam go.

Przez chwilę nie opierał się. Miętko położył mi dłoń na kibiści, smakował moje usta i wdychał słodki zapach perfum panny Foster. Potem odepchnął mnie delikatnie — ze mną nigdy nie bywa tak delikatny! — i rzeki:

— Panno Foster, muszę pomówić z pani ojcem.

Ale zanim zdążyłam odpowiedzieć, zamarł.

— Josephine! — wysyczał.

— *Jak odgadłeś?* — *Byłam zdumiona. Ze śmiechem oddaliłam się tanecznym krokiem.*

— *Zdradziły cię oczy.* — *Skrzyżował ramiona.* — *Twoje oczy, Josie. Jak mogłaś?*

Wykrzywiłam twarz panny Foster.

— *Chcesz ją poślubić! Chcesz dla niej poświęcić wszystko, co mamy. Bo jest urocza, słodka i głupia.*

Zacisnął palce na łokciach, aż zbiełały mu knykie.

— *Josephine, chodź ze mną. Natychmiast.*

Wróciliśmy do domu panny Foster i tam ją zostawiłam, krztuszącą się obawami o swoje zdrowie. Gdy otworzyłam moje własne oczy, Philip wymierzył mi policzek.

— *Nie używaj jej nigdy więcej, Josephine. Ani nikogo innego. Nie po to przekazałam ci te umiejętności, żebyś krzywdziła innych.*

— *To ty mnie krzywdzisz.* — *Wyrzuciłam ręce na boki.* — *Obiecujesz mi wszystko, a potem zmieniasz zdanie, kiedy tylko zobaczysz ładną dziewczynę. Która jest wszystkim, czym ja nie jestem!!!*

— *Nigdy się nią nie stಾನiesz. Możesz tylko być sobą, knuć i zażdrościć innym.*

Zanim zdradziły mnie łzy gniewu, wybiegłam z uliczki.

Dałam mu kilka godzin na ochłonięcie, sobie zresztą też. Potem przyniosłam mu jego ulubioną brandy. Wziął butelkę i bez słowa nalał nam po kieliszku. Usiedliśmy i milczeliśmy przez chwilę. Kiedy wypitałam już prawie całą porcję brandy, zapytałam:

— *Co mnie zdradziło?*

— *Nie dostrzegłem swojego odbicia w jej oczach. To znak opętania.*

Westchnęłam.

— *Dlaczego ją kochasz?*

— *Nie kocham. — Philip przełknął ostatni łyk trunku. — Wcale jej nie kocham.*

— *Kochasz.*

— *Nie kocham, ale jest urocza i należy do towarzystwa.*

— *Philipie, przecież ty też. Mógłbyś ją poślubić.*

— *Po co? Żeby nauczyć ją odmierzać krew? Poza tym wcale nie jestem wysoko urodzony. Pochodzę z gorszego środowiska niż ty, Josie.*

— *Ale się z niego wyrwałeś, nikt się nigdy nie dowie.*

— *Diakon znalazł mnie na cmentarzu — powiedział, a jego głowa opadła na oparcie kanapy. — Należałem do gangu hien cmentarnych. Kradliśmy zwłoki z grobów i dostarczaliśmy je do szkół medycznych. Diakon dostrzegł w mojej krwi moc, tak jak ja u ciebie, przygarnął mnie i nauczył tego wszystkiego. Boże Wszchemogący, to było tak dawno.*

Przysiadłam się do niego na kanapie i położyłam mu rękę na kolanie.

— *Philipie, tak się tylko wydaje. Nie jesteś znowu dużo starszy niż ja.*

Uniósł kąciki ust.

— *Josephine, mam sto lat.*

— *Jak to? - wyszeptalam. Nie przypuszczałam, że będzie potrafił mnie jeszcze czymś zaskoczyć.*

— *Dzięki magii, rzecz jasna. Istnieje odpowiedni magiczny eliksir. Działa tylko na osoby z predyspozycjami, jak my. Diakon próbował na innych, ale bezskutecznie.*

— *Co to jest?*

— *Tynktura. Tak to nazywał.*

Pochwyciłam jego dłonie.

— Philipie, pokaż mi to. — Splótł palce z moimi i zawahał się. — Przysięgam, że już nigdy jej nie dotknę. Ani nikogo. Będę grzeczna. Pomóż mi, Philipie, razem damy sobie szczęście.

— Jesteśmy sobie warci, nieprawdaż? — rzeki.

Uśmiechnęłam się.

— O, tak. — Dotknęłam jego twarzy. — Nie potrzebujesz jej, Philipie. Ani nikogo innego. — Pocałowałam go, a on odwzajemnił pocałunek. Pragnę zawsze pamiętać jego dłonie gorączkowo szukające moich bioder.

ROZDZIAŁ 21

N I C H O L A S

Spałem fatalnie. Byłem wykończony, pociłem się, jakbym chciał wycisnąć porami całą złość. Za każdym razem, gdy udało mi się zasnąć, zrywałem się gwałtownie; miałem wrażenie, że moje ciało pracuje w trybie awaryjnego budzenia na wypadek, gdyby coś mi się przyśniło.

Marzyłem o spotkaniu z Sillą. Chciałem wszystko jej wyznać, powiedzieć, że wiem o magii - ale aż do wczoraj jedyne, co pamiętałem, to ból i mama w rozsypce. Postanowiłem jednak poczekać z tym przynajmniej do obiadu. Nie chciałem bombardować jej wszystkim naraz. A musiałbym przyznać się, że wiem o magii, i przeprosić, że kłamałem. W najlepszym razie pomyślałaby, że mi odbiło.

Przemknąłem na dół po pudełko płatków śniadaniowych. Z powrotem w pokoju włączyłem komputer. Żeby jakoś uporządkować myślowy chaos, wyjąłem wszystko ze szkatułki mamy i zabrałem się za spisywanie zaklęć i składników z książki pana Kennicota. Porównywałem je z substancjami ze szkatułki mamy i wykreślałem te, które się powtarzały. Wyodrębniłem trzy rodzaje zaklęć: leczące, przemieniające i ochronne. Opętanie nie pasowało do żadnej kategorii. W końcu dopisałem je przy zaklęciach przemieniających, ale wydało mi się znacznie bardziej inwazyjne niż pozostałe. Zamknąłem oczy i spróbowałem przypomnieć sobie, co jeszcze robiła mama. Ale minęło już tyle czasu, a zatarte wspomnienia trudno przywołać, myśląc o nich bezpośrednio. Przede wszystkim bawiła się ze mną, uczyła mnie ogólnych zasad, a nie konkretnych zaklęć. Byłem zbyt mały, żeby zrozumieć, że warto zapamiętywać, co mówi mama, a później, kiedy podrosłem, mama zupełnie odleciała, a ja zniechęciłem się do nauki.

Większość nieznanych mi składników szybko wygooglowałem. Były to głównie dziwaczne nazwy pospolitych, czasem trujących roślin. Używano ich w średniowiecznej alchemii do różnych mikstur, jak eliksir latania, panaceum i tym podobne. Z wyjątkiem tynktury. Słoik w szkatułce był prawie pusty - na dnie została resztką rdzawego pyłu. Sama nazwa nie wyjaśniała, do czego służy. Według Google'a tynktura to tajemny składnik kamienia filozoficznego, dającego wieczne życie Świętego Graala alchemików. Składnika tego na próżno szukały zastępy uczonych.

Ale mojej mamie najwyraźniej się to udało. Chociaż ona z całą pewnością nie planowała żyć wiecznie.

Zerknąłem na godzinę w komputerze. Dopiero dziesiąta. Chyba za wcześnie, żeby iść do Silli, więc po raz pierwszy od tygodnia leniwie sprawdziłem pocztę. W skrzynce miałem tylko parę newsletterów muzycznych z Chicago, które zawiadamiały mnie, jakie kapele będą grały na Anthem Dog, oraz informowały o zniżkach na bilety na koncert Red Velvet for Dinner. Były też trzy maile od Mikey'ego i jeden od Kate. Oboje dopytywali się, co się ze mną, do cholery, dzieje i dlaczego nie dzwonię ani nie piszę.

Wsiąknąłem w towarzystwo czarownic. I nie myślałem o was przez cały tydzień. Trudno byłoby wyjaśnić im, jak się żyje w Yaleylah. Nie wiedziałem, czy polubiliby Sillę.

Potem zmarnowałem trochę czasu na portalach społecznościowych, ale nie ustawiłem nowych statusów ani nie odpowiadałem na zaproszenia. Czułem się bardzo daleko od tego wszystkiego. Gdy zalogowałem się na Facebooku, okazało się, że parę osób z liceum w Yaleylah chce mnie dodać do znajomych. Również nie odpowiedziałem.

Około południa żołądek dał mi znać, że opieprzałem się wystarczająco długo. Wrzuciłem do torby książkę z zakłęciami i szedłem na dół. W jadalni Lilith pracowała przy laptopie. Dookoła niej leżały w nieładzie pozakreślane na różowo kartki. Podniosła wzrok, ale była tak skoncentrowana na pracy, że chyba w ogóle mnie nie poznała. Postanowiłem skorzystać z tego cudu i zrobiłem sobie w kuchni kanapkę. Tata gdzieś przepadł. Potem połknąłem kanapkę w paru kęsach i zawołałem:

- Wychodzę, wrócę później!

I wyszedłem.

Przed domem nie było furgonetki Reese'a, stał za to golf i lśniąca srebrna toyota avalon oblepiona pyłem ze zwirowego podjazdu. Westchnąłem, ale wspiąłem się po skrzypiących schodach na werandę i zapukałem do drzwi. W cieniu było z pięć stopni chłodniej i nie musiałem też mrużyć oczu przed ostrym słońcem z bezchmurnego nieba.

- Chwileczkę! - Usłyszałem z otwartego okna głos Judy. Może srebrna toyota należała do jakiejś jej przyjaciółki. Gdy otworzyła, wyprostowałem się i przybrałem miły wyraz twarzy.

- Cześć, Nick! - zawołała z uśmiechem. W uszach kołysały się jej złote koła, a siwe włosy schowała pod niebiesko-fioletową chustą. - Wejdz. Silla śpi na górze. Wczoraj późno się z Reese'em położyli. Pójdę sprawdzić, czy się obudziła.

Judy pospieszyła w głąb korytarza; jej obcasy stuknęły o drewnianą podłogę jak krople deszczu o dach. Ruszyłem z wolna. Mijając kuchnię, zauważyłem na stole dwa kubki. Nagle jedno z drzwi w korytarzu otworzyły się i wyjrzała z nich kobieta. Za jej plecami zobaczyłem regały pełne książek. Pewnie biblioteczka albo gabinet.

- Cześć — odezwała się z uprzejmym uśmiechem. Pochyliłem głowę w pozdrowieniu. - Ty pewnie jesteś Nick Pardee.

Jezu, małe miściny są koszarne. Kobieta wyglądała, jakby właśnie wyszła z kościoła: spódnica do kolan, sweter obszyty perełkami, grube włosy upięte w kok, który miał chyba sprawiać wrażenie eleganckiego. Miała może około trzydziestu lat. A może nawet mniej. Trudno powiedzieć. Pewnie dogadałaby się z Lilith.

- Miło cię poznać, Nick. Nazywam się Tripp. Pracuję w szkole.

- Jest pani koleżanką Judy? - Spojrzałem w stronę schodów.
 - Raczej Silli. Zajrzałam, żeby sprawdzić, jak się czuje.
 - Nic jej nie jest. - Powstrzymałem się, żeby nie skrzyżować ramion.
 - Wiem, Nick. - Pani Tripp znowu się uśmiechnęła.
 - Nie wiedziałem, że nauczyciele odbywają wizyty domowe.
 - Jestem psychologiem. Pomagam Silli od paru miesięcy. Potrzebuje tego. - Pani Tripp spojrzała w kierunku gabinetu.
 - Wszystko z nią w porządku - powtórzyłem i chwyciłem pasek torby.
 - Nick, musisz wiedzieć, że przeżyła ogromny wstrząs. Na pewno rozumiesz, że potrzebuje każdego rodzaju wsparcia.
 - Wydęła usta w podkówkę. Nie była to mina, do jakiej przywykłem u nauczycieli, ale chyba chciała w ten sposób wyrazić współczucie.
 - Co pani tam robiła? - Wskazałem brodą gabinet. Nie miałem ochoty rozmawiać o Silli. Czy psychologowie szkolni odwiedzający uczniów w domach to kolejne małomiasteczkowe dziwactwo?
 - Hm, próbowałam sobie wyobrazić, jak to było. To tu ich znalazła. — Pani Tripp obróciła się i stanęła twarzą do pokoju.
 - A więc w pewnym sensie tu znajduje się centrum jej cierpienia.
- Mimowolnie zrobiłem krok do przodu, żeby przyrzeć się temu miejscu. Ale nie wszedłem. Prawie na środku, na wyplatanym dywaniku, stało szerokie biurko. Wszystkie ściany były zabudowane regałami na książki. Zabytkowe woluminy mieszały się z tanimi książkami w miękkiej oprawie, jakby właściciel nie zwracał uwagi, które stoją gdzie. Naprzeciwko biurka wisiał portret rodzinny. Kiedy zrobiono zdjęcie, Silla mogła mieć jakieś osiem lat. Ubrana była w białą tiulową sukienkę,

wyglądała na rumianą i tryskającą zdrowiem, jakby żywcem z reklamy aparatów fotograficznych. Reese uśmiechał się wbrew woli, najwyraźniej niezadowolony, że musi tak długo stać nieruchomo. Ja w tym wieku też nie byłbym zachwycony. To znaczy gdybym miał rodzinę, z którą mógłbym robić sobie zdjęcia. Ich tata oparł dłonie na ramionach żony i córki. Zupełnie nie wyglądał na człowieka, który w wolnych chwilach poświęca się magii. Robił wrażenie typowego nauczyciela łaciny. Wyglądał trochę jak szalony profesorek - podobnie jak wtedy, gdy widziałem go w dzieciństwie.

- Czy znasz Sillę na tyle długo, żeby zauważyć w niej jakieś zmiany? - odezwała się pani Tripp tuż za mną.

Zamknąłem drzwi i odwróciłem się tyłem do gabinetu, a przodem do niej.

- Nic jej nie jest.

- Żeby potrzebować pomocy czy rozmowy niekoniecznie musi być fizycznie chora albo wpaść w jakieś tarapaty.

- Nie jestem pewien, czy powinna pani ze mną o tym rozmawiać. - Nie mogłem się powstrzymać i skrzyżowałem ramiona na piersi.

Jej cienkie brwi obniżyły się.

- Nick, są takie sytuacje, że rozwiązania problemu trzeba szukać wspólnie z innymi. Zwłaszcza jeśli uczeń się kaleczy.

Od tego pojedynku uratowało mnie pojawienie się Judy na schodach.

- Słuchajcie, przykro mi, ale jest zupełnie padnięta.

- Dziękuję, pani Fosgate - odparła pani Tripp. - Porozmawiam z nią w szkole.

- Ja też - wtrąciłem. - Pójdę już. Judy, przekaż jej, proszę, żeby do mnie zadzwoniła, jeśli się wkrótce obudzi, dobrze?

- Na pewno nie chcesz herbaty?
 - Na pewno. - Uśmiechnąłem się, maskując niepokój.
 - Nick, miło było cię poznać - rzekła pani Tripp. - Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, coś cię zmartwi, cokolwiek, to zapraszam do mojego gabinetu.
 - Mhm, dziękuję... - Przeciagnałem odpowiedź tak, żeby było jasne, że nie zamierzam się tam pojawić. - Cześć, Judy.
- I zmyłem się.

ROZDZIAŁ 22

2 listopada 1906 roku

Używamy ciał zmarłych, żeby żyć wiecznie. To dopiero ironia, jak mawia Philip.

To brudne zajęcie. Moglibyśmy kogoś nająć do wykopywania martwych ciał, jednak Philip uważa, że i tutaj lepiej osobiście wykonać parszywą robotę. Tak jak z moimi kotami — trzeba nauczyć się poświęcenia dla magii. Towarzyszyłam mu więc podczas wypraw na cmentarz i nauczyłam się wydobywać trumny z ziemi.

Wygrzebuje się nieboszczyka, ogołaca kości z ciała i je miele. Potem robi się proszek z grzybów cmentarnych i imbiru (kto by pomyślał!) i dodaje nieco własnych włosów i paznokci. Na koniec trzy krople krwi na jedną porcję eliksiru.

Wypiłam magiczny płyn, zaciskając dłonie na kubku, żeby Philip nie zauważył, jak trzęsą się z entuzjazmu. Jemu ani

trochę nie sprawiło to radości. Wychylił swój kubek z grymasem. Dotknęłam jego twarzy i rzekłam, że cieszę się, iż zawsze będziemy razem. I że zmarli nie potrzebują już swych kości.

— To złe — wyszeptał. — Wbrew naturze. Ale żyję już tak długo, że boję się umrzeć.

— Nie pozwolę ci umrzeć, mój Prosperze.

Pocałował mnie i wyznał do ucha, że przy mnie znowu czuje sens. Że ożywiłam w nim magię.

Rano, trzymając głowę na jego ramieniu, zapytałam, jak często będziemy potrzebować eliksiru z kości.

— Ta porcja utrzyma nas przy życiu najwyżej trzy lata — odparł. I przytoczył mi historię, jak to któregoś razu Diakon użył kości innego czarownika. Działanie eliksiru trwało trzydzieści lat, a wzmocniony nim Diakon potrafił samą tylko siłą woli sprawić, że jego ciało otwierało się, by oddać krew, i zaraz potem zamykało się bez śladu. A jego dotyk stał się święty.

— Gdy umrzesz — powiedziałam, całując jego skórę — zmiełę twoje kości i będę żyć wiecznie.

ROZDZIAŁ 23

S I L L A

Chociaż w poniedziałek rano świeciło słońce, poczułam pierwszy zimny podmuch jesieni. Do ostatniej chwili czekałam na Nicka przed szkołą. W końcu pierwszy dzwonek rozbrzmiał echem po parkingu. Byłam nie w sosie, bo podobno

wczoraj, kiedy spałam, odwiedziła mnie pani Tripp, ale Judy nie obudziła mnie, bo uważała, że nie mam obowiązku rozmawiać poza lekcjami z pracownikami szkoły. Co gorsza, w tym samym czasie przyszedł do mnie Nick i jego też nie zobaczyłam. A Reese pojechał beze mnie do sklepu ze starzyzną i nakupował różnych ziół, wosku pszczelego, wstążek i innych drobiazgów do zaklęć. Wręcz trochę się cieszyłam, że nie wszystko znalazł; była to kara, że nie zabrał mnie ze sobą. Trzeba będzie zamówić brakujące składniki przez internet.

Mijali mnie ludzie idący z parkingu do szkoły. Nie widziałam Wendy ani Melissy, ale obie notorycznie się spóźniały, zwłaszcza gdy jechały razem. Za to Eric pomachał mi po raz pierwszy od miesiący. Byłam tak zaskoczona, że nie odpowiedziałam, więc pewnie więcej tego nie zrobi. Ciekawe, czy Wendy wreszcie go gdzieś zaprosiła. Chociaż jak znam życie, to całowali się na imprezie. Boże, jak to się stało, że nie zadzwoniłam zapytać?

Słońce wspięło się na tyle wysoko, że wyglądało już znad wierzchołków okalających szkołę dębów. Tuż przed drugim dzwonkiem z piskiem opon na parking wjechał Nick. Nawet z odległości pięćdziesięciu metrów widziałam, jak z wściekłością wrzuca luz i chwyta torbę. Nieomal zwiałam do szkoły. Trochę obawiałam się spotkania z nim, bo był naprawdę rozjuszony. Co się stało? Moje własne fochy wyparowały.

Przebijając łokciami, biegł w stronę budynku szkoły. Przyczesał ręką zwichrzone szaleńczą jazdą włosy. Szczękę miał zacisniętą.

- Nick? - zapytałam ostrożnie.
- Co? - warknął, ale od razu złagodniał. - Silla, przepraszam.
- Co się stało? - Dotknęłam jego dłoni. Odwrócił ją, splatając palce z moimi.

- Moja pokopana macocha będzie tutaj przez cały pie-przony dzień.

- Dlaczego?

- Na chyba wszystkich możliwych lekcjach angielskiego daje wykład o tym, jak to jest być prawdziwym pisarzem.

- Brzmi fajnie.

- To będzie... - westchnął. - Pewnie ci się spodoba. C h o -
l e r a j a s n a .

Zachichotałam i objęłam go w pasie.

- Nikt nie pomyśli, że jest fajniejsza niż ty.

- Nie o to chodzi... po prostu... ja wiem, jaka ona jest na-prawdę. Zimna suka. A podczas wykładu na pewno stanie się pewną siebie nowojorską elegantką. Kobieta sukcesu. Wiesz, tą samą, która usidliła mojego tatę. Nie chcę później wysłu-chiwać zachwyków, jaka jest super.

- Może to poprawi ci humor. - Uniosłam twarz i dotknę-łam wargami jego ust.

- Faktycznie, poprawia - powiedział. Odchylając mnie lekko, odwzajemnił pocałunek. - Szkoda, żeśmy się wczoraj nie zobaczyli - dodał, kiedy się wyprostowaliśmy.

- Mhm, miałam ochotę udusić Judy, że mnie nie obudziła - odparłam i poprawiałam sweter, który podjechał do góry.

- Mówiła, że późno poszłaś spać.

- Tak, próbowaliśmy z Reese'em zaleczyć sobie dłonie. Ze średnim skutkiem. - Pokazałam mu wnętrze lewej ręki. Obok cienkiej różowej blizny widniało skaleczenie z soboty; pokryte strupem wyglądało, jakby miało tydzień. - Byliśmy zbyt zmę-czeni.

Nick przesunął kciukiem po nacięciu.

- Mam pewien pomysł. — Zanim zdążyłam zapytać go jaki,

klepnął torbę. - Przyniosłem książkę z zaklęciami. Muszę ci coś powiedzieć.

Zadzwonił ostatni dzwonek.

- Widzimy się po lekcjach? - Wycofywałam się w stronę wejścia do szkoły. - Na próbie?

- Może wspólny obiad?

- Obiecałam Wendy, że pomogę jej wybrać repertuar na przesłuchanie.

- Dobra, to o wpół do czwartej. Spróbuję znaleźć cię między lekcjami na parę szybkich całusów. - Pochylił się i mnie pocałował.

- Mam nadzieję - wymruczałam, zanim rozbiegliśmy się w przeciwne strony korytarza.

N I C H O L A S

Było gorzej, niż się spodziewałem.

Lilith wkroczyła do klasy ubrana w jedwabny żakiet do kolan z kontrastowymi haftami na rozkloszowanych rękawach. Miała intensywny makijaż, krwistoczerwone paznokcie i demoniczny uśmiech. Wszyscy dosłownie spijali słowa z jej ust, a pan Alford pewnie będzie o niej marzył w samotne wieczory. Obsunąłem się na krzesło i wbiłem wzrok w sufit.

S I L L A

Na drugiej lekcji macocha Nicka postawiła na biurku pani Sackville pudło i zaczęła wyjmować z niego książki. Miała okulary przeciwsłoneczne wsunięte we włosy, naszyjnik aż do pasa i co najmniej dziesięciocentymetrowe obcasy w takim samym odcieniu co paznokcie. Wyglądała jak gwiazda filmowa.

Pani Sackville klasnęła w ręce i przedstawiła wszystkim panią Mary Pardee. Opadła mi szczeka. Mary?

- Pani Pardee pisze pod pseudonimem Tonia Eastlake. Do trzech jej powieści kupiły prawa wytwórnice filmowe, a w zeszłym roku rozpoczęły się prace nad ekranizacją *Srebrnego morderstwa*. Wyobraźcie sobie, że pisze, odkąd była w waszym wieku! Posłuchajmy jej z uwagą, dobrze?

W górę wystrzelił las rąk. Pani Pardee roześmiała się, ukazując rząd śnieżnobiałych zębów, i rzekła:

- Każdy będzie miał szansę zadać mi pytanie. Jestem tu cały dzień. - Jej głos brzmiał głęboko i aksamitnie. Od razu zrozumiałam, dlaczego Nick jej nie znosi.

Wendy syknęła, żebym na nią spojrzała, i wskazała napis na marginesie swojego podręcznika. Przeczytałam:

„Macocho Nicka? Poważnie?”

Skinęłam głową i wzruszyłam ramionami. Wendy otworzyła szerzej oczy i złożyła usta w dzióbek, jakby gwizdała. Oderwałam kawałek kartki i odpisałam:

„Nie lubi jej”.

„Czemu?”

„Podobno jędza”.

„Mama uwielbia jej książki”.

„Tata mówił, że to gnioty. Czytałam jedną, seks był fatalnie opisany. Zrobili to na podłodze”.

Fajnie było pogadać o czymś normalnym.

„Uuu”.

„W kuchni”.

”;D”

Wendy znieruchomiała na chwilę, a potem zerknęła na mnie zmartwiona.

„Wezwała mnie do siebie pani T.”.

Zacisnęłam usta. Kiedy nie odpisywałam, Wendy dodała:

„Nie wiem, czego chce”.

„Była u mnie wczoraj”.

”?”

„Myśli, że chcę się zabić”.

„Żartujesz?!”

„Podobno chciała zrobić wywiad środowiskowy”.

Wzruszyłam ramionami, a Wendy przewróciła oczami.

„Co z twoją ręką?”

„Skaleczyłam się o gwóźdź”.

„TEŻEC!”

„Spoko”.

Skoro po magii jesteśmy zbyt zmęczeni, żeby zaleczyć rany, będziemy musieli koncentrować się na zakłęciach, do których potrzeba tylko małego skaleczenia. Albo przecinać skórę w mniej widocznych miejscach.

Odwróciłam jej uwagę:

„Zaprosiłaś Erica na randkę?”. Umierałam z ciekawości.

„BOŻE, tak. Świetnie całuje. Dlaczego mi nie powiedziałaś?”

„Na pewno byłaś trzeźwa?”

Wendy postukała długopisem w blat i rzuciła mi wymowne spojrzenie.

„Sorry. Po prostu źle mi na samą myśl o całowaniu Erica”.

„I bardzo dobrze. Jest mój!” Uśmiechnęła się.

Zaczęłam pisać: „Widziałaś, jakie ona ma buty?”, gdy wtem pani Pardee zeszła na temat cmentarza.

- To świetne miejsce dla pisarza. Duchy dawno zmarłych ludzi... no i ta atmosfera. Atmosfera jest bardzo ważna.

Właściwie widzę wszystko z okna sypialni... - obniżyła konspiracyjnie głos - a w niektóre wieczory dostrzegam nawet światełka, które migoczą jak płomyki świec albo samotne, zagubione dusze.

Rozległy się stłumione chichoty. Zналиśmy tę historię od dziecka. Pani Pardee przebiegła wzrokiem po klasie i zatrzymała się na mnie. Uśmiechnęła się lekko.

Dostałam gęziej skórki na ramionach i ścisnęłam mocniej długopis.

N I C H O L A S

Silla wrzuciła do szafki gruby czarny podręcznik. Musnąłem ręką jej plecy.

- Cześć, mała, jak tam?

- Twoja macocha jest naprawdę mroczna. - Silla odwróciła się, zamykając szafkę ramieniem. Oparłem ręce po obu jej stronach.

- No co ty.

- Myślisz, że wie, co robimy na cmentarzu?

- Być może. Rozmawiała z tobą?

- Nie, wspomniała tylko, że wieczorem widuje tam różne światła i duchy. I spojrzała wtedy na mnie. Nie przypuszczałam, że wie, jak wyglądam, Nick.

Rozległ się dzwonek.

- Zbadamy to. Nawet jeżeli wie, kim jesteś, to w szkole będzie ostrożna.

- Racja.

Odepchnęła się od szafki i już odchodziła, ale ja złapałem ją za rękę.

- Coś jeszcze cię martwi?

Zamknęła na chwilę oczy i westchnęła.

- Ta cała psycholog naprawdę się na mnie uwzięła. Magluje moich znajomych. Wendy ufam, ale co jeśli będzie chciała wypytać Melissę albo Beth? Od razu przekażaj jej wszystkie podłe plotki.

- Pani Tripp?

Silla wydeęła usta.

- Mhm. Cholera, ciebie też ściga? Mojego chłopaka? Przesada.

Z uśmiechem zrobiłem krok w jej stronę. Silla cofnęła się, patrząc w podłogę.

- Twojego kogo? - rzekłem cicho.

- Nie bądź okropny - odparła i klepnęła mnie w klatkę piersiową. Uciekła wzrokiem, ale usta drgały jej lekko, jak gdyby powstrzymywała uśmiech.

- Nie potrafię.

- Wiem. - Wspięła się na palce i pocałowała mnie.

Wciągnąłem jej zapach. Przypomniałem sobie, jak leżała wśród magicznych, kolorowych kwiatów, i powiedziałem:

- Silla, muszę z tobą porozmawiać o czymś ważnym.

- Jasne. - Uniosła brwi.

- Chodzi o...

- Nie spóźnicie się na lekcję? - Zamarłem na dźwięk głosu Lilith. Zaraz dołączył do niego drugi:

- Panie Pardee, panno Kennicot, już dwie minuty po dzwonku.

Silla otworzyła szeroko oczy i opadła na pięty. Odwróciliśmy się. Lilith stała w towarzystwie wicedyrektora, który trzymał jej pudło z książkami i patrzył na nas krzywo.

- Już idę - odparła Silla. Schyliła się po leżący na ziemi

plecak i zniknęła w korytarzu. Miałem ochotę posłać Lilith krzywy uśmiech.

- Ty też - powiedział wice.

- Miłej lekcji! - dodała Lilith.

- Taa, dobra - zawołałem przez ramię i odszedłem, czując ich spojrzenia na plecach.

S I L L A

Wendy odwołała wspólny obiad, żeby pójść do gabinetu psycholog. Jakoś się z tym pogodziłam, ale miałam ochotę ignorować istnienie pani Tripp przez cały tydzień. Z Nickiem też nie mogłam się zobaczyć, bo macocha zmusiła go, żeby zjadł z nią obiad. Właściwie to najbardziej pragnęłam zwinąć się w kłębek i zdrzemnąć, więc poszłam do auli i wślizgnęłam się za kulisy. Tam znalazłam kanapę — część scenografii do *Nory*. Zasnęłam natychmiast i spóźniłam się na fizykę.

Po szkole popędziłam na parking i powiedziałam Nickowi, że muszę pomóc Wendy, więc mogę się z nim spotkać dopiero za jakiś czas. Odparł, że pójdzie na boisko i pomoże ekipie technicznej pomalować sprayem dekoracje.

- Przyjdę po ciebie, jak skończę - obiecałam.

Wendy czekała na mnie w klasie pana Stokesa, z nutami rozłożonymi na ławkach.

- Cześć - przywitałam się i usiadłam koło niej. Kreda i terpentyna pachniały uspokajająco. - Masz już jakieś typy?

Podniosła głowę. Może to popołudniowe światło wpadające przez okna za jej plecami, ale Wendy wyglądała dziwnie. Powstrzymałam się, żeby nie zmarszczyć brwi. Ona uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Po to przyszłaś?

- Mhm. Wszystko w porządku?

- Tak! - roześmiała się.

Skinęłam głową i sięgnęłam do najbliższej sterty nut. Piosenka *A new life* z musicalu *Jekyll and Hyde*. Wendy uwielbiała śpiewać ją w samochodzie. Melodia idealna dla jej mezzosopranu.

- Mam nadzieję, że leży na wierzchu dlatego, że to twój faworyt - powiedziałam.

- Pewnie. - Wendy popatrzyła na mnie, jedną ręką bawiąc się kolczykiem w kształcie srebrnych i czerwonych gwiazdek. Milczała.

- No dobra... - Zastanowiłam się przez chwilę - Masz wykonać piosenkę i dwa monologi, tak? Jakie teksty zaproponował Stokes?

Wyglądała na zbitą z tropu, ale zaraz sięgnęła do plecaka, wyjęła teczkę i ją otworzyła.

- Ten i ten - oznajmiła. W środku były dwa skserowane fragmenty sztuk z zaznaczonymi na różowo monologami. - Królowa Katarzyna z *Henryka VIII*, a drugi z *CSI: Nibylandia*. Zabawny jest. „Halo, tu sto dwanaście, co pan zgłasza? Porwanie przez piratów?”, zaszczebotała.

Uśmiechnęłam się. Była jeszcze bardziej wesolutka niż zwykle.

- A dlaczego akurat Katarzyna?

- Bo to poważny fragment?

- Pff, no jasne. Ale sztuka nie jest specjalnie popularna, prawda?

- Może dlatego.

- Ja wybrałabym którąś z młodszych królowych. Katarzyna jest raczej dojrzała.

- Dam radę. — Wendy zacisnęła usta i wstała. Wtedy zdałam sobie sprawę, co było nie tak: nie miała błyśczyku. Dziwne. Ale kiedy odnalazłam niepasujący element, poczułam się lepiej.

Wendy weszła na podest w przedniej części klasy, wyciągnęła przed sobą kartkę z tekstem i zaczęła:

- Ach, panie! W czymże mogłam cię obrazić? Jakie ci gniewu mogłam dać powody, abys twą łaskę ode mnie odwrócił, od twej osoby odepchnąć zamierzył? - Jej twarz nagle skurczyła się w bólu. Zmieniła się całkowicie. Byłam pod wrażeniem. Ciągnęła dalej niemal szeptem: - Bóg widzi, zawsze wierną byłam żoną, zawsze pokorną, twej woli posłuszną, aby niechęci twojej nie wywołać. Moje uczucia w twej czytałam twarzy, za jej przykładem smutna lub wesoła. - Westchnęła. - „Kiedyż życzeniom twym się sprzeciwiłam? Kiedyż twe myśli moimi nie były?”* — Zamilkła ze wzrokiem wbitym w kartkę.

Mój śmiech przywrócił jej wesołą minę.

- Dobra, przekonałaś mnie. To było świetne.

Uniosła brwi i odpowiedziała wyniośle:

- Oczywiście, że tak.

Coś w jej tonie sprawiło, że pomyślałam o macosze Nicka. A potem o Nicku. O zapachu jego żelu do włosów i dotyku ciepłych palców. *Skup się!*, rozkazałam sobie. *Na Wendy*. Puknęłam palcem w nuty rozłożone na ławce.

- Czyli te dwa monologi plus piosenka Lucy. Super. Ewentualnie jakaś bardziej dramatyczna, ale ta świetnie pasuje do twojego głosu. - Podniosłam *A new life*. Pod spodem leżały

* W. Szekspir, *Henryk VIII*, przeł. J. Paszkowski, w: *Dzieła dramatyczne*, t. IV *Kroniki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1958, s. 533.

nuty do *Your daddy's son* z *Ragtime'u*. — O, to też jest dobre!
- Wendy nie odpowiedziała, więc podniosłam wzrok. Patrzyła na mnie zwięzonymi oczami. Ramiona puściła luźno. Kartka z tekstem spadła na podłogę. - Wendy?

Zeszła z podestu.

- Silla.

- Co się stało? - Może pani Tripp nastraszyła ją do tego stopnia, że Wendy czuje się nieswojo w moim towarzystwie?

- Nic.

- Wyglądasz jakoś... inaczej.

- Tak? - Przybrała przesadnie niewinny wyraz twarzy. Jak w pantomimie.

- Co powiedziała ci pani Tripp? - Nigdy nic przede mną nie kryła.

- Pani psycholog? - Zachichotała. - Uważa, że jesteś dokumentnie zbikowana.

„Dokumentnie zbikowana”? Co to za język? Wendy chyba wybrała się na wycieczkę po historii teatru: Szekspir, pantomima, a teraz coś z młodości naszych dziadków.

- Dobrze się czujesz?

Przesunęła ciężar ciała na jedną stronę. Stała teraz z przekrzywioną głową, opuszczonym ramieniem i lekko wyдутymi ustami.

- Myślałam o twoim tacie.

Drewniane krzesło, na którym siedziałam, nagle wydało mi się twarde i niewygodne.

- O moim tacie?

Wendy skinęła głową. Sunęła powoli w moją stronę.

- Zastanawiasz się czasami, o czym myślała przed śmiercią? O tobie? O twojej mamie? Może o przeszłości?

- Nie myślałam o tym. — Miałam wrażenie, że plecy przykleiły mi się do oparcia.

- Dlaczego?

- Nie i tyle. Wendy, daj spokój. Nie chcę o tym rozmawiać. Jeżeli nic więcej do mnie nie masz, to już pójdę.

- Zostań. — Chwyciła krzesło, obróciła nim w powietrzu i usiadła okrakiem, mimo że była w spódnicy. Położyła łokcie na oparciu i uśmiechnęła się. - Lubię cię, Silla.

Bez różowego brokatowego błyszczycy i z tym dziwnym wyrazem twarzy w ogóle nie przypominała siebie. Przez okna wpadało słońce, ale oczy Wendy nie odbijały światła. Jakby były puste. *O, nie.* Nagle zdałam sobie sprawę, że mam przed sobą ciało Wendy, jej usta i ręce, ale nie prawdziwą Wendy. Nie moją przyjaciółkę. Na krzyżu poczułam dreszcz. Wyprostowałam się.

- Nie jesteś Wendy - wyszeptalam.

Rozchyliła usta. Przez chwilę tylko na siebie patrzyłyśmy, a świat gnał dalej. Potem uśmiechnęła się leniwie. Wsunęła się powoli na ławkę i rozparła się na niej jak lwica.

- Szybka jak błyskawica. Masz to po tacie — powiedziała przeciągle.

Serce łomotało mi szaleńczo o przypominające poduszki płuca. Oddychałam z trudem. Ona wzburzyła palcami włosy Wendy.

- Kim jesteś? - Mój głos niestety drżał.

Obnażyła zęby.

- Przyjaźniliśmy się kiedyś z twoim tatusem. — Powiedziała to w taki sposób, że mój żołądek ścisnął się jeszcze bardziej. Przygryzłam wargę i zebrałam się na odwagę.

- Diakon.

- Ha, ha! - Głowa Wendy opadła do tyłu. - O nie, nie drogi Arthur. To byłoby zbyt piękne.

- Puść ją. Ona... nic nie wie.

Usiadła na brzegu ławki i złożyła ręce Wendy jak do modlitwy.

- Pomyślałam, że może zdradzisz jej jakiś sekret. Ale wygląda na to, że więcej powiedziałaś chłopakowi niż przyjaciółce.

- O czym?

- Dobrze wiesz. - Uniosła kącik ust.

Pokręciłam głową. Byłam złodowaciała.

- Czego chcesz?

- Grobu twojego taty.

- To ty go rozkopałaś.

- Próbowałam. - Irytacja nie pasowała do twarzy Wendy. To coś, ta osoba czy cokolwiek tam było, wykręciło słodką, młodą buzię Wendy w okropny grymas. - Ale ty coś przy nim zrobiłaś.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- Rzuciłaś na grób jakieś zaklęcie ochronne, żebym nie mogła się do nich dostać, na przykład nie zmieniając ciał w proch. Cokolwiek kazał ci zrobić, teraz to cofniesz. - Wykonała gest ręką, jakbyśmy omawiały rozkład naczyń na stole.

Wolno pokręciłam głową, nie dowierzając.

- Nic nie zrobiłam. Naprawdę.

To coś kazało Wendy uśmiechnąć się szyderczo.

- Owszem, Drusillo, zrobiłaś. Ziemię na ich grobie zatruwa twoja krew. Czuję to.

- I dobrze! - warknęłam. Chciałam na nią się zamachnąć, ale miałam wrażenie, że spadnę w nicłość, gdy puszczę brzegi krzesła.

To coś w Wendy schyliło się do plecaka. Jej dłoń wyjęła stamtąd srebrny nożyk do listów.

- Wzięłam go z biurka pana Edmera. W dzisiejszych czasach zostawić taki nożyk na wierzchu... Niewiarygodne.

- Przestań.

- Silla. - Dręczyciel Wendy uniósł ostrze i przyłożył je delikatnie do miękkiej skóry pod szczęką mojej przyjaciółki. - Jeśli zechcę, dźgnę ją tym prosto w mózg.

- Umrzesz, jeśli to zrobisz. - Ale wiedziałam, że to nieprawda. Przypomniałam sobie, z jaką łatwością Reese opętał kruka. Pomyślałam, że temu komuś równie łatwo przyszło opętanie Wendy. Co się stało z prawdziwą Wendy? Była uwięziona? Gdzie?

- Moje ciało jest niedaleko. Akurat trafię.

- Tak jak... - Docierało to do mnie powoli. - Jak wtedy, kiedy zabiłaś rodziców.

- Tak. - Wyszczrzyła się, a raczej to się wyszczrzyło, w rekinim uśmiechu. - Co zrobiłaś z grobem?

- Nic, przysięgam. Wypróbowałam tylko parę zaklęć. - Koniec nożyka nacisnął na szyję Wendy. — Tata n i c z e g o mnie nie uczył. Nigdy... - Zachłysnęłam się przez zęby powietrzem i spróbowałam uspokoić. - Nie uczył mnie magii. Wiem o niej z książki.

Ciało Wendy stężało. Wpatrywała się we mnie bez mrugnięcia. W jej oczach nie było nic. Żadnych emocji, żadnej osobowości. Były płaskie, martwe.

- Jakiej książki? - Wycodziła te słowa jak nauczyciel dykcji.

Nie od razu odpowiedziałam. Jakaś część mnie chciała rzucić się na nią, nie zważając na niebezpieczeństwo grożące Wendy. Wyprostowałam się. Nie byłam na przegranej pozycji, bo miałam to, czego pragnęła.

- Coś za coś. Odpowiedź za odpowiedź. - W wyobraźni założyłam maskę odwagi: czerwoną, groźną smoczą twarz.

- Nie bądź śmieszna. Mam w rękach życie twojej przyjaciółki. To ciebie obwiniają za jej śmierć. — Zrobiło mi się słabo na widok jej uśmiechu.

- Powiedz, jak się nazywasz. A ja powiem ci, jak nazywa się książka.

Paznokcie Wendy zabębniły o oparcie krzesła.

- Odważna jesteś. Podoba mi się to. Josephine. Nazywam się Josephine Darly.

- *Zapiski o przemienieniu i transcendencji* — wyszczałam przez wyobrażone kły.

- Och, to do niego podobne nazwać tak książkę! - Wendy roześmiała się. — Co jest w środku?

- Po co ci ta książka?

- Zaraz, wiem, co jest w środku. Jego zaklęcia. To ten stary zeszyt, w którym notował skończone receptury. Myślałam, że spłonęła w pożarze.

Wbrew pokusie nie zapytałam o pożar. Nie chciałam traścić pytania.

- Są w niej zaklęcia. Potężne. Po co ci ta książka? Przecież na pewno znasz się na magii. - Rozejrzałam się za bronią. Na biurku Stokesa leżały ciężkie tomy, ale stało ono za daleko. Przed sobą miałam tylko luźne kartki papieru. A scyzoryka nie mogłam wnieść na teren szkoły, więc został w domu.

- Silla. - Docisnęła ostrze trochę mocniej. Skóra Wendy ugięła się. - Radzę ci współpracować.

Otworzyłam usta, zamknęłam je i wbiłam wzrok w cienką strużkę krwi spływającą po szyi Wendy.

- Ja jej nie mam.

- Tylko kto?

- Nie powiem ci.

- Gdzie ją schowałaś? Zanim ich zabiłam, przetrząsnęłam cały dom. Nic nie znalazłam.

Wyobraziłam sobie opętane ciało taty przemierzające dom chwiejnym krokiem, przeszukujące rzeczy i patrzące na wszystko oczami tego potwora. Coś we mnie pękło.

- Nigdy ci nie powiem! - wrzasnęłam i rzuciłam się na nią. Złapałam w locie za nóż i przewróciłam nas obie na ziemię. Dookoła przewracały się ławki. Wendy uderzyła głową o podłogę i zawyła. Ścisnęłam oburącz jej rękę z nożem i szarpałam z całej siły. - Zostaw ją!

- Mów... gdzie... jest książka - wycedziła przez zęby, szamocząc się ze mną o nożyk.

- Nie.

Nagle rozluźniła się, a ja z krzykiem poleciałam do przodu. Ostrze brzęknęło o podłogę. Wendy odczołgała się na czworakach. Usiadłam na podłodze, ściskając w ręce nóż i dysząc ciężko.

W klasie Stokesa znowu było cicho. Ból głowy powrócił, jakby tylko czekał na chwilę słabości.

- Silla - odezwała się w końcu Wendy. - Pomóż mi, a nauczę cię żyć wiecznie.

Tego właśnie potrzebowałam przez ostatni tydzień: żeby ktoś mnie tego wszystkiego nauczył. Żeby odpowiedział na pytania, pokazał możliwości magii. Wyobraziłam sobie, że siedzimy naprzeciwko siebie przy kuchennym stole i pochylamy się nad książką z zaklęciami, a między nami przeskakują iskry radości i zachwytu. Niestety, to właśnie była jedyna na świecie osoba, od której za nic nie mogłam przyjąć nauki.

- Dlaczego zabiłaś tatę?
- Jeszcze trochę *quid pro quo?* — Odgarnęła włosy z czoła Wendy i spojrzała mi w oczy. - Silla, to on stał się moim wrogiem. Nawet przez chwilę nie myśl, że był dobrym człowiekiem. Zabijał, kłamał. Ciągłe kłamał.
- Nieprawda.
- Chodź ze mną. - Wendy wyciągnęła rękę. - Nauczę cię wszystkiego. Masz wielki potencjał, Silla. Pomyśl o magii, o potędze.
- Przełknęłam ślinę i zacisnęłam palce na nożyku. Ona uśmiechnęła się, ale oczy Wendy nadal pozostawały puste.
- Nauczę cię żyć wiecznie. Z kośćmi twojego taty...
- Kości taty! — Do tego był jej potrzebny grób. Wstałam, wymachując nożykiem jak mieczem.
- Skarbie, to najważniejszy składnik.
- Nie dostaniesz ich.
- Dlaczego go chronisz? To przez niego twoja matka nie żyje - rzuciła szyderczo.
- To ty zabiłaś mamę. A nie tata. - Zniżyłam głos. Tak bardzo pragnęłam ją zaatakować, że aż się cała trzęsłam. - To twoja wina. Odejdź, zostaw nas w spokoju - wycedziłam. Stanęłam nad Wendy. Ostrze lśniło w popołudniowym słońcu.
- Daj mi książkę. Wtedy może odejdę.
- Nie.
- Wendy uniosła się do kucek i uśmiechnęła szeroko. Nożyk zadrżał mi w palcach.
- Silla, skarbie, mogę zabrać ci jeszcze więcej. — Nie mogłam nic wykrztusić. Znajdę jakiś sposób, żeby ochronić Reese'a i Judy. I wszystkich. Jej uśmiech stopniał. - Twój chłopak na pewno wie.

Zanim zdążyłam zareagować, przyskoczyła do mnie i powaliła mnie uderzeniem ramienia. Trzasnęłam kością ogonową o podłogę, a żebrami przejechałam po brzegu ławki. Przez moment siedziałam bez ruchu, prawie nie oddychając. Przed oczami pociemniało mi na chwilę, a głowa pękała od bolesnego wstrząsu.

Josephine zniknęła. Razem z ciałem Wendy. Gdzie mogła pójść? Wstałam i rozejrzałam się po pustej sali.

Nick. Poszła znaleźć Nicka.

ROZDZIAŁ 24

13 czerwca 1937 roku

Odkąd opuściłam Boston, minęło wiele lat. Mój stary pamiętnik spoczywał w bibliotece pośród tomów pełnych zapomnianej wiedzy i poezji minionego wieku.

Czy to istotne, co robiłam i gdzie żyłam od tamtej pory aż do teraz? Philip powiedziałby, że tak. Że trzeba pamiętać. Choć ja powtarzam sobie wciąż: „Jak mogłabym to zapomnieć?”

Z Bostonu wygnała nas Wielka Wojna. Fatalne zniszczenia w Europie prześladowały mojego Prospera niby duchy, nie pozwalając mu spać. W końcu zgodziłam się pojechać z nim na Stary Kontynent. Znalazłam tam pociechę w towarzystwie wyższych sfer, Philip natomiast wolał biedne dzielnice, zniszczone miasteczka i wsie. W dużych miastach wiele osób straciło wszystko, niektórym jednak zostało akurat tyle, by móc utopić smutki w alkoholu

i zabawie. Mieszkaliśmy w Londynie, potem w Edynburgu i wreszcie w Paryżu, gdzie odnalazłam moje miejsce na ziemi.

Och, pamiętam te noce, o których Philip za moją sprawą zapomniał — pełne tańca, teatru, europejskiej śmietanki towarzyskiej. Ja z łatwością skupiam wokół siebie ludzi, natomiast Philip jest tak cichy, przystojny i szlachetny, że nie sposób go nie uwielbiać. Mieszkaliśmy w apartamentach i domach nabytych przeze mnie za przemienione w złoto kamienie. On uciekał na swoje ulubione spotkania pasjonatów nauki i filozofii, ja w tym czasie urządzałam seanse ezoteryczne dla osób zainteresowanych transcendencją. Spotykaliśmy się potem w domu, gdzie dzielił się ze mną nowymi ideami targającymi jego umysł. Słuchałam go i kochałam coraz bardziej za te rumieńce entuzjazmu na policzkach, za to, jak rozświeśla się wiedzą.

Czasami cała noc schodzi nam na rozmowie o teoriach naukowych i możliwościach magii. Według Philipa nasza moc jest zaszczytem i odpowiedzialnością, ja natomiast uważam, że to dar, który czyni nas lepszymi, silniejszymi, wręcz wszechmocnymi. Jak granit przemienia się w złoto, tak i nasze sprzeczki przeistaczają się w miłość i śmiech.

Jakże jestem szczęśliwa! Drzę, gdy wymawia moje imię. Zaklęcia, które tworzymy razem, mieszając naszą krew, działają błyskawicznie. Jedyne cię zasnuwający moją radość to jego niechęć do ślubu. I to po tylu latach razem. To jedyna kwestia, w której jest w stanie zniżyć się do kłamstwa. Pytam go, jak może godzić się, byśmy żyli jak mąż i żona, ale bez ślubu, zwłaszcza że w innych dziedzinach wyznaje surowe zasady moralne. Odpowiada na to niezmiennie:

— Josephine, pewnego dnia znudzę ci się. Gdybyśmy się pobrali, byłabyś uwięziona.

— Skarbie, właśnie po to wymyślono rozwody — mówię, bo on nie chce już słyszeć moich zapewnień, że nie znudzi mi się choćby i przez tysiąc lat.

— Znasz moc rytuałów. Nie da się ich cofnąć nawet za pomocą pióra, papieru i zastępu prawników.

— Ale ja cię kocham.

— A ja ciebie — mówi i całuje mnie.

Wierzę mu i dlatego jutro znowu opuszczamy Boston. Jedziemy naszym nowym Fordem T na zachód, do stanu Kansas, gdzie Diakon urządził sobie posiadłość pośród prerii. Posłał do Philipa umyślnego z wiadomością, że chciałby mnie w końcu poznać, a także pokazać Philipowi nowy sposób przyrządzania lekarstw. Kansas! Nie mam specjalnych nadziei na tamtejsze życie towarzyskie. Zastanawiam się, dlaczego Diakon wybrał akurat to miejsce.

Pobył w Europie wydaje się teraz snem. Może dlatego, że nie zabrałam mojego pamiętnika i nie notowałam tamtejszych wydarzeń. Teraz spakuję go do walizki. Wiele lat temu Philip miał słuszną: tylko zapisując wspomnienia, można uratować je od niepamięci.

ROZDZIAŁ 25

N I C H O L A S

Złapałem się na tym, że gwizdzę. Właśnie malowałem fioletowym sprayem okrągły kawałek sklejki. Nie miałem pojęcia,

do czego będzie służyć, ale specjalnie mnie to nie obchodziło. Popołudnie było ciepłe; pojawił się ten dziwny złotawy blask, którego nie mieliśmy w Chicago, może przez smog albo drapacze chmur odbijające światło - nie wiedziałem. Wiedziałem natomiast, że nawet mi się to podoba. Jesienne liście wyglądały w nim na gęstsze i puszyste, a nie po prostu zbrązowiałe i obumarłe. Wyprostowałem się i przyjrzałem linii wierzchołków drzew. Niebo za nimi było niesamowicie jasne, właściwie bardziej srebrne niż błękitne. Czy wcześniej zwracałem uwagę na takie rzeczy?

Kilka metrów dalej paru innych chłopaków z ekipy technicznej mocowało się z czymś, co chyba miało stać się podestem. Cieszyłem się, że pracuję sam. W drzewa dmuchnął wiatr, liście poruszyły się falą jak głupki na meczu. To właśnie wtedy zdałem sobie sprawę, że pogwizduję.

Nie żadną konkretną melodię, w dodatku pewnie fałszowałem. Ale faktem było, że ściągnąłem usta w dzióbek i wypuszczałem przez nie powietrze ze świstem. Zamilkłem. W ciszy usłyszałem coraz głośniejsze śmiechy reszty ekipy i warkot silnika. Z boiska, gdzie trenowali futboliści, dobiegały regularne chrząknięcia. Pewnie w rytm ciosów.

A ja gwizdałem. Z powodu Silli.

Kiedy tylko się zjawi, opowiem jej o mamie, łąkowej szkatułce, o moich doświadczeniach z magią. Stworzę dla niej coś pięknego, a ona się uśmiechnie. Pocałuję ją i pójdziemy do domu robić z jej bratem amulety. Potem na romantyczny spacer, tak jak lubią dziewczyny. Na łąkę za domem, tą przy murze cmentarza. Rozłożę koc, wyjmę wino ukradzione Lilith - może Silla da się namówić. Jeszcze tylko gorzka czekolada i już mamy piknik. Sami na łące. Najlepiej całą noc.

*Pocałunki jak liście
czerwone niczym krew
niczym serca i języki*

Pomyślałem, że ten kawałek muszę zapisać, mimo że się nie rymował. Odwróciłem się. Moja torba leżała na trawie otworem. Wstałem i zrobiłem kilka kroków w jej stronę. Za mną zaskrzeczał kruk i z takim impetem wylądował na drzewie, że wypłoszył stadko małych ptaszków, które fruwały teraz na tle nieba jak postrzelone konfetti. Na plecach poczułem mrowienie, jakby ktoś mnie obserwował. Spojrzałem w stronę szkoły i zauważyłem, że na parkingu wciąż góruje jeep Lilith. Co ona, u diabła, tu jeszcze robiła? Westchnąłem zniesmaczony.

Nagle tylne drzwi do budynku otworzyły się gwałtownie i wypadła z nich Wendy, przyjaciółka Silli.

- Nick! - krzyknęła, biegnąc ku mnie.

Wyprostowałem się i zmarszczyłem czoło. Pędziła, jakby od tego zależało czyjeś życie. Silla. Coś musiało się stać z...

Rzuciłem się w jej stronę.

- Gdzie Silla?

- Masz książkę?

- Książkę? - Gdy znalazłem się blisko, zwolniłem. — Gdzie Silla?

- W szkole. - Wendy była zdyszana i potargana, ale uśmiechnęła się przelotnie. - Wszystko w porządku. Tylko prosi, żebym przyniosła jej książkę z zakłęciami.

- Po co?

Drzwi znowu się otworzyły, tym razem wybiegła z nich

Silla. Najwyraźniej przerażona. Spojrzałem na Wendy. Twarz miała nieruchomą, ale zacisnęła usta. Cofnąłem się.

- Nick! - wrzasnęła Silla w pół drogi. - To nie Wendy. To nie...

Wendy odchyliła się i ni stąd, ni zowąd walnęła mnie w twarz. W czasie poczułem eksplozję bólu. Językiem posmakowałem krwi. Potoczyłem się do tyłu i dotknąłem ust, a Wendy obróciła się na pięcie i rzuciła ku torbie.

- Nie! - Silla chwyciła Wendy za włosy, ale wysmyknęły jej się z palców. Dogoniłem je trzema susami i chwyciłem Wendy za ramię. Usiłowała się wyrwać, ale szarpnięciem obróciłem ją w moją stronę.

- Puszczaj! - warknęła, obnażając zęby jak wilk.

- To nie Wendy - krzyknęła znowu Silla.

Ciało Wendy zamachnęło się na mnie nogą, ale przytrzymałem je i uniknąłem kopniaka. Wolną dłońią dotknąłem krwi na ustach i zrobiłem kleks nad jej brwiami.

- Wypędzam cię z tego ciała - powiedziałem, koncentrując wolę. Przez moją dłoń przebiegł palący dreszcz magii.

Widzę przed sobą gniewną, obcą twarz. „Wypędzam cię”, syczy.

Wendy osunęła się na ziemię.

- Wendy! - Silla uklękła przy ciele przyjaciółki, ale ta nie otwierała oczu, tylko oddychała spokojnie, jakby zemdląta.

Dookoła nas zapadła głucha cisza. Nawet walenie młotków ustało. Chłopaki z ekipy technicznej gapili się na nas z otwartymi ustami i narzędziami w opuszczonych luźno rękach.

Boże, miałem nadzieję, że nic nie usłyszeli.

Na skraju lasu zakrakał kruk. I jeszcze jeden.

- Nicholas.

Popatrzyłem na Sillę. Siedziała na ziemi z głową Wendy na kolanach. Patrzyła prosto na mnie. W jej oczach widziałem szerokie niebo.

- Jak to zrobiłeś? Tego nie było w książce.

Mogłem powiedzieć: zaimprovizowałem. Wymyśliłem. Ale spojrzałem na nią i nie mogłem skłamać po raz kolejny.

- Mama mnie nauczyła. - To nie były romantyczne okoliczności, które sobie wymarzyłem. Głos miałem stłumiony i bezbarwny. Czułem, że nie wyniknie z tego nic dobrego.

Wyraz jej twarzy zmienił się w mgnieniu oka. Najpierw nabuzowany emocjami, potem gładki i nieruchomy.

Znowu usłyszałem krakanie. Chmara ptaków poderwała się z gałęzi i poszybowała ku nam. Silla przeniosła wzrok na kruki, ale ja cały czas patrzyłem na nią. Potem kucnęła i wzięła do ręki moją torbę. Uniosła ją i krzyknęła na kruki:

- Tutaj jest! Chodź, weź ją sobie! - I nie patrząc na mnie, puściła się pędem ku parkingowi.

Pobiegłem za nią.

- Silla, zaczekaj! Moje auto! — Jakby mnie nie słyszała. Dogoniłem ją i chwyciłem za ramię. - Poczekaj.

Wywinęła się z mojego uścisku.

- Puść mnie! - Zmrużyła oczy i spojrzała w jakiś punkt za moimi plecami. - Lecą. Muszę je odciągnąć od Wendy.

- Możemy uciec moim samochodem. — Znowu dotknąłem jej ramienia.

- Skąd mam wiedzieć, że nie jesteś opętany? - Wyrwała się i skupiła wzrok na krukach.

Obróciłem się. Ptaki obserwowały nas z przekrzywionymi łebkami. Niektóre chygotały się niepewnie, jakby nie wiedziały, co się dzieje.

- Zapytaj mnie o coś - powiedziałem, patrząc z powrotem na Sillę.

- Może cały czas byłeś kimś innym.

Ta cicha wymówka nieźle we mnie łupnęła.

- Silla - szepnąłem, bo nie byłem w stanie mówić głośniej. Zacisnęła usta i obróciła się na pięcie, ale stała w miejscu.

- Jest gotowa opętać każdego - rzekła i zacisnęła palce na pasku mojej torby. - Muszę ochronić przed nią Wendy. I innych. I książkę.

- Zawiozę cię do domu - powiedziałem.

Z wolna skinęła głową. Popatrzyła na Wendy, od której dzieliła nas gromada kruków. Jej przyjaciółka, otoczona grupką chłopaków z ekipy, podnosiła się pomału. Silla znowu ściagnęła usta i zwinęła dłonie w pięści.

- Chodźmy.

Kruki nie poleciały za nami. Nie musiały, bo ktokolwiek je opętał, doskonale wiedział, że mamy książkę i jedziemy do Silli. Postanowiłem więc zmienić trasę.

Po drodze Silla nie spuszczała oka z drzew, pól, szosy, nieba - łądak mógł być wszędzie. W każdym ptaku, w krowach, które właśnie minęliśmy, w tym psie... Wszędzie. Ścisnąłem kierownicę kabrioletu i docisnąłem gaz, aż wiatr szarpał nam włosy. Przynajmniej ja miałem pewność, kim jestem.

Parę minut później Silla odezwała się:

- To nie jest droga do mnie. - Skuliła się i odsunęła ode mnie jak najdalej. - Zatrzymaj się!

Pokręciłem głową, nie patrząc na nią.

- Wie, gdzie mieszkasz. Będzie tam czekać. Wpadlibyśmy w pułapkę.

- A może właśnie w tej chwili robi krzywdę mojemu bratu? Albo Judy? Zawieź mnie do domu. Natychmiast.

- Nie.

- Porywasz mnie? - Podmuch wiatru uniósł jej słowa.

- Nie!

- A tak to wygląda. Zatrzymaj się.

- Silla...

Nie zdążyłem dokończyć, gdy odpięła pas i chwyciła za klamkę. Nadepnałem hamulec ze wszystkich sił. Samochód zjechał z drogi, Silla poleciała do przodu i zatrzymała się dłońmi na desce rozdzielczej. Cały świat wirował. Miałem wrażenie, że coś rozpruwa mnie w dwunastu różnych kierunkach. W końcu zahamowaliśmy.

Trząsałem się. Samochód też. Za to wszystko dookoła stało w miejscu. Powoli zdjąłem nogę z hamulca. Ważyła z tonę. Tylne koła zjechały z asfaltówki i wtoczyły się na pobocze. Odetchnąłem.

- Silla? - odezwałem się. W tym samym momencie ona otworzyła drzwi i wygramoliła się na zewnątrz. Słyszałem, jak staje na nogi. Wyłączyłem silnik i też wyszedłem. — Zaczekaj!

Pognałem za nią. Potykając się, weszła do rowu i wyszła z drugiej strony, na ściernisko kukurydzy. Na ramieniu ciągle niosła moją torbę. Glany zapadały mi się w wilgotną ziemię, ale kiedy znalazłem się po drugiej stronie rowu, łatwo ją dogoniłem.

- Silla! - zawołałem znowu, gdy dzieliło mnie od niej parę kroków. Odwróciła się i zamachnęła na mnie torbą. Trafiała w brzuch. Zgiąłem się w pół. Uszło ze mnie całe powietrze. — O Jezu - stęknąłem, gdy złapałem oddech. Całe szczęście, że nie wycelowała trochę niżej.

- Okłamałeś mnie.
Wyprostowałem się i spojrzałem jej prosto w oczy.

- Chciałem ci powiedzieć.

- Jasne. Słaby tekst, Nick. - Wydęła usta trochę w złości, trochę w bólu.

- Naprawdę, mówiłem ci przecież, że muszę z tobą porozmawiać.

- Co za zbieg okoliczności.

- Słuchaj, po prostu chybiłem z czasem, okej?

- Nie wierzę ci. - Cofnęła się, znowu przybierając nieprzekniony wyraz twarzy.

Zignorowałem chrząst żeber i wyciągnąłem do niej rękę.

- A co miałem powiedzieć? To magia. Tajemnica. Nie opowiada się o niej wszystkim naokoło.

- Widziałeś przemianę kwiatów. Wiedziałeś. I robiłeś to razem z nami. Daj spokój, miałeś milion okazji. - Skrzyżowała ręce na brzuchu. - Na przykład w piątek wieczorem. Po tym, jak... Albo w sobotę na cmentarzu.

- Ale...

- My tu się miotamy, wychodzimy ze skóry, żeby zrozumieć coś ze strzępków informacji, a ty cały ten czas wszystko wiedziałeś! Jak mogłeś udawać, że nie masz o niczym pojęcia?

- Silla...

- Dlaczego mam ci zaufać? Jak? - Pokręciła głową.

Zrobiłem krok w jej stronę i chwyciłem ją za ramiona.

- Posłuchaj mnie - powiedziałem z naciskiem.

Cisza. Zesztywniała, ale nie odwróciła się. Jej rozwichrzone włosy sterczały na wszystkie strony, a policzki miała zarumienione. Oblizałem usta i puściłem ją powoli.

- Nienawidziłem magii. Nie chciałem nawet o niej myśleć, co dopiero mówić. - Milczenie. - I nie wszystko pamiętałem. Same przeblyski. Moja mama... wiesz, że odeszła. A kiedy uczyła mnie zaklęć... byłem mały. Nie miałem nawet ośmiu lat.

- Ale rozpoznałeś, że to magia - rzekła cicho. Przeskoczyła spojrzeniem na moje usta. Potem zamknęła powieki, jakby bojąc się odpowiedzi.

- Nie rób tak. - Nie chciałem, żeby ode mnie uciekała.

Otworzyła gwałtownie oczy.

- Jak? - Odsunęła się.

- Nie chowaj się, jakbyś była na scenie. Nie zakładaj masek.

- Nie chowam się. Ja po prostu... próbuję przetrwać. Przeżyć. Poradzić sobie z najgorszym, co mnie w życiu spotkało. Bardzo mi przykro, że nie odpowiada ci moja metoda, Nick. — Wręcz wypluła moje imię.

- I nie bądź wredna. - Odwróciła się wściekła i zaczęła odchodzić. - To też jest chowanie się! - krzyknąłem za nią z wykrzywioną miną.

Zatrzymała się, obróciła i ruszyła na mnie.

- Czego ty ode mnie chcesz? Okłamałeś mnie, a teraz na mnie napadasz? Śmiało. Proszę bardzo. Wytrzymam. Wszystko wytrzymam. - Wcisnęła sobie pięści w brzuch.

- Silla, może tu chodzi o mnie, nie o ciebie.

- Doprawdy? Jaki masz związek z jakąś psychopatką kradnącą ciała, która zamordowała moich rodziców, może mi powiesz?

- Co?

- Co „co”?

- Zamordowała? Uważasz, że twoich rodziców ktoś zamordował, używając magii? Skoro już mówimy o kłamstwach,

ciekawe, że postanowiłaś to przemilczeć. „A tak w ogóle, kochanie, bardzo możliwe, że ściga nas morderca” - jakoś tego nie usłyszałem. Od jak dawna o tym wiesz i trzymasz w tajemnicy?

Silla gwałtownie zamknęła usta, zgięła kolana i opadła na tyłek, podciągnęła kolana i oplotła je ramionami. Patrzyłem na nią, dysząc, jakbym przebiegł maraton.

- Masz rację — powiedziała bezbarwnym tonem. Do moich stóp. - Nie powinnam była cię w to wciągać, nie mówiąc ci wszystkiego. To niebezpieczne.

Przykucnąłem.

- Gdybyś myślał, że to tylko zabawa, a potem coś by ci się stało albo... — Zaciśnęła powieki. - Przepraszam.

- Pamiętasz, jak ci mówiłem, że moja mama chciała się zabić?

- Tak.

- Podcięła sobie żyły. Żeby pozbyć się krwi.

Silla uniosła głowę. Nasze spojrzenia się spotkały. Widziałem, że zaczyna rozumieć, co znaczyła próba samobójcza mamy.

- Dziadek powiedział jej, że jest zła. Że magia jest zła.

- Dlaczego?

- Nie wiem. — Usiadłem naprzeciwko niej. - Nie pamiętam, a chyba powinienem. - Patrzyliśmy na siebie przez chwilę.

- Naprawdę nie pamiętałem wszystkiego. To, co pamiętałem, było jakby... czymś skażone. Bo chociaż na początku było fajnie, to potem mama chciała się przez to zabić i zaczęła ćpać, żeby osłabić magię. Zastanawiam się nawet, czy nie rzuciła na mnie jakiegoś zaklęcia na zapomnienie. Bo w sobotę, kiedy zobaczyłem, jak z Reese'em używacie opętania, wszystko jakby

wróciło do mnie huraganem. Mama znała opętanie. Uczyła mnie tego.

- Nie wiedziałeś, czy możesz mi zaufać - wyszeptła Silla - czy ja też nie jestem... zła. Czy nie używam magii w złych celach.

- Mhm.

- Rozumiem. - Pokiwała nieporadnie głową.

- I jeszcze coś... - Zawahałem się. Ona uniosła brwi. Odchrząknąłem i mówiłem dalej: — Mama może robiła złe rzeczy, ale w książce twojego taty nie znalazłem żadnego negatywnego zaklęcia. Same uzdrawiające, ochronne, przemieniające. Myślę, że twój tata był dobry.

Nagle się rozpłakała. Czułem się bezradny - jak ten facet z YouTube'a, który trzyma niemowlę na wyciągnięcie ręki, bo boi się, że go obsika. Zakryła twarz rękoma i zaczęła szlochać. I pociągać nosem. Pochyliła się i skuliła w kłębek. Chlipanie było teraz przytłumione. Trzęsły się jej ramiona. Delikatnie dotknąłem jej głowy, bo nie byłem pewien, czy chce, żebym ją obejmował albo pocieszał. Wszystko to trwało zaledwie chwilę. Dookoła nas pola pszenicy falowały jak suchy ocean.

Silla wyprostowała się, pociągając nosem. Osuszyła sobie policzki i oczy. Wciąż powtarzała „przepraszam”. Ja tylko czekałem. Podsunąłem jej rękaw. Uśmiechnęła się niepewnie i pokręciła głową.

- Dziękci, nie trzeba. Boże. Przepraszam.

- Nic nie szkodzi. Lepiej? - Niektórym podobno płacz pomagał.

- Yyy... - Pociągnięcie nosem. - Nie. W ogóle. Czuję się, jakbym miała watę zamiast mózgu.

- Tak właśnie wyglądasz - powiedziałem z całą powagą.

Wybuchnęła śmiechem.

- Jezu, nie rozśmieszaj mnie, to boli. - Nacisnęła oczy nasadami dłoni. Przez chwilę czekałem w milczeniu, aż się pozbiera. Złożyła ręce na kolanach i powiedziała jakby do nich:

- Boję się, wiesz? Tego, że na to zasłużył. Bo ściągnął na nas nieszczęście. A kobieta, która ich zabiła, powiedziała, że tata był kłamcą i złym człowiekiem. Wszyscy tak mówią.

- Mylą się.

Wciągnęła głęboko powietrze i wstrzymała chwilę, potem wypuściła je powoli. Miała napuchnięte powieki i purpurowe plamy na twarzy. Dobrze, że nie byłem lusterkiem. Zmrużyła oczy.

- O Boże, muszę zadzwonić do Reese'a! Muszę go ostrzec. Niech szybko jedzie do domu. Ale... plecak zostawiłam w szkole.

- Komórkę mam w torbie. - Dotknąłem jej palców. - Zawiozę cię, gdzie tylko chcesz.

ROZDZIAŁ 26

S I L L A

W gardle oddech świszczął mi sucho, niczym wiatr buszujący w kukurydzianym ściernisku za nami. Zamknęłam oczy. Czułam słabe słońce na karku, a pod pupą twarde kępy trawy. Gdzieś daleko zaskrzeczał kruk. Ścisnęło mnie w dołku.

Wybrałam numer Reese'a i patrzyłam na wyświetlacz, aż uzyskałam połączenie. *Proszę, proszę, bądź Reese'em. Moim bratem.* Odebrał po piątym dzwonku.

- Halo?

- Cześć, tu Silla.

- Bączku, płakałaś.

Ulga spadła na mnie jak chłodny deszcz. To on.

- Wszystko dobrze. Reese, natychmiast jedź do domu. Zabójca rodziców ciągle się tu kręci. Nazywa się Josephine Darly. Opętała dzisiaj Wendy i próbowała ukraść książkę. Nie wiem, co zrobi teraz. Musimy się naradzić, jak się przed nią chronić.

Przez chwilę Reese nic nie mówił. W tle słabo słyszałam warkot traktora i czyjeś pokrzykiwania. Potem odezwał się:

- Możemy wypróbować zaklęcia ochronne z książki taty. Jest z tobą Nick? Macie książkę?

- Tak.

- Musimy ją przejrzeć i poszukać... - zamilkł. - Słuchaj, nie mogę tu o tym rozmawiać. Jadę do domu.

- To okropne, że ważne zaklęcia są zawsze skomplikowane. Gdyby tak wystarczyło po prostu upuścić sobie trochę krwi.

- Próbowałam powiedzieć to lekko, żeby rozluźnić atmosferę, ale spudłowałam.

- No.

- Do zobaczenia w domu.

- Uważaj na siebie.

- Ty też.

Rozłączył się.

Nick przeszedł przez rów, wskoczył do kabrioletu i odjechał dalej od drogi. Obserwowałam go, a gula w dołku powoli zniknęła. Kiedy wyszedł z samochodu, poruszał się sztywno jak

marionetka i łatwo było wyobrazić sobie, że ktoś pociąga za sznurki. Ale wiedziałam, że to on. Słońce podkreśliło zaskakująco jasne kasztanowe refleksy w jego włosach. Ciekawe, czy wie, że je ma. Marzyłam, żeby wymazać z pamięci Josephine i to, co stało się z rodzicami. Zapomnieć o magii, opętaniu, krwi i zawołać tu Nicka, żeby przesunąć palcami po jego czuptynie i znaleźć więcej kolorów.

Zamiast tego wystukałam numer Wendy. Odezwała się poczta głosowa. Jej energiczny i radosny głos oznajmił: „Hej, prawie dodzwoniłeś się do Wendy. Zostaw wiadomość!”.

- Cześć, tu Silla. Chciałam się upewnić, czy nic ci nie jest. Zmyłam się, ale to dlatego, że... - oblizałam wargi i skłamałam: - zobaczyłam krew. Nie mogłam wytrzymać. Krwi. - Mój głos przeszedł w szept. - No, wiem, że doszłaś do siebie. Nie mam komórki, możesz na przykład zadzwonić na domowy. Albo na ten numer, dzwonię od Nicka. Przepraszam.

Mogłabym tak paplać jeszcze przez dwadzieścia minut, więc zamknęłam kłapkę telefonu. Wendy mi uwierzy. Ostatnio byłam beznadziejnie przewrażliwiona na punkcie krwi, więc usprawiedliwienie zabrzmiało prawdziwie.

Wstałam. W głowie czułam delikatnie pulsowanie w rytm bicia serca. Rany, nienawidziłam płakać. Przez wiele tygodni czułam, że nie powinnam. A płakać przy kimś poza mamą... której było teraz wszystko jedno, czy płaczę... Zatrzymałam potok myśli, zamknęłam oczy i westchnęłam głęboko. Musiałam się uspokoić. W ciągu zaledwie godziny tyle się wydarzyło. Nawet mniej niż godziny. Dam sobie radę. Potrafię się opanować.

Na mojej twarzy pojawiła się spokojna maska koloru morskiego. Nick obszedł samochód w kierunku bagażnika, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedział. O chowaniu się za

maską. Może i miał rację co do tej srebrno-białej. Specjalnie wymyśliłam ją zimną i pustą. Ale ta była częścią mnie. Tak samo jak słoneczna maska radości i wiele innych.

Wzięłam ostatni uspokajający oddech i podeszłam do samochodu. Z bagażnika Nick wyjął pudełko. Włożył je pod pachę, zatrzasał klapę, po czym postawił na niej pudełko.

- Co to jest?

Oparłam się biodrem o tylne światło i dotknęłam palcem pięknej, lśniącej pokrywy pudełka ozdobionej czarnymi ptakami na tle fioletowego nieba.

- Magiczna szkatułka mamy — odparł. Odsunął zepsuty zamek i podniósł wieczko.

Na widok jej zawartości mimo woli krzyknęłam cicho. Były tam malutkie słoiczki z wielokolorowymi proszkami, suszonymi roślinami, nasionami, opiłkami metalu, pióro, strzępki papieru, wstażki i wosk.

- Nick - szepnęłam.

On wyjął zakorkowany słoiczek zrobiony z cienkiego, mętnego szkła. Na etykietce napisano: „Drapacz lekarski”. Ręką taty.

- Nick! To pismo taty. - Wzięłam słoiczek i czule dotknęłam karteczki o sfałdowanych brzegach.

Nick zanurkował ręką we wciąż wiszącej na moim ramieniu torbie i wyjął książkę z zakłęciami. Otworzył ją i porównał litery. Było jasne jak słońce, że to charakter pisma taty.

- Najwyraźniej szkatułka należała do nich obojga - rzekł i spojrzał mi w oczy.

- Judy wspominała, że chodzili w liceum. - Gdybym na policzkach nie miała już wypieków od płaczu, zarumieniłabym się teraz.

Nick odłożył książkę na karoserię i potarł twarz.

- Rany, ale jazda.

- Mhm. - Przynęłam się i dotknęłam policzkiem jego policzka. - Chodźmy do domu - wyszeptalam.

ROZDZIAŁ 27

Wrzesień 1937 roku

Ach, Diakon! Cóż za postać.

Jest bezpretensjonalny, a zarazem miody i piękny niczym anioł. Albo diabeł. Mówi, że nasza moc pochodzi z krwi Szatana; nie sposób mu nie wierzyć. Diakon swym czarem mógłby zbałamucić nawet księdza. Ale nie to mu w głowie, przez co wydaje mi się tym dziwniejszy. Dziwniejszy i cudowniejszy. Nie używa magii do kłamstw czy podstępów. On po prostu... jest. Podobnie jak burza nie dba o ludzkie reakcje. Burza, która ludziom wydaje się wściekła, żądna i pełna rozpaczy, podczas gdy tak naprawdę to po prostu wiatr i deszcz. Diakon także przynależy do natury.

Philip całkowicie oddaje się tym ich nowym eksperymentom. Pracują nad lekarstwami i olejkami na choroby. Nic ciekawego. Obserwuję Diakona i zastanawiam się, w jaki sposób stał się tym, czym jest. Dziś rano spojrział na mnie i uśmiechnął się. W jego oczach ujrzałam coś, czego nigdy nie widziałam u Philipa.

Wyzwanie.

Podczas gdy Philip skraplał roztwory z jednej probówki do drugiej, Diakon zaprosił mnie, bym towarzyszyła mu w wyprawie między wysokie trawy prairii. Obiecał mi nową magię.

Och, jakże się cieszę, że przystałam na jego propozycję. Otworzył mi umysł! Nigdy nie przypuszczałam, że mogłabym opętać stado gęsi lądujących na jeziorze lub drzewo... Och, drzewo! Nie umiem ubrać w słowa uczucia, gdy wspinałam się od korzeni po najwyżej położone listki, powiewające na wietrze niczym włosy. Moc i spokój są nieskończone. Diakon mówi, że tak czuje się Bóg.

Ale spokój nie zajmuje mnie zbyt długo. Wolę biegać z kojotami albo z orłami szybować po niebie. Polowałam, zabijałam i czułam w żołądku ciężar mięsa pokonanego moimi własnymi pazurami. To wszystko z Diakonem.

Dawno temu Philip powiedział mi, że opętanie to igraszka z niebezpieczną pokusą. Teraz nie odczuwam już pokusy, bo nie opieram się dzikości i niebezpieczeństwu. Jestem całym światem.

ROZDZIAŁ 28

N I C H O L A S

Po drodze zrelacjonowałem Silli wszystko, co przypomniałem sobie z nauki magii. Powiedziałem również o tym, jak mama mówiła, że uratujemy Robbiego Kennicota - chociaż to wspomnienie było jakby za mgłą. Silla opowiedziała o zbeczczeniu grobu rodziców i liście od jakiegoś Diakona dołączonym do książki z zaklęciami.

- Zaraz - przerwałem jej, gdy skręciliśmy w naszą ulicę.
- Mówisz, że to była piątkowa noc, ta po imprezie? To wtedy Josephine próbowała dobrać się do kości waszego taty?

- To musiało być wtedy.

- O, cholera. - Kalosze. Zabłocone kalosze, chociaż ziemia była zbyt zimna na pracę w ogrodzie.

- Nick, co się stało? - Silla dotknęła mojego ramienia.

Pokręciłem głową. Wszystkie kawałki układanki pasowały. Gdy wjechałem na dróżkę do domu Silli, miałem wielką ochotę zarysować sebringa o bramę. Zaparkowałem i spojrzałem na nią.

- Lilith.

Silla czekała.

- Kiedy wróciłem w piątek do domu, potknąłem się o jej ubłocone kalosze. A twoi starzy zginęli w lipcu, tak? Ona akurat nadzorowała remont domu. A dzisiaj była w szkole. - Miałem wrażenie, że runął na mnie cały świat. Nie znosiłem Lilith, ale nie sądziłem, że może być m o r d e r c z y n i ą .

Silla dotknęła mojej twarzy.

- Nick, Nick - powiedziała i przycisnęła swoje usta do moich.

Wszystko wróciło na miejsce. Odwzajemniłem jej pocałunek i ująłem jej twarz w dłonie. Oderwaliśmy od siebie usta, za to zetknęliśmy się czołami.

- Nick, chodź do środka, obgadamy to. Coś wymyślimy.

Uniosłem kącik ust w półuśmiechu. Nagle z pocieszyciela stałem się pocieszanym.

- Dobra, mała.

Wyskoczyłem z samochodu. W tym samym momencie pod dom zajechała furgonetka jej brata. Zatrzasnąłem drzwi i już miałem przywitać się z Reese'em, gdy nagle Silla krzyknęła.

Poczułem na twarzy uderzenie skrzydeł i pazurów niewielkiego ptaka. Zamachnąłem się na niego, gwałtownie schyliłem i rzuciłem w stronę samochodu.

- Silla! Do domu!

Ledwo ją widziałem, bo stała w chmurze sójek. Opędzała się od nich, a one okropnie skrzeczały. Nagle w kark wbiły mi się małe pazurki. Obróciłem się. Dziobały mnie w ręce i usiłowały wylądować na głowie. Były wszędzie. Cała chmura.

Puściłem się pędem. Na moment straciłem przytomność, coś jakby dłuższe mrugnięcie powiekami, i zaraz znowu biegłem. Potknąłem się, podtrzymałem rękoma i...

S I L L A

Ptaki gwałtownie zawróciły. Miałam chwilę oddechu.

- Nick! - zawołałam i rozejrzałam się. Nick właśnie zanurzył rękę w torbie i wyciągał z niej książkę. Na twarzy miał złośliwy uśmiech. *O, nie.*

Rzuciłam się w jego stronę, ale kiedy już prawie go złapałam, opadł na kolana i wykrzywił się. Sójki podniosły jazgot i z całą siłą uderzyły stadem w moje plecy, drąc mi koszulkę. Zachwiałam się, ale złapałam równowagę i odpędziłam je rękami. Poczułam, jak ciało zalewa mi gorąca fala bólu.

Reese ryknął. Brzmiało to jak okrzyk wojenny. Miał w ręce łopatę, którą strącał ptaki na ziemię, a w drugiej dłoni trzymał niczym tarczę plastikową pokrywę kubła na śmieci. Upadłam koło słaniającego się Nicka. Książka z pogniecionymi kartkami leżała na ziemi okładką do góry. Gdy ją podniosłam, poczułam na ramieniu rękę Nicka.

- Nic mi nie jest - rzucił. Wstaliśmy i ruszyliśmy w kierunku mojego brata.

- Za mną! - krzyknął Reese i machnął łopatą. Za każdym trafieniem żołądek podjeżdżał mi do gardła. Przemknęliśmy w stronę domu, a Judy otworzyła nam drzwi. Nick i ja wbiegaliśmy po schodach nieomal się potykając, ale mój brat szedł pewnym krokiem. Kiedy tylko weszliśmy do środka, Reese odrzucił łopatę i zatrzasnął drzwi.

N I C H O L A S

Judy zabrała Sillę na górę, by ją opatrzyć i przebrać. Siedziałem na stole w kuchni, a Reese przemywał mi piekącą wodą utlenioną ranki na plecach i przyklejał plastry. Nie odzywał się i szczerze mówiąc, ja też nie miałem ochoty na rozmowę. Zamknąłem oczy i zacisnąłem szczękę, żeby ścierpieć pieczenie. Przypomniałem sobie moment opętania. Czułem dezorientację. Odrętwienie. Jakbym był sparaliżowany albo lunatykowałem. Ale wyczułem chwilę, gdy jej wola skoncentrowała się na czym innym - na zdobyciu książki z zakłęciami - i wyrwałem się. Ale kto wie, czy udałoby mi się to ponownie. Wzdrygnąłem się.

- Sorry - wymamrotał Reese i przyklepił plaster do linii włosów.

- Ten będzie upierdliwy przy zrywaniu.

Reese chrząknął.

- Dzięki - dodałem.

- Nie ma sprawy. - Poszedł umyć ręce, a ja oparłem łokcie na stole i zakryłem twarz dłońmi. - Zaraz wracam. - Podszedł do drzwi i podniósł łopatę.

- Zaraz, co robisz?

- Upuściliście książkę. Pójdę po nią.

Wstałem i wyjąłem kluczyki z kieszeni džinsów.

- Ja pójdę. Ty mnie ubezpieczaj. W bagażniku mam inną ważną rzecz.

Na trzy otworzyliśmy drzwi i wybiegliśmy. Ja poślizgnąłem się na drodze i boleśnie rymsnąłem na dłoń. Podniosłem książkę. W tym momencie zdałem sobie sprawę, że Reese nie wymachuje łopata. Ptaki zniknęły, niebo było puste. Nie poruszał się nawet jeden listek. Zapadła całkowita cisza.

- Cholera - wymamrotałem, wciskając klucz do zamka w bagażniku.

Reese chrząknął. Chodził w tę i we w tę z łopata w garści, czujny, jakby czekał na podanie piłki. Włożyłem szkatułkę pod pachę, a książkę do ręki, skinałem mu głową i zatrzasnąłem bagażnik. Chwilę później znaleźliśmy się z powrotem w domu. Nie było nas raptem dwie minuty.

Zmęczeni usiedliśmy na krzesłach przy kuchennym stole. Między nami na blacie leżały szkatułka i książka z zakłęciami, a na oparciu mojego krzesła wisiała torba.

Po chwili Reese gwałtownie wstał i podszedł do kuchenki. Zamknąłem oczy i otworzyłem je dopiero na dźwięk kubka stawianego na stole. Zapachniało kawą.

- O rany.

Ująłem gorące naczynie w dłonie i niuchnąłem. Reese z kawą w dłoniach usiadł na krześle koło mnie.

- Reese - zacząłem. On popatrzył na mnie obojętnie i zamrugał. — Od dawna wiem o magii.

Dalej nic tylko mrugał. Potem w jego twarzy nastąpiła mikroskopijna zmiana, od której od razu wyglądał na nachmurzonego. Mimika betonowa jak u mojego taty.

- Mama mnie nauczyła, kiedy byłem dzieckiem. Znała się na magii.

Zacisnął i rozluźnił zuchwę. Odstawił kubek z kawą. Położył dłonie szeroko na stole i przesunął je w moją stronę. Świdrując mnie spojrzeniem.

- Mama cię nauczyła.
- Mhm.
- Doprawdy.
- Tak.
- A ty... udawałeś, że nic nie wiesz.
- Tak było najbezpieczniej.

Pochylił się. Krzesło zaskrzypiało pod nim złowróźnie. Zanim zdążył otworzyć usta, dodałem pospiesznie:

- Słuchaj, podjąłem taką, a nie inną decyzję, ale nie zamierzam czuć się winny z tego powodu, więc lepiej daj spokój.

- Silla wie? — zapytał cicho.

- Tak. Dzisiaj jej się przyznałem. A ona opowiedziała o waszych rodzicach... i w ogóle. - Chciałem napomknąć o rozumieniu, jak to jest, ale coś mi mówiło, że Reese nie jest w nastroju do bratania się.

- No dobra. - Cofnął się na krzesło i wypuścił powietrze przez zęby. - Najwyraźniej mamy sporo do obgadania.

- To ja, yyy... pójdę po Sillę. - Starałem się iść powoli, ale owszem, zwiewałem. Nie potrafiłem wyczuć, czy naprawdę się rozluźnił, czy po prostu czeka na właściwy moment, żeby walnąć mnie w zęby. Tak czy inaczej Silla była tu potrzebna jako świadek.

S I L L A

- Jejku, niesamowite, co? - Judy wpadła do łazienki i gwałtownym ruchem otworzyła drzwiczki szafki nad umywalką. Ruszała się niezwykle energicznie, jakby bała się, że zemdleje,

kiedy się zatrzyma. - Ptaki zwariowały! Chyba nadchodzi burza albo może gdzieś było minimalne trzęsienie ziemi, którego nie poczuliśmy. Wiesz, ptaki są wrażliwe na zmiany w przyrodzie.

Klapnęłam na zamknięty sedes. Ramiona trzymałam wyciągnięte; lśniły na nich małe zadrapania. Judy kucnęła przy mnie z pudełkiem plastrów, szmatką, wacikami i butelką wody utlenionej. Zwilżyła szmatkę w umywalce i zaczęła przemywać mi kark. Zamrugałam, chociaż właściwie nie bolało.

- Mhm. Ptaki zwariowały - wyszeptałam.

Babcia Judy przerwała na chwilę.

- Wszystko dobrze, skarbie?

- Nie. - Spojrzałam na nią z góry. Co właściwie o niej wiedziałam? Tylko to, co sama mi powiedziała. Może tak naprawdę była kimś innym? Poczułam to samo co wcześniej w odniesieniu do Nicka. Zjawiła się zupełnie nagle po śmierci rodziców. Ledwie ją pamiętaliśmy, z całą pewnością nie dość dobrze, żeby zauważyć zmiany w jej zachowaniu.

Poczułam mdłości. Zsunęłam się z toalety na wypadek, gdybym jej potrzebowała.

- Już dobrze, kochanie. - Judy kolistymi ruchami głaskała mnie po plecach. - Już dobrze. Jeszcze coś cię gryzie?

Oparłam czoło o chłodną ceramiczną klapę sedesu i pokręciłam głową. Muszę walczyć. Nie byłabym w stanie normalnie funkcjonować, podejrzewając, że otaczają mnie wrogowie. To na pewno nie babcia. Przecież gdyby tylko chciała, już dawno zamordowałaby nas we śnie.

O dziwo, ta myśl mnie pokrzepiła. Westchnęłam i obróciłam się. Siedziałam teraz na wykafelkowanej podłodze pomiędzy sedesem a umywalką. Podałam Judy ręce, a ona zaczęła

przecierać je szmatką. Patrzyła na moje ramiona i zacisnęła usta w zaciętym grymasie. Po chwili dotknęła ramię wacikiem nasączonym wodą utlenioną. Przygryzłam wargę. Szczypanie otrzeźwiło mnie niczym kubeł zimnej wody i zapytałam:

- Judy, pamiętasz coś jeszcze na temat mamy Nicka? Jakieś... dziwne historie?

Judy wyprostowała się i przechyliła głowę w zamyśleniu. Przytrzymała moje dłonie w swoich. Siwe włosy miała splecione w warkocz, który zakołysał się ciężko, nieomal zamiatając kafle chwościkiem.

- To było, hm... - zmarszczyła się i popatrzyła w sufit - może z rok po moim ślubie z Douglasem. Jego mama, jak ona się nazywała... Daisy?

- Donna - szepnęłam.

- Właśnie. Kiedy ty przyjechałam, chodzili z Robbiem już dosyć długo, ale na początku klasy maturalnej nagle zerwali. Martwiliśmy się z Dougiem, bo Robbie stał się cichszy i trochę zmienił upodobania, na przykład odszedł z drużyny futbolowej i zaczął się więcej uczyć. Nie żeby wcześniej w ogóle nie przykładał się do nauki, lecz zmiana zaszła tak nagle... to było nieco dziwne. No, ale wiadomo: dorastał, planował pójść na uniwersytet w Saint Louis. - Judy podpięła pasmo włosów, które wysmyknęło się z jej warkocza. W świetle łazienki frencz na jej dłoniach wyglądał matowo.

- I co było dalej? - Splotłam pokaleczone dłonie i lekko nacisnęłam rozstrojony żołądek.

- Którejś nocy obudziłam się. Od samego rana bolała mnie głowa. Poszłam na dół napić się mleka i usłyszałam na zewnątrz jakiś głos. Było naprawdę późno. Około drugiej. Wyjrzałam i zobaczyłam kucającą przed werandą Donnę. Grzebała

w ziemi u podstawy schodów. Otworzyłam szerzej drzwi i zaprosiłam ją do środka. Pomyślałam, że też nie może zasnąć i przyszła tutaj, żeby... sama nie wiem. Być bliżej Robbiego? Rozstali się zaledwie tydzień wcześniej. Pamiętałam, jak to jest po raz pierwszy być zakochanym. - Judy uśmiechnęła się melancholijnie i splótła dłonie. - Ale ona uciekła na mój widok. Spojrzałam na miejsce, gdzie przed chwilą kuciała. Wyglądało na to, że próbowała coś tam zakopać. Wygrzebałam z ziemi małą skórzaną sakiewkę w stylu indiańskim. - Uniosła palce, żeby pokazać rozmiar sakiewki. - Wtedy z domu wyszedł Robbie. Zapytał: „Judy, co się stało?”. Pokazałam mu sakiewkę i wszystko opowiedziałam. Pamiętam, że się zmarszczył i popatrzył za Donna w ciemność. Oświadczył, że się tym zajmie. Dałam mu torebkę i uspokoiłam, że wszystko będzie dobrze. Zapewniłam go, że kiedyś mu wybaczy, ale chyba mi nie uwierzył. Następnego dnia po południu zapytałam, co to było. Zbył temat, mówiąc, że to jakieś zabobony. Nic wielkiego.

Kątem oka zauważyłam minimalny ruch w drzwiach łazienki. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Nicka. Stał z ręką zacisniętą na klamce, jakby się bał, że się przewróci.

- Nick - szepnęłam i wstałam, podpierając się o toaletę. Podeszłam do niego i dotknęłam jego ramienia.

- Yyy, przyszedłem zobaczyć, co tam u was. - Ale nie patrzył na mnie. Gapił się na Judy.

Ona też wstała. W łazience zrobiło się ciasno.

- Nick, chodź, opatrzę ci ręce - powiedziała. Wrzuciła do umywalki zwoje gazy i plastry.

Usunęłam się z drogi. Nick stanął przy Judy i bez ruchu obserwował jej pracujące palce. Usztywnił ramiona; miałam

ochotę przytulić się do niego, pocałować go w kark i rozmasować napięte mięśnie, żeby go trochę rozluźnić.

Babcia Judy ciągnęła, jak gdyby nigdy nic:

- Z tego, co pamiętam, Donna wyjechała przed maturą. Państwo Harleighowie powiedzieli, że pojechała na północ do cioci.

Nick podniósł głowę i napotkał w lustrze spojrzenie Judy.

- Umieścili ją w zakładzie. Całe moje życie co jakiś czas tam wracała. Była rąbnięta. Jest rąbnięta.

Judy pokiwała współczująco głową i poklepała go po dłoni. Przynęłam się do Nicka i objęłam go w pasie, ale dosyć luźno, bo była z nami babcia.

- Naprawdę myślisz, że zajmowała się magią? - zapytałam Judy.

- Nie mam pojęcia. - Babcia odsunęła Nicka i zaczęła chować opatrunki do szafki.

Nick wziął ode mnie jeden plaster. Staliśmy obok siebie i słuchaliśmy. Żałowałam, że nie mogę dyskretnie podejrzeć, jaki ma wyraz twarzy.

Judy zatrzasnęła szafkę i ciągnęła:

- Tak chyba uważała. Wówczas takie sprawy raczej mnie nie interesowały. Ale po rozwodzie z Dougiem spędziłam parę lat na Węgrzech i dowiedziałam się sporo o takich ludowych wierzeniach. Dwie panie, u których mieszkałam, nie wychodziły z domu bez monety w lewym bucie. To miało uchronić je przed złym czarem. Sama widziałam, jak jedna z nich wyleczyła niemowlę z gorączki, po prostu kąpiąc je w mleku i śpiewając piosenkę. - Uśmiechnęła się. - Osobiście wolę panadol, ale nie mnie oceniać. Nigdy nie wątpiałam w moc modlitwy.

- Babciu, myślimy, że ktoś planuje użyć magii przeciwko nam. - Od razu wyłożyłam kawę na ławę. - Ta sama osoba, która zabiła rodziców.

- Co? Och, kochanie, to niemożliwe. Ludowymi czarami nie da się kogoś naprawdę skrzywdzić. Zwłaszcza twojego tatę, który miał głowę na karku.

Ścisnęłam Nicka za rękę.

- Naprawdę uważasz, że ten Robbie, którego znałaś, mógłby zabić mamę? On wcale nie oszalał, jak uważają wszyscy.

Judy powoli pokręciła głową.

- Silla, skarbie, nie wiem. Nikt nie wie.

- My wiemy. - Wzięłam głęboki wdech i skinęłam głową. Byłam zdecydowana. - Chodź na dół. Pokażę ci.

N I C H O L A S

Silla poprowadziła mnie na dół i posadziła przy kuchennym stole. Jakbym doznał urazu mózgu - chociaż może i tak było. Mimo że nie miałem ochoty poświęcać mamie energii, w głowie kłębiły mi się myśli o niej, kiedy była w moim wieku i coś rozpaczliwie kombinowała. Trochę mnie to rozstroiło. *Obrzydliwy, słodkawy zapach wymiotów. Mama pochyla się nad sedesem i rechocze sama do siebie. Po kafłowej podłodze toczy się igła. Zatrząskuję drzwi i uciekam do mojego pokoju.*

Z wazonu w korytarzu Silla wyjęła suchy kwiat i położyła na stole przed Judy. Następnie drasnęła się w palec i wyszeptowała parę słów po łacinie. Żółte, wysuszone płatki rozjaśniły się i rozprostowały. Judy krzyknęła cicho, ale po mnie tym razem to spłynęło. Zamiast mózgu miałem kawałek sera.

- Och! - Judy zamrugała i dotknęła kwiatu kościstym palcem.

- Już nawet nie potrzebuję soli - wyszeptała Silla i oparła się na krześle.

Judy uniosła kwiat i przyjrzała mu się wnikliwie. Najwyraźniej potrzebowała chwili, żeby wszystko do niej dotarło. Reese bombardował mnie i Sillę spojrzeniami, pewnie dlatego że wygadała się Judy bez konsultacji z nim. Ja nie byłem w stanie cieszyć się z jego niezadowolenia, bo cały czas myślałem o mamie. Próbowała zakopać magiczne przedmioty pod domem Silli. I była zakochana w jej tacie.

- Musimy zaplanować działanie - odezwał się Reese. — Silla, opowiedz, co się stało.

Ona wzięła do ręki kubek z kawą i opisała starcie z Josephine w ciele Wendy. Przemilczała moje podejrzenia względem Lilith. Potem pochyliła się, żeby wziąć łyk kawy, a Judy pokręciła głową.

- Ładna historia! Wprost marzę o tym, żeby spotkać to stare babsko i wymierzyć jej parę policzków.

Reese rozłożył na stole książkę z zaklęciami i przycisnął rogi dłońmi.

- O, to chyba najlepsze zakęcie ochronne. Trzeba znaleźć coś, w czym zamkniemy magię. To mogą być na przykład srebrne charmsy. No chyba że ktoś ma ochotę oskalpować kota i wygarbować jego skórę.

Silla zacisnęła usta, ja się skrzywiłem, a Judy wykrzyknęła:

- O Boże!

- Tak myślałem. - Reese uśmiechnął się sucho. - W takim razie będzie trudniej. Srebro musi być namoczone w specjalnym eliksirze, do którego brakuje nam paru rzeczy. Ruta, rzepik, serdecznik... Rutę zamówiłem przez internet, ale przyjdzie najwcześniej w środę. Duże pióro dzikiego ptaka, czarna

świeca - wczoraj kupiłem kilka - oczywiście sól i krew, woda źródłana, której możemy nabrać ze strumienia pana Meroona, i kamienie energetyczne, cokolwiek to jest. Dzięki za niejasność, tato.

- Mam rzepik i serdecznik - rzekłem i powoli uchyliłem wieczko szkatułki. Moje ręce nadal były jak z ołowiu. Niech to się już skończy. Otworzyłem pudełko jednym ruchem. Reese i Judy zajrzeli do środka.

- O, cholera! - skomentował Reese. - To twojej mamy?

- Mhm.

- Tego jest cała masa. Rewelacja. Indycze pióro? - Przesunął palcem po lotce.

- Do puszczania krwi. To nie składnik.

- Na cmentarzu jest mnóstwo kruczych piór - zauważyła Silla.

- No dobra - wymamrotał Reese, ledwie nas słuchając. Uważnie wyciągał buteleczki, odczytywał napisy i chował je z powrotem. Wyjął stożkowatą fiolkę z maleńkimi srebrnymi kuleczkami i przesunął kciukiem po etykietce. Opisaną ręką jego taty. Wcisnął fiolkę na miejsce odrobinę za mocno.

- Czyli mamy wszystko, tak? - Silla przygryzła dolną wargę. - Poza srebrem i kamieniami energetycznymi. — Ski-
nąłem głową. - To może ja i Nick pojedziemy po charmsy do galerii handlowej w Cape Girardeau - zaproponowała. - Jest otwarta do dziewiątej. Poszukamy też tych kamieni.

- Dobra. Ja skombinuję pióro i wodę źródlaną i zacznę przygotowywać eliksir. Trzeba wystawić go na noc na działanie światła księżycy. Jest już, co prawda, po pełni, ale miejmy nadzieję, że starczy. Cholera, mam nadzieję, że... - Reese wyjrzał za okno.

- Słońce, żadnych chmur - powiedziała babcia Judy jedynym tchem. - Noc będzie gwiaździsta.

Reese odetchnął z ulgą.

- Super. A więc do dzieła.

Popatrzyliśmy wszyscy po sobie. Było to dosyć surrealistyczne: oto czworo ludzi siedzi w kuchni wiejskiego domku i obmyśla krwawe zaklęcia. A w okolicy czai się psychopatyczny morderca, który kradnie ciała i ściga nas poprzez stado ptaków.

Milczenie przełamała Silla.

- Zanim się rozejdziemy, musimy ustalić hasło, po którym rozpoznamy, że naprawdę... naprawdę jesteśmy sobą.

- Dobry pomysł, bączku. - Reese miał ponurą minę.

Znowu zapadła cisza. Ale nie pełna zakłopotania, tylko raczej jakbyśmy czekali na coś ważnego. Miałem wrażenie, że wszystko, odkąd się tu przeprowadziłem, miało swój punkt kulminacyjny właśnie teraz. Albo wręcz odkąd się urodziłem. Kto wie, jak daleko to sięgało?

W mosiężnym żyrandolu zamigotała jedna z żarówek. Czar chwili przysł.

- Może to: „Jużem tak głęboko w krwi zagrzązł, że wstecz iść niepodobieństwo; trzeba więc dalej brnąć”^{*} - wyszeptała Silla.

Reese przewrócił oczami.

- A może tak coś, co wszyscy zapamiętamy?

- Nie zapamiętasz *Makbeta*, barbarzyńco? - Wygięła kącik ust w uśmiešku.

^{*} W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 67.

- Precz, cholerna plamo!*
- Może to: „Gwiazdy, nie pozwólcie oku napotkać dłoni ukrytej w pomroku”**.

Odruchowo dopowiedziałem:

- Chętnie napotkam twą dłoń... — Ale dzięki Bogu zatrzymałem się w porę i nie palnąłem przy jej babci i bracie nic niewybaczalnego.

Reese nachmurzył się.

- Ej, wymyślmy coś łatwego, dobra?

Babcia Judy uniosła palec.

- Mam. Nabuchodonozor!

S I L L A

Na dźwięk telefonu prawie spadłam z krzesła. Rzuciłam się, żeby odebrać. Zdjęłam słuchawkę z widełek. Oby to była Wendy.

- Halo?

- Silla?

Rozdziawiłam się szeroko i spojrzałam w przerażeniu na pozostaną trójkę.

- Dzień dobry, pani Tripp.

- Cieszę się, że wszystko z tobą w porządku. Dzwonię, żeby sprawdzić, jak się czujesz. I upewnić, że jutro przyjdiesz do szkoły. To absolutnie konieczne, Sillo. Musimy przesunąć

* W oryginale: „Precz, przeklęta plamo!” W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 99.

** Fragment większego tekstu: „Gwiazdy, skryjcie światło, czystych swych blasków nie rzucajcie na tło mych czarnych myśli; nie pozwólcie oku napotkać dłoni ukrytej w pomroku”. W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 21.

nasze piątkowe spotkanie na jutro, żeby omówić dzisiejszy incydent z Wendy Cole.

- Incydent? - Stuknęłam tyłem głowy o ścianę. Reese siedział z nosem w szkatułce, ale Nick i babcia Judy dodawali mi otuchy spojrzeciami.

- Wendy Cole jest zupełnie zdezorientowana. Pewna osoba widziała, jak z Nickiem Pardee ją zaatakowaliście. Właśnie rozmawiałam z ojcem Nicka. Wszyscy bardzo się martwimy.

- Czy... czy Wendy to potwierdziła? - szepnęłam, szukając wzrokiem Nicka.

- Obawiam się, że tak. Jest rozstrojona. Odpoczywa teraz w domu.

Zamknęłam oczy i poczułam, jak zaciska mi się gardło. Boże, Wendy. Nie wiedziałam, co powiedzieć.

- Silla?

- Tak — wyszeptałam. Głos mógł mnie zawieść.

- Będziesz jutro w szkole, prawda?

-Yyy...

- Nalegam. Nie chcę mieszać w to policji. Lepiej będzie, jeśli po prostu usiądziemy i to przedyskutujemy. Czy twoim opiekunem prawnym jest pani Judy Fosgate?

- Opiekunem prawnym? — Na te słowa Reese podniósł wzrok. - Wydaje mi się, że nie mam opiekuna... Jestem prawie pełnoletnia i ten temat jakoś nigdy... nie wypłynął.

Reese podniósł się i szedł do mnie z wyciągniętą ręką.

- Sillo, ktoś musi być za ciebie odpowiedzialny — odparła pani Tripp. - Może...

Pozwoliłam Reese'owi wyjąć słuchawkę z mojej bezwładnej dłoni.

- Mówi Reese Kennicot. Czym mogę służyć? - Cofnęłam się

prosto na Nicka, który położył mi ręce na ramionach. - Tak - powiedział Reese, patrząc na mnie. - Będzie. Ale nie stało się nic nielegalnego. Inaczej wezwałaby pani policję. - Zamilkł. Potrząsnął głową i wyrócił oczami. - Jesteśmy wdzięczni za zainteresowanie, pani doktor... nie wiem, czy ma pani stopień doktora? Nie? No cóż. Zgadza się, jest pani. Tak, wiem. Ale nie należy do nich zakłócanie wieczoru mojej rodziny. Do widzenia. - Odłożył słuchawkę nieco zbyt energicznie.

- Dzięki - powiedziałam. - Muszę jeszcze raz zadzwonić do Wendy.

- Powinnaś jechać, zanim się ściemni. Im krócej jesteś na dworze po ciemku, tym lepiej - rzekł Reese. Przez chwilę zobaczyłam w nim tatę. Uśmiechnęłam się lekko i cisnęłam Nicka za rękę.

Pobiegłam na górę, żeby zadzwonić do Wendy z telefonu w korytarzu.

- Silla?

- Wendy, dzięki Bogu. - W ciemności osunęłam się po ścianie i usiadłam na dywaniku. - Wszystko dobrze?

- Tak — wyszeptęła. — Przepraszam, ale nie chcę, żeby rodzice usłyszeli. Nie wiedzą, że coś się stało.

- Pani Tripp pewnie do nich zadzwoni.

- Uch. Jezu. - Trzasnęły drzwi. Dalej Wendy mówiła cicho, ale już nie szepcząc. - A u ciebie?

- W porządku.

- To dobrze.

Musiałam jej to powiedzieć. Chciałam wszystko wyjaśnić. Ale jak? Przez telefon? Na pewno nie. Przynajmniej na razie będę więc musiała kłamać. Później może pokażę jej magię. Miała prawo wiedzieć. W końcu została w to wciągnięta.

- Wendy, strasznie mi przykro.
- Nic się nie stało. Pewnie po prostu spadł mi cukier...

Silla, muszę kończyć.

Serce mi się ścisnęło.

- Jasne. Zadzwoń później albo pogadamy w szkole, tak?
- Dobra. Chyba po prostu... muszę się wyspać.
- Dobranoc, Wendy.
- Dobranoc, Silla.

Rozłączyłam się. W gardle stanęła mi gęsia skóra. Skuliłam się na dywanie, dotykając czołem kolan. Nie, nie zdawało mi się. Wendy, jedyna przyjaciółka, jaka mi pozostała, bała się ze mną rozmawiać.

ROZDZIAŁ 29

Grudzień 1942 roku

Philip mnie opuścił.

Nie mogłam go zatrzymać. Odszedł, żeby służyć jako medyk na wojnie, która nie ma z nami nic wspólnego. My żyjemy przecież poza horyzontem ludzkich spraw. Mam pięćdziesiąt jeden lat, a wyglądam najwyżej na siedemnaście. Philip jest starszy ode mnie o sto lat. Sam wyniósł się ponad człowiecze życie. Jesteśmy od nich lepsi! Oni ani nie zasługują na naszą pomoc, ani jej nie pragną.

Odpułynał rok temu, a ja na powrót przeniosłam się do Diakona. On jeden potrafi mnie rozweselić. Wszędzie dokoła smutek i bieda, ale Arthur przypomina mi, że wszystko ma swój

koniec. On, który żyje od stuleci, a jego krew jest tak potężna i czysta, że używa magii samą tylko myślą. Mawia: „Philip do nas wróci. Zawsze wraca”. Kiedy wpadam w szal i ranię moją skórę, on wyciera ze mnie krew i przemienia ją w nektarynki. Pod kansaskimi wierzbami zbudował dla mnie altanę przypominającą kwietne łoże Tytanii. Korony drzew chronią mnie od słońca i deszczu, a ja układam się na ciepłej i spokojnej ziemi. Ciężko odczuwam odległość, jaka dzieli mnie od Philipa. Ziemia drży śmiercią. Ten rytm kołysze mnie do snu.

Nieliczne listy Philipa pełne są melancholii i zawołowanego gniewu. Nie pojmuję, jak może żyć tyle lat i nadal ufać w dobroć rodzaju ludzkiego. Pisze: „Josie, nigdy nie zrekompensuję całego tego cierpienia i śmierci. Nawet milionem zakłęb”.

Odpisuje: „Philipie, przestań się o to kłopotać. Nie staraj się tak bardzo. Rób, co możesz, ale nie jesteś Bogiem”.

„Josie, jeżeli Bóg istnieje, srodze nas zawiódł”.

Chciałabym mu odrzec: „Philipie, potrafisz zrobić więcej, niż przemieniać wodę w wino. Dlaczego martwisz się o Boga?”.

ROZDZIAŁ 30

N I C H O L A S

- Opowiedz mi swoje życie - powiedziałem znad kubełka pa-luszków z kurczaka i frytek. Siedzieliśmy w barze w centrum handlowym. Mrużyłem oczy, bo od wszystkich błyszczących powierzchni odbijały się lampy.

Wcześniej jechaliśmy właściwie w milczeniu. Oboje usiłowaliśmy uwolnić się od poczucia odrealnienia po tym, co się stało wcześniej. Ja dodatkowo cieszyłem się na spotkanie z pustą, bezmyślną normalnością centrum handlowego. Gdyby to ode mnie zależało, nie wybrałbym fast foodu na miejsce naszej pierwszej randki, ale po tym strasznym dniu nie miałem zamiaru wybrzydzać.

Silla uśmiechnęła się.

- Urodziłam się w Yaleylah, wychowałam się w Yaleylah, skończę szkołę w Yaleylah. I tyle.

- Mhm. A co sprawiło, że jesteś kim jesteś?

- Nie mam pojęcia. A kim jestem? - Uśmiechnęła się nieco kokieteryjnie, ale oboje wiedzieliśmy, że to uzasadnione pytanie.

- Jesteś cudowna, delikatna, zdecydowana. Lubisz kolor krwistoczerwony.

- Nie pytam, jaka jestem, tylko k i m jestem.

- Dobra. Jesteś dziewczyną, która dla rodziny zrobi wszystko. Która ufa podejrzanym wielbicielom, bo mają uroczy uśmiech. - Posłałem jej uroczy uśmiech.

- I otwartą twarz - dodała.

- Co?

- Kiedy się pierwszy raz zobaczyliśmy, pomyślałam, że masz otwartą twarz.

- Zmieniłaś zdanie?

Wrzuciła do ust frytkę.

- Teraz twoja kolej - powiedziała.

- Urodziłem się w Chicago, wychowałem się w Chicago, skończę szkołę w Yaleylah.

Silla roześmiała się i przewróciła oczami.

- Dobra, inne pytanie. Jakie jest twoje najpiękniejsze wspomnienie?

Od razu pożałowałem, że to powiedziałem, bo odwróciła wzrok i odłożyła kawałek kurczaka na serwetkę. Ale odpowiedziała:

- Premiera *Oklahomy!*. Grałam Ado Annie, jedną z głównych ról, mimo że byłam dopiero w pierwszej klasie. Z jednej strony było super, a z drugiej czasami wyłaziły na wierzch różne niesnaski, zazdrości i takie tam. Po spektaklu, oklaskach, ukłonach i wywoływaniu przed kurtynę poszłam na korytarz. Ciągle byłam w kostiumie. Pamiętam, jak pot spływał mi z czoła i rozmazywał cały makijaż. Korytarz wręcz bużował od śmiechu, wiwatów i atmosfery niesamowitego sukcesu. Mama aż się rozpłakała od uśmiechania. Tata uściskał mnie i zapytał: „Mam sobie sprawić strzelbę?”. - Jej rozmarzony uśmiech stopniał i spojrzała na mnie. - Bo ojciec Ado Annie straszy jej adoratorów strzelbą. Okropnie mnie tym rozśmieszył. I wtedy zjawił się Reese z ogromnym bukietem róż. Pachniały tak cudownie... Były czerwone, różowe, żółte, białe i nawet w moim ulubionym odcieniu ciemnego, nasyczonego fioleto. Stał tak ze zmarszczonym nosem, jakby starał się rzucić coś złośliwego a la starszy brat, ale zamiast tego pokręcił tylko głową i powiedział: „Bączku, to było niesamowite”. Potem przyszedł Eric. Grał jednego z kowbojów. I Wendy. Ona nie przystąpiła do przesłuchań, ale bardzo nam pomagała. Chyba nigdy mocniej nie czułam, że żyję, niż wtedy w najzwyklejszym na świecie szkolnym korytarzu. - Zamknęła powieki. — Peruka gryzła, a bućki uwierały mnie w małe palce, ale w ogóle się tym nie przejmowałam. Wszyscy nosili mnie na rękach, a ja dokładnie wiedziałam dlaczego. Czułam idealną

wspólnotę. - Dłonie miała splecione, a pierścionki migotały lekko nawet w marnym świetle centrum handlowego. - To chyba trochę egocentryczne z mojej strony uważać tamten dzień za najlepsze wspomnienie życia.

Odsunąłem kubełek pustych kalorii i przykryłem jej dłonie moimi.

- Wiem, o co chodzi. - To najzupełniej normalne. Wtedy żyli jej rodzice. Była szczęśliwa. Jej oczy rozbłyły, chociaż pewnie ułamkiem światła, które miała w sobie wtedy.

- Chciałbym tam być.

- Ja też.

- Powinniśmy się zbierać, chociaż nie za bardzo mam ochotę wracać.

- Mhm. Ale im szybciej znajdziemy charmsy, tym szybciej zbudujemy sobie ochronę przed... dalszym ciągiem.

S I L L A

Szliśmy przez plastikowy pasaż sklepów. Trzymałam Nicka za rękę i wyobrażałam sobie, że jesteśmy po prostu parą na najzwyczajszej randce. Pragnęłam zapomnieć o krwi, magii i śmierci. I o tym, że Wendy nie chce ze mną rozmawiać. Wołałam nie zastanawiać się, co sobie myśli.

Przeczesywaliśmy sklepy. Nick opowiedział mi o grach na konsole, ulubionych markach dżinsów, filmach, kolorach, zabawkach. Zbierał kiedyś pokemony, a ja przyznałam się do dziecięcej fascynacji power rangersami. Zakładaliśmy z Reese'em okulary przeciwsłoneczne i udawaliśmy, że dzięki nim możemy walczyć ze złymi siłami z kosmosu. Ja wcielałam się w żółtego rangersa, a Reese w zielonego. Zagony kukurydzy pana Meroona były świetnym polem walki.

Przy jednym ze stoisk z biżuterią Nick kupił garść wątpliwej jakości srebrnych łańcuszków. Obiecałam zwrócić mu pieniądze, ale odparł:

- Silla, wiesz co, im więcej pieniędzy wydam, tym mniej Lilith doprowadzi z mojego spadku, kiedy już wpędzi tatę do grobu.

Gapiłam się na niego z półotwartymi ustami. Powiedział to tak po prostu.

- Serio tak uważasz?

- Zazwyczaj. - Wzruszył ramionami.

- Dlaczego nazywasz ją Lilith?

- Bo Lilith była w Biblii matką wszystkich demonów.

- Uśmiechnął się złośliwie, wykrzywiając usta w kształt diabelskich rogów.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

- Zakładam, że ona o tym nie wie.

- Nieee. Chodź, pójdziemy do prawdziwego jubлера i kupimy lepsze srebro.

- Nick, lepsze równa się droższe.

- Pomyśl o tym w ten sposób: kupuję ci biżuterię, tyle że ty zamiast nosić ją na sobie, użyjesz jej do, hmm... praktyczniejszych celów.

Pociągnął mnie za rękę.

Jechaliśmy do domu w stronę zachodzącego słońca. Światło miało różne kolory: intensywnie różowy, złoty i chłodny odcień morskiego, rozplływający się złowieszczo w ciemności. Wiatr smagał mnie po policzkach i nosie; oparłam się w fotelu, żeby jego lodowate palce mogły ciągnąć mnie za włosy.

Nick prowadził bardzo szybko. Tak szybko, że nie musieliśmy obawiać się ataku z powietrza. Kierownicę ścisnął obiema rękami, które ułożył na za dziesięć drugą. Mięśnie miał napięte. Kiedy skręcił w zakręt, z ruchem samochodu przechyliło się całe jego ciało i naprężył ramiona. Przygryzłam wargę i przyglądałam mu się z głową opartą o chłodną skórę fotela.

Spontanicznie położyłam mu rękę na udzie. Przez chwilę się nie ruszał, potem musnął palcami grzbiet mojej dłoni, po czym chwycił z powrotem kierownicę i nacisnął pedał gazu. Poczułam, jak pracują mu mięśnie uda. W oczy dmuchnął mi lodowaty wiatr, więc zamknęłam powieki i skoncentrowałam się na szorstkiej strukturze jego dzinsów. Dotykałam go ręką, której używałam do magii. Pulsowanie podłużnej ranki wyostrzyło moją uwagę i zjeżyło mi włoski na przedramieniu. Łączył nas delikatny, choć szybki rytm bicia serca. Byłam pewna, że jego tętno także przyspieszyło.

Wydawało mi się, że w samochodzie jest coraz goręcej, nawet mimo chłodnych podmuchów wiatru. Twarz mi płonęła.

Pragnęłam, żeby mnie objął i pocałował. Pragnęłam słuchać, jak obśmiewa lokalne dziwactwa albo zjadliwie komentuje swoją macochę. Pragnęłam go całego. Wargę, którą przygryzałam, trochę bolała.

Za każdym razem, gdy chciałam poprosić, żeby się zatrzymał i pozwolił pocałować, mijaliśmy jakiś samochód albo gdzieś w pobliżu przelatywał ciemny kształt ptaka. Rozumiałam, że musimy czym prędzej jechać do domu. Jeżeli się zatrzymamy, to być może już na zawsze.

NICK

Ledwie dotarliśmy do Yaleylah.

Wciskałem gaz coraz mocniej, aż poczułem - a może sobie wyobraziłem - że przy skręcie koła samochodu zabuksowały. Zwolniłem tak, żebyśmy nie wypadli z trasy i nie przekoziołowali miliard razy. Bałem się spojrzeć na Sillę. Dotyk jej ręki działał na mnie jak miniwybuch atomowy.

Zacisnąłem szczęki, wbiłem wzrok w jezdnię i podśpiewywałem w głowie kawałek z *Wojowniczych żółwi ninja*. Był to jedyny sposób, żeby nie wyskoczyć z drogi ani ze spodni.

Kiedy w końcu wtoczyliśmy się na chrzęszczący podjazd do domu Silli, odważyłem się na nią spojrzeć. Miała zamknięte oczy.

— Wszystko dobrze? — zapytałem, ale od razu zmarszczyłem brwi. - Nie było to zbyt mądre pytanie.

Potrząsnęła głową.

- Nie, w porządku. Tylko... zatrzymaj się.

Zahamowałem i odwróciłem się w jej stronę, a ona dotknęła mojej twarzy i pocałowała mnie w usta.

Przez chwilę żadne z nas się nie ruszało. Potem ona rozchyliła wargi i nieco przygryzła moją; objęła mnie za kark i przywarła całym ciałem. Pomogłem jej przysunąć się jeszcze bliżej: niezdarnie uniosłem jej biodra i podtrzymałem, gdy przechodziła nad gałką zmiany biegów. Nie było łatwo, trochę się szamotaliśmy, ale udało się. Siedziała mi bokiem na kolanach, plecami oparta o drzwi, a łokciem dotykając kierownicy. Ja jedną ręką obejmowałem jej plecy, a drugą miałem na jej udzie. Cały czas się całowaliśmy.

Świat rozpadł się z hukiem. Zupełnie jakby pod nami pękła ziemia i wszystko obsunęło się w ciemność — wszystko poza moim samochodem. I nami w środku.

Moje dłonie odnalazły brzeg jej koszulki i zanurkowały. Silla cicho krzyknęła, gdy poczuła zimne palce na skórze, ale przytuliła się i pocałowała mnie mocniej.

- Nick - szepnęła między jednym a drugim pocałunkiem.

Zanurzyła palce w moich włosach i szarpnęła. Ból tylko dodał smaku. Przesunąłem rękami po jej talii, a potem okrężnymi ruchami w górę żeber. Poczulem na przeponie, jak drży jej oddech. Teraz rozkoszowaliśmy się pocałunkami powoli. Silla kierowała moją twarzą. Musnąłem dłońmi miseczki jej stanika i sięgnąłem do tyłu, żeby...

Silla oderwała usta i przywarła do mnie policzkiem.

- Nick - powiedziała - Nicholas. - Znieruchomiałem. Dyshałem ciężko. - Jesteśmy... pod moim domem.

Z ociąganiem położyłem dłonie na jej biodrach.

- Rzeczywiście. Zapomniałem.

- Ja też. Chyba, yyy... wystarczy.

Zamruczałem z niezadowoleniem. Może powinienem udawać, że wcale nie mam ochoty zedrzeć z niej ciuchów, ale obiecałem przecież więcej nie kłamać.

- Nick. - Światło padało w ten sposób, że jedna połowa jej twarzy była oświetlona, druga ciemna. Ciężko było odgadnąć w ten sposób, jaką ma minę. - Kiedy pomyślałam, że może tak naprawdę jesteś kimś innym... - Czekałem. Ona spojrzała na swoje kolana, na radio, na ciemniejące niebo i wreszcie prosto na mnie. - To mnie przeraziło. Lubię cię. Bardzo. Dzięki tobie czuję, że żyję. Działasz trochę jak magia, ale inaczej. To znaczy wolę, żebyś to ty dawał mi energię. A nie magia, oszustwa, pozory. Chcę tego, bo wiem, że ty też chcesz.

Przypomniał mi się wiersz, który wymyśliłem dzisiaj, jeszcze zanim wszystko się popieprzyło.

- Chcę — powiedziałem, opierając się durnej pokusie mówienia do niej poezją.

- Chodźmy do środka. - Silla zeszła ze mnie i wylądowała na kolanach na fotelu pasażera. Wyglądało to trochę dziwnie; roześmiała się cicho, otworzyła drzwi i wyszła. Podałem jej torbę z zakupami.

- Silla?

- Co? — Odwróciła się do mnie jasno oświetlona lampą z werandy.

- Ja chyba... już pojadę. Jeżeli Tripp zadzwoniła do mojego taty... Wyłączyłem telefon, ale wolałbym, żeby mnie nie uduślił, że wracam tak późno.

Przez chwilę tylko na mnie patrzyła, potem skinęła głową.

- Dobra - szepnęła. - Do jutra. Uważaj na siebie.

- Ty też. Dobranoc, mała.

S I L L A

W kuchni Reese dojadał miskę płatków. Cały stół dookoła niego był zastawiony zawartością magicznej szkatułki.

- Masz. - Położyłam obok niego torebkę ze srebrem.

- Judy się kapie. Zanim pójdziemy spać, powinniśmy nasypać na progi i parapety soli z odrobiną kwiatów wrzосу.

- Mhm. Nie znaleźliśmy kamieni energetycznych.

- Spróbujemy z taty przyciskiem do papieru. Wiesz, może właśnie po to miał ten ametyst.

- Sprytnie.

- Czasem główka pracuje. - Reese złapał mnie za rękę i pociągnął lekko, żebym usiadła koło niego. — Myślałem też o czymś jeszcze.

Wzięłam jego kubek i dopiłam resztkę kawy.

- Tak? O czym?

- O Nicku.

- Jezu, Reese, nie teraz. - Wywróciłam oczami, spodziewając się pogadanki starszego brata.

- Nie chodzi o to, że masz chłopaka. Tylko że... pomyśl. Umie posługiwać się magią. Odziedziczył dom dziadka akurata w idealnym momencie. Jego mamę i naszego tatę coś kiedyś łączyło. Tak naprawdę nie znamy go zbyt dobrze. Skłamał, że nie wie o magii.

Nick podejrzewał swoją macochę częściowo z tych samych powodów.

- Reese, nie wierzę w to.

- Tylko pomyśl.

- Już pomyślałam. To nieprawda, Reese. Ty też tak nie uważasz.

- Nie?

- Nie. W przeciwnym razie nie puściłbyś mnie z nim do miasta.

- Silla.

- Reese. Potrafię poznać, kiedy ktoś jest opętany. Gdy Wendy była opętana, to było straszne, wstrętne i złe. Z Nickiem tak nie jest. Poza tym był z nami podczas ataku ptaków. I to on uratował Wendy. Nie możemy nagle zacząć podejrzewać wszystkich dookoła. Można też pomyśleć, że to Judy, w końcu przyjechała tutaj zaraz po ich śmierci i prawie jej nie znamy, prawda? - Mój brat zacisnął usta i wygładził dłońmi papiery leżące na stole. - Nie możemy tak żyć. - Wstałam.

Reese powiedział po chwili:

- Dobrze na mnie działasz, Silla.

- Wiem. - Pochyliłam się i oparłam się policzkiem o jego głowę.

- A jednak okłamała cię. To nie fajne. Być może będę musiał go za to trzepnąć.

- Nie zrobisz tego. - Roześmiałam się cicho.

- Może zrobię.

- Obgadaliśmy to. Słowo.

Reese westchnął pełnym zrezygnowania pomrukiem. Poklepałam go po ramieniu i powiedziałam:

- Zaraz wracam. Muszę zrobić siku.

Podczas mycia rąk w łazience na górze popatrzyłam na umywalkę i krople wody na kranie. Od paru dni tu nie sprzątałam. Może zamieszanie z magią pomagało nie tylko Reese'owi, ale i mnie. A może wywoływało w nas nową paranoję. Przycisnęłam do twarzy mokre dłonie. Z ulgą poczułam na skórze chłód.

Gdy wycierałam twarz ręcznikiem, w lustrze zauważyłam bransoletkę Reese'a. Tę, którą dostał od taty, ale której już nie nosił. Leżała na półce za drzwiami. Tygrysie oko obserwowało mnie, złotawe paski na kamieniu błyszcząły jak żywe. Obróciłam się i podniosłam bransoletkę. Pasowała do pierścionka na moim lewym palcu środkowym, a wewnętrzną stronę srebrnego kółka miała wygrawerowaną trzema runami.

Zniosłam bransoletkę do kuchni.

- Reese.

Burknął coś, nie podnosząc wzroku znad kartek, na których zapisywał coś jakby listy przedmiotów. Usiadłam na krześle obok i czekałam. Po chwili spojrzał na mnie.

- Co? Po co to przyniosłaś? - Wskazałam runy po wewnętrznej stronie kółka. Reese przysunął bransoletkę do oczu

i przyglądał się napisom. Potem zmarszczył gniewnie brwi.

- No i?

- Przestań się jeżyć i zastanów się.

Odłożył bransoletkę na stół i ujął moją prawą rękę.

- Na twoich pierścionkach są runy?

Powoli zdjął szmaragd z mojego palca środkowego. To był najgrubszy i największy pierścionek. Na wewnętrznej stronie zobaczyliśmy szlaczek maleńkich run.

Zdejmowałam je po kolei. Szmaragd, tygrysie oko, kordieryt, onyks, granat i parę srebrnych obrączek bez kamienia. Jeden pierścionek na każdy palec. Każdy z nich od wewnątrz miał runy.

- To - wskazał inskrypcje na pierścionku z tygrysim okiem, takim samym jak kamień na jego bransoletce - jest zaklęcie umieszczane na amulecie ochronnym. Podobne widzieliśmy w ogrodzie wyryte w ziemi, pamiętasz?

- Myślisz, że możemy ich użyć jako kamieni energetycznych?

Reese powoli skinął głową.

- Załóż - powiedziałam, podsuwając bransoletkę Reese'owi. Kamień kształtem i rozmiarem przypominał kapsel. I mrugał do mnie.

- Silla.

- Tata chciał, żebyś ją nosił.

- To dlaczego trzymał to wszystko w sekrecie? Gdyby nam zaufał, może uniknęlibyśmy tragedii.

- Może. - Zaczęłam z powrotem zakładać pierścionki. Myślałam o mamie Nicka, która próbowała uczyć go magii z fatalnym skutkiem dla obojga. Zdjęte pierścionki szybko ostygły. Miałam wrażenie, że zakładam pancerne rękawice.

- Bączku, jak to możliwe, że nie jesteś na niego zła?

Uniosłam głowę. Reese nie patrzył na mnie, tylko na bransoletkę, którą trzymał w dłoniach.

- Ja po prostu... nigdy nie uważałam, że to jego wina.

- Ale zobacz, do czego doprowadził.

- To wcale nie on.

- Owszem, on. Wiesz to doskonale. A on nawet nie zadał sobie trudu, żeby nas albo mamę przygotować na taką sytuację. Nie nauczył nas, jak się bronić przed magią. Był sam na własne życzenie. Niestety, nie umarł sam.

- Kochał nas.

- Aha.

- Może myślał, że najlepiej ochroni nas pierścionkami i bransoletką.

- Może.

W gardle poczułam nieprzyjemną gulę. Poruszyłam szczęką i połknęłam łzy, które popłynęły niespodziewanie. Pokręciłam głową i zamrugałam. Dostyc już płaczu na dziś. Reese siedział nieruchomo i wpatrywał się w bransoletkę. Po chwili zacisnął powieki i zamknął bransoletkę w dłoni.

Wstałam i pogłaskałam go po włosach, tak jak on zawsze głaskał mnie. Trzęsły mi się ręce. Oparł o mnie głowę. Przytuliłam go i pomyślałam o tym wieczorze po premierze, o którym opowiadałam Nickowi. Kiedy czułam, że żyję, bo każdy wiedział, kim jestem.

Reese objął mnie w pasie i staliśmy tak przy kuchennym stole - samotni, ale razem.

ROZDZIAŁ 31

4 lipca 1946 roku

Philip nadal przebywa we Francji.

Czasami go za to nienawidzę. W innych chwilach chciałybym popędzić do niego przez fale i wstrząsnąć nim, aż przyrzeknie, że wróci ze mną do domu.

Przyjechałam do Bostonu, do apartamentu, gdzie niegdyś mieszkaliśmy razem. To tutaj czterdzieści lat temu narodziłam się z jego krwi. W Bostonie gram młodą, bogatą mężatkę, którą mąż porzucił dla wojny. Są okresy, kiedy świetnie się bawię, flirtuję z adoratorami i baluję w towarzystwie bostońskiej śmietanki. Czasem jednak zamykam drzwi na cztery spusty i gromadzę zapasy magii, miałę proszki i zaklinam moc w kamienie energetyczne. Zamieniam skały w srebro i złoto, by potem je sprzedać; czasami jednak płacę szkodliwymi zaklęciami, bo wiem, że Philip by mnie za to znienawidził.

Ale on mnie opuścił i nie chce powiedzieć, kiedy powróci.

W zeszłym miesiącu odwiedził mnie Diakon. Zabawiałam go najlepiej, jak potrafiłam. Pojechaliśmy wzdłuż wybrzeża na południe. Pokazał mi cmentarz, gdzie wiele lat temu znalazł Philipa kradnącego ciała. Lubię Diakona za wiele rzeczy: amoralność — miła odmiana po Philipie — oraz wyobraźnię podobną do mojej. Lecz tu, w Bostonie, sprawia wrażenie staromodnego.

Mimo całego mojego talentu do magii Diakon krzywi się na moje spodnie i kręci nosem na nowe porządki.

Pocałowałam go i zapewniłam, że niektóre z nowych porządków mogłyby mu się spodobać, ale on wie, że czynię mu awanse tylko przez wściekłość na Philipa. I oczywiście ma rację. Moje serce służy mojemu Prosperowi, mojemu zaginionemu czarno-księżnikowi.

Zatem zamiast oddać się namiętności, ja i Diakon poszukiwaliśmy kości jakiegoś czarownika lub czarownicy. Chcemy zrobić Philipowi niespodziankę, gdy wróci, i obdarować go tynkturą działającą przez trzydzieści lat.

ROZDZIAŁ 32

N I C H O L A S

Było późno, więc starałem się zamknąć drzwi jak najciszej. W salonie, gdzie mrugał telewizor, dostrzegłem głowy Lilith i taty. Zatrzymałem się w kuchni. Nie byłem głodny, a głowa lekko ćmiła. Może to pozostałość po opętaniu. A może zmęczenie.

Zmrużyłem oczy. Rzeczywiście, tata bardzo się o mnie martwi. Kurde, nie będzie sobie przecież przeszkadzał w oglądaniu telewizji. Stanąłem na stopniu schodzącym do salonu. Ściany były upstrzone czarną skórą i malarstwem nowoczesnym. Obrazy, kiedy się nad tym zastanowić, wyglądały trochę jak rozbryzgi krwi.

- Jestem - oznajmiłem.

Tata obrócił się.

- Nicholasie Pardee, co się z tobą, do cholery, działo?

- Wyszedłem.

Wstał, a Lilith za nim. Wsparł się pod boki - znak, że czeka mnie pokaz egzaltacji.

- Nick, do licha ciężkiego, dzwoniли ze szkoły i...

- Wszystko gra, okej?!

- Nie musisz krzyczeć - rzekł irytująco opanowanym głosem. Na przekór tacie najchętniej bym teraz ryknął, ale zabrzmiałoby to cokolwiek głupio. Dlaczego po prostu na mnie nie wrzasnął?

Lilith przesunęła długą dłoń po ramionach taty, jakby to on potrzebował pocieszenia.

- Nicky, cieszę się, że tobie i twojej koleżance Silli nic się nie stało - powiedziała przymilnie.

- Mhm.

- Nick - mówił tata - kiedy dzieje się coś takiego, musisz do mnie od razu zadzwonić. Być może będziesz oskarżony o napaść. Trzeba się przygotować.

- W sensie, od strony prawnej? Nie potrzebuję adwokata. Nic nie zrobiłem. Ta psycholog naprawdę powiedziała, że to była napaść?

Zmarszczył brwi.

- Powiedziała, że doniesienia są sprzeczne, ale ktoś mówi, że uderzyłeś pewną dziewczynę.

- I ty w to uwierzyłeś? - Było mi niedobrze.

- Nie wiem, Nick. Ostatnio dziwnie się zachowujesz. Wykradasz się z domu, przesiadujesz na cmentarzu z jakąś niezrównoważoną dziewczyną...

- Ona n i e jest nie zrównoważona. To ja powinienem się martwić o ciebie i twoje kobiece towarzystwo.

- Tego już za wiele. - Tata zrobił krok w moją stronę. - Od miesięcy nic tylko obrażasz mnie i moją żonę. Lekceważysz wszystkie starania Mary. Jesteś pełen wrogości i pogardy. Koniec tego.

- Bo co? - Skrzyżowałem ramiona. Co mi zrobi? Uziemi mnie? Nie było go w domu, żeby mnie upilnować. Zabierze mi samochód? Nie ma sprawy, pójdę do Silli piechotą.

Tata otworzył usta, ale Lilith położyła mu rękę na piersi.

- Chłopcy, ogłaszam zawieszenie broni. Wyśpimy się i pogadamy rano, kiedy wszyscy się uspokoją. - Spojrzała na mnie. - Twój ojciec miał ciężki dzień, ale musiał czekać z pójściem spać, aż wrócisz do domu.

- Bardzo mi przykro. Już jestem. Dobranoc. — Obróciłem się i wyszedłem. Usłyszałem tylko, jak Lilith mówi coś cicho tacie.

Nie znosiłem jej.

To ona była Josephine. Na sto procent. Właściwie dziwne, że się na mnie nie rzuciła. Pewnie nie chciała się demaskować. A teraz sprawiła, że tata ustąpił. Na pewno dlatego, że wiedziała, co stało się w szkole. Przecież tata spotkał ją mniej więcej w tym samym czasie, kiedy zamordowano rodziców Silli. Przekonała go, mieszcucha z krwi i kości, żebyśmy przenieśli się na to zadupie. Akurat kiedy zmarł mój dziadek. Jego także mogła zabić.

To wszystko układało się w logiczną całość.

Potrzebowałem dowodu, żeby przekonać o tym tatę, zanim zrobi mu krzywdę. Nie mogłem przecież ni stąd, ni zowąd oświadczyć mu, że jego żona lasencja jest podłą czarownicą. Zwłaszcza teraz.

Zamiast wbiec do siebie na górę, zatrzymałem się w kuchni przy drzwiach do piwnicy. Zasadniczo tata trzymał tam wina, ale powędrowało tam też parę pudeł z rzeczami. Po cichutku otworzyłem drzwi; były stare, nie miały mechanizmu zamykającego. Ze zmarszczonymi brwiami nasłuchiwałem głosów z salonu.

Nie zauważyłem nic niebezpiecznego, więc stanąłem na pierwszym trzeszczącym stopniu, przesuwając ręką po ścianie w poszukiwaniu pstryczka. W piwnicy byłem tylko raz, krótko po przeprowadzce, i nawet w środku upalnego, słonecznego popołudnia błogosławiłem w duchu elektryczność. Żarówka zaświeciła się i słabym światłem wypłoszyła cienie. Zszedłem po wąskich schodkach aż na betonową podłogę. Tam włączyłem kolejną żarówkę.

Piwnica zajmowała całą powierzchnię parteru, ale była podzielona na mniejsze pomieszczenia, podobnie jak piętra. Pierwszy pokój zabudowano półkami na wino, wypełnionymi mniej więcej w jednej piątej plus kilka butelek whisky i porto, a dla Lilith jerez. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie zwędzić butelki whisky, żeby jakoś przetrwać najbliższe godziny, ale zdecydowałem, że powinienem być w pełnej gotowości.

Za rogiem wilgotnej piwnicy mieścił się kolejny pokój, dalej były już tylko puste pomieszczenia. Od podłogi aż po sufit piętrzyły się w nim pudła; większość tekturowych, niektóre z przezroczystego plastiku zawierające zimowe ubrania. To była nowość dla mnie i taty: ubrania letnie i zimowe. Dlaczego nie można nosić tych samych ciuchów przez cały rok? Ale jak zwykle tata bezmyślnie podporządkował się Lilith.

Przydałaby się latarka. W słabym świetle trudno było odczytać napisy na pudłach. W większości mówiły na przykład:

„Ozdoby choinkowe” albo „Zastawa w kwiatki”. W niektórych odkryłem stare komiksy taty, wyrzucone przez Lilith z biblioteczki (tylko to mogło sprawić, że nabrałem ochoty, by je przeczytać). Wziąłem do ręki nieopisane pudło, bo pomyślałem, że gdybym był krwiożerczą wiedźmą, raczej nie trzymałbym moich tajemnic w pojemniku z napisem: „Magia i zaklęcia”.

Pudło otworzyło się łatwo, bo tektura nasiąkała piwniczną wilgocią. Było wypchane książkami. Cztery licealne księgi pamiątkowe ze szkoły w Delaware, pod spodem warstwa listów adresowanych do Lilith. Wyjąłem jeden z koperty i przejrzałem pobieżnie. List miłosny od jakiegoś Craiga. Na szczęście pełen głupot, a nie seksu. Zanurkowałem głębiej i natknąłem się na parę szkicowników i notesy. Otworzyłem jeden - były tam początki kilkudziesięciu powieści. W jednym z fragmentów zauważyłem imię głównego bohatera kryminałów Lilith.

Wyprostowałem się niezadowolony. Owszem, trafiłem na jej rzeczy, ale znalazłem same stare szpargały, a nie mroczne tajemnice. Pomyślałem, że rzeczy, których szukam, pewnie trzyma gdzieś pod ręką. Może w szufladzie z bielizną czy jakimś równie okropnym miejscu, do którego przenigdy nie zajrzę. Chyba traciłem tu czas.

Postanowiłem ostatni raz przyjrzeć się pudłom. Wstałem i w drugim rzędzie półki, z której wyciągnąłem rzeczy Lilith, zauważyłem pojemnik opisany inną ręką: „Donna, 12-18”.

Dech zamarł mi w piersi.

Wyciągnąłem pudło, ale byłem zbyt wstrząśnięty, żeby je otworzyć. Kucnąłem i gapiłem się na nie chyba z godzinę. Coś czułem, że jego zawartość wkurzy mnie albo kompletnie rozbije.

W środku spoczywały zdjęcia. Mama musiała mieć własny aparat i fotografowała niemal wszystko. Rozpoznałem ujęcia domu z zewnątrz i kuchni. Na jednej fotografii zobaczyłem dwoje ludzi w wieku taty - pewnie dziadkowie. Dziadek Har-
leigh wyglądał jakby znajomo, chociaż zapamiętałem go roz-
gniewanego, a nie uśmiechniętego.

Nie przyglądałem się im zbyt długo, bo nie odwiedzałem dziadków i nie chciałem teraz czuć z tego powodu wyrzutów sumienia. Wiele fotografii zrobiono na cmentarzu i otaczają-
cych go polach o różnych porach roku. Kiedy dotarłem do zdjęć z liceum, zachichotałem na widok dziwacznych ciuchów. Szkoła nic się nie zmieniła. Poznałem nawet staruszkę Tren-
chess, która oczywiście wtedy była młoda.

A oto i Robbie Kennicot. Przecierane džinsy i fryzura, któ-
rej wspaniałomyślnie nie nazwałem w myślach czeskim piłka-
rzem. Miał oczy dokładnie takie jak Silla na zdjęciu w gabine-
cie. Uśmiechał się o wiele za szeroko.

Kiedy zobaczyłem autoportrety mamy, prawie przewróci-
łem pudło. Robiła je sobie, trzymając aparat w wyciągniętej
ręce. Ukazywały ją z różnych dziwnych kątów. Przez lata, od-
kąd miała chyba z siedem czy osiem lat, nie zmieniała fryzury.
Grube, długie włosy czasami rozpuszczała, czasami podpiniała
za uszami. Ja pamiętałem ją raczej w paziu i ze szczuplejszą
twarzą. Dziwnie było widzieć ją taką: z bransoletkami na rę-
kach i naprawdę wesoło uśmiechniętą. Na jednym zdjęciu na
trybunie szkolnego boiska trzymała się za ręce z Robbiem. On
zrobił zdjęcie. Mama całowała go w policzek, a jej twarz była
cała zmarszczona od śmiechu. Chyba nigdy nie widziałem,
żeby wyglądała tak słodko. Tata pewnie widział. Dlatego się
w niej zakochał.

Gapiłem się na te dwa gołąbki i nagle w głowie zaświtała mi przerażająca myśl. A gdybym tak był bratem Silli? *Yyy, ohyda!* Wstrząsnąłem ramionami, jakbym mógł w ten sposób odegnać ten nieszczęsny pomysł, i powróciłem do chwili, która dawała mi stuprocentową pewność, że Silla nie jest moją siostrą: kiedy wdrapała się na mnie w samochodzie i natarła na moje usta.

Złożone na pół zdjęcie mamy i pana Kennicota akurat zmieściło mi się do kieszeni dżinsów. Czy oni też wykradali się w nocy na cmentarz i ożywiali martwe kości, na przemian całując się i rzucając zaklęcia?

Miałem ochotę zabrać garść zdjęć i wysłać jej do Nowego Meksyku czy gdzie tam była z dopiskiem: „Znalazłem szczęśliwszą część Twojego życia - tę beze mnie”. Albo nosić je cały czas ze sobą, żeby kiedyś, gdy ją wreszcie zobaczę, powiedzieć jej... co właściwie? „Dlaczego nie pamiętam cię takiej wesołej?”, „Co było nie tak ze mną i tatą?”

Obiecałem sobie, że będę silniejszy niż ona. Nie znieawidzę magii. Nie będę jej nadużywał. Na myśl o magii zaświerzbily mnie dłonie. Spojrzałem na nie. Zadrapania po ataku ptaków pulsowały w rytm bicia serca. Trudno było utrzymać na nich wzrok; zdałem sobie sprawę, że drżą.

Wcisnąłem pudła na miejsce i popędziłem na górę.

ROZDZIAŁ 33

4 lutego 1948 roku

Philip jest cichy i wychudzony. Nie cichy jak wtedy, gdy buzują w nim nowe pomysły; raczej tak, jak gdyby otaczało go czarne, bezkresne, nieruchome jezioro. Jego milczenie to skorupa, której nie mogę przebić, wieża, na którą nie potrafię się wspiąć. Jego serce nie zabiło szybciej nawet dzięki tynkturze.

Zda mi się, że go nie znam.

Różnymi metodami próbuję go poruszyć, wyciągnąć na spotkanie świata. Całuję go, zarzucam nowinami. Wypytyuję, co widział, czego doświadczył. Ale on tylko kręci głową i zamyka oczy. Kupiłam trzy kanarki, a potem opętałam je i nauczyłam się pięknie śpiewać na głosy. Brzmiało to prawie jak ten przebój siostr Andrews Nie siadaj pod jabłonią. Philip uśmiechnął się, ale tylko żeby sprawić mi przyjemność.

Diakon namówił go, by pojechał na zachód, w góry. Tam, z dala od ludzkiego zgiełku, może odnajdzie spokój. Ja jednak nie pojedę. Nie ma mowy.

Och, chciałabym podrzeć ten pamiętnik na strzępy.

ROZDZIAŁ 34

N I C H O L A S

Tata wszedł na strych, żeby mnie obudzić.

- Musimy porozmawiać - zaczął złowieszczo.

Potałem oczy. Wszystko mnie bolało.

- Jezu, tato, a mogę się chociaż najpierw wysikać? - Kark mi zeszywniał, miałem ochotę nakryć się z powrotem kołdrą.

- Poczekaj, aż powiem ci, co mam do powiedzenia. - Zmarszczył brwi. Jak zwykle wyglądał jak żywcem wyjęty z katalogu. Idealnie ułożone włosy, zero zarostu, równiutko zawiązany krawat. I to wszystko bladym świtem. On nawet nie zbliżał się do śniadania bez umytych co najmniej trzy razy zębów.

- No dobra. O czym chcesz rozmawiać? - Przykleiłem do twarzy sztuczny uśmiech, który tata potrafił rozgryźć równie szybko jak ja jego protekcyjną minę.

Ale pokręcił tylko głową.

- O twojej dziewczynie. Nie wiem, czy jest dla ciebie odpowiednia.

- Ja pierdziele, co takiego? - Ściągnął usta, najwyraźniej niezadowolony z mojego słownictwa. - Tato, a co ty możesz wiedzieć? - Miałem oczy jak szparki. - To Lilith, prawda? Co tym razem wymyśliła ta suka?

- Nicholasie Pardee. Zabraniam, powtarzam: zabraniam ci nazywać Mary tym słowem.

- Którym?

Nie odpowiedział. Tata nie zniżał się do sytuacji, które uważał za niegodne uwagi. Przypomniałem sobie zdjęcie w kieszeni dzinsów: śmiejąca się i beztroska mama. Na pewno nie była taka przy tacie. Nic dziwnego, że w trudnym momencie nie poprosiła go o pomoc.

Przez chwilę na siebie patrzyliśmy, a potem odrzuciłem kołdrę i oświadczyłem:

- Muszę przygotować się do szkoły.

- Nick. - Teraz głos ojca był cichszy, lecz równie stanowczy. Na odsłoniętej skórze czułem chłodne powietrze poranka. Wbiłem wzrok w kolana. - Odbylem wczoraj długą rozmowę z twoją szkolną psycholog. Przekazała mi wiele niepokojących informacji na temat Drusilli Kennicot.

- Taak?

- Jej rodzice zginęli w okropnych okolicznościach - powiedział tonem, jakby rozlali czerwone wino na biały dywan Lilith i zapomnieli przeprosić. - A młoda Drusilla przechodzi ciężki okres.

- No i?

- No i być może potrzebuje lepszej pomocy, niż jesteś w stanie jej udzielić, synu. Ta dziewczyna odbija się od dna.

- Tato, ja nie próbuję jej pomóc. Po prostu mi się podoba i tyle.

- Rozumiem, jak to jest czuć coś do osoby niestabilnej psychicznie, ale...

- Masz na myśli mamę, prawda? - Spojrzałem na niego, oddychając dziwnie ciężko.

Tata przysunął do łóżka krzesło komputerowe i się na nim oparł.

- Tak. Oczywiście niczego nie żałuję, Nick, ale nie chcę, żebyś ty też przechodził przez to wszystko. Znowu. Twoja matka była nierównoważona, Nick. Nie wiedziałem o tym, kiedy się poznaliśmy.

- Zaślepiła cię miłość? - zapytałem drwiąco.

Zawahał się i odparł:

- Tak.

Oślupiałem. I powiedziałem:

- Yyy... w piwnicy znalazłem pudło z jej zdjęciami z liceum. Nawet nie wiedziałem, że lubiła fotografować.

- Często nosiła na szyi aparat. Kiedy była... - zrobił pauzę - trzeźwa.

- Mogę ci je przynieść z piwnicy.

Zawahał się i ułożył usta w cienką linię.

- No, może. Zobaczymy.

- Okej.

- A z Drusillą...

- Po prostu Sillą, tato.

- Dobrze. Chciałbym, żebyś się zastanowił. Wciąga cię w sprawy, w które nie powinna.

Prawie się roześmiałem.

- W nic mnie nie wciąga. Słuchaj, było tak. Jej koleżanka Wendy była po prostu w fatalnym stanie. Nie wiem, pijana, może po prostu czymś wzburzona. Silla jej pomagała. Ja chciałem ją tylko uspokoić. Taka jest prawda. Nie wiem, kto rozpuszcza kłamstwa.

Czułem, jak krew napływa mi do policzków i uszu. Musiałem skontaktować się z Sillą, żeby ustalić wspólną wersję. Jak to możliwe, że wczoraj o tym nie pomyśleliśmy?

Tata przez chwilę obserwował moją twarz, potem skinął głową.

- Dobrze, ufam ci, Nick. Chcę tylko, żebyś uważał. Widzę różne rzeczy. Na przykład to, że wczoraj przyszedłeś do domu z poranionymi dłońmi i karkiem. Nie wiem, czy się kłócicie, czy co, ale jeżeli ty ufasz tej dziewczynie, to ja ufam twojemu instynktowi.

Miałem na końcu języka pytanie, dlaczego, do cholery, nie ufa mojemu instynktowi, jeżeli chodzi o jego własną żonę, ale zmilczałem. Tata z całą świadomością obdarzył mnie zaufaniem, mimo że nie był zachwycony Sillą. W ten sposób mówił mi: „Może ty z kolei powinieneś zaufać mojemu instynktowi”. Siedziałem w bokserkach i czułem się jak dziesięcioletni chłopiec. Tata wstał z krzesła i klepnął mnie w ramię.

- Jeżeli w szkole będziesz miał kłopoty, jeśli będą chcieli ukarać cię za coś, czego nie zrobiłeś, to zadzwoń. Będę dziś pracował w domu. Dojadę tam w dziesięć minut.

Prawie zaniemówiłem z poczucia winy.

- Dzięki, tato - wykrztusiłem.

Skinął głową i odwrócił się, żeby odejść.

- Do zobaczenia na dole, synu.

- Tato? - Spojrzał na mnie. - Yyy... kochasz Mary tak samo, jak kochałeś mamę?

Tym razem odpowiedział bez wahania.

- Nie. Zupełnie inaczej. Ale ani trochę mniej.

Nie mogłem obiecać, że przestanę jej nienawidzić albo uważać, że jest psychopatyczną, krwiożerczą, wydzierającą dusze czarownicą. Ale nagle zapragnąłem, żeby nie była.

ROZDZIAŁ 35

Maj 1959 roku

Czy mogę pozwolić, by dziesięć lat upłynęło bez żadnego zapisku w pamiętniku?

Gdyby nie to, że urodziłam się dawno temu i zaznałam innych czasów, miałabym ochotę rzucić się w odmęty rzeki.

Na pewien czas przeniosłam się do Nowego Orleanu. Tam zatraciłam się w nowych odmianach magii. Lecz za każdym razem, gdy tańczyłam z Li Grand Zombi czy przygotowywałam laleczkę na szczęście, wracałam myślami do Philipa. Marzyłam, by zapytać go, co sądzi o dodawaniu miodu do sztyftów uzdrawiających albo przywoływaniu krwi śpiewem i tańcem.

Tamtejsza magia była podobna do naszej, lecz świętsza. Jestem pewna, że Philipowi spodobałoby się luiszjańskie wudu. Niestety, byłam zmuszona porzucić moją nową pasję, gdyż tęsknota za Philipem zaćmiewała całą radość. Reszta kraju okazała się jałowa. Wszędzie tylko czarno-białe telewizory, które dają iluzję życia.

Nie pozostało mi nic, co warto zapamiętać. Ten stary pamiętnik jest już bezużyteczny.

ROZDZIAŁ 36

S I L L A

We wtorek rano było chłodno, więc po raz pierwszy od zeszłej zimy założyłam kurtkę. Reese podrzucił mnie do szkoły kwadrans wcześniej, żebym zdążyła zabrać rzeczy z klasy Stokesa. Parking był prawie pusty. Bez plecaka czy chociażby torebki czułam się nago. Opatuliłam się sztruksową kurtką i szybkim krokiem skierowałam do głównego budynku szkoły. Chłód szczypał w miejscu, gdzie dziobnęły mnie ptaki. Kiedy to wszystko się skończy, będziemy musieli z Reese'em przygotować maść uzdrawiającą.

Z korytarza weszłam w drzwi, okrążyłam salę i podniosłam swój plecak. Klasa na szczęście była pusta, bo Stokes nie miał rano godziny wychowawczej. Byłam zupełnie sama. Przypomniałam sobie moment paraliżującego strachu, gdy uświadomiłam sobie, że Wendy to nie Wendy. Wcisnęłam dłonie do kurtki. W lewej kieszeni moje palce napotkały kryształki soli i kwiaty wrzосу, które wysypaliśmy tam dla ochrony. Prawą ręką dotknęłam scyzoryka. Gdyby ktoś odkrył, że przyszedłam do szkoły z nożem, na pewno bym wyleciała, ale musieliśmy się jakoś bronić przed atakiem. Ja i Reese napisaliśmy sobie na sercu markerem runy i obrysowaliśmy je krwią. Najchętniej nosilibyśmy je także na czołach i dłoniach. Kiedy Nick zadzwonił rano, żeby uzgodnić wspólną wersję wydarzeń, powiedziałam mu, żeby zrobił to samo. Gdyby okazało się, że

Josephine jest w pobliżu, będę gotowa. Powiem to, co wczoraj wypowiedział Nick: „Wypędzam cię z tego ciała”, a zaklęcie wzmocni krew i sól.

Westchnęłam głęboko. Oby Wendy była bezpieczna.

Włączyłam telefon. Od razu zabrzączał i poinformował, że mam pięć SMS-ów. Trzy od Wendy, jeden od Melissy, jeden od Erica. Wendy pisała tylko: „Zadzwoń”, akurat wtedy, gdy próbowałam się do niej dodzwonić z komórki Nicka. Melissa napisała: „S., pogięło cię?”, a Eric mieszał mnie z błotem, że napadłam na Wendy. Nawet się uśmiechnęłam. Dobrze, że mu zależy.

Odczekałam parę minut w klasie Stokesa, żeby mieć akurat tyle czasu, by wziąć rzeczy z szafki i wejść na pierwszą lekcję. O 7.56 nabrałam powietrza, założyłam w wyobraźni maskę koloru morskiego i wyszłam.

Na korytarzu jak zwykle kłębiło się od wrzeszczących, śmiejących się i trzaskających szafkami uczniów. Co chwila łapałam spojrzenia z ukosa, uniesione brwi albo zjadliwe uśmieški. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Przygotowałam się na pytania, może lekko napiętą atmosferę, zwłaszcza ze strony Wendy i ewentualnie kółka teatralnego. Ale żeby wszyscy w szkole? Zastanawiało mnie, co mówią. Pochyliłam głowę i ruszyłam prosto w stronę szafki. Musiałam udawać, że wszystko gra. Jakbym wcale nie oczekiwała nagłego ataku upiora. W jakimś niespodziewanym kształcie. *Graj*. Przecież potrafiłam. Byłam aktorką. Potrzebowałam weselszej maski: uśmiechniętej, brokatoworóżowej, z ornamentem z kwiatów i pereł biegnącym wzdłuż policzka. Z nową maską na twarzy przez chwilę zastanawiałam się, jaką lekcję mam pierwszą.

I wtedy zjawiła się Wendy. Złapała mnie za rękę i odciągnęła na bok.

- Silla. - Minę miała zmartwioną, a usta zaciśnięte. Skamieniałam. Musiałam przyciskać rękę do uda, żeby nie sięgnąć do kieszeni po sól. - Chodź.

Pociągnęła mnie przez tłum do komórki woźnego. Tam stanęłam obok rzędu szczotek i czekałam. Nie mogłam pierwsza zrobić ruchu. A jeżeli ten potwór Josephine zawładnął ciałem Wendy i teraz obserwuje mnie jej oczami? Jeśli zaraz za-trzaśnie drzwi? Jak mam wybadać teren, ale się nie zdradzić?

Wendy patrzyła na mnie w słabym żółtym świetle żarówki. Potem otworzyła torebkę i wyjęła migoczący, różowy błyszczczyk, który nałożyła sobie grubą warstwą na usta. Roześmiałam się z cudownym poczuciem ulgi. Wendy uniosła brwi i podała mi błyszczczyk, ale ja pokręciłam głową. Schowała więc tubkę i zaczęła mówić:

- Słuchaj, zaraz zadzwoni dzwonek, więc będę się streszczać. Wczoraj nie mogłam rozmawiać i w zasadzie w ogóle nie powinnam do ciebie dzwonić ani esemesować. Najpierw myśleli, że coś biorę... to znaczy mama i tata. Po tym, jak zadzwoniła do nich pani Tripp. Niby dlatego zachowywałam się jak pomyłona czy coś takiego. Po długiej przerwie idę do lekarza, żeby sprawdzić, czy to nie epilepsja. A tata i tak uznał, że to twoja wina. Dlatego szlaban na rozmowy i SMS-y. - Zrobiła minę. - Paul widział, jak wybiegłam ze szkoły, a ty mnie goniłaś. Podobno uderzyłam Nicka. Jak się czuje?

Skinęłam głową.

- Uff, to dobrze. Chciałam do niego zadzwonić, ale nie wiedziałam, czy to okej, bo może on by nie chciał, żebym dzwoniła, a nie wiem, czy jego rodzice wiedzą albo czy w ogóle powinni, w sumie to trochę bredzę, więc musisz mi teraz opowiedzieć, co się stało. Dawaj.

Otworzyłam usta, ale nic nie powiedziałam. Nie chciałam jej okłamywać, mimo że miałam z Nickiem opracowaną alternatywną wersję wydarzeń. Wendy zasługiwała na prawdę; niestety, nie miałam wyboru. Rzuciłam więc szybko:

- Nagle ci odbiło. Wiesz, to chyba z powodu stresu przed castingiem, matura się zbliża i w ogóle... Zaczęłaś coś bełkotać, a potem nagle wybiegłaś ze szkoły, ja za tobą. Zaczęłaś rozmawiać z Nickiem. On mówi, że był jak zwykle złośliwy, ciebie to rozwścieczyło i chyba straciłaś nad sobą kontrolę, bo chciałaś go walnąć. Złapał cię za rękę, przytrzymał... i to tyle. Zaczęła ci lecieć krew, a ja... musiałam iść do domu.

Uniosłam rękę w stronę jej skaleczenia pod brodą. Na myśl o Josephine trzymającej nożyk przy jej szyi, wzdłuż kręgosłupa poczułam dreszcz. Wendy złapała mnie za rękę.

- Silla, boję się. To straszne, że nic nie pamiętam.

- Wendy - szepnęłam i mocno ją przytuliłam. Ona objęła mnie i też ścisnęła. - Strasznie mi przykro - powiedziałam, oszołomiona okropnym wiśniowo-waniliowym zapachem jej włosów. Nie zasługiwałam na taką przyjaciółkę.

Na długiej przerwie brokat z mojej maski częściowo się osypał. Trzy perły odpadły i potoczyły się po kafelkowej podłodze korytarza. Mimo tego, co powiedziałam Reese'owi, podejrzewałam wszystkich dookoła. Nauczycieli, kolegów z klasy - ktokolwiek na mnie spojrział, mógł tak naprawdę być Josephine. Jak zwykle posyłałyśmy sobie z Wendy karteczki na różne błahe i nieistotne tematy. Usiłowałam skupić się na tym, a nie na czekającej nas dziś wieczorem magii albo zbliżającym się wielkimi krokami spotkaniu z panią Tripp.

Na przerwie między historią a fizyką znalazłam wsunięty za drzwiczki szafki świstek papieru z wielkim, czerwonym napisem: „JAKI OJCIEC, TAKA CÓRKA”. Podarłam go na milion kawałeczków i spuściłam w toalecie.

Melissa, z którą siedziałam na fizyce, nawet na mnie nie spojrzała. Gdyby nie to, że zawsze trzymałyśmy się razem: Wendy, Melissa i ja, pewnie już dawno skreśliłaby mnie z listy znajomych.

Nie zrobiłam nic złego, ale obwiniano mnie o wszystko, co najgorsze.

Później nie skierowałam się jak zwykle do stołówki, tylko skręciłam do gabinetu pani Tripp. Z trudem powstrzymałam się, żeby zamiast tego nie pobiec do łazienki się wypłakać. Pani Tripp otworzyła mi drzwi i uśmiechnęła się kwaśno. Zamknęła za mną i wskazała ręką, żebym usiadła. Usadoviłam się na kanapie i przycisnęłam do siebie plecak niczym tarczę.

Dziś po jej dobrotliwym obliczu nie było śladu. Fioletowy sweterek przypominał raczej kamizelkę ratunkową niż strój do pracy. Usiadła za biurkiem - po raz pierwszy, odkąd przychodziłam do niej na konsultacje - i splotła palce. Przycisnęłam lewą rękę do klatki piersiowej i wyczułam zaschniętą na runie krew. Nawet przez warstwy kurtki i swetra od dłoni do serca przebiegał mi silny strumień energii. Byłam gotowa, jakby co.

Pani Tripp przerwała pełną napięcia ciszę:

- Sillo, obawiam się, że sytuacja jest poważna.
- Nie zrobiłam nic złego.
- Opowiedz, co się wczoraj stało.

Zamknęłam oczy, bo bez wyuczonego tekstu kompletnie nie potrafiłam kłamać, i odpowiedziałam:

- Wendy dostała ataku paniki. Bezskutecznie próbowałam ją uspokoić. Udało się dopiero Nickowi. Zobaczyłam krew

i źle się poczułam. Musiałam pojechać do domu, mimo że Wendy zasłabła.

Pani Tripp milczała na tyle długo, że odważyłam się spojrzeć. Nie poruszyła się o milimetr.

- Pokłóciłyście się z Wendy?

- Tak.

- O co?

Miałam ochotę wyrzucić wszystko kawa na ławę w jednym dramatycznym monologu. Co mam jej powiedzieć, żeby zostawiła mnie w spokoju? Żeby nie musiała niczego wyjaśniać z Wendy albo Nickiem? Pani Tripp obserwowała mnie bacznie. Wreszcie powiedziałam:

- O tatę.

Przybrała współczujący wyraz twarzy, odsunęła krzesło i przesiadki się do mnie na kanapę. Odłożyłam plecak na podłogę.

- Opowiedz mi o tym.

Wokół środkowego palca obracałam pierścionek ze szmaragdem.

- Wendy zgadza się z panią, że nie powinnam, yyy... bronić go za wszelką cenę, bo niewykluczone, że spowodował wiele zła.

- I to cię rozzłościło.

- Tak.

Pani Tripp ujęła moje dłonie w swoje i powiedziała:

- Sillo, skarbie, już czas, żebyś je zdjęła.

Oślupiałam z zaskoczenia. Zerknęłam na jej twarz. To naprawdę pani Tripp, czy raczej kolejna sztuczka Josephine?

- Dlaczego?

W jej oczach odbijało się światło wpadające przez okna do gabinetu. Całe szczęście. Byłam bezpieczna.

- Powinnaś pokonać tę traumę. Zwykle takie rzeczy radzę przepracowywać powoli, ale z twoim agresywnym, aspołecznym zachowaniem, Sillo, obawiam się, że jesteś zagrożeniem dla siebie i innych.

- Agresywnym, aspołecznym...? - Po prostu skamieniałam.

Tripp ściągnęła usta w uroczy dzióbek i odwróciła moje dłonie wnętrzem do góry. Na skórze miałam sporo małych ranek od dziobnięć sójek i dwa większe, równoległe nacięcia: na jednej ręce różowe i zabliznione, na drugiej czerwone, pokryte strupem.

- Nie rozwiążesz problemów, kalecząc się.

Dłoń zaświerzbiała.

- Kiedy ja skaleczyłam się przypadkiem. Naprawdę.

- Dwukrotnie? - Pokręciła głową, a jej grube loki zakołysały się. - Sillo, chcę ci pomóc. Myślę, że gdy pogodzisz się z tym, co zrobił tata, zrzucisz z ramion ogromny ciężar. Przyznaj, że cierpisz, i wróc do normalności. - Czy ona skończyła korespondencyjny kurs żalu po śmierci bliskich? Wyrwałam dłonie. - Nie możesz się ciąć. To niedopuszczalne. I może prowadzić do czegoś gorszego. W dodatku kłócisz się z kolegami, jesteś agresywna, może nawet sięgnęłaś po narkotyki... Sillo, ogromnie się o ciebie martwię. Dlatego wczoraj dzwoniłam. Nie chcę zgłaszać dyrekcji, że należy cię zawiesić w prawach ucznia, ale może lepiej będzie, gdy spędzisz trochę czasu z dala od szkolnego stresu.

Opadła mi szczeka.

- Zawiesić?!

- Być może będę musiała, Sillo.

- Przepraszam, ale chciałabym już iść.

Chwyciłam plecak i wyobraziłam sobie, że moja twarz pokrywa się maską.

- Dobrze, ale wróć jutro na długiej przerwie. Chciałabym widzieć cię tutaj codziennie, dopóki nie zobaczę poprawy. A jeżeli znowu zrobisz coś nieobliczalnego, natychmiast zawiadomię dyrekcję i zostaniesz zawieszona. Przemyśl, co powiedziałam - ciągnęła pani Tripp. - Spróbuj zapomnieć o tym, co się stało. Możesz sobie popłakać, wywrzeszczyć się czy co chcesz. Małe, osobiste rytuały są nie do przecenienia. Tylko nie kalecz się więcej. - Znowu spojrzała na moje pałce. - Warto byłoby zacząć od zdjęcia pierścionków.

- Spróbuję - skłamałam.

Wypadłam na korytarz i otworzyłam kłapkę komórki. Wybrałam numer Reese'a. Od razu połączyło mnie z pocztą głosową. W gardle czułam pulsującą panikę.

- Boże, Reese, gdzie jesteś? Dlaczego nie odbierasz? Skąd mam wiedzieć, czy nic ci się nie stało? Musimy porozmawiać. Nie wracam do domu po szkole, nie mogę opuścić próby. Tripp grozi, że mnie zawiesi, jeżeli znowu w coś się wplączę. Zostanę kompletnie z niczym. Nie zagram nawet głupiej czarownicy w głupiej sztuce! A zawsze występowałam, zawsze, nie wytrzymam bez teatru. - Westchnęłam rozdygotana. - Cały dzień nie widziałam Nicka. Wszyscy się na mnie gapią, a ja nie wiem, czy czasem nie są Josephine. Reese, ja chyba naprawdę popadam w obłąd.

Boże. Dlaczego ona milczy? Gdzie...

Telefon zapiczczał. Dzwonił Reese.

- O Boże — odezwałam się, zamknęłam oczy i oparłam o żółtą ceglana ścianę.

- Bączku, co się stało?

Wyrzuciłam z siebie wszystko jeszcze raz.

- Boję się, Reese. Muszę zostać, ale mam ochotę zerwać się do domu i popracować nad zakłębieniem ochronnym.

Usłyszałam, jak mówi spokojnym głosem.

- Namaluj na sercu świeży znak krwią. Na razie będziesz bezpieczna.

Wiedziałam, że wymyślił to w tej chwili.

- Kocham cię - powiedziałam.

- Ja ciebie też, Silla. Uważaj na siebie. Wszystko będzie dobrze.

ROZDZIAŁ 37

Styczeń 1961 roku

Pierwszy miesiąc nowego dziesięciolecia. Usłyszałam w radio, że powinnam zrobić noworoczne postanowienia, które poprawią moje życie. Na przykład: nie spóźniać się z obiadem, mieć wypolerowane buty i schludną fryzurę, codziennie prasować, odpoczywać kwadrans przed powrotem męża do domu, żeby powitać go wypoczęta i radosna.

Znajdę mojego błędnego czarnoksiężnika i zaciągnę go z powrotem do domu. Nie będę marnować kolejnej dekady na jego humory i tęsknoty. Odpoczywałam piętnaście lat. Jestem wystarczająco wypoczęta.

ROZDZIAŁ 38

S I L L A

Cieszyłam się, że mogę skoncentrować się na przedstawieniu. I że w ogóle dotarłam do auli, nie spotkawszy Josephine. Inaczej pewnie wywiązałyby się walka i zostałabym zawieszona. Przettrzymałam lekcje skulona w ławce ze wzrokiem wbitym w podręcznik, a na przerwach chodziłam ze spuszczoną głową.

Premiera *Makbeta* miała się odbyć za niecałe dwa tygodnie. Zanim zaczną się testy techniczne, czekały nas jeszcze tylko cztery próby. Obym dotrwała.

Między jedną a drugą sceną Stokes wysłał mnie, Wendy i Melissę na korytarz na przymiarki kostiumów. Zostawiłam w auli kurtkę razem ze sczorykiem; ledwie zdążyłam przesy-pać sól do kieszeni dżinsów.

Stokes wystawiał sztukę we współczesnym ujęciu. My, wiedźmy, miałyśmy paradować w stroju gotek. Czarny makijaż i tak dalej. Klub krawiecki szył nam gorsety z mnóstwem srebrnych haftek. Madison, która pasowała na mnie roboczą wersję kostiumu, zjechała mnie, że straciłam w talii kolejny centymetr.

- Rzeczywiście, Silla, wyglądasz nieciekawie - powiedziała Wendy z uniesionymi ramionami. Jedna z pierwszoklasistek upinała na niej górę gorsetu.

- Ej, dzięki, wiesz?

Melissa dodała spod ściany:

- Trochę jakbyś przytuliła się do drutu kolczastego. - Jak miło, że się wyzłośliwia, zamiast mnie ignorować.

- Czy ty w ogóle cokolwiek jesz? — zapytała Madison. — Bo kostium nie przylega na cyckach, będzie spadać.

Spojrzałam w dół. Rzeczywiście, pomiędzy podszewką gorsetu a piersiami miałam pół centymetra luzu. Nawet w staniku i swetrze.

- Owszem, jem. Bardzo mi przykro, że nie wyglądam jak modelka z „Vogue'a” - odwarknęłam.

- To trochę upierdliwe, bo musimy ciągle poprawiać twój gorset.

- Spoko, wypcham go sobie czymś.

- Ej, ty chyba nie rzygasz? - chciała wiedzieć Melissa.

- Melissa! - Wendy rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- No wiecie, anoreksja, napady szału, te klimaty.

Madison machnęła igłą w stronę Melissy.

- Bulimia. Tak to się nazywa.

- Jezu, wszystko jedno.

- Nie - odparła Wendy - nie rzyga.

Ja stałam i otwierałam coraz szerzej usta. Czy Melissa jest opętana? Raczej nie, zawsze była z niej taka pinda.

- Skąd wiesz? Mówiłaś, że nie została z tobą, kiedy zemdlałaś, bo była zajęta lizaniem się z tym nowym kolesiem.

- Daj spokój. - Na policzkach Wendy wybuchła purpura, więc zrozumiałam, że Melissa nie wyssała wszystkiego z palca.

Zaczęłam szarpać sznurówki gorsetu, żeby go zdjąć.

- Znowu zwiewasz? - Melissa uśmiechnęła się podle. Wendy zawahała się przez chwilę i patrzyła to na jedną, to na drugą, jakby nie wiedziała, na kogo się zezłościć. Pierwszoklasiści usuwali się z pola walki.

- I tak na mnie nie pasuje, więc spadam. - Rzuciłam gorset na podłogę.

- Biedactwo!

Wendy chciała zgasić Melisę, ale złapałam ją za rękę.

- Daj spokój. Nie warto - powiedziałam.

- Właśnie. Poza tym możesz oberwać kulkę, jak będziesz za blisko niej - dodała szyderczo Melissa.

Do tej pory nie byłam specjalnie rozżłoszczona. Ale oskarżenie Melissy spadło na mnie tak, jakby ktoś obrzucił mnie zimnym budyniem. Zamarłam. Nawet serce jakby mi się zatrzymało. Spojrzałam na nią.

- Co takiego? - wyszeptałam.

Ona nie odpowiedziała, tylko lekko uniosła i wysunęła podbródek.

- Nie wiesz, o czym mówisz - syknęła na Melisę Wendy.

- Zajob jest dziedziczny. A zadawanie się z Sillą szkodzi zdrowiu.

- Nie masz pojęcia o n i c z y m . — Obróciłam się na pięcie i w aurze mojej prywatnej tragedii wparowałam do auli po plecak. Udałam, że nie widzę zdziwionego spojrzenia Stokesa, i wymaszerowałam na zewnątrz. Nic mnie nie obchodziło, że stracę połowę próby.

Słońce świeciło mi prosto na głowę, wyciągnęłam więc rękę, żeby się osłonić. Parking był prawie pełen, bo ludzie mieli jeszcze zajęcia pozalekcyjne, próby, kółka i tym podobne. Do domu miał mnie podwieźć Nick, nie zjawił się jednak na próbie. W ciągu dnia esemesowałam do niego parę razy, ale odpisał tylko raz, po obiedzie. Haiku o peruce pana Suttera.

Szłam przez parking. Nie miałam daleko do domu. Zazwyczaj wracałam na piechotę. Ale minąwszy dwa rzędy

samochodów, zobaczyłam lśniący kabriolet Nicka. Przykuwałam wzrok pośród starych kombi i zakurzonych furgonetek. I miał złożony dach. Wskoczyłam do środka i umościłam się ze skrzyżowanymi ramionami na siedzeniu obok kierowcy.

N I C H O L A S

Spała. W moim samochodzie.

Przez chwilę stałem i przyglądałem jej się. W słońcu jej skóra wyglądała blado, niemal przezroczyście. W tej chwili liczyło się tylko to, że się w niej zakochuję, a nie — dlaczego.

Po cichutku usiadłem za kierownicą i położyłem torbę na tylnym siedzeniu. Kiedy silnik warknął, ona delikatnie zamruczała i przeciągnęła się. Obserwowałem ją, nie wrzucając biegu. Usiadła, zatrzepotała powiekami, potarła policzki i spojrzała pod słońce.

- Nick? - wymamrotała.

- Cześć, mała. Podwieźć cię?

- Która godzina?

- Dochodzi piąta.

- Byłeś na próbie? Nie widziałam cię. — Pochyliła się i obróciła twarzą do mnie. W miejscu gdzie jej głowa stykała się ze skórzaną tapicerką, włosy sterczały zabawnie.

- Miałem karę. Musiałem zostać po lekcjach. - Skrzywiłem się.

- Za co? - Znowu przygryzła wargę.

- Aaa, nic wielkiego. - Na przerwie po piątej lekcji Scott Jobson zapytał, czy siniaki Silli to od ssania mojego fiuta nie tak, jak powinna. Wepchnąłem mu łeb do szafki i resztę dnia spędziłem uziemiony. - Miałem po prostu fatalny dzień.

- Ja też.

- Ej - pochyliłem się i z tylnej kieszeni wyjąłem zdjęcie.
- Zobacz.

Rozłożyła je powoli. Obserwowałem jej twarz; kiedy rozpoznała tatę, otworzyła szeroko usta. Ścisnęła zdjęcie oburącz.

- Rany, Nick.
- Znalazłem je wczoraj wieczorem. W rzeczach mamy.
- Wyglądają na szczęśliwych.

Wygładziłem jej włosy, żeby wyglądały mniej więcej schludnie.

- Myślisz, że istnieje jakiś powód, dla którego się spotkaliśmy? - zapytałem, unikając jej wzroku.

- Poza czystym przypadkiem?
- Mhm.

Odchyliła głowę i oparła ją na mojej dłoni. Zamknęła oczy.

- To chyba nieistotne — odparła.
- Dlaczego?
- Cieszę się, że się spotkaliśmy. Nawet jeśli jest w tym jakaś ukryta przyczyna, trudno. Jeżeli nie, też trudno. Stało się. Nie chcę zmienić biegu wydarzeń.

A jeżeli przeprowadziłem się tutaj, bo Lilith zabiła twoich rodziców? Nie przeszło mi to przez gardło.

- Widzimy się dzisiaj, prawda? - zapytałem zamiast tego.
- Jasne. Wczoraj wieczorem nastawiliśmy eliksir. - Chwycała mnie za rękę, położyła ją sobie na kolanach i pogłaskała. Zdjęcie drżało na wietrze. Potem sięgnęła po moją lewą rękę i przyjrzała się obydwu. - Podobają mi się twoje dłonie.
- A mnie twoje. Mimo że przecięłaś sobie linię życia.
- Co przecięłam?
- Linię życia. Chiromancja.
- Wiesz różne zaskakujące rzeczy, Nick.

- Ułożyłem dla ciebie wiersz. Wczoraj po południu, kiedy byłem na boisku.

- Naprawdę?

- Tak.

- Powiesz mi go?

- Zapomniałem pierwszy wers.

- Nick! - Roześmiała się. - Tak się nie robi.

Ja też się uśmiechnąłem.

- Chciałem cię rozbawić.

Nagle z bliska zaskrzeczał kruk. Silla podskoczyła, a uśmiech na jej twarzy stopniał.

- Jedźmy już - rzekła i spojrzała na niebo.

ROZDZIAŁ 39

10 października 1967 roku

Jakże bardzo zmienił się świat w ciągu niecałej dekady! Ludzie żyją krótko, ale namiętnie, a ich dzieci buntują się przeciwko przygnębiającej szarzyźnie i zmieniają kraj w szaloną oazę kolorowej miłości.

Cały rok 1963 spędziłam, podróżując vanem po Stanach. To niezwykle, jak wszystko naokoło się zmienia. Tyle nowych światów, tylu ludzi chętnych mnie słuchać i opłacać. Obywam się niemal bez zamiany kamieni w złoto. Udało mi się sporo odłożyć, a moje zasoby powiększają się systematycznie. Dlaczego? Ponieważ nikt już nie obawia się magii. Jesteśmy wręcz poszukiwani.

Ludzie marzą, żeby pokazać im krainę śmierci. Pragną usłyszeć: „Obejdiesz się bez pigułek, szpital jest ci niepotrzebny. Musisz tylko założyć ten amulet z krwi, śliny i krwawnika. Pobłogosławimy go podczas tańca w świetle księżycy i miłości jaśniejszej niż gwiazdy”. Chcą wierzyć w moją magię. Widzą we mnie boginię. I mają rację.

Philip robi mi wyrzuty, ale uodporniłam się na niego. Odnalazłam go w Kalifornii. Pracował na farmie, grzebiąc rękami w błocie. Obudziłam w nim to samo uspięte pragnienie, które on wzbudził we mnie niespełna sześćdziesiąt pięć lat temu w szpitalu św. Jakuba.

Im jestem silniejsza, im bardziej widzi, jak inni mnie wielbią, tym bardziej sam mnie pożąda. Potrzebuje mnie jak ja jego. Gdy go całuję, na jego języku czuję smak wieczności.

Gdy powróciliśmy do Bostonu, zapytałam go:

— Philipie, czy pamiętasz ten czas, gdy miałeś siebie za diabła, który mnie kusi, żebym odrzuciła niewinność i zanurzyła się w mroku magii?

— Udało mi się to aż nazbyt dobrze — odparł.

Jest na tyle nierozumny, by naprawdę w to wierzyć. Kocham go za tę surowość. Jest moim mężem i ojcem, moim jedynym towarzyszem. Żartuję z nim, aż udaje mi się go rozbawić.

Och, pamiętniku. Tęskniłam za tobą przez długie lata podróży. Lubię zostawiać cię tutaj i otwierać twe okładki tylko wtedy, gdy o tobie pomyślę. Przeglądam pierwsze stronicie i jednocześnie śmieję się i smucę. Byłam wówczas takim dzieckiem, ale już wtedy wiedziałam, czego pragnę. Teraz mam to wszystko. Nie zbaczam z mej ścieżki.

ROZDZIAŁ 40

S I L L A

Przynajmniej tym razem nie zwróciłam uwagi na chrząst żwiru. Kiedy spałam, niebo zaciągnęło się chmurami i chociaż do zachodu słońca zostało sporo czasu, światło było przyćmione, jakby coś wisiało w powietrzu. A może tylko mi się wydawało? Gdybym miała wymyślić dekoracje do tego, co czekało nas dziś wieczorem, na scenie ustawiałabym surowe metalowe platformy i srebrne drzewa, a tło pomalowałabym na brudnożółto. Nasza czwórka pojawiłaby się z tyłu i przeszła przez środek sceny między czerwonymi plamami światła, po kolei zapalając świece, aż cała scena pokryłaby się ogniem.

Kiedy Nick i ja wysiadaliśmy z samochodu, na werandę wyszedł Reese. Miał na sobie džinsy i czarną koszulkę. Ubiór stosowny do chwili.

- Cześć - odezwał się. - Jak było? Mam nadzieję, że lepiej niż na długiej przerwie?

- W porównaniu z wczoraj dziś Josephine ma nas kompletnie w dupie - oświadczył Nick.

Miałam ochotę go trzepnąć.

- Dasz radę, Silla? — zapytał Reese i usiadł na schodach werandy.

- A mam wybór? - Obaj popatrzyli na mnie zmartwieni.
- Rany, dajcie spokój. - Wyrzuciłam ramiona w górę. - Tak.

Tak! Dam radę. Może wy, kowboje, zostańcie tutaj i pomedytujcie o tym, jak to musicie chronić małe, bezbronne kobiety, a ja pójdę się przebrać w coś bardziej... - Zawahałam się i spojrzałam na mój żółty sweter. - Bardziej...

- Krwistego? - podsunął Nick.

- Właśnie. - Obróciłam się i weszłam do domu. Powstrzymałam się, żeby ostentacyjnie nie zatupać.

Rzuciłam plecak koło łóżka i przebrałam się w bordową koszulę. Nie będzie widać plam, a poza tym i tak niespecjalnie ją lubiłam. Moja twarz w lustrze wyglądała okropnie: blada, chuda i mizerna, z szarofioletowymi plamami dookoła oczu. Potrzebowałam maski w rodzaju maski pośmiertnej Tutanchamona: złotej, pełnej życia, przykrywającej martwe ciało.

Rozczochrałam włosy dłońmi; sterczały teraz wariacko na wszystkie strony. Pomyślałam, że muszę iść do fryzjera. Nośiłam tę samą fryzurę, odkąd obcięłam się w lipcu. Stare pasemka odrosły na kilka centymetrów, tak że właściwie nie było już widać, że są odrostami. Bardzo miło z ich strony. Wyciągnęłam z komody chustkę i zawiązałam na włosach a la Kopciuszek. Nie pomogło.

- Silla?

W progu stała babcia Judy. Włosy miała splecione w dwa warkocze. Smuga krwi na czole wyglądała jednocześnie groteskowo i naturalnie. Trochę już podeschła i pofałdowała się od mimiki.

- Cześć, babciu.

- Judy - poprawiła z życzliwym uśmiechem.

Podeszłam, ścisnęłam ją w pasie i przytuliłam policzek do jej policzka. Babcia objęła mnie i westchnęła:

- Och, Silla.

- Miałam ciężki dzień.

Pogładziła mnie po plecach.

- Już dobrze, żabko. Zaraz załatwimy to zakłęcie ochronne, dowiemy się, kogo udaje Josephine, i przepędzimy ją gdzie pieprz rośnie. Będiesz mogła się wreszcie rozluźnić i spędzić miło czas z twoim uroczym chłopakiem.

- A więc taki masz plan. - Babcia swatała mnie, odkąd przyjechała. Miałam w życiu coś niezmiennego - Judy była dokładnie taka sama jak wtedy, kiedy ją poznałam, nawet jeśli stało się to niedawno. Poczułam krzepiące ciepło na tę myśl.

- Zgadza się. - Ścisnęła moje ramiona i odsunęła mnie nieco, żeby spojrzeć mi w oczy. — Wiesz, co to oznacza? Ta cała afera z krwią? - Pokręciłam głową. - Że jesteś silna. Siłę masz we krwi.

- Miejmy nadzieję.

Uśmiechnęła się.

- Ja to wiem. Twój tata był silny. I dziadek też. Mówiłam ci, jak się poznaliśmy?

- Nie.

- To było w siedemdziesiątym ósmym. Przyjechał do Waszyngtonu na spotkanie, a ja szłam w marszu poparcia równości płci. Przysiadłam na chwilę na krawężniku, bo kamyk wpadł mi do buta. Założyłam duże, męskie buty, w końcu byłam na manifie. I nagle pojawił się nade mną cień. Usłyszałam: „Co za ironia”. Osłoniłam oczy przed słońcem i popatrzyłam w górę. Twój dziadek pomyślał, że wyciągam dłoń, żeby pomógł mi wstać, więc złapał mnie za rękę i dźwignął, jakbym była piórkem. - Judy uśmiechnęła się dziewczęco i miękko. - Ach, był taki przystojny, mówię ci! Ale z miejsca go zbeształam, że co on sobie wyobraża, przecież potrafię sama się podnieść, tratata, i wiesz co?

Przeprosił. I zabrał mnie na kawę. Powinnam była odmówić. Przez niego zerwałam się z marszu! - Zachichotała.

- Nie wiem, czy właśnie taką siłę chcę odziedziczyć - żartowałam.

- No, wiesz, co mam na myśli.

- Tak. Judy, robiłaś w życiu tyle rzeczy. Na przykład sama zjeżdżałaś świat. Wtedy gdy byłaś hipiską.

Babcia parsknęła śmiechem.

- Oj, nie było lekko. Gorzej niż teraz ze złodziejami ciał.

Z warkoczami po obu stronach twarzy wyglądała jak wi-kińska księżniczka przed emeryturą.

- Judy, chciałabym być taka dzielna jak ty.

- Skarbie, przecież jesteście. Tyle wytrzymaliście, ty i twój brat. Wiele wycierpieliście.

Przykryłam jej dłonie swoimi i powiedziałam:

- Judy, nie wiem, czy ci to powiedzieliśmy, ale bardzo się cieszymy, że przyjechałaś.

- Daj spokój, każdy by tak postąpił.

To, rzecz jasna, nie była prawda, ale nie prostuje się tak oczywistych kłamstw.

ROZDZIAŁ 41

Kwiecień 1972 roku

Wzeszły piątek Philip ujął moją dłoń i rzekł:

— Josephine, zestarzej się ze mną.

Roześmiałam się, ale on był poważny. Minęło już prawie trzydzieści lat, odkąd Diakon podarował mi tynkturę z kości i krwi czarownicy. Niebawem straci swą moc. Zostało mi nieco czasu, żeby przygotować kolejną porcję i namówić Philipa do wypicia jej razem ze mną.

ROZDZIAŁ 42

N I C H O L A S

Włożyłem patyk w płonący na trójnogim palenisku ogień. Rozpalił go Reese, po czym pobiegł na cmentarz. Jedno z żarzących się polan obsunęło się z trzaskiem, wzbijając chmurę iskier. Stałem nad płomieniami, dym dmuchnął mi prosto w twarz. Gryzący zapach dławił, ale uznałem to za swoistą pokutę. Do tej pory ogień oglądałem tylko schowany w marmurowym kominku, gdzie niebezpieczny żar odgrodzono żelazną kratą. Teraz było inaczej. Spuszczone z oka płomienie mogłyby przenieść się na trawę, pognać w stronę domu albo krzaków. I obrócić wszystko w popiół.

Wyciągnąłem z kieszeni zdjęcie mamy i Robbiego Kennicota. Przysunąłem je do ognia. Papier wygiął się, mama uśmiechała się teraz krzywo. Przez chwilę miałem ochotę rzucić je po prostu w płomienie, żeby zobaczyć, jak brązowieje i zwija się w wiórek, ale powstrzymałem się i z powrotem schowałem zdjęcie do džinsów.

Zacząłem przechadzać się od paleniska do krzaków

i z powrotem. Wolałbym, żeby Silla trochę się pospieszyła. I wszyscy. Nie mogłem się doczekać, aż to wszystko się skończy. Wzdrygnąłem się na dźwięk śpiewu ptaków przed domem. Do zachodu słońca, co prawda, zostało jeszcze trochę czasu, ale chmury wisiały nisko i było dosyć ciemno. Między domem a gęstym żywopłotem byłem jak w potrzasku.

Już sięgałem po szkatułkę, żeby wyjąć pióro i przynajmniej uzbroić się odrobiną krwi, gdy tylne drzwi otworzyły się z rozmachem i rąbnęły w ścianę. Z betonowych schodów zbiegła Silla.

- No, jestem.

Włosy miała schowane pod jasnoczerwoną chustką. Z ulgą ruszyłem w jej stronę i dałem jej buziaka. Najwyraźniej nie tego się spodziewała, bo pisnęła i złapała się moich bioder.

- Jak tam? - zapytała z twarzą o dwa centymetry od mojej.

- W porządku. Jestem gotowy. - Jeszcze raz ją pocałowałem.

Przycisnęła usta do moich, a potem odsunęła się i skinęła głową.

- To do dzieła. Gdzie Reese? — zapytała.

Wskazałem brodą krzaki.

- Na cmentarzu. Ma zaraz wrócić.

- Chodźmy po niego.

Silla wzięła mnie za rękę i poprowadziła w gąszcz forsycji. Tak samo jak wieczorem po imprezie, dokładnie wiedziała, którądy iść, żeby ominąć ostre gałęzie. Zamknąłem oczy i pozwoliłem się prowadzić. Po drugiej stronie zarośli podsadziłem ją na murek. Kiedy siedziała na górze, westchnęła i spojrzała na teren cmentarza. Usiadłem obok niej. Nigdy nie widziałem tego miejsca pod takim kątem. Między nami a wciśniętym

pod las murem z drugiej strony ciągnęły się nagrobki. Każdy był inny: niektóre miały kształt kamiennych krzyży, inne standardowych tablic. Wyglądały jak zabawki, które jakieś olbrzymie dziecko rozrzuciło po zboczach. Nad gromadą mogił pochylało się kilka osamotnionych drzew, których gałęzie wskazywały południe. Pewnie wiatr tak je wygiął. Z tej perspektywy cmentarz wyglądał raczej ponuro.

- Widzę go - rzekła Silla i zeskoczyła z muru; ja zostałem na górze. Po chwili też go zauważyłem. Reese stał mniej więcej na środku cmentarza, przy grobie rodziców. Silla zrobiła kilka kroków i odwróciła się w moją stronę.

- Nick?

Zmarszczyłem brwi.

- Wiesz, chyba poczekam tutaj. Tak będzie lepiej. Nie chcę, yyy... przeszkadzać. — Zwłaszcza jeżeli rozmawiał z rodzicami.

Na chwilę zmarkotniała. Jej czerwona chustka odcinała się od kępy wysokiej, pozółkłej trawy, z której wyłaniał się marmurowy kamień nagrobny.

- Racja - wymamrotała. - Zaraz wracam.

Kiedy odchodziła, zawołałem:

- Silla?

Ona roześmiała się cicho i odwróciła.

- Nick?

- Uważaj. - Uniosłem głowę i przyjrzałem się niebu. Zrozumiała i ruszyła przed siebie szybkim krokiem.

S I L L A

Okolicę zalał szaroróżowy, odbity od chmur blask zachodzącego słońca. Była to moja ulubiona pora na wizytę na

omentarzu. Właśnie o tej godzinie przyszedłam tu pierwszy raz, pierwszy raz otworzyłam książkę taty. Zawieszenie między dniem a nocą jakby pasowało do magii.

Podeszłam do Reese'a po cichu, żeby mu nie przeszkadzać. Byłam zaintrygowana zmianą, jaka w nim zaszła - wcześniej tu nie przychodził. Ostrożnie stawiałam stopy wśród liści i suchej trawy.

Siedział przy nagrobku w kuckach z pochyloną głową. Łokcie oparł na kolanach, a dłonie puścił luźno między stopami. Na widok jego napiętych pleców i zamkniętych oczu ścisnęło mnie w dołku. Nigdy nie widziałam, żeby wyglądał tak bezbronnie. Zgarbiony i znieruchomiały, niczym posąg smutnego anioła. Stałam i z bólem serca patrzyłam na mojego brata.

W twarz połaskotał mnie wiatr. Drzewa zafalowały. Żaby i cykady podjęły wieczorną piosenkę, przekrzykując się płaczliwie. W powietrzu wisiała wilgoć, niechybnie zapowiadająca nocny deszcz. Reese nadal ani drgnął. Nawet jego ciemne włosy nie ruszały się na wietrze.

- Reese? - zawołałam miękko i oparłam rękę na stojącym z tyłu dużym kamiennym krzyżu.

Reese podniósł się płynnym ruchem.

- Cześć. Już?

Skinęłam głową. Podeszłam do niego i ścisnęłam oburącz jego dłonie.

- Ogoliłbyś się.

- Dzięki, Silla. - Ułożył usta w półuśmiech.

- Mamie nie spodobałoby się, że wyglądasz jak niechluj.

- Opuściłam oczy. Nie mogłam wytrzymać jego smutnego spojrzenia.

- Twoją fryzurą też nie byłaby zachwycona. - Objął mnie

niezgrabnie. - Silla, kiedy będzie po wszystkim, wyjedźmy, dobra?

- Z Yaleylah? - Splotłam dłonie na jego karku.

- Mhm. Pójdę na studia, a ty możesz pojechać ze mną.

- Nie chcę mieszkać w Kansas jak Dorotka z Krainy Oz - drażniłam się z nim. Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że stoimy z rodzicami w kuchni. Mama rozczochrałaby mi lekko włosy za drwiny z brata, a tata uśmiechnąłby się znad sterty łacińskich tłumaczeń, które by poprawiał.

Ale Reese nie podchwycił żartu. Westchnął. Poczułam, jak rozszerzają mu się żebra.

- Nie muszę studiować w Kansas. Mogę gdziekolwiek, gdzie tobie też by się podobało. Żebyś miała fajną klasę maturalną. Musimy zacząć od nowa, z dala od tego wszystkiego.

Pomyślałam o Nicku. Nie chciałam mieszkać z dala od jego pocałunków. Ale on w maju kończy szkołę i wyjeżdża w poszukiwaniu mamy. Nie miałam pojęcia, co z nami będzie. Nie wiedziałam, czego chcę. Wcisnęłam twarz w ramię Reese'a.

- Może Chicago? - wymamrotałam. - Judy wciąż ma tam mieszkanie.

- Jasne, czemu nie. Właściwie wszystko jedno gdzie, byle daleko stąd - burknął.

Odsunęłam się, żeby spojrzeć mu w twarz. Wbił gniewny wzrok w ziemię, ale zauważyłam, że zaszklily mu się oczy. Serce mi załomotało. Popatrzył na mnie, potem znowu odwrócił spojrzenie.

- Tutaj wszystko jest martwe, Silla.

- My jesteśmy żywi. - Ścisnęłam jego dłonie i też poczułam w oczach łzy.

ROZDZIAŁ 43

Sierpień 1972 roku

Philip upiera się przy swoim. Oznajmił mi:

— To koniec. Chcę spojrzeć w lustro i te wszystkie lata, które czuję w duszy, dojrzeć na pomarszczonej twarzy, w siwych włosach.

— Czasem bywa melodramatyczny. Pocałował mnie i ciągnął: — Josephine, od siedemdziesięciu lat wspólnie więdziemy nieograniczone niczym życie. Siedemdziesiąt lat to tyle, ile żyje człowiek. A co z tego mamy? Nic. Nikt nie wie, kim jesteśmy, co robimy. Kto nas wspomni?

— Ja jestem szczęśliwa. Nie obchodzi mnie, kto nas będzie wspominał w przyszłości, bo będę wtedy żyć.

— Josie, przestańmy zażywać eliksir. Niech nasze ciała powrócą do naturalnego rytmu. Pojmę cię za żonę. Moglibyśmy mieć dzieci. Wyobrazasz sobie, jakie byłoby to cudowne? To także byłaby magia. Lepsza.

— Phil, nie zamierzam umierać. Nie chcę siwizny ani bólu w stawach.

— Ale dzieci... Myślę, że splodzilibyśmy dobre dzieci — dodał, jednak ja nie jestem pewna, czy mówił prawdę.

Westchnęłam. Melancholia minie, Philip zmieni zdanie. Taki już jest — niestały. Jeżeli będzie się opierał, następną porcję tynktury przygotuję z Diakonem. I przemycę w warzywach z woka. Soja dobrze komponuje się z imbirem.

Będziemy żyć wiecznie. Razem. Nic innego mnie nie obchodzi.

ROZDZIAŁ 44

N I C H O L A S

Siedziałem na murze z łokciami na kolanach. Twardy kamień wrzynał mi się w tyłek. Było lodowato. Poruszyłem się, próbując usadowić się wygodniej.

Otoczała mnie szarówka. Z daleka las przy moim domu wyglądał jak ciemnoszary kleks na tle jasnoszarego nieba. Przypominało to trochę scenę z jakiejś pieprzonej bajki: zamek otoczony ciernistym lasem. Tyle że w tym zamku nie mieszkała żadna baśniowa księżniczka, tylko zła macocha. Dosłownie.

Kiedy zrobimy już te amulety, trzeba będzie zmierzyć się z Lilith. To będzie megatrudne. Jak mam się do tego zabrać? Wiedziałem tylko, że tata kompletnie się załamie, kiedy się dowie, że sypiał z dwiema szurniętymi czarownicami, a nie jedną. Jakoś niespecjalnie mnie to cieszyło.

Tak się zapatrzyłem w ciemne drzewa i zatopiłem w myślach o ostrych pazurach Lilith i o tym, czy da się ją namówić, żeby po prostu sobie poszła, że nie usłyszałem, jak skrada się do mnie za plecami.

W ostatniej chwili ostrzegł mnie dźwięk kroków po trawie. Zacząłem się odwracać, bo myślałem, że to babcia Judy, ale w tej samej sekundzie poczułem na szyi zimny nóż i wpijające się palce.

- Cześć, Nicky - odezwała się, dmuchając mi ciepłym powietrzem w ucho. - Świetnie się składa, prawda?

- Josephine - jęknąłem ł zamarłem. Ostrze wrzynało mi się w skórę na szyi. Zacisnąłem szczękę i zwinąłem palce w pięści. Gdybym tak mógł zeskoczyć i zwiać.

- Zgadłeś!

To nie był głos Lilith. Kiedy Josephine obróciła głowę, mojej twarzy dotknęły blond loki. Docisnęła mi sztylet do szyi i opierając się na moim ramieniu, wspięła się na mur cmentarza.

To pani Tripp! W skórzanej kurtce i obcisłych dżinsach wyglądała znacznie młodziej.

- Niespodzianka! - Uśmiechnęła się złowieszczo.

Gdy przełknąłem ślinę, ostrze zanurzyło się głębiej. W stronę klatki piersiowej wystrzelił ból, a na kołnierzyk kapnęła pierwsza duża kropla krwi.

- Czego chcesz?

- Ach, nie ciebie. - Wywróciła oczami. - Ale będzie znacznie łatwiej dostać to, czego rzeczywiście chce, jeżeli nie będziesz sprawiał kłopotów. - Wsunęła wolną rękę do kieszeni kurtki.

Teraz albo nigdy. Odepchnąłem jej ramię; nóż zostawił po sobie piekącą krechę. Josephine cofnęła się zaskoczona, ale kiedy już miałem się na nią rzucić, cisnęła mi w twarz czymś wyjętym z kieszeni. Na policzkach i w oczach poczułem proszek, wdarł mi się też do nosa. Kichnąłem - raz, dwa razy. Oczy szczypały i łzawiły, więc cały czas mrugałem. Pole widzenia zwężyło mi się i zniknęło jak wyłączany telewizor.

Poczułem pchnięcie drobnych dłoni. Spadłem z murku, wymachując rękami, żeby się czegoś złapać. Upadłem na tyłek i rąbnąłem głową o ziemię. Wszystko się zakołysało.

S I L L A

Kiedy tylko słońce zniknęło za horyzontem, a srebrna linia oddzielająca szare niebo od ziemi zabarwiła się na fioletowo, poczułam, że czas na magię.

Reese podszedł do nagrobka rodziców i dotknął kamienia.

- Szkoda, że was tu nie ma - rzekł cicho, ale dość machinalnie, jakby kończył pisać pocztówkę. - Dobra, Silla, możemy iść.

Odwrócił się do mnie i zamarł. Wbił wzrok w coś ponad moim ramieniem. Obejrzałam się.

Pani Tripp. Beztrósko stawiając kroki, szła ku nam przez labirynt nagrobków. Zamiast swojego sweterka i koczka, miała na sobie skórzaną kurtkę, a burza loków falowała dookoła twarzy niczym lwia grzywa. Na widok jej uśmiechu dostałam gęsiej skóry.

- Nie ułatwiacie mi życia, oj nie. - Pokręciła głową.

- Kim ty jesteś, do cholery? - Zza pleców dobiegł mnie wibrujący gniewem głos Reese'a.

- To pani Tripp - odparłam, jak potrafiłam najspokojniej. Wsunęłam dłoń do kieszeni i zacisnęłam palce na szczyroryku.

Wzruszyła ramionami, jak gdyby nigdy nic. Jakbyśmy spotkali się w jasno oświetlonej restauracji, a nie na cmentarzu o zmierzchu.

- Mówcie mi Josephine. Tak nazywał mnie wasz tata.

- To twoje prawdziwe ciało? - Nie połknęłam przynęty.

Josephine zrobiła mały piruet na jednej nodze z rękami wyrzuconymi na boki. W jej dłoni zauważyłam błysk noża. Był to duży, trójkątny tasak. Nie damy jej szansy go użyć. Gdy się zatrzymała, podeszłam bliżej.

- Josephine, zostaw nas w spokoju. Odejdź. Nie pomogę ci z kośćmi. Nie chcemy cię tutaj. Damy ci radę.

Zrobiła nadąsaną minkę, a potem uniosła nóż i dotknęła nim policzka. Zostawił na skórze ślad krwi.

- Nick też tak uważał. I zobacz, co się z nim stało.

Żołądek podskoczył mi do gardła, jakbym jechała do góry nogami kolejką górską.

- Kłamiesz - powiedziałam rozkazującym tonem. Chciałam sprawić, żeby to była prawda. Wyjęłam scyzoryk.

- Och, Silla! - Josephine uśmiechnęła się i przycisnęła dłoń do piersi. Jasne ostrze noża kontrastowało z czarną skórzaną kurtką. — Jesteś rozkoszna.

Reese capnął mnie za ramiona.

- Ała! - zaprotestowałam i chciałam się wyrwać, ale usłyszałam jego głos:

- Nie szarp się, złotko.

Powiedzieli to z Josephine jednocześnie.

O nie. Wykręciłam szyję, a on szarpnął mną tak mocno, że ugięły mi się kolana i rąbnęłam o ziemię, aż zęby zadzwoniły. Zamachnęłam się scyzorykiem.

- Tutaj! - Ich głosy huknęły unisono, z jednej strony wysoki, z drugiej - niski i bardzo, bardzo znajomy.

Jak mogłam walczyć z własnym bratem?

Reese zawlókł mnie w stronę grobu rodziców. Josephine już tam czekała. Stała oparta biodrem o kamień nagrobny.

Próbowałam się wyrwać: ryłam obcasami w ziemię, szarpałam się i usiłowałam otworzyć scyzoryk, ale on znowu mną potrząsnął, aż zakręciło mi się w głowie. Przewróciłam się, a obok mnie na ziemię upadł scyzoryk. Uniosłam się na czworakach. Palce zapadały mi się w cmentarne błoto. Reese podniósł scyzoryk, a Josephine szarpnęła mnie za włosy. Z bólu oczy zaszczyły mi łzami.

Nie miałam pojęcia, co robić. Strach ścisnął mi żołądek. Czułam na przemian fale gorąca i zimna.

Reese klęknął z tyłu i zamknął mnie w uścisku silnych ramion. Czułam zapach mojego brata: siano i aromat smaru, który chyba już na zawsze wsiąkł mu w skórę i paznokcie.

- Gdybyś tylko chciała współpracować... - wymamrotała Josephine. Uklękła przede mną i zamachała mi nożem przed nosem. Reese dokończył zdanie, chrypiąc mi do ucha: - ...to wszystko nie byłoby konieczne.

Zamknęłam oczy i gorączkowo obmyślałam plan ucieczki. Byłam ściśnięta między Josephine a moim bratem. Gdybym tylko miała trochę krwi, troszeczkę, mogłabym oswobodzić Reese'a i zwiąć.

- Błagam - jęknęłam. Na szczęście udało mi się uronić kilka łez. - Błagam, przestań. Zrobię, co chcesz. - Na twarz założyłam maskę strachu w niezdrowym odcieniu żółci. - Proszę, nie rób mi krzywdy. - Złapałam Josephine za kurtkę.

Spojrzałyśmy na siebie z bardzo bliska. Jej oczy były wściekle niebieskie z szarymi plamkami dookoła tęczęwek. Piękne jak fala, która zaraz cię zatopi. Zwęziły się. Josephine lustrowała mnie wzrokiem drapieżcy. Utrzymałam na twarzy maskę przerażenia. Pokazałam jej cały ból i strach z powodu Reese'a, niepewność co do losów Nicka, wspomnienie o śmierci rodziców i myśl, że oni także z nią przegrali.

Uśmiechnęła się. Przybrała miękki, niemal przyjazny wyraz twarzy i rzekła łagodnie:

- No już, Silla. Najlepiej będzie, jeśli pomożesz z własnej woli.

I szybkim ruchem przeharatała mi tasakiem skórę u podstawy szyi. Znad obojczyka popłynęła mi krew. Wyglądała jak

czerwony naszyjnik. Zalała mnie osłabiająca fala bólu. Poleciałam do tyłu, ale chwyciły mnie ręce Reese'a.

- Silla, nie ruszaj się i pozwól płynąć krwi. To odczyni zaklęcie, które rzuciłaś na grób.

Poczułam palący smród krwi. Zmusiłam się, żeby otworzyć oczy. Josephine wstała i odeszła na odpowiednią odległość. Szybko odwróciłam się do Reese'a, opuściłam kołnierzyk jego koszulki i klepnęłam zakrwawioną ręką w namalowaną markerem runę.

- Reese, uwalniam cię! - krzyknęłam i wysłałam magię z krwawiącego nacięcia przez ramię aż do serca brata.

Siła magii odrzuciła nas oboje na odległość dwóch metrów. Reese otworzył szeroko oczy i spojrzał na mnie. Od razu wiedziałam, że jest sobą. Zerwał się na równe nogi i ze złowrogim grymasem ruszył na Josephine. Zeszłam mu z drogi i dotknęłam ręką rany, żeby mieć w pogotowiu świeżą krew. Razem ją wykończymy. Reese z bojowym rykiem rzucił się na Josephine. Machnęła w niego tasakiem, ale on złapał ją za nadgarstek. W drugiej ręce trzymał mój scyzoryk.

- Nic mi nie zrobisz, mam osłonę — warknął.

Josephine wyjęła z kieszeni garść jakiegoś proszku w kolorze błota i cisnęła nim w Reese'a. Gdy on puścił jej nadgarstek, uchylając się przed chmurą pyłu, ona obnażyła zęby i wbiła mu nóż w znak runiczny.

Prosto w serce.

Ziemia usunęła mi się spod stóp, a gardło ścisnęła krzyk.

Josephine przytrzymała rękojeść noża zanurzonego w ciele mojego brata i roześmiała się.

Reese schylił głowę i popatrzył na tasak. Ja też. I Josephine.

Byłam jak skamieniała. Nie miałam siły oddychać. To nie stało się naprawdę. Nie mogło.

Reese wziął głęboki oddech, nieomal z dna płuc, zamachnął się scyzorykiem i wbił go pod żebra Josephine, która otworzyła szeroko usta i wytrzeszczyła oczy.

Upadli na ziemię spleceni razem w krwawym uścisku.

Josephine wyrwała się i złapała oburącz scyzoryk wystający z boku żeber. Zatoczyła się do tyłu i oparła o kamień nagrobny.

Cmentarz wirował niczym karuzela. Mój brat opadł na kolana. Poczułam, jak ziemia zadrżała, jakbyśmy stali na płacie blachy.

Reese złapał za rękojeść.

- Nie! - wrzasnęłam. Wróciła mi zdolność ruchu. Przyskoczyłam do niego i dotknęłam jego dłoni. - Zostaw, nie wyjmuj.

- Silla - jego szept zaszeleścił jak suche liście muskające moją skórę. Wyciągnął nóż jednym, płynnym ruchem.

Jego koszulkę zalała fala krwi. Zaczął się cofać kołyszącym krokiem, a kiedy zaszłam go od tyłu, upadł na mnie. Zakaszlał i skrzywił się z bólu. Objęłam go i rozdarłam szerzej dziurę w jego koszulce.

- Ulecę to, Reese, zobaczysz, zaraz się zagoi.

Zadławiłam się odorem krwi. Przed oczami miałam plamy czerwieni: skąpany w czerwieni dywan, czerwien rozbryźnięta na żwirowej ścieżce, czerwona masa dookoła resztek twarzy taty. Zacisnęłam powieki i położyłam dłonie na śliskiej ranie. Krew na moich palcach pulsowała w rytm serca mojego brata.

Reese zabulgotał. Wysunęłam się spod niego, ułożyłam go na ziemi, a sama uklękłam obok. Przesunęłam dłońmi po

ranie na obojczyku. Promienie bólu biegły prosto do brzucha. Przyłożyłam zakrwawioną rękę do rany Reese'a.

- Silla - szepnął i dotknął mojej twarzy. - Bądź silna.

Pomyślałam, że to pożegnanie, ale nie.

To była magia.

W ranie poczułam nową falę bólu. Z ziemi, z powietrza, z rany Reese'a zbierała się magia. I kumulowała we mnie. Liście dookoła wzbity się i zawirowały niczym trąba powietrzna.

Reese zaświecił jak raca.

Potem jego dłoń opadła bez sił, uderzając o materac z suchych liści.

N I C H O L A S

Chwilowe oślepienie otworzyło mi oczy.

Krew szumiała mi w uszach i tłukła o czaszkę, jakbym był pod wodą. Moje serce dudniło ogłuszająco.

Ziemia cmentarza, na której leżałem, była zimna i twarda. Wczepiłem się palcami w gęstą trawę, jakby od tego zależało moje życie. I w zasadzie tak było.

Tylko ja i cmentarz. Słyszałem dosłownie wszystko. Szuranie trawy o kamień, liście szeleszczące pod moimi dłońmi. Wiatr szumiący w koronach drzew gdzieś daleko. Milion owadów wyjących jak syreny. Przez sekundę wydało mi się, że słyszę nawet sunące po niebie chmury.

I nagle usłyszałem krzyk. To Silla. Zadygotałem przerażony. Musiałem jej pomóc. Przewróciłem się na brzuch i podczołgałem pod mur cmentarza. Ostry brzeg nadawał się idealnie. Usiadłem ze skrzyżowanymi nogami i zanim zdażyłem się porządnie zastanowić, sięgnąłem ręką do góry i przejechałem nią o kant najmocniej, jak się dało.

Poczułem przesywający ból. Krzyknąłem i przycisnąłem rękę do ciała. Może i lepiej, że nie widziałem, co sobie zrobiłem. W górę ramienia wędrowały fale bólu. Na dłoni poczułem krew i gorąco.

Dam radę. Miałem to w garści.

- Ulecz mnie - wyszeptąłem, myśląc o mamie, która za pomocą kropli krwi i paru rymów częstochowskich potrafiła zrobić wszystko. Na przykład sprawić, że nad łóżkiem kwitowały papierowe gwiazdki i serduszka.

Zwinałem dłoń. Krew zbierała się nieprzerwanie. Oczy miałem zamknięte - tak było łatwiej, niż gdybym musiał pamiętać, że straciłem wzrok.

Pochyliłem się, wciągnąłem głęboko powietrze z metalicznym posmakiem krwi. Dam radę.

- Moja krew, oczy lecz. Magii moc, przywróć wzrok.

I zaraz powtórzyłem zaklęcie. Poczułem mrowienie biegnące w górę kręgosłupa. W pokaleczonej dłoni buzowała magia. Po ciemku trudno było uwierzyć, że cokolwiek się stało. Posmarowałem powieki krwią i zamrugałem mimo woli.

Powtórzyłem kiepski wierszyk po raz trzeci. I przycisnąłem dłonie do twarzy, dotykając palcami oczu. Nie ruszałem się przez moment.

Potem zsunąłem dłonie i otworzyłem powoli powieki.

Z mroku wynurzyły się szare, rozmyte kształty.

Wybuchnąłem pełnym niedowierzania śmiechem. Udało się! Wygrałem z tą babą. Przywróciłem sobie wzrok. I to tylko za pomocą własnej krwi.

Ze zranioną ręką przyciśniętą do brzucha wstałem i rozejrzałem się po cmentarzu. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyłem

wyraźnie, była zataczająca się w moim kierunku Silla. Na każdym nagrobku, którego dotykała dłonią, zostawiała szkarłatne ślady.

ROZDZIAŁ 45

To najgorsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Moje prawdziwe imię to Philip Osborn. Zabiłem siedemnastoletniego chłopca, bo bałem się umrzeć.

ROZDZIAŁ 46

S I L L A

Siedem godzin od chwili, kiedy stwierdzono zgon Reese'a, o szybę w mojej sypialni załomotały skrzydła ptaka.

Leżałam i gapiłam się w sufit. Wcześniej bardzo długo odpowiadałam na pytania szeryfa Todda, potem wymiotowałam w łazience, a babcia masowała mi plecy. Płakałam i płakałam bez końca, jakby ktoś odkręcił mi w środku kurek. Krew w żyłach miałam ciężką jak ołów. Byłam wykończona, ale nie mogłam zasnąć. Nie mogłam robić właściwie nic, tylko leżeć na łóżku. Łzy ściekały mi po policzkach

i czole, a w brzuchu bulgotały mdłości, jakbym miała tam złotą rybkę.

Chciałam, żeby wrócił. Nigdy niczego bardziej nie pragnęłam. Wyobrażałam sobie, że uzdrawiam, ożywiam jego ciało. Jego oczy otwierają się, a usta wyginają w uśmiechu... Ale nie, on przecież nie żył. Jak mama i tata. Umarł i przeniósł się do jakiegoś innego miejsca. Miałam nadzieję, że lepszego. Jeżeli ktokolwiek zasługiwał na niebo, to z pewnością mój brat.

Jego krew, tak jak krew rodziców, zmoczyła mi ręce. Nasiąkły mi nią dżinsy, kiedy uklęknęłam. Pomazałam nią wszystko: kamienie nagrobne, Nicka. Ciągnąc go do ciała Reese'a, ubrudziłam mu nią twarz. Zacisnęłam powieki. W skroniach pulsował ból.

Gdy usłyszałam trzepot skrzydeł, serce mi załomotało. Zeskoczyłam z łóżka i podbiegłam do okna. Pusto. Była szósta rano. Na wschodzie za cmentarzem i domem Nicka linia horyzontu rozjaśniła się srebrnym blaskiem. Przed domem tkwił nieruchomo klon. Mój oddech zostawił na szybie mgiełkę. Wytarłam ją i znowu lustrowałam z niepokojem ponury poranek. Przyśnił mi się ten szelest piór? Może to tylko podmuch wiatru?

Na dźwięk krakania prawie połknęłam własny język. Gdzie ona była? Wredna suka! Przypomniałam sobie, jak dźga mój brata, i z oczu znowu popłynęły mi gorące łzy.

Z klonu poderwał się kruk. Gałąź, na której siedział, podskoczyła. Ptak podleciał do okna, ale gdy uderzyłam ręką o szybę, zawrócił na drzewo. Wtedy je zobaczyłam. W koronie drzewa chowało się kilkanaście czarnych kruków. Wszystkie patrzyły na mnie.

Obróciłam się na pięcie, pognałam na dół i wypadłam na zewnątrz. Ostry żwir kłuł mnie w bosa stopy, ale ja biegłam do drzewa, wymachując ramionami i wrzeszcząc:

- Idź stąd! Zostaw mnie! - Uderzyłam w drzewo całym ciałem. — Daj mi spokój!

Zaczęłam okładać gładką korę pięściami, aż rozbolały mnie ręce. Objęłam pień ramionami i zatrzęsłam nim. Oczy zalewały mi łzy. Gałęzie nade mną zadrżały, spadło trochę liści. Kruki skrzeczały i rechotały. Krzyknęłam na nie, potem cofnąłam się kilka kroków i rozłożyłam ramiona. Czarne skrzydła trzepotały i zasypywały mnie liśćmi.

- Jestem, proszę bardzo - oznajmiłam. - Weź mnie, jeśli chcesz. — Też chciałam umrzeć.

Ale krakanie ucichło. Dookoła moich stóp kłębiły się liście. Przypomniało mi się, jak niedawno na cmentarzu Reese przemienił suchy liść w żywą, zieloną roślinę. I jak się wtedy śmiał.

Byłam sama.

Kształty dookoła mnie rozmyły się we łzach i nie widziałam, dokąd poleciały ptaki.

Wróciłam na werandę, założyłam tenisówki. Łzy pokrywały moje oczy jak werniks - twarda, przezroczysta powłoka, której nie mogłam usunąć. Ze złością potarłam oczy, ale coś wewnątrz mnie chyba się zepsuło.

Chłodne powietrze szczypało w policzki i gołe ramiona. Stałam na ścieżce, przenosząc ciężar ciała to na przód, to na tył. Żwir chrzęścił.

Reese uwielbiał biegać. Właśnie na to miałam teraz ochotę: puścić się biegiem. Uciec. Ruszyłam w stronę drogi. Najpierw powoli, żeby rozgrzać mięśnie, potem robiłam coraz większe susy, aż po chwili biegłam ile sił w nogach, trochę ślizgając się na żwirze. Dyszałam i piekło mnie w mostku - ból przesywał boleśniej niż nóż - ale nie pozwoliłam sobie na odpoczynek. Przed sobą widziałam obłoczek oddechu. Wdech,

wydech, wdech, wydech, szorstko, gładko. Stopy uderzały o ścieżkę, zmuszając kolana i biodra do rozluźnienia.

Wzrok wędrował po mroku, a mdłości minęły. Wiatr wysuszył mi oczy.

Na moment straciłam kontakt z czasem i przestrzenią. Byłam wolna.

Wtedy się potknęłam.

Zwolniłam, próbując złapać równowagę, ale w końcu upadłam na ścieżkę, ciężko dysząc. Przekręciłam się na plecy. W łopatki, łydki, biodra wbijały mi się malutkie kamyczki. Słyszałam tylko swój przyspieszony oddech. Rozłożyłam ręce i spojrzałam w niebo gwiaździste nade mną.

Zaledwie cztery dni temu siedzieliśmy ramie w ramie na schodach werandy i oglądaliśmy gwiazdy. Trudno było w to uwierzyć. Boże. Nie było go. To przecież niemożliwe.

Dotarło do mnie, że słyszę świerszcze i wiatr szumiący w drzewach.

Pot na czole stygł.

Ale ani oddech mi się nie uspokoił, ani szalejące tętno nie zwolniło, tylko wręcz przyspieszało, jakbym miała wybuchnąć - tak jak Reese po śmierci rodziców, kiedy przebił dziurę w ścianie. Miałam ochotę zrobić to samo. Zwinęłam dłonie w pięści.

— Reese - wyszeptałam. I powtórzyłam głośniej: — Reese.

Dlaczego mnie opuścił?

- Reese! - krzyknęłam.

Cisza.

ROZDZIAŁ 47

Do moich dzieci, Silli i Reese'a.

Modłę się ze wszystkich sił, żebyście nigdy nie musieli tego czytać. Ufam, że uda mi się ją dzisiaj pokonać i wieczorem dołączę do Was i Mamy na kolacji w Kansas City. Potem razem poszukamy mieszkania dla Reese'a. Wszystko będzie tak, jak być powinno.

Chociaż zdaję sobie sprawę, że to, jak być powinno, zniszczyłem dawno temu. Wtedy gdy podjąłem taką, a nie inną decyzję, żeby usunąć z tego ciała duszę, która je zgodnie z prawem zajmowała.

Oto moje wyznanie: nie jestem Waszym ojcem. Urodziłem się w roku 1803 pod Bostonem. Matka ochrzciła mnie imieniem Philip, a mój przyjaciel Diakon nadal mi nazwisko Osborn. Jestem lekarzem, uzdrowicielem i magiem. A przez nią — mordercą.

Moi kochani, musiałem przed nią uciec. Musiałem uwolnić się od Josephine.

Mętnie to moje wyznanie, nieprawdaż? Reese na pewno chciałby poznać szczegóły, a Silla sens moich słów. Och, drogie dzieci.

Wykradłem ten dziennik, gdy wzniciłem pożar w naszym bostońskim domu i upozorowałem własną śmierć. Dobrze się składa, że właśnie tutaj spiszę dla Was wyznanie w godzinie, która może będzie moją ostatnią na tym świecie.

ROZDZIAŁ 48

N I C H O L A S

Następnego dnia o dziesiątej zadzwonił telefon. Byłem tak zamotany w pościel, że prawie spadłem z łóżka, żeby odebrać.

Na ekranie wyświetliło się jej imię. Zawahałem się. Nie wiedziałem, co powiedzieć.

Na cmentarzu znaleźli nas szeryf i Judy. Obejmowałem Sillę ramionami, ale nie żeby ją pocieszyć, tylko żeby przytrzymać z dala od ciała Reese'a. Jej szeroko otwarte, otępiełe oczy. I Reese cały we krwi. Na jego widok było mi niedobrze. Leżał z półotwartymi powiekami i rozchyłonymi ustami.

Nie wiedziałem, co jej powiedzieć, ale musiałem coś wymyślić. Podeszedłem do okna i otworzyłem klapkę telefonu.

— Cześć.

- Cześć - odpowiedziała miękkim, ledwie słyszalnym głosem.

Pomiędzy nami zapadła cisza. Przycisnąłem zabandażowaną dłoń do zimnej szyby. Na rozcięcie, które zrobiłem sobie o mur cmentarza, założono mi szwy. Chłód uśmierzał ból. Spojrzałem przez palce na niebo.

W porannym świetle las był taki zwyczajny. Nie wyglądał na miejsce, do którego - jak wytropił szeryf - prowadził krwawy ślad Josephine i gdzie nagle się urywał. W domu pani Tripp policja znalazła kilka podrobionych dowodów i tym

podobnych dokumentów. I to nie takich, jakie umożliwiają wejście do klubu przed osiemnastką. Były tam akty urodzenia i prawa jazdy na różne nazwiska, ale z jej zdjęciem. Wypuścili więc za nią list gończy czy coś w ten deseń. Według szeryfa Todda raczej tutaj nie wróci, ale obiecał tacie, że będą patrolować naszą okolicę. Gówno prawda. Chcą, żeby Silla zniknęła.

Spojrzałem dalej, na cmentarz.

Babcia Judy i ja z łatwością przekonaliśmy wszystkich, że pani Tripp miała fioła na punkcie starych historii, które w końcu doprowadziły ją do szaleństwa. Nawet jeśli ktoś podejrzewał, że jesteśmy zamieszani w magię, ja nic na ten temat nie słyszałem. Może dlatego, że chociaż plotki krążyły, to nikt nie miał zamiaru otwierać prawdziwego śledztwa z prawdziwą ofiarą na podstawie niejasnych spekulacji. Znacznie wygodniej założyć, że wszystkiemu winna jest pani Tripp. Zauważyłem, że miejscowi woleli nadawać rzeczom dogodny dla nich bieg. Nie zadawali pytań, które mogłyby zrujnować naszą misternie skonstruowaną wersję wydarzeń.

Z wyjątkiem taty i Lilith. Było jasne, że się zastanawiają, co się stało. Teraz siedzieli razem na dole i pracowali. Przez cały ranek oboje zachowywali się niezwykle cicho, właściwie większość czasu byłem sam. Tata nie pojechał na swój czterodniowy wypad do biura, który skuteczniał co tydzień, ale też nie próbował się jakoś ze mną szczególnie spoufalać. Nawet nie powiedział, że mnie ostrzegał. Jakby mówił: „Synu, jeżeli będziesz mnie potrzebował, jestem blisko”. Muszę popracować nad sposobem, w jaki przekazać mu, że widzę, co robi, i jestem mu za to wdzięczny. Nawet jeśli nigdy nie będę miał ochoty z nim na ten temat porozmawiać.

A Lilith zachowywała się jak człowiek. Śniadanie przebiegło ciężko, ale z innych niż zazwyczaj powodów. Ona i tata gawędzili ze sobą o dyrdymałach, podawali mi tosty francuskie i placki i nawet nie zmuszali do rozmowy. Ja tylko siedziałem, żułem śniadanie i czułem wyrzuty sumienia, że nic nie mówię. I wtedy Lilith trafiła ramieniem w tatę, akurat kiedy sięgał po dokładkę jajecznicy, i rozlała na obrus sok z ciemnych winogron. Sok miał zupełnie inny kolor niż krew, ale ja odskoczyłem, przewracając krzesło, i zakryłem twarz rękami. Oddychałem głęboko.

Wszędzie widziałem krew.

To Lilith powiedziała:

— Jer, zabierz go do kuchni i daj zimnej wody. Ja posprzątam. Nie prosiłem o życzliwość. Ale przyjąłem ją.

W głowie poczułem chłód od okna. W końcu odezwałem się do Silli najgłupszym na świecie tekstem:

- Jak się masz?

- W porządku.

Z wieży za moimi plecami wokalista Weezera jęczał coś o dziewczynie, której nie można się oprzeć, bo istnieje tylko w snach. Silla nabrała powoli powietrza i powiedziała:

- Musimy się zobaczyć.

- Jasne - odparłem bez namysłu. Chciałem ją pocałować i uświadomić sobie, że żyje. I jej także o tym przypomnieć.

- Spotkajmy się w lodziarni.

- W lodziarni...?

- Proszę.

Rozłączyliśmy się. Złapałem bluzę i wyslizgnałem się z domu.

S I L L A

Babcia Judy wysłała mnie po serwetki. Było to kompletnie nie-dorzeczne, ale oświadczyła, że muszę się czymś zająć, a jutro ma być pogrzeb i potem stypa, więc serwetki się przydadzą.

Pojechałam furgonetką Reese'a. W kabinie czuć było zapach smaru, siana i potu. Kiedy odpaliłam silnik, z odtwarzacza CD ryknął Bruce Springsteen. Nie znosiłam takiego dziarskiego rocka z przydługimi solówkami na gitarze, ale nie miałam siły tego wyłączyć.

Oplotłam palcami kierownicę i pomyślałam o dłoniach Reese'a. Przypomniały mi się jego szesnaste urodziny, kiedy kupił ten samochód. Chciał wyjść do miasta ze znajomymi, ale mama kazała mu zostać w domu i powiedziała, że będzie mógł się z nimi spotkać w piątek wieczorem - był dzień powszedni. Razem przygotowaliśmy kurczaka w panierce. Reese zachowywał się jak ostatni dupek, przeklinał i oświadczył, że skoro musi zostać w domu, to zamknie się w pokoju. Mama ze wszystkich sił starała się nie rozpłakać. Kiedy tata wrócił do domu i dowiedział się, że Reese stroi fochy u siebie na górze, poprosił nas z mamą, żebyśmy nakryły do stołu, a sam do niego poszedł. Nie wiem, co mu powiedział, ale jakiś kwadrans później obaj zeszli na dół i Reese przeprosił mamę. Zjedliśmy kolację, a potem Reese rozpakował prezenty. Ode mnie dostał upragnioną grę na playstation, a od mamy sweater i bon na trzysta dolarów do wydania na tę furgonetkę, na którą odkładał od roku. Był przeschczęśliwy. Tata powiedział, że samochód czeka na niego w warsztacie pana Johnstona, gdzie dostał nowe opony - prezent od niego. Dał mu też bransoletkę z tygrysim okiem. Potem jedliśmy lody i Reese'a ulubione babeczki z kremem toffi.

Może oprócz serwetek kupię też pudełko babeczek.

Zaparkowałam przy sklepie „U Mercera” i potarłam lepkie policzki. Miałam poczucie, że tonę, jakby myśli i wspomnienia były rwącą rzeką, która porywa mnie i wciąga pod wodę. Walczyłam, żeby utrzymać się na powierzchni. Cała byłam rozdygotana.

Gdy wysiadłam z furgonetki, słońce zaświeciło wprost na mnie. Na parkingu stało jeszcze pięć innych samochodów. Wszystkie rozpoznałam. Boże, mam nadzieję, że dadzą mi w spokoju zrobić zakupy. Zwłaszcza kiedy zobaczą, że wyglądam jak cień człowieka. Ścisnęłam torebkę i starałam się iść jak gdyby nigdy nic, ze wzrokiem wbitym w asfalt.

Drzwi przytrzymał mi pan Emory.

- Silla, córeńko, jak się trzymasz? - Kąciki jego ust ukryły się w zmarszczkach.

Skinęłam głową i zerknęłam mu w oczy.

Zwykle brązowe, w cieniu wyglądały zaskakująco czarno i chłodno.

Cofnęłam się gwałtownie, uderzając plecami o drzwi furgonetki.

- Silla? — Jego uniesioną twarz zalało światło. W oczach zobaczyłam odbicie słońca.

- Yyy... Dziękuję, panie Emory, wszystko dobrze - wyszeptałam.

On, najwyraźniej rozdrażniony, zacisnął usta, skinął głową i odszedł. Ja powoli zajrzałam do wnętrza sklepu.

Josephine mogła czaić się wszędzie.

Przytulona do witryny przeszukałam wzrokiem alejki między półkami. Przy kasach stały dwie ekspedientki w niebieskich fartuchach: Beth i Erica Ellis - siostry, które od wieków pracowały jako pomoc przy pakowaniu zakupów, a w zeszłym

roku awansowały na kasjerki. Przy półce z przetworami byli pani Anthony i jej synek Pete, który siedział na półeczce w wózku zakupowym i wierzgał tłustymi nóżkami. Pani Morris zastanawiała się, czy kupić płatki Cheerios czy raczej Snow Flakes. Właściciel, pan Mercer, rozmawiał z Jimem, pracownikiem działu mięsnego.

To mógł być każdy. Albo wszyscy. Nie widziałam, dokąd poleciały kruki Josephine. Może tylko czekała na mój błąd. Miarowym krokiem skierowałam się w stronę artykułów papierniczych. Wszyscy na mnie patrzyli. Obserwowali mnie. Jak kruki. Czułam się zupełnie tak jak tego koszmarne go dnia, kiedy Josephine opętała Wendy. Wszędzie widziałam zagrożenie. Tylko że dzisiaj wiedziałam już, że dziecinne pomysły typu rysowanie runy na sercu w niczym nie pomogą.

Nawet mały Pete przestał wierzgać, gdy go mijałam. Złapałam paczkę tanich papierowych serwetek i musiałam się powstrzymywać, żeby nie pognać do kasy. Erica Ellis uśmiechnęła się współczująco.

- Masz wszystko, czego potrzebujesz? - zapytała jak zawsze.

Tego, czego potrzebowałam, nie było w durnym supermarkecie. Roześmiałam się. Nawet w moich uszach zabrzmiało to historycznie.

Erica uniosła brwi i wymieniła z siostrą porozumiewawcze spojrzenia. Ostrożnie, jakbym była zadzumiona, wzięła ode mnie banknot pięciodolarowy. Zmarszczyła się na widok nacięć na moich rękach. Miałam ochotę odchylić bluzę i pokazać jej długą, poszarpaną ranę na obojczyku, ale złowiłam wrogie spojrzenie Beth. Śmiało mogłyby być Josephine.

Nic zatem nie powiedziałam, tylko zgarnęłam resztę, chwyciłam serwetki i wyszłam.

N I C H O L A S

Lodziarnia w Yaleylah była małym, betonowym budynkiem stojącym obok spożywczaka, gdzie kupiliśmy z Erikiem kawę. Miała brudną, przeszkloną witrynę i wielki biało-czerwony szyld. Już z daleka widziałem poodpryskiwany plastikowy kontuar, a za nim ruszającego się jak mucha w smole ekspedienta.

Na szczęście od wchodzenia do środka wybawił mnie klakson. Odwróciłem się i zobaczyłem Sillę wysiadającą z furgonetki Reese'a. Obeszła samochód, żeby wziąć coś z tyłu.

Oparłem się łokciem o lawetę. Silla trzymała szkatułkę mamy.

- Nie chcę tego w domu. - Podała mi pudełko.

- Aha. Jasne. - Zesztywniałem. A ja myślałem, że opowiem jej, jak uleczyłem sobie oczy. Naiwnie liczyłem, że to znowu zainteresuje ją magią i odwróci uwagę od tego, co się stało.

Silla wcisnęła mi szkatułkę, a potem cofnęła się, krzyżując ręce na brzuchu, i odwróciła na pięcie. Włosy zwisały jej płasko dookoła twarzy. Lecz kiedy na jej policzkach zauważyłem łzy, cały ból odrzucenia zniknął. Chciałem tylko sprawić, żeby przestała się ranić.

- Yyy, poczekaj... - Odstawiłem szkatułkę na asfalt i podszedłem do Silli. Nie odwróciła się, ale pozwoliła, żebym położył ręce na jej ramionach, i nawet lekko się na mnie oparła. Dotknąłem jej włosów policzkiem. Uniosła trochę dłonie i ścisnęła moje palce. Przecież mieliśmy siebie. Musiałem w to wierzyć. Nie odrzucała mnie, bo była we mnie magia, prawda? Po prostu w ten sposób odreagowywała cierpienie. Na pewno.

- Widzę ją wszędzie, Nicholas.

- Josephine? - Nie miałem ochoty wypowiadać głośno tego imienia, więc je wyszeptałem.

- Mhm. Nie wierzę, że sobie poszła.

- Ja też nie.

- Na kogo nie spojrzę, wydaje mi się, że to ona. Nie byłam w stanie wejść do lodziarni, bo siedział tam pan Denley i gapił się na mnie. Zamarłam i tylko czekałam, aż wyciągnie nóż. A w sklepie przestraszyłam się kilkulatka.

Przytuliłem ją mocno. Poczucie winy ścisnęło mi gardło. W ogóle nie przyszło mi do głowy, że jest w takim stanie. Ja tutaj koncentruję się na sobie i swojej magii, rozpamiętuję pierwszy raz, kiedy zobaczyłem w życiu zwłoki, i już w myślach widzę całe miasteczko po naszej stronie, tymczasem moja dziewczyna jest na skraju rozpacz. Jestem beznadziejny. Jakoś jej to wynagrodzę.

- Coś wymyślimy. - Amulety ochronne. Musimy je przygotować. We dwoje.

- I cały czas lecą mi łzy.

Ścisnąłem ją ze wszystkich sił, żeby dać jej do zrozumienia, że jestem i będę przy niej. Staliśmy tak jakiś czas. Wolno mi-jały nas samochody, a wiatr chłodził mi rozgrzaną słońcem twarz.

- Dlaczego Reese umarł, a ona żyje? - zapytała po chwili.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć.

- Strasznie mi przykro — szepnąłem.

- Nick, zniszczyłeś moje maski.

- Co?

- Zniszczyłeś moje maski. - Chyba nie była zła, ale odsunąłem się na wszelki wypadek. - Gdyby nie to, że dostrzegłeś pod nimi moją prawdziwą twarz, nigdy w życiu bym nie

pomyślała, że ich... nie potrzebuję. Ale ty po prostu wmaszerowałeś w moje życie i zobaczyłeś wszystkie sekrety. Wiedziałeś o magii - mówiła szorstkim głosem, oddychając ciężko. Puściłem jej ramiona zraniony, ona jednak przyłgnęła do mnie. - Idiotyczne sekrety. Magia krwi! Dlaczego tata nic nam nie powiedział? To jego wina, że on i mama zginęli. Reese miał rację. Nieważne, kto pociągnął za spust. - Silla odwróciła się twarzą do mnie. — Rozumiem teraz, jak czuł się Reese. - Zwinęła dłonie w pięści i uniosła je przed sobą. - Marzę, żeby w coś wałać. W cokolwiek. Jestem w ś c i e k ł a , Nick. Reese miał rację. Ale teraz go nie ma i zostałam sama.

Zmarszczyłem się. Chciałem powiedzieć, że ma mnie, ale nie wiedziałem jak. W końcu cała jej rodzina zginęła.

- Nick, przepraszam. - Zamknęła oczy. - Potrzebuję po prostu... nie wiem czego. Zabierz tę szkatułkę, dobrze?

Może źle zrobiłem, że jej słuchałem. Może powinienem poprosić, żebyśmy pogadali o tym później. Ale robiłem się coraz bardziej rozeźlony. Przecież w końcu przezwyciężyłem wspomnienia o mamie, udało mi się zapanować nad magią. Ale niestety, Silla była na etapie odrzucania magii jako takiej. W dodatku nie przyszło jej do głowy, że może potrzebuje mnie. A ja jej. Nie wiedziałem, dokąd nas to zaprowadzi.

Podniosłem więc szkatułkę i odwróciłem się na pięcie. Usłyszałem jeszcze skrzypnięcie drzwi furgonetki i łkanie Silli. Ale tylko ścisnąłem mocniej szkatułkę, aż odezwała się rana na rękę, przypominając mi bez ustanku, że magia jest częścią mnie.

ROZDZIAŁ 49

Truła mnie. Josephine — czarownica, którą stworzyłem — mnie truła.

Zwróciłem się o pomoc do Diakona, a on wysłał mnie do Missouri, gdzie dawno temu osiadł na jakiś czas. W żyłach tej rodziny płynie jego krew. Z całą pewnością nie przypuszczał, co zrobię jego prawnukowi Robertowi Kennicotowi.

Zabrałem ze sobą jej pamiętnik, wyrwawszy parę stron, żeby uwierzyła, że spłonął w pożarze. Porzuciłem za to wszystkie wspomnienia o poprzednim życiu, zanim ukradłem nowe. Biedny Robert. Matka nazywała go Robbie, tak samo jego dziewczyna Donna. Odkąd uciekła, nikt już nie nazywa go — mnie! — Robbie.

Zorientowała się, że nie jestem jej Robbiem. Zobaczyłem to dawno temu w jej twarzy. Pewnego ranka wbiegła do mojego pokoju i złapała mnie za rękę. Na dłoni miała odrobinę krwi; gdy jej dotknąłem, w mgnieniu oka połączyła nas krew. Donna ujrzała we mnie prawdę. Powinienem był ją powstrzymać, ale nie potrafiłem. Nawet w stanie przerażenia miała niezwykle otwartą twarz — w tamtej chwili zapragnąłem stać się osobą, którą kochała. Ale nie mogłem. Pomimo ciała siedemnastolatka byłem znacznie starszy. Upłynęło wiele, wiele lat, odkąd byłem młodym chłopcem.

Podstęp z krwią nie powiedział Donnie wszystkiego, co chciała wiedzieć. Jej moc nie była tak wyrafinowana jak moja. Pokręciła głową, a oczy zaszyły jej łzami.

— *Nie żyje, prawda? — szepnęła.*

Kiedy potaknąłem, ona wypadła z pokoju i pobiegła przez cmentarz do domu.

Nie wiem, czy powiedziałem jej prawdę. Zabiłem go bez wątpienia. Ale kiedy? Na pewno nie w chwili przejęcia ciała; przez wiele tygodni czułem przed snem jego wołę napierającą delikatnie na moją. Nie pamiętam, kiedy to ustało. W którym momencie duch Roberta Kennicota rozpląnął się bez śladu.

Zbaczam z tematu, nieprawdaż, Reese? Nie byłoby z tego sensownego monologu, zgodzisz się ze mną, Silla? Ale jak inaczej mam spędzić czas oczekiwania, który pozostał mi do jej przyścisca, niż spisując moje sekrety?

ROZDZIAŁ 50

S I L L A

Do kościoła pojechałam z babcią Judy. Ona siedziała za kierownicą Golfa, ja tylko starałam się nie zwymiotować i obserwowałam jasny poranek za oknem. Pogoda nie pasowała do pogrzebu. Wszystko było kolorowe: jesienne liście, błękitne niebo, jaskrawe słońce. Barwy odważne i pewne siebie. Ja czułam się wręcz przeciwnie. Reese powiedziałyby teraz coś złośliwego, ale nic nie przychodziło mi do głowy.

Mdliło mnie. Żałowałam, że nie wzięłam ze sobą buteleczki syropu przeciwwymiotnego, którym opijałam się w ciągu ostatniej doby. Najgorzej było jednocześnie czuć i nudności,

i głód. Burczący i przewracający się żołądek to bez wątpienia przepis na wyrafinowaną torturę.

- Silla, kochanie, jak się czujesz? - zapytała babcia Judy na światłach. - Damy sobie radę - ciągnęła, gdy nie odpowiedziałam. „Jak wcześniej”, chciałyby się dodać.

Spojrzałam na nią. Wyszukowała się jak w lipcu - w kostium z surowego jedwabiu i wielkie klipsy z pereł. Włosy uczesała w kok i upięła wsuwkami wysadzanymi błyszczącymi kamieniami. Ja miałam na sobie letnią różową sukienkę, na jej sugestię dodałam sznurek pereł i szary sweterek, bo było zimno. Judy rozprawiła się nożyczkami z paroma wyjątkowo niepokornymi kosmykami moich włosów i przypięła kilka spinek. Wyglądałam jak dzieciak idący do cioci na imieniny, a nie na pogrzeb brata.

W kościele to Judy musiała się do wszystkich uśmiechać, ja chowałam się za jej plecami. W końcu byłam tu tylko z jednego powodu.

Zostawiłam babcie w pierwszej ławce, gdzie witała ludzi i wymieniała z wszystkimi uściski dłoni, i podeszłam do stojącej pod ołtarzem trumny. Drewno było błyszczące i żółte. Dotknęłam gładkiej powierzchni. Moja dłoń wyglądała bardzo blado. Odwróciłam oczy, żeby nie patrzeć na przednią, otwartą część trumny. Mimo że zgodziłam się na wystawienie zwłok, nie chciałam tego oglądać.

Za moimi plecami Yaleylah zbierało się powoli. Ludzie szepotali i szurali nogami; ktoś pociągał nosem, ktoś inny stukał obcasami o posadzkę. Po prawej pani Artley grała cicho na fortepianie.

Teraz albo nigdy.

Zamknęłam oczy i wyjęłam z torebki książkę z zakłęciami. Taka mała, niepozorna rzecz, a tyle cierpienia. Przycisnęłam ją do brzucha. Do głowy przychodziły mi obrazy związane

z książką: jak rozpakowałam ją przy stole w kuchni, jak cisnęłam nią w Reese'a, jak trzymałam ją otwartą na kolanach, jak mój brat wyliczał głębokim głosem potrzebne składniki.

Ścisnęło mnie w żołądku. Nigdy więcej nie pożartuję z nim przy grzankach z serem i pomidorem, nigdy go nie ochrzanię, że na podłodze w łazience zostawił przepocone po bieganiu spodenki, ani nie zarzucę mu, że za dużo pije, nigdy nie zakpię z jego wątpliwego doboru dziewczyn ani nie będę go męczyć, żeby poszedł na politechnikę zamiast na rolnictwo, na litość boską. Mądry, troskliwy Reese, który...

Cisnęło mnie w płucach. Nie mogłam oddychać. Pochyliłam się nad trumną. Miałam ochotę rąbnąć drewno pięściami, połamać je na tysiąc kawałków i rozrzucić w powietrzu.

W końcu na niego spojrzałam. To właściwie nie był mój brat. Prawie nie poznałam jego twarzy, tak jak i swojej własnej dziś rano w lustrze. Woskowa maska pośmiertna. Włosy miał zaczesane do tyłu, trzydniowy zarost, z którego się podśmiewałam, ogolono. Twarz miał sztucznie spokojną. Pustą. Wcale nie wyglądał, jakby spał.

Wcisnęłam mu książkę pod bok.

- Reese, przepraszam - wyszeptałam.

Dlaczego pokazałam mu magię? Dałam się zauroczyć jej palącej mocy i uwierzyłam, że wniesie w nasze życie cokolwiek dobrego.

Przyniosła tylko śmierć. A teraz pochowam ją razem z moim bratem.

N I C H O L A S

Po pogrzebie (było fatalnie) podrzuciłem tatę z Lilith do domu i ruszyłem na piechotę do Silli. Szosą, bo nie chciałem iść leśną ścieżką i przez cmentarz.

Na ulicy musiałem wyminąć falę samochodów. Gdy byłem już blisko domu Kennicotów, poczułem w mostku ukłucie przerażenia - na dachu siedziały rzędem kruki. Siedziały i obserwowały mnie nieruchomo. Nie skakały tu i tam, jak to zwykle kruki, nie skrzeczały. Po prostu patrzyły. Od czasu do czasu któryś zamachał skrzydłami.

Przyspieszyłem. Silla pewnie wariuje z nerwów. Dziś wieczorem, kiedy wszyscy sobie pójda, przygotujemy w końcu cholerne amulety. Żeby ta baba nie skrzywdziła już nikogo.

Silla w różowej sukience stała w kuchni i posłusznie przyjmowała z rąk gości galaretki i zapiekanki. Jej chudy nadgarstek ścisnęła brzęcząca srebrna bransoletka, której przedtem nie widziałem. Uświadomiłem sobie, że zdjęła pierścionki.

Zatrzymałem się w progu. Obserwowałem, jak obejmują ją po kolei kościelne aktywistki, a mężczyźni potrzęsają jej dłońią. Silla coś mówiła, ale ledwie otwierając usta. Po chwili wparowała Wendy. Kiedy przytuliła Sillę, trzęsły jej się ramiona; Silla tylko ścisnęła ją kurczowo, ale nie płakała. Potem kuchnię zalała gromada ludzi z kółka teatralnego. Każdy przepychał się do Silli, żeby powiedzieć, jak mu niesamowicie przykro.

Wszystko dookoła było przykre.

Już miałem ruszać z odsieczą i uratować moją dziewczynę przed chmarą żałobników, ale poradziła sobie sama. Uśmiechnęła się smutno, coś powiedziała, Wendy znowu ją przytuliła i Silla odeszła na bok, przeciskając się przez tłum.

- Silla. - Zrobiłem krok w jej stronę.

Ona jednak minęła mnie obojętnie. Ogarnęło mnie zniechęcenie, pomyślałem, że nadal nie chce mnie widzieć. Ale na twarzy miała wyraz kompletnego załamania, a jej oczy nie uważały nikogo ani niczego.

Pognałem więc za nią na górę.

Na drugim piętrze weszła do pomalowanego na fioletowo pokoju. Też się tam skierowałem, ale zaraz stanąłem jak wryty. Ze ścian patrzyły na nas dziesiątki masek. Jak w ogóle była w stanie zasnąć pod tyłoma upiornymi twarzami? Poczuję się nieswojo.

Silla rzuciła się na łóżko i wcisnęła twarz w poduszkę.

Sponad jej głowy obserwowały mnie puste oczodoły osadzone w biało-zielonej szachownicy. Maską miała czapkę błęzną.

- Trochę tu dziwnie - odezwałem się.

Silla podskoczyła do pionu i usiadła z szeroko otwartymi oczami.

- Nick!

Uniosłem dłonie.

- Pomyślałem, że przydam ci się jako worek treningowy.
- *Proszę bardzo, oto ja, nowy, lepszy Nick Pardee, w razie potrzeby dostępny dla dziewczyn i popaprańców.* Dla lasek z Chicago w życiu nie zrobiłbym tego, co robiłem dla Silli. Ale nie wyobrażałem sobie, że mógłbym zachować się inaczej.

Zacisnęła usta i opuściła wzrok.

- Nick. Nie daję rady.

Ukląkłem na dywanie przy łóżku. Chciałem jej dotknąć, ale nie wiedziałem, czy jest na to gotowa, więc trzymałem się na dystans.

- Zobacz sam! - Rozłożyła ręce. - Jestem w rozsypce. Cały czas płaczę. Wszystko okropnie boli. Nie mogę nic przełknąć, non stop mnie mdli, głowa mi pęka. To jakiś koszmar.

- Mała, umarł ci brat - powiedziałem możliwie najdelikatniej i lekko dotknąłem jej kolana. - I niedawno straciłaś rodziców. Ta

pieprznięta baba ciągle gdzieś tu krąży, a na dachu siedzi chmara kruków. To normalne, że czujesz się fatalnie.

Wlepiła we mnie wzrok i otworzyła szeroko usta. Nie miałem pojęcia, co sobie myśli. Liczyłem na to, że mnie nie trzepnie ani nie powie, żebym zostawił ją w spokoju. Z trudem przełknąłem ślinę i zmusiłem się, żeby nie zabierać ręki leżącej na jej kolanie.

Nagle zsunęła się z łóżka i wtuliła we mnie. Objęła mnie za szyję i przycisnęła policzek do mojego policzka. Zamknąłem oczy. Przyłgnęła do mnie całym ciałem. Objąłem ją i przez cienką sukienkę poczułem jej piersi. W uszach zahuczała mi krew. Ścisnąłem ją mocniej. Wciągnąłem zapach jej szamponu i subtelných perfum. Policzki lepiły jej się od łez, ale nie przejmowałem się tym. Właśnie po to tu byłem. Potrzebowaliśmy się nawzajem.

Fioletowe zasłony poruszył podmuch powietrza. Do pokoju wpadły dźwięki rozmów z dołu i kroków na zwirowej ścieżce. Przyjrzałem się maskom na ścianach - od wesoło uśmiechniętych po paskudne i demoniczne.

- A o co chodzi z tymi maskami? — zapytałem cicho.

Nie zmieniając pozycji, odparła:

- Zbieram je. Maski teatralne, weneckie, różne. Większość zamówiłam z katalogów.

- Przyglądają mi się.

- Mhm. - Podrapała mnie za uchem. - Jak strażnicy.

Zanurzyłem palce w jej włosy i powiedziałem:

- Trochę mroczne.

Poczułem na uchu jej oddech. Uśmiechała się.

- Mhm. Lubię mroczność.

Roześmiałem się. Jakoś mnie to nie dziwiło.

- Jadłaś coś dzisiaj?
- Nie.
- A powinnaś.
- Nie mam siły schodzić na dół.
- Dobra, mała. Coś ci przyniosę.
- Powiedz Judy, gdzie jestem, dobra?
- Jasne.

Zacząłem się odsuwać, ale ona przytrzymała mnie za ramiona.

- Słuchaj, głupio mi z powodu wczoraj. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało.

Uśmiechnąłem się mimo woli.

- Nic się nie stało.
- Cieszę się, że tu jesteś.
- Ja też.

Usiadła z powrotem na łóżku. Wsunęła nogi pod brzeg różowej sukienki i położyła dłonie na kolanach. Robiła wrażenie takiej drobnej i bezradnej.

- Zaraz wracam - obiecałem. Jak na stypę, czułem się naprawdę zarąbiście.

ROZDZIAŁ 51

Przez lata udało mi się przekonać samego siebie, że nigdy nie byłem Philipem, lecz Robertem Kennicotem. Wyjechałem na studia, poznałem Emily i od razu ją pokochałem. Wasza matka

studiowała biologię i zawsze drażniła się ze mną, że łacina jest staroświecka i nudna.

Teraz zginę za moją żonę. Za Was wszystkich.

Reese, nigdy nie miałem w sobie tyle magii co w chwili, gdy po raz pierwszy leżałeś między mną a Emily, a ja dotknąłem Twoich rąk i dostrzegłem swój kształt nosa w Twoim. Miałeś zwyczaj wszystko obserwować. Nie sięgałeś po przedmioty ani nie wkładałeś sobie nic do buzi — tylko patrzyłeś. Zawsze zdumiewała mnie głębia Twoich oczu, nawet gdy miałeś zaledwie kilka miesięcy. Emily powtarzała, że jesteś równie uparty co ja. I tak samo często się zamysłasz. Synu, błagam, nie zajmuj się magią. Jeśli znajdziesz te wyznania po mojej śmierci, odłóż je na półkę i podążaj dalej swoją ścieżką. Zostań naukowcem albo farmerem. Pracuj z ziemią, jak zawsze podpowiadały Ci ręce. Nie rozmyślaj o błędach swego ojca.

ROZDZIAŁ 52

S I L L A

Gdy w domu zostały tylko kumpelki od kości babci Judy, wyszliśmy z Nickiem na dwór. Zbliżał się zachód słońca, a za naszymi plecami skrzeczały kruki. Ruszyliśmy moją utartą ścieżką przez forsycje. Ich ostre gałęzie czepiały się moich włosów, ale prowadziłam Nicka przez gęstwinę najlepszą trasą. Po drugiej stronie zarośli wyszliśmy na cmentarz - cichy, spokojny, zarośnięty, taki jak zwykle. Tylko tym razem między rzędami nagrobków stała koparka.

Grób Reese'a leżał na północ od miejsca pochówku rodziców. Nie miał jeszcze tablicy, przykryty był luźną darnią. Trochę to trwało, poza tym ja i tak nie wybrałam jeszcze napisu. Judy podsunęła mi kilka pomysłów, ale nie byłam w stanie się na nich skupić.

- Po co ją zostawili? - zapytał Nick, wskazując brodą koparkę. - Liczą na kolejne wykopki?

Pokręciłam głową.

- To chyba pana Meroona. Parafialna jest pewnie na drugim cmentarzu.

- Czyli Meroon używa tej samej koparki do orania ziemi pod zasiew i grzebania zmarłych? Koło pięknie się zamyka.

- Nick wydobyl swoją piersiówkę i wyciągnął ją nad świeżym grobem. - Nalałem do niej parę kropel piwa. Za Reese'a?

- Tak.

Przechylił piersiówkę szybkim ruchem. Na trawę chlusnął żółtobrazowy płyn. W świetle zachodzącego słońca strumień wyglądał jak złota szarfa.

Na cmentarzu roiło się od kruków. Jedne maskowały się w cieniu, inne przycupnęły niczym pierzaste kulki, niektóre stały z wyciągniętymi szyjami. Było ich może kilkanaście. Nie podchodziły bliżej ani nie krakały - po prostu nas obserwowały. W nienaturalnej ciszy.

Oparłam się o grób rodziców. Bazgrałam na ziemi runy, potem je zamazywałam. Jakies piętnaście metrów dalej wylądował kruk. Nick cisnął w niego kamieniem. Trafił tuż koło jego łap. Kruk zaskrzeczał gniewnie i odleciał.

- Dzięki - powiedziałam. Rzuciłam patyk na ziemię i podparłam się dłońmi o kolana. - Zastanawiałeś się, dlaczego my

zawsze spotykamy się na cmentarzu? Myślisz, że to mówi coś na temat naszego związku?

- Może to, że jest wieczny i przepełniony spokojem?

Uśmiechnęłam się.

- Nie to miałam na myśli.

- Fakt, przy tobie wcale nie jestem spokojny.

Uśmiezek znikł z jego twarzy. Spojrzał na mnie poważnie. Przez chwilę patrzyliśmy na siebie, potem odwróciłam wzrok i zaczęłam bawić się wiszącą na nadgarstku ciężką bransoletką mojego brata. Pierścionki nawlekłam na srebrny łańcuszek i schowałam pod poduszkę. Nie byłam w stanie ich założyć - na kordyerycie i szmaragdzie zakrzepła krew Reese'a.

Nick milczał. On także opuścił wzrok na bransoletkę z tygrysim okiem, rozświetlonym teraz promieniami zachodzącego słońca. Dopiero gdy zaskrzeczał kolejny kruk, Nick cisnął w niego kamieniem i spojrzał mi w oczy.

Skinęłam głową. Pozbierałam do spódnicy trochę gałązek i odłamków marmuru z nagrobków. Stanęliśmy obok siebie i jak na dany znak obrzuciliśmy kruki gradem kamieni. Nasze ramiona pracowały w ciszy, przerywanej tylko uderzeniami kamieni i patyków o ziemię i pobliskie groby.

Kruki w jednej chwili zerwały się z wrzaskiem i odfrunęły w kierunku lasu.

Wiatr przesunął po niebie chmury o łososiowych konturach i odsłonił ciemne, nocne niebo. Podeszłam do przysadzistej, prostokątnej tablicy nieopodal grobu rodziców i skubnęłam porastający ją z boku zielony bluszcz. Gdyby tylko równie łatwo przyszło mi odegnąć obraz krwi, która płynęła mi na dłonie z serca mojego brata.

Nick zaszedł mnie od tyłu i powiedział:

- Wiesz, myślę, że cmentarz odgrywa w tym wszystkim jakąś znaczącą rolę.

- Hm? — Uniosłam brwi i zadrżałam. Po zachodzie słońca w sweterku zarzuconym na letnią sukienkę było mi zimno.

Nick objął mnie ramieniem.

- Mówię, że cmentarz to zbiorowisko martwych ciał, musi być jakoś powiązany z magią. To dlatego Josephine tak zależy na kościach twojego taty. Potrzebuje ich do magii. Skoro nasza krew jest wyjątkowa, to może i nasze kości też. Bo inaczej mogłaby się przecież dobrać do pierwszego lepszego grobu, prawda?

- Mhm.

- Przecież słyszałaś, co się mówi o tym miejscu: że jest przeklęte od wieków. A nasze rodziny mieszkają tu całe pokolenia. Tutaj leżą nasi przodkowie.

Zamilkł. Zapadła cisza - ale nie napięta, krucha, tylko rozciągliwa i lepka niczym surowe ciasto. Przykryła nas jak koc. Wtem zaskrzeczał kruk. Z krańca cmentarza odpowiedział mu drugi.

Z westchnieniem wypuściłam z płuc chyba ostatnią cząsteczkę powietrza.

Nick przycisnął swoje czoło do mojego i staliśmy tak przez chwilę objęci. Oddychanie jego oddechem przypominało trochę całowanie.

- Wymyślimy coś, mała.

Uniosłam podbródek i pocałowałam go. Chwycałam poły jego kurtki i przyciągnęłam go do siebie.

Nick rozchylił usta, a ja ujęłam w dłonie jego głowę. Smakował cudownie. Tak samo jak zawsze. Wiedziałam, jak go całować. Znałam mapę jego ust i sposób, w jaki pracują.

Przylgnęłam do niego na palcach. Nick uniósł mnie za biodra, posadził na nagrobku i zacisnął palce na mojej cienkiej sukience. Rozchyliłam nogi, żeby mógł przysunąć się bliżej. Oplotłam go ciasno, wtuliłam się w jego ciało. Wreszcie było mi ciepło.

Całowaliśmy się w upojeniu, zdawałoby się, bez końca. Rozpięłam mu koszulę. Wzdrygnął się, gdy dotknęłam jego skóry zimnymi dłońmi, ale zaraz z westchnieniem pocałował mnie znowu i przysunął się jeszcze bliżej, ściskając w dłoniach brzeg mojej sukienki. Poczułam, jak jego szorstkie dżinsy przesuwają się po moich udach. Wbiłam mu palce w plecy. Nikogo nie pragnęłam tak mocno.

Nick zszedł pocałunkami w dół mojej szyi. Odchyliłam głowę. Ścisnęłam go mocniej i jęknęłam cicho.

Przesunął dłonie z moich bioder na żebra. Jego palce wręcz parzyły mnie przez cienką sukienkę. Marzyłam, żeby się z niej wyzwolić, żeby nic nas już nie dzieliło. Szarpnęłam brzeg sweterka i już chciałam go z siebie zrzucić, kiedy Nick znieruchomiał i chwycił mnie za rękę.

- Silla - szepnął.

Spojrzałam na niego, ale on nie patrzył mi w oczy, tylko niżej, na szyję. Puścił moje dłonie i powoli, z najwyższą delikatnością rozpiął górny guzik, po czym rozsunął sweterek, jakby rozpakowywał prezent. Na jego otwartej twarzy widać było wyraźnie wszystkie emocje: zachwyt, strach, panikę, czułość. Zdawało mi się, że mogłabym czytać mu w myślach. Nick przesunął palcem po bliźnie nad obojczykiem.

- Boże, Silla - zachrypiął.

- To nic takiego - wyszeptałam i dotknęłam jego ust. - Nic takiego.

Pochylił głowę i mocno mnie przytulił. Ja objęłam go za szyję i oparłam się o niego rozluźnionym ciałem. Nasze oddechy idealnie się zsynchronizowały.

- Ymm, powinniśmy chyba pójść po książkę z zaklęciami i składniki - odezwał się Nick.

- Co? - Odsunęłam się nieco.

On przeciągnął ręką po twarzy, a potem zmierzwił sobie włosy.

- No wiesz, mała, amulety. Musimy je dokończyć. Czekamy z tym już dwa dni. Cud, że nas nie zaatakowała, najwyraźniej potrzebuje czasu, żeby się wyleczyć. Ale na sto procent jest gdzieś w pobliżu.

- To niemożliwe.

- Jak to? - Nick znowu przesunął dłonią po twarzy.

- Książki nie ma.

- Co? - Złapał mnie za rękę. - Co się stało?

- Pochowałam ją razem z Reese'em.

Zmarszczył brwi i nachmurzył się. Był wściekły.

- Silla, przecież jej potrzebujemy. Tylko tak powstrzymamy Josephine.

- Nick, i tak nas pokona! Jest od nas o wiele silniejsza. Zabiła już tyle osób, w życiu nie damy jej rady. Dlatego to, czego tak bardzo pragnie, postanowiłam zakopać poza jej zasięgiem.

- Poddajesz się? Tak po prostu? A jeżeli znowu zaatakuje? Na pewno to zrobi, z tych samych powodów co poprzednio.

Zadygotałam i wyrwałam mu rękę. Podniosłam z ziemi ostry kamień i przecięłam sobie środek dłoni.

- Silla! - Nick wytrącił mi kamień.

Krwawiącą rękę wyciągnęłam przed siebie.

- Nie chcę magii. Popatrz! Zobacz, jak ze mnie wycieka. Niesie ze sobą wyłącznie śmierć.

- To nie wina magii. Wszystko zależy od osoby, która jej używa.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem.

- Przecież twój dziadek uważał, że magia jest zła. Ze twoja mama zajmowała się czymś złym.

- Nawet nie wiemy, co tak naprawdę robiła.

- Na pewno chodziło o magię samą w sobie. Pan Harleigh z pewnością wiedział, że nie można jej użyć do dobrych celów.

- Jakoś wszystkie zaklęcia twojego taty są dobre, pozytywne.

Pokręciłam głową.

- Ale zobacz, jaką zapłaciliśmy cenę. Zbyt dużo już poświęciłam. Mój brat, mama - oboje zginęli z powodu magii. Nawet życie królika jest zbyt cenne.

- Silla, magia jest częścią ciebie.

- Nie chcę jej.

- Tak właśnie myślała moja mama. I najpierw chciała się zabić, a potem wyrzucić z siebie magię prochami.

- Może to i dobry pomysł.

Nick przyskoczył do mnie w mgnieniu oka.

- Zabraniam ci t a k m ó w i ć!

Powietrze między nami było ciepłe, ale na plecach czułam chłód. Zeskoczyłam z nagrobka i wyminęłam Nicka.

- Będę mówić to, co uważam za prawdziwe - rzekłam cicho.

Nick zacisnął usta w grymasie. Zdarł bandaż z lewej dłoni, do szwów przyłożył kamień i przeciął. Buchnęła krew. Syknął przez zęby, odrzucił kamień i zdrową dłonią złapał mnie za rękę. Przyciągnął mnie do siebie i złączył nasze krwawiące rany.

Gdzieś w głębi mnie wyzwoliła się moc i niczym powolny, dudniący grzmot potoczyła ku naszym zetkniętym rękom. Moja krew buzowała życiem. Spojrzałam na Nicka. Miał szeroko otwarte oczy. Jeszcze trochę, a zobaczyłabym w jego źrenicach czerwone iskierki magii.

- Tym właśnie jesteśmy, Silla - rzekł i pokiwał głową.
- A przynajmniej ja tym jestem. Teraz to rozumiem.
- Wyszarpnął rękę i zwinął ją w pięść. Na grób Reese'a spadło kilka kropel krwi. - Daj znać, kiedy zdecydujesz, kim ty chcesz być. - I odszedł w ciemność.

Dłoń okropnie piekła. Odwróciłam ją i popatrzyłam na zbierającą się kałużę krwi. Dookoła mnie wrzeszczały kruki.

N I C H O L A S

Brnąłem przez pole do domu. Moją rozpaloną twarz smagało chłodne, październikowe powietrze. Przez chwilę wstrzymałem oddech, ale w końcu musiałem zaczerpnąć głęboko powietrza, żeby nadgonić rytm reszty ciała.

Wszystko było niesamowicie wyraźne. Dłoń bolała jak diabli, ale na szczęście mogłem poruszyć palcami. Przycisnąłem ją do brzucha i przyspieszyłem, żeby w domu zatamować krwawienie. Ale to nic. Na strychu wyjmę spod łóżka szkatułkę i zagoję ranę wodą święconą z liściem wierzby. W ten sposób mama leczyła moje poobcierane kolana.

Zanurkowałem w las. Nie było tu ścieżki, widziałem jednak słabą łunę od mojego domu, więc powinienem trafić bez problemu. Gałęzie drapały, musiałem odgarniać je rękami. Przypomniała mi się chwila, kiedy Silla powiedziała, że nie chce magii. Miałem ochotę nią wtedy potrząsnąć. Pomyślałem też

o pocałunkach i palącej magii, którą wytworzyliśmy. Tak bardzo chciałem czegoś więcej niż tylko pocałunki.

Przyczajony korzeń capnął mnie za kostkę. Przewróciłem się ze stęknieniem i wylądowałem dłońmi na ziemi. Wybiłem sobie nadgarstki, a na kolanach natychmiast wyskoczyły mi siniaki. Rana na dłoni rwała wściekle. Przez chwilę leżałem obolały, przyciśnięty policzkiem do ziemi i oddychałem chłodnym, zatęchłym powietrzem. Do skóry przylepiły mi się wilgotne liście. Nade mną wiatr zatrzęsł gałęziami, z których cicho i miękko niczym śnieg spadło jeszcze trochę liści. Wyczułem zapach błota, mokrego drewna i... i krwi. Starej, zleżałej krwi.

Otworzyłem szeroko oczy i skoczyłem na równe nogi, sycząc z bólu. Zacisnąłem zranioną rękę i rozejrzałem się po mrocznym lesie. Obok pod drzewem zauważyłem jakąś ciemną bryłę. Coś tam leżało. Było to ścierwo szopa pracza, z flakami rozwalonymi dookoła. Przyjrzałem mu się w ciemności i przełykając kwaśną gulę, zdałem sobie sprawę, że nigdzie nie ma krwi. Czułem zapach krwi, ale jej nie widziałem. Chociaż szop był całkowicie wybebeszony, to w słabym świetle księżycy jego wnętrzości świeciły na bladoróżowo, biało i błękitno. W zwłokach nie została ani jedna kropelka krwi. Zrobiło mi się słabo i opadłem z powrotem na tyłek, ale zaraz wstałem i rozejrzałem się.

Gałęzie nad moją głową trzeszczały; cały las przeszywał pomruk.

Ślizgając się i potykając, rzuciłem się pędem w stronę domu.

ROZDZIAŁ 53

Drusilla. Twoja matka niechętnie przystała na to imię. Znasz tę historię: powiedziałem Emily, że Drusilla to imię cesarzowej rzymskiej, ale ona wyszukała informację, że była to siostra szalonego kazirodcy Kaliguli. Nie mogłem jej wtedy powiedzieć ani Tobie aż do teraz, że było to także imię mojej matki, która sto pięćdziesiąt lat temu zmarła w samotności i zapomnieniu i która leży w skromnej mogile oznaczonej jedynie jej imieniem.

Płakałem, gdy się urodziłaś. Pamiętam, jak po raz pierwszy od piętnastu lat pomyślałem: cieszę się, że zrobiłem, co zrobiłem. Za nic nie cofnąłbym zdarzeń, które doprowadziły do chwili, gdy wziąłem Cię na ręce. Nie żałowałem. Nie żałuję i teraz.

Emily nalegała, byśmy nazywali Cię Sillą. Moja słodka, łagodna Sillo. To, co tu spisuję, zawładnie na pewno Twoją wyobraźnię. Wiem, że poszłabyś za moimi wskazówkami choćby przed oblicze Boga. Albo szatana.

Błagam Cię, tak samo jak błagałem Twojego brata: bądź sobą. Gdy Josephine zginie, zapomnij o tych krwawych sekretach. I jeśli możesz, wybacz mi.

ROZDZIAŁ 54

S I L L A

Kruki prześladowały mnie również we śnie. Walczyłam z czarnymi skrzydłami, które - gdy się co chwila budziłam - okazywały się pościelą. Pociłam się i dyszałam ciężko. Przyciskałam do twarzy wymiętą koszulkę Reese'a i wdychałam woń siana i smaru. Zdawałam sobie sprawę, że to trochę dziwne, ale w środku nocy w ogóle mnie to nie obchodziło. Oszukiwałam się, że jego zapach nigdy nie wywietrzeje, że brat śpi w pokoju obok. Wmawiałam sobie, że nie zwariowałam.

Wyjęłam komórkę. W ciemności sypialni świeciła upiornym, niebieskawym blaskiem. Światło odbijało się od porcelany i szkliwa, które pokrywały moje maski. Widok pustych oczodołów przypomniiał mi, jak bardzo nie spodobały się Nickowi. I jak na mnie krzyknął: „Daj znać, kiedy zdecydujesz, kim ty chcesz być”.

Przewinęłam listę kontaktów. Mignęło mi imię Nicka, ale zatrzymałam się dopiero na Wendy. Nie przeprosiłam jej za to, co powiedziałam na próbie - tego dnia, kiedy zginął Reese. Napisałam:

B. SORRY. TĘSKNIĘ. DZIĘKI, ŻE JESTEŚ.

„Wysłać?” - telefon zamigotał. Nacisnęłam zielony guzik. Wiadomość wysłana. O drugiej trzydzieści nad ranem.

Położyłam się z powrotem i zapatrzyłam w sufit. Babcia Judy powiedziała: „Wiesz, co to oznacza? Ta cała afera z krwią? Że jesteś silna. Siłę masz we krwi”.

Ale ja wcale nie czułam się silna. Raczej samotna i przerażona. Bezradna. Tata odszedł. Nie zdradził mi swojej tajemnicy. I zabrał mamę. Reese także poniósł porażkę. A jeżeli on nie dał rady, to co mogę ja? Nie chciałam ani kawałka magii. Tęskniłam za moim dawnym życiem. Moim najgorszym zmartwieniem byłoby teraz to, że Wendy umawia się z moim ekschłopakiem oraz że nie obsadzono mnie w głównej roli. Chociaż gdybym żyła dawnym życiem, oczywiście grałabym Lady Makbet.

„Maszli skrupuł mężnie w czyn przelać to, czego pożądasz?”*

Czy bałam się nowego życia i tego, co się z nim wiąże? Jak ktokolwiek mógłby świadomie wybrać życie z magią krwi?

A jednak, Nick dokonał takiego wyboru. Tata też. Studiował magię wiele lat, a o ile mi wiadomo, wiódł spokojne życie, dopóki nie przyszło mu zginąć. No i Diakon. Diakon, który przysłał mi książkę. On także wybrał życie z magią.

Kim on właściwie był? I gdzie mieszkał? Czy mógłby pomóc w sprawie Josephine? Napisał w liście, że tata był ze mnie dumny. Z mojej siły.

To dzięki pamięci o rodzicach i Reesie przetrwałam. Walczyłam. Wiele zrobili dla mnie też Nick i Judy. Josephine nie ujdzie to na sucho.

Ale co zawdzięczałam sobie samej?

„Daj znać, kiedy zdecydujesz, kim ty chcesz być”.

Musiałam podjąć decyzję.

* W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 29.

O pierwszym brzasku byłam już na nogach. Wyszorowałam łazienkę z taką energią, że aż rozbolały mnie ramiona. Od zapachu chloru kręciło mi się w głowie. Rana na dłoni dokuczwała pomimo bandaża i gumowych rękawiczek. Kiedy łazienka lśniła, z warzyw, jakie zostały po stypie, upichciłam zapiekanekę. Potem wypucowałam kuchenkę mikrofalową i lodówkę, które babcia Judy uważała za zbyt błahe, by uwzględniać przy codziennym sprzątanii. Ale w moim obecnym nastroju nie przepuściłabym najmniejszej plamce.

Około dziesiątej Judy poszła spotkać się z panią Margaret - miały iść razem na jogę, a potem na pączki. Przez kilka minut próbowała mnie namówić, żebym poszła z nią, ale chyba nie była załamana, kiedy odmówiłam.

Gdy upinała na warkoczach niedzielny łososiowo-turkusowy kapelusz, rzuciłam się jej na szyję. Poklepała mnie delikatnie po plecach i powiedziała:

- Skarbie, uważaj na kapelusz, dobrze?
- A, przepraszam. - Puściłam ją.

Judy pogłaskała mnie po policzku.

- Niedługo wrócę. Uważaj na siebie. Damy sobie radę.

Po czym wsiadła do swojego zdezelowanego golfu i odjechała z furkotem. Szkoda, że ja nie mam tyle optymizmu.

Dla dodania sobie odwagi wskoczyłam w bluzę Reese'a, a na szyję założyłam łańcuszek z pierścionkami. Stanęłam pod drzwiami do gabinetu, zastanawiając się, gdzie zacząć poszukiwania Diakona. Nie mogłam się zmusić, żeby przekroczyć próg. Wbiłam wzrok w drewnianą podłogę, a mój oddech przyspieszył. Z muzyką będzie mi łatwiej.

Dziesięć minut później na podłodze przy drzwiach brzęczał stary odtwarzacz Reese'a. Z głośników dobiegały delikatne

akordy gitary przypominające trochę miarowe obroty kół w samochodzie.

Plamy krwi na podłodze wyczyścił zawodowy sprzątac z Cape Girardeau. Zamówiła go w lipcu babcia Judy, gdy Reese nie pozwolił jej wspomóc nas w opłaceniu kosztów pogrzebu. Przez kilka tygodni w całym domu śmierdziało chemią. Mnie to właściwie nie przeszkadzało, ale Reese pieklił się, że jedzenie smakuje wodą utlenioną. Groził, że rozpali pęk kadzidełek albo obleje wszystko whisky. Wyobraziłam sobie wtedy, że cały nasz dom płonie jak wielkie ognisko. Judy nakupiła w końcu kwiatów - bukietów róż, piwonii, goździków — i rozstawiła je w korytarzu. Pachniały tak intensywnie, że tłumiły odór chemikaliów.

Teraz czuć było tylko kłęby kurzu i stare książki.

Pokój był martwy. Życie odebrała mu ta sama siła, która zabiła całą moją rodzinę. Stałam pośrodku gabinetu. Na ramionach poczułam przygniatający ciężar pustki. Poza mrużeniem muzyki w całym domu panowała kompletna cisza.

Byłam sama.

- Przestań - powiedziałam do siebie.

Mój głos zadźwięczał na tle muzyki. Wyciągnęłam zranioną rękę i delikatnie dotknęłam biegnącego przez dłoń, bolącego czerwonego nacięcia.

Kim jestem? Zagubioną, wyblakłą Sillą Kennicot, która się tnie, boi własnej krwi i nieustannie płacze w samotności? Czy raczej magiem, silną, dobrą przyjaciółką, kimś zdolnym kontrolować swoją moc? Wybór wydawał się oczywisty, ale niełatwo było zrobić pierwszy krok. Czułam się tak, jakbym miała rzucić się w ogień.

ROZDZIAŁ 55

Sillo, czy pamiętasz dzień, gdy po raz pierwszy posiadałaś magię? Reese przewrócił się i obtarł sobie do krwi kolano. Ciebie tak zmartwiło jego nieszczęście, że to Ty płakałaś. Miałaś wówczas pięć lat. Położyłaś mu ręce na kolanie i płakałaś, i płakałaś bez końca. Po chwili Reese Cię odsunął i powiedział: „Silla, zostaw”. Rana była zaleczona. Wykorzystałaś magię z całkowitą naturalnością; wystarczyła Twoja bardzo silna chęć, by ukoić ból brata. Nigdy nie byłem z Ciebie tak dumny jak w tamtej chwili.

Jeżeli dziś zawiodę, wiem, że dasz radę zrobić to, co konieczne.

ROZDZIAŁ 56

N I C H O L A S

Komórka zadzwoniła wpół do dwunastej. Byłem na nogach dopiero od godziny.

- Tak?
- Nick.

Nie popatrzyłem, kto dzwoni, i głos Silli kompletnie mnie zaskoczył.

Po wczorajszym wieczorze sądziłem, że przez jakiś czas nie będzie się do mnie odzywać. Nie byłem też pewien, czy ja chcę rozmawiać z nią. Ale na dźwięk jej głosu wyprostowałem się na krześle i wyrzałem za okno w stronę cmentarza i domu Kennicotów. Muszę się z nią podzielić wczorajszym znaleziskiem.

- Halo?

- Mhm, słucham cię. - Odchrząknąłem.

- Słuchaj, jestem w gabinecie taty. Szukam kontaktu do Diakona.

- Dia... aha, tego faceta, który przysłał książkę?

- Tak. Skoro książka jest zakopana, a Josephine ciągle żyje, być może tylko Diakon będzie w stanie nam pomóc. Znał tatę. A być może także Josephine - mówiła zdecydowanym, rzeczowym głosem. Jakbyśmy rozmawiali o przygotowaniach do matury.

- Dobra myśl. - Oparcie krzesła zatrzeszczało pod moimi plecami. To dobry moment, żeby powiedzieć jej o ścierwie szopa. Chociaż lepiej uporam się z tym sam, ona mogła być jeszcze w fazie odrzucenia magii.

- Pomyślałam, że może mógłbyś wpaść i mi pomóc? — odezwała się po chwili.

- Taak?

- No wiesz, druga para oczu. Możliwe, że coś mi umyka, bo gabinet taty mi się opatrzył.

- Mhm.

- I... - wzięła oddech - chciałam przeprosić cię twarzą w twarz.

Wypuściłem powietrze jak przekłuty materac.

- Dobra.
- Super. - Usłyszałem jej uśmiech.
- Zaraz tam będę.
- Tylko uważaj, Nick. Przed domem jest chmara kruków. Rozłączyliśmy się.

Tata i Lilith pojechali do oddalonego o ponad dwie i pół godziny drogi Saint Louis. Zamierzali obejrzeć popołudniową inscenizację jakiejś awangardowej sztuki. Nie tłumacząc się więc nikomu, po prostu wyszedłem.

Zaparkowałem na podjeździe obok furgonetki Reese'a. Na dachu usadowiły się trzy kruki. Kłóciły się o kawałek fioletowej wstążki - krakały na siebie, ale mnie jakby nie zauważały. Nacisnąłem klamkę i wszedłem.

- Silla? Jesteś? — zawołałem.

Z głębi domu dobiegała przytłumiona muzyka. Poszedłem w tamtym kierunku i przez otwarte drzwi wszedłem do gabinetu jej taty.

- Silla?

Magnetofon wypluwał dziewczynski pop rock skrzyżowany z country. Schyliłem się, żeby go wyłączyć. Na biurku piętrzył się bałagan, ale po Silli nie było śladu.

- Halo? - powiedziałem i obszedłem masywne biurko. Mośięzna lampa rzucała słabe żółtawe światło na czubek jej głowy. Silla siedziała po turecku na podłodze za biurkiem i przeglądała jakieś starocie.

- O, cześć. — Ostrożnie zsunęła z kolan stertę kłopotów i wstała. Miała na sobie bluzę o jakieś pięć rozmiarów za dużą.

- Nie słyszałam, jak wchodzisz.

- Jak mogłaś zostawić drzwi otwarte?

Wzruszyła ramionami.

- Jak kruki? Dokuczały ci?

- Nie.

Powoli spojrzała mi w oczy. Twarz miała pełną rezerwy, ale bez maski.

- Źle się wczoraj zachowałam. Nie chciałam się tak wyrazić o twojej mamie.

- Całe szczęście. Bo to było głupie.

Wykrzywiła z jednej strony usta.

- Nie mogłam spać. Cały czas o tym myślałam. I martwiłam się o ciebie.

- O mnie?

Znowu wzruszyła ramionami.

- I o siebie. O wszystko, o co tylko mogłam. Nie zamierzam spędzić w ten sposób reszty życia. Przerazona i pogrążona w żalu. Chcę działać. Nawet jeśli oznacza to, że będę musiała zamordować króla.

- Co?!

- To motyw z *Makbeta*. - Silla wyszczerzyła zęby.

- Nie wiem, czy to normalne mówić Szekspirem. - Musnąłem kciukiem jej policzek.

Ona ujęła moją dłoń, przyjrzała się jej i rozmasowała. Głębokie skaleczenie z poprzedniego wieczoru było już tylko różową linią. Tak samo jak jej rana nad obojczykiem.

- Blizna po magii - powiedziałem cicho. Zauważyłem, że ona też ma dłoń zaklejoną opatrunkiem. - Zagoić ci rękę?

- Myślę, że... — popatrzyła na mnie — że ta rana jest mi teraz potrzebna. Dzięki niej będę pamiętać o wczorajszym wieczorze. O tym, co powiedziałeś. - Zaciśnęła usta i gwałtownie skinęła głową. - I o tym, kim chcę być.

Uniosłem jej dłoń do ust i pocałowałem koniuszki palców. Powietrze między nami znów było ciepłe.

- To jak, szukamy Diakona?

Silla westchnęła ciężko, z powrotem opadła na podłogę i przesunęła ręką po leżących przed nią przedmiotach. Były tam stare okulary, szklany przycisk do papieru i parę wystrzępionych gęsich piór.

Kucnąłem za jej plecami i wskazałem pióra.

- Twój tata nimi pisał?

- Tak. Miał nawet kałamarze. Są tutaj, w górnej szufladzie.

- Spojrzała na biurko, a potem zerknęła na mnie i wzięła do ręki okulary. - Nie mam pojęcia, do czego ich używał. Zobacz, mają różowe szkła.

- Różowe okulary? Ekstra, przydałyby mi się. - Oprawki były srebrne, o dziwnym, esowatym kształcie, z wygiętymi jak haczyki zausznikami. - Ej, pamiętam go w nich.

- Jak to...?

Robert Kennicot spogląda na mnie z góry przez swoje dziwaczne okulary. „Donno Harleigh, Robbiemu by się to nie spodobało. Posunęłaś się za daleko”. Zamknąłem oczy i przycisnąłem palce do powiek.

- Nick?

- Mama czasami obserwowała twój tatę przez lustro. Zakłęcie dalekovidzące. I chyba... przypominam sobie, że któregoś razu patrzył na mnie przez te szkła, ale mówił jakby do mamy. I powiedział... - spojrzałem w jej zmartwione oczy - powiedział: „Robbiemu by się to nie spodobało”, jak gdyby sam nie był Robbiem. Ale wyglądał jak twój tata.

- To znaczy, że ktoś opętał ciało taty - wyszeptwała.

- Coś w tym rodzaju... Sam nie wiem. — Pokręciłem głową i podniosłem okulary. - Mogę?

- Jasne. Mów, co widzisz.

Wsunałem je na nos i zawinałem druciki za uszami. Spojrzałem na Sillę. I gruchnąłem na tyłek.

- O cholera!

Dłoń Silli emanowała jakimś czerwonym oparem, który wypływał z niej i wił się ku mnie.

- Nick? - Podniosła się na kolana, a czerwień dookoła zadrdzała jak rozgrzane powietrze. Popatrzyłem w dół. Czerwone smugi lgnęły do mnie i owijały się dookoła mojej ręki.

- Yyy, Silla... - Oczy miałem pewnie jak spodki. Patrzyłem i patrzyłem. - Te okulary są magiczne.

- Jak to? - Zmarszczyła się.

W końcu zdjąłem je z nosa i podałem Silli. Moim oczom chwilę zabrało zaadaptowanie się do nowych warunków. Ona zmarszczyła brwi i założyła okulary.

- Wszystko jest różowawe.

- Popatrz na siebie.

Gdy uniosła dłoń, opadła jej szczeka.

- O Boże! - Wstała, nadal gapiąc się na siebie. - To niesamowite. I trochę dziwne.

Uśmiechnąłem się. W okrągłych drucianych oprawkach usadowionych na nosie wyglądała zabawnie.

- Nicholas, jesteśmy połączeni. - Podążyła wzrokiem za smugami. - Pewnie przez to, że wczoraj zmieszałeś naszą krew.

- Albo przez to, co do ciebie czuję.

Zamarła i rozchyliła lekko usta.

- Nick...

Ja po prostu na nią patrzyłem. Myślałem o wierszu, który

napisałem dla niej w poniedziałek. Zanim wszystko się posypało.

Ona przełknęła ślinę i żeby skoncentrować się na czymś innym, powoli rozejrzała się po pokoju.

- Jak myślisz, czy każda magia krwi jest dla nas widzialna?
- Nie mam pojęcia.
- Och! - Zastygła i wlepiła wzrok w regał.
- Silla?

Z wyciągniętymi przed sobą rękami podeszła do półki i zrzuciła na ziemię rząd książek w twardej oprawie. Rąbnęły głucho o podłogę.

- To miejsce świeci. Na czerwonozłoto, inaczej niż mgiełka między nami. - Zadrżała i nacisnęła ręką tył półki. - Tu jest chyba drugie dno. - Przyjrzała się powierzchni i zastukała. Usłyszeliśmy pogłos.

Stanąłem obok.

- Może jest jakiś mechanizm otwierający. Poszukajmy guzika.

Silla przygryzła dolną wargę i przesunęła palcami po brzegu półki.

- Jest!

Nacisnęła miejsce w dolnym rogu wnęki. Tył półki wyskoczył. Podała mi go i sięgnęła głębiej.

Wyciągnęła stamtąd aktówkę zapiętą skórzanym paskiem oraz niewielki notatnik w twardej oprawie. Położyła je na biurku zarzuconym żółtymi karteczkami i starymi rachunkami. Szybkim ruchem odpięła pasek aktówki i wyjęła plik gęsto zapisanych kartek.

- Zaklęcia.

Wziąłem do ręki pierwszą z brzegu kartkę. Był na niej

rysunek trójkąta wpisanego w okrąg, a obok różne dopiski, strzałki i poskreślane słowa. Na górze przeczytałem: „Najpierw trójkąt, potem koło, inaczej nie uda się związać energii”.

- To pismo taty - szepnęła Silla. Przejrzała papiery pobieżnie. - Część po łacinie. Jakby zakodowana. Przetłumaczenie tego wszystkiego trochę zajmie. Ale wygląda na to, że dotyczy jednego, wielkiego zaklęcia. Podobnego do tych w książce z zaklęciami, ale jakby niedokończonego. - Popatrzyła na notatnik. Powolnym ruchem odłożyła plik kartek i przesunęła palcami po okładce notesu. Był czarny, z wąską, czerwoną wstążką wystającą spomiędzy stron niczym język. Westchnęła głęboko i otworzyła go.

- „Tysiąc dziewięćset czwarty” - przeczytała, a ja przysunąłem się bliżej. - „Nazywam się Josephine Darly i zamierzam żyć wiecznie”. - Upuściła notatnik na blat.

Dotknąłem czarnej okładki i zaproponowałem:

- Weźmy to wszystko do mnie. Taty i Lilith dzisiaj nie ma. Cały dom dla nas.

- Dobra. - Skinęła głową.

ROZDZIAŁ 57

S I L L A

Zostawiłam babci Judy karteczkę i wypchałam plecak rzeczami z tajnej skrytki taty. Wrzuciłam też mój pozakreślany słownik łaciński. Nick wziął sól ze spiżarni, a w drodze

do jego auta nazbieraliśmy do plastikowej torebki żwiru do obrony przed krukami.

Sunęły bezgłośnie w ślad za naszym samochodem. Miałam ochotę wrzasnąć na Josephine, że mamy jej pamiętnik - zaraz poznamy każdą jej słabość i wtedy ją zniszczymy.

O dziwo, do domu Nicka dotarliśmy bez problemu. Kruki były cicho i trzymały się na dystans. Wylądowały miękko na trawniku, my w tym czasie wbiegliśmy do domu przez garaż.

Cudem znalazłam w sobie jeszcze siłę, żeby zachwycić się pokojem Nicka. Rozlepione na ścianach plakaty i afisze sprawiały wrażenie, jakby Nick pozbierał kolory z całego domu i wylał go na ściany u siebie, resztę pomieszczeń pozostawiając biało-czarną, ascetyczną.

Rozłożyliśmy się na podłodze zarzuconej mnóstwem nieco ekscentrycznych dywaników. Były tam dywany orientalne, nowoczesne z geometrycznymi wzorami, a nawet jeden włochacz. Pasował do niego ten chaos.

Nick oparł się na łokciach, a nogi wyciągnął w stronę wieży. Zabrał się za czytanie pamiętnika na głos. Bębnił palcem w rytm dziwnej muzyki, którą nazwał szwedzką elektroniką. Minę miał zrelaksowaną i nieco zdumioną. Obserwowałam go. I słuchałam jego głosu. Wyobraziłam sobie, że muskam wargami jego rzęsy i szeroką kość policzkową. Dziś rano najwyraźniej darował sobie zaczesywanie włosów do tyłu - teraz czupryna opadała mu miękko na uszy i kark.

Położyłam się obok niego, zamknęłam oczy i słuchałam, jak czyta mi o Josephine, o jej nauce magii od tajemniczego lekarza imieniem Philip, o ich wspólnych lekcjach, teoriach, spędzonych razem dziesięcioleciach. Josephine była oczywiście szalona, ale gdybym nie wiedziała, że w końcu zacznie

zabijać, myślę, że byłabym w stanie ją zrozumieć. Tak bardzo cieszyła się magią, chciała za jej pomocą stworzyć sobie dobre życie. Była zakochana. Rozumiałam, dlaczego lubiła wcielać się w innych ludzi, a jednocześnie czułam się pokrzepiona, bo Philip miał taki sam jak ja kłopot z zaklęciem na opętanie.

Pisała, że potrzebna jest ofiara. Philip uczył ją, że magia wymaga harmonii, bo nasza krew posiada moc, ale może zostać użyta zarówno do dobrego, jak i do złego. Bardzo jej zazdrościłam prawdziwego nauczyciela. Josephine wspomniała też o Diakonie. Wyglądało na to, że Diakon to jakiś bardzo stary czarownik. Trudno było uwierzyć, że oni wszyscy tak długo żyli.

Pisała nieregularnie, wpisy czasami dzieliło wiele lat. Kartki pamiętnika były poplamione, części brakowało. Na niektórych Josephine tak zaciekle bazgroliła, że nic nie dawało się odczytać.

Natknęliśmy się na wzmiankę o proszku wskrzeszającym, o którym mówiła - tynkturze. Robiło się go z kości zmarłych. To dzięki nim ich życie trwało tak długo.

Kiedy Nick skończył czytać wpis o tynkturze, zamilkł i zapatrzył się w kartkę.

- Też przyszło ci to do głowy, prawda? - zapytałam cicho.
- Samo się nasuwa.

Wzięłam go za rękę i splotłam nasze palce.

- Żyć wiecznie.
- Tyle można by zrobić. Tyle zobaczyć. Podróżować, uczyć się... wszystko.
- Mieć dwadzieścia różnych zawodów.
- Napisać powieść. Albo i dziesięć.

- Być gwiazdą rocka.

- Prezydentem. - Roześmiał się. - Chociaż ciężko byłoby używać magii. Prezydent jest pod stałą obserwacją.

Niestety, wszystko to miało swoją cenę. Westchnęłam i odsunęłam pokusę. Pomartwię się tym kiedy indziej.

- Dziwne, że nie ma mowy o tacie. Musi być przecież jakiś powód, że go tak nienawidzi.

- Nie martw się, coś wykombinujemy. - Przechylił się ku mnie i dał mi buziaka.

Zrobiliśmy sobie przerwę na obiad - pizzę z mrożonki - i czytaliśmy dalej.

Po drugiej wojnie światowej Josephine stawiała się coraz bardziej niezrównoważona. Podróżowała wtedy sama przez Stany, czasami spotykała się z Diakonem, potem z Philipem. Ale najwyraźniej jej odbijało.

Nick przeczytał wpis o tym, jak Josephine dosypywała Philipowi do jedzenia proszku wskrzeszającego. Potem przewrócić stronę i zamarł.

- O Boże.

- Co? - Wyjęłam mu pamiętnik z dłoni.

Na otwartej stronie zobaczyłam pismo taty.

To najgorsza rzecz, jaką zrobiłem w życiu. Moje prawdziwe imię to Philip Osborn. Zabiłem siedemnastoletniego chłopca, bo bałem się umrzeć.

Oddech stanął mi w gardle wielką, kolczastą kulą. Wbrew woli czytałam dalej.

- Boże - szepnęłam. - Mój tata to... Philip. O mój Boże!

Nick odezwał się zduszonym głosem:

- Moja mama wiedziała. Zauważyła, że Robert nie jest sobą. Zdała sobie sprawę... co zrobił Philip.

Wszystko, co wyczytałam w pamiętniku Josephine, nagle zawirowało jak koło ruletki. Kiedy koło się zatrzymało, kolory i numery wskoczyły na swoje miejsca. Tata... Philip. Lekarz, nauczyciel, eksperymentator, który miał nas za sługi złych mocy, ale ratował ludzkie życie. Bardzo się starał. I wierzył, że magia może być dobra.

Ale stworzył Josephine. I prawdopodobnie ją kochał.

W żołądku poczułam lekkie piruety nudności. Nick przewracał strony pamiętnika, przesuwał palcem po linijkach tekstu. Zatrzymał się na imieniu swojej mamy.

Opuścił głowę. Wyjęłam książkę z jego bezwładnych dłoni i zaczęłam czytać. Był to list do mnie i Reese'a. Napisany w ciągu ostatnich godzin życia taty. Wyjaśniał w nim to, czego nie mógł powiedzieć nam wcześniej. Oczy zaszczyły mi łzami, ale wytarłam je z wściekłością.

Teraz przynajmniej miałam odpowiedź na moje pytania. Dotknęłam ramienia Nicka.

- Przeczytaj ze mną. To także o tobie.

Moje dzieci, macie prawo wiedzieć, dlaczego nie nauczyłem Was tego wszystkiego.

Silla miała siedem lat, a Reese dziewięć. Jeżeli w ogóle zamierzałem Wam pokazać magię, to wtedy należałoby zacząć.

Pewnego dnia, gdy wróciłem z pracy samochodem, na trawie przed naszym domem znalazłem małego chłopca. Poderwał się, ale zaraz potem usiadł z powrotem. Miałem wrażenie, że coś mu dolega. Podeszedłem do niego, przykucnąłem i wyciągnąłem dłoni.

— *Nazywam się Robert — rzekłem. — A ty?*

Ale już wtedy czułem, że wygląda znajomo. Gdzieś już widziałem tę twarz, te oczy. Sięgnął w moją stronę zadrapaną, zakrwawioną ręką.

— *Przewróciłem się — wyszeptałem.*

Kiedy tylko dotknąłem jego dłoni, on złapał mnie za nadgarstek i stanął na równe nogi, wyprostowany i silny.

— *Wypędzam cię! — krzyknął i przycisnął drugą rękę, również zakrwawioną, do mego czoła.*

W głowie mi zaszumiło. Poczułem przeszywający ból, ale nie straciłem panowania nad ciałem. Po wielu, wielu latach należy już do mnie. Nie mogło tego zmienić zaklęcie dziecka. Ani kobiety, która kochała poprzedniego właściciela. Spojrzałem w płytkie, matowe oczy chłopca. W jego czarnych źrenicach nie dostrzegłem swojego odbicia.

— *Nie jesteś tym, za kogo się podajesz. — Chłopiec zmarszczył brwi i dodał: — Oddaj mi Robbiego!*

To była Donna Harleigh. Po tylu latach. Wszeptałem zaklęcie usypiające, zaniósłem chłopczyka do samochodu i zawiozłem go do gospodarstwa Harleighów. Pana Harleigha zastałem wściekłego. Gdy zapytałem, gdzie jest Donna, poszliśmy razem na górę i znaleźliśmy ją nieprzytomną w łóżku. Obaj w tym samym momencie pojęliśmy, co się stało.

— *Własny syn! — wykrzyknął i poprzysiągł, że dopilnuje, by wszystko zostało załatwione, jak należy.*

Stąd też wiem, co stało się z Donna. Ma syna, którego w swej nienawiści do mnie skłonna była wykorzystać, żeby uratować prawdziwego, lecz od dawna nieżyjącego Roberta Kennicota.

Patrząc na nią i to, jak użyła własnego syna, zrozumiałem, że własnych dzieci nie mogą uczyć magii. Musiałem Was przed

tym ocalić, ochronić. Nauczyłem magii Josephine i spojrzcie, co się ze mną stało. Ciemność długo trwa w ludzkiej krwi, a historia nigdy nie wybacza zła, które wyrządzamy naszym dzieciom.

Nick przykrył słowa dłonią, wciskając pamiętnik w dywan.

- Obudziłem się z gorączką. Usłyszałem, jak dziadek krzyczy na mamę, że zrobiła coś okropnego. Że jest zła. Teraz rozumiem.

Leżeliśmy ramię w ramię. Oparłam o niego głowę.

- My będziemy lepsi.

- Mhm. - Nick naprężył plecy i zacisnął szczękę. - Czytajmy dalej. Musimy się dowiedzieć, co się stało. Że moja mama jest świrnięta, to nie nowina.

Pochyliliśmy głowy nad pamiętnikiem.

I nie żałowałem tej decyzji aż do dzisiaj — gdy Josephine przyjechała do Yaleylah.

Zjawiła się w szkole. Mignęła mi w ułamku sekundy. Za-uważałem ją kątem oka, ale wmawiałem sobie, że to nie ona. Bo to nie mogła być ona. Przywidziało mi się; najwyraźniej dawały mi się we znaki upał i opustoszałe w wakacje korytarze. Niemożliwe, żeby znalazła mnie po ponad dwudziestu latach.

Ale czekała na mnie na parkingu. Wyglądała dokładnie tak jak zawsze. Oczy lwicy osadzone w pięknej twarzy. Na ustach miała szkarłatną szminkę.

- *Philipie — wyszeptala — nie widzę mego odbicia w twoich oczach.*

Boże, jak jej głos mną wstrząsnął. Jeżeli wiedziała, gdzie pracuję, zapewne nie było też dla niej tajemnicą, gdzie mieszkam. Znała imię mojej żony, dzieci. Słońce grzało mocno.

—Josephine — odezwałem się.

Zwinęła dłonie w pięści.

— Myślałam, że nie żyjesz.

Nie odpowiedziałem.

— Kochałam cię! — wykrzyknęła. — Kochałam cię przez sto lat!

— Josephine, zostaw mnie.

— Tak jak ty mnie, Philipie? Czy raczej Robercie? Powinam mówić do ciebie Robbie, złotko? — Zbliżyła się nieco. Tym swoim powolnym, niepokojącym krokiem.

Zamilkłem. Rozglądałem się niespokojnie, modląc się w myślach, żeby ktoś zjawił się na parkingu, a jednocześnie nie chciałem świadków tej sceny.

— Jak możesz z tym żyć, Philipie? Mój praworządny, szlachetny doktorze? Nawet ja zawsze wracam do swojego ciała.

— Dotknęła swoich ust, potem mostka.

Bałem się. Nadal się boję. Jej oczy były mroczne i dzikie, jakby chowała się za nimi dusza nie człowieka, lecz wilka czy orła.

Skwar lat się na ziemię, a my przyglądaliśmy się sobie w ciszy. Powietrze nad asfaltem drgało z gorąca, jej skóra błyszczała od potu. Nagle odwróciła się na pięcie i odjechała małym, srebrnym autkiem.

Wróciłem prosto do domu i powiedziałem Emily, żeby zabrała Was do Kansas. Mielście szukać mieszkania dla Reese'a. Dobry pretekst, żeby gdzieś Was wyprawić.

Magia wsiąknęła głęboko w ziemię w ogrodzie. Poczekał tutaj na Josephine z moim pudełkiem unieruchamiającym. Tylko jedno z nas wyjdzie cało z tego starcia.

Modłę się, byjeszcze Was kiedyś objąć. Obyście nigdy nie znaleźli tego pamiętnika. Obyście nie poznali przeszłych grzechów Waszego ojca. Albowiem moje grzechy są ogromne.

To było wszystko. Brakło mi tchu. Ostatni wpis z marszu przeczytałam jeszcze raz.

- O Boże, Nick - szepnęłam. - To jest ostatnia rzecz, jaką zrobił w życiu. Boże. - Nabrałam głęboko powietrza i wypuściłam je niepewnie.

- To bardzo dużo jak na jedno popołudnie. - Pomasaował moje dłonie. Od razu zrobiło mi się ciepłej.

- Potrzebuję... powietrza.

Zesliśmy na dół przytuleni, ze szepionymi razem palcami. Bolały mnie kości. Trudno było myśleć o tym, co przeczytałam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że mój tata wcale nie był moim tatą. A mama Nicka opętała własnego syna. Kiedy tamtego dnia Josephine zjawiła się w szkole, być może właśnie przeszła rozmowę o pracę na stanowisko psychologa. I w ten sposób wkraść się do naszego życia. Po lekturze jej pamiętnika wiedziałam, jaka jest przebiegła, egoistyczna i niesłychanie pewna siebie.

Nick poprowadził mnie przez kuchnię i ascetyczny salon. Wyszliśmy szklanymi drzwiami do ogrodu. Staliśmy, trzymając się za ręce. Wyprostowałam się. Wiatr tarosił przystrzyżoną trawę, a słońce schowało się za domem. Żałowałam, że nie czuję na skórze jego ciepłych promieni. Nagle na ziemi na skraju lasu dostrzegłam dziwne czarne wyrzuszenia.

- Nick. - Puściłam jego dłoń.

- Hm?

- Widzisz to?

- Co?

Czarne kształty wyglądały na stare, przegniłe torby na śmieci.

- Pod lasem. - Weszłam na trawnik.

- Ej - Nick złapał mnie za ramię - uważaj.

- To zwierzęta - wyszeptałam. - Ptaki, wiewiórki...

Wyrwałam mu się i przyspieszyłam kroku. Teraz już biegłam w stronę drzew.

- Silla! - Nick gonił mnie miękko po trawie. - To niebezpieczne. Mogą być czymś zakażone. Albo i gorzej.

Ale ja nie mogłam odwrócić wzroku od martwych zwierząt.

Za naszymi plecami zaskrzeczał kruk. Po chwili z dachu sfrunęło na trawę całe ich stado. Niektóre wylądowały tuż-tuż. Jak gdyby zaganiały nas w stronę lasu.

Zatrzymałam się i przykucnęłam przy jednym z ciał.

- To lis. Martwy.

Pokręciłam głową i spojrzałam na korony drzew. Zabarwionymi na czerwono liśćmi szarpał wiatr. Wyżej niebo miało spłowiały, bury kolor.

- Zapomniałem ci powiedzieć... wczoraj wieczorem znalazłem martwego szopa, kompletnie bez krwi - rzekł Nick, nie spuszczać z oka gromadzących się za nami kruków. Były coraz bliżej. Świdrowały nas czarnymi, pełnymi gniewu i wrogości źrenicami. - Okulary!

Popędziliśmy z powrotem na strych i wyjęliśmy okulary z plecaka. Nick zamasyżuje otworzył okno, a ja założyłam na nos szkła.

Pole widzenia natychmiast zalała mi czerwień. Odskokczyłam.

- Co? Co się dzieje? - Nick złapał mnie i wykręcił szyję, żeby dostrzec to, co ja.

- Wszystko jest czerwone, Nick. Wszystko. - Głos trząś mi się i był wyższy niż zwykle.

- Poważnie?

- Wygląda, jakby las wysysał magię z ziemi. Jakby drzewa połyły się krwią zamiast wodą i światłem.

- A... a zwierzęta?

- W czerwone plamy.

- A kruki?

Obróciłam się powoli. Czułam, jak brzuch ściskają mi mdłości. Popatrzyłam na niebo. Od jednego kruka do drugiego biegły cienkie, ciemnoczerwone linie przypominające sieci pajęczne.

- Wszystkie są ze sobą połączone... całe stado. Czerwonymi smugami. Tak jak drzewa. Cały las jest opętany.

ROZDZIAŁ 58

N I C H O L A S

Ktoś zadzwonił do drzwi. Stojąca przy oknie Silla wzdrygnęła się nerwowo.

- Nie wiem, kto to, ale go spławię - powiedziałem i przesunąłem rękę w dół jej pleców. Byłem zły, że mam z pokoju widok na ogród z tyłu, bo nie widziałem, kto zaparkował od frontu.

Silla skinęła i odparła:

— Zacznę przeglądać aktówkę taty.

Cmoknąłem ją w szyję i zbiegłem na dół.

Wiszący na ścianie na drugim piętrze zegar w stylu art deco wskazywał trochę po czwartej. O wiele za wcześnie na powrót taty i Lilith. Przeszło mi przez myśl, czy nie udawać, że nas nie ma, ale pod domem stał mój kabriolet.

Dzwonek zadźwięczał ponownie, kompensując mój ból głowy słodkimi dźwiękami *Panie Janie*.

Otworzyłem drzwi i zmarszczyłem brwi.

- Co ty tu robisz?

Przed drzwiami stał Eric. Miał na sobie swój ulubiony zestaw na próby: spodnie od dresu i koszulkę z długim rękawem. Włosy sterczały mu na wszystkie strony. Wyjął z ust papierosa, nachmurzył się i powiedział:

- Superpowitanie. Przyszedłem, żeby zapytać, czy będziesz jutro w szkole. I na próbie. Tak sobie pomyślałem, że nadawałbyś się na dublera scen walki. Patrick kompletnie nie potrafi przyjmować ciosów.

- Niewykluczone, że się jutro zjawię - powiedziałem powoli, a Eric oparł się tyłkiem o framugę drzwi i zaproponował mi macha.

- Dzięki, mam już inne nałogi.

Uniósł brwi.

- Popielniczka?

- Wyrzuć peta na ziemię, jak będziesz wychodził.

- Rany, naprawdę dupek z ciebie.

- Po prostu jestem zajęty.

- Masz Sillę na górze?

Zacisnąłem usta.

- Nie wchodzi tam.

Eric uniósł rękę.

- Spoko, nie mam zamiaru wam przeszkadzać w, ekhm...,
o p ł a k i w a n i u .

Byłoby super, gdybyśmy tylko to mieli z Sillą w głowie.

- Słuchaj, postaram się być jutro w szkole, pobawimy się mieczem z chłopakami.

Ale się podłożyłem. Eric jednak nic nie odpowiedział, tylko zwięził oczy, jakby zastanawiał się, czy to wykorzystać. O dziwo, odmówił sobie tej przyjemności.

W końcu zasalutował mi petem.

- Miłej zabawy, stary.

Uśmiechałem się aż do chwili, kiedy na sto procent nie mógł mnie już widzieć. Wtedy uśmiech spełzył mi z twarzy, tył głowy oparłem o drzwi i zamknąłem oczy. Żeby tak dobieranie się do Silli było moim największym problemem.

S I L L A

Gdy Nick wybiegł z pokoju, ja wyjęłam z plecaka wielki słownik łacińsko-angielski i usiadłam nad notatkami taty. Pierwsze zaklęcie nazywało się *Loricatus*. Opancerzony. Brzmiało obiecująco.

Niecierpliwie przeskoczyłam dalej, trochę sfrustrowana, że tyle to zajmuje. Żałowałam, że nie ma ze mną Wendy. Ku wielkiemu rozczarowaniu taty zawsze była ode mnie lepsza z łaciny.

Przerzucałam kolejne strony. Podobnie jak za czasów gimnazjalnych miałam cichą nadzieję, że wystarczy wcisnąć łaciński tekst pod poduszkę i zdrzemnąć się, a tłumaczenie powoli wsączy mi się do ucha podczas snu.

Unieruchomienie

To zaklęcie było całe po angielsku.

Sillo, stworzyłem to zaklęcie przeciwko niej. Zasadniczo nie popieram stosowania magii ofensywnej, ale może nie być innego wyjścia; choć mimo wszystko modłę się, byś nigdy nie musiała go używać.

Trzęsły mi się ręce. Przeczytałam zaklęcie jeszcze raz. Potrzeba było wosku, czerwonej wstążki, fragmentu ciała, które miało zostać unieruchomione, i pudełka. Włosy, paznokcie czy coś w tym rodzaju wciska się w wosk, po czym zamyka w pudełku, obwiązuje wszystko wstążką i rysuje runę. Kropla krwi, żeby przypieczętować węzeł, i pudełko zakopuje się w ziemi. Dookoła miejsca albo ciała, w którym chce się unieruchomić ducha, trzeba narysować krąg z czterema runami w każdej stronie świata.

Nagle krzyknęłam przerażona.

Ta runa, którą Reese znalazł za domem - wzięliśmy ją za runę ochronną, bo znak wyglądał bardzo podobnie. Ale to było to. Na wewnętrznej stronie dłoni poczułam mrowienie. Krąg dookoła domu miał unieruchamiać, a nie odpędzać. Tata chciał tu kogoś uwięzić.

Josephine. Chciał unieruchomić Josephine. Dlatego pozwolił, żeby przyszła do niego, zamiast zwabić ją gdzie indziej. Ale najwyraźniej w domu zjawiła się mama, co pokrzyżowało wasze plany, i ostatecznie to Josephine unieruchomiła tatę, a nie odwrotnie.

Rzeczywiście, na dole strony znalazłam dopisek: „Unieruchamia ducha, nie ciało”. Dlatego duch taty nie uciekł, kiedy go zabijała.

To znaczyło, że jeżeli tylko znajdziemy ciało Josephine, będziemy mogli zrobić to samo. A musiało znajdować się w lesie. Tam zanikł ślad krwi. Martwe zwierzęta pewnie posłużyły jej do opętania całego lasu. Ale jej własne ciało umierało, a przynajmniej było na tyle wycieńczone, że nie była w stanie uciec.

Jeszcze raz przeczytałam zaklęcie na opancerzenie.

N I C H O L A S

Kiedy otworzyłem drzwi do mojego pokoju, Silla uniosła głowę i uśmiechnęła się.

- Nick, w moich pierścionkach znajduje się zaklęcie na opancerzenie! - Wyciągnęła rękę, a ja chwyciłem je i podniosłem do góry. - Cały czas byłem przed nią chroniona i to...

- ...dlatego nigdy nawet nie próbowała cię opętać - dokończyłem za nią.

Silla skinęła głową i dotknęła czołem moich ust.

- Poza tym ciągle próbowała mnie nakłonić, żebym je zdjęła.

Uniosłem jej podbródek i dałem całusa.

- Nick, załóż to. - Zdjęła bransoletkę. - Należała do Reese'a. On jej nigdy... nigdy nie nosił, inaczej nic... by mu się nie stało. - Zamrugała nerwowo. - Noś ją, dobrze? Ja z powrotem założę pierścionki.

Zmarszczyłem brwi. Silla wcisnęła mi bransoletkę w dłoń. Metal został ogrzany jej ciałem - przyjemnie było założyć coś, co miała na sobie. Ale kiedy wsunąłem bransoletkę na nadgarstek, przed oczami pojawił mi się Reese. I morze krwi. Skóra pod bransoletką zamrowiła. Nie miałem pojęcia, czy to magia, czy po prostu nerwy.

Silla zdjęła pierścionki z łańcuszka i wsunęła je na palce jeden po drugim.

- Zawsze nosiłam je po prostu dla otuchy, ale teraz rozumiem... Przez całe moje życie tata budował dookoła mnie pancierz. - Spojrzała na mnie i uśmiechnęła się. Był to najpiękniejszy uśmiech, jaki widziałem w życiu.

Nagle szyba w oknie zadygotała od uderzenia.

Odskokczyliśmy i obejrzeliliśmy się.

O okno tłukł się kruk. Silla przypadła do niego, wymachując ramionami, i krzyknęła:

- Uciekaj!

Kruk zaskrzeczał. Potem kolejny i kolejny, aż wkrótce darło się na nas całe stado.

W mgnieniu oka stanąłem za Sillą i przytuliłem ją. Nad ogrodem krążyła wielka gromada kruków. Wyglądały jak chmara ożywionych cieni, a ich pióra lśniły w jasnym popołudniowym słońcu. Gdy jeden z nich dał nura w stronę okna, Silla przycisnęła się do mnie.

I w tym momencie na skraju lasu poprzez kłębowisko krukich skrzydeł dostrzegłem Erica.

Wisiał wplątany w gałęzie drzewa trzy metry nad ziemią. Na koszulce miał wielką plamę krwi.

ROZDZIAŁ 59

N I C H O L A S

Mimo że serce o mało nie wyskoczyło mi z piersi, ani drgnąłem. Silla podeszła do mojego biurka i wyjęła z niego nożyczki, po czym wysunęła je przed siebie jak mały mieczyk.

Kruki uspokoiły się. Jedyne dźwięki, jaki teraz słyszałem, to ciche bzyczenie, jakby elektryczne. Wieża. Płyta się skończyła. Nacisnąłem wyłącznik i zauważyłem, że trzęsą mi się ręce. Musiałem wziąć się w garść. Ale ta krew na jego koszulce...

Reese też tak krwawił. Nie dopilnowałem, czy wsiadł bezpiecznie do auta. To moja wina.

Zwinałem dłonie w pięści i przycisnąłem je do oczu, jakbym mógł w ten sposób wymazać z pamięci obraz poplamionej krwią twarzy i szyi Silli oraz krwistych śladów jej dłoni na nagrobkach.

- Nick? - odezwała się cicho.

Odjąłem ręce od twarzy.

- Przepraszam... po prostu nie wiem, co robić.

- Musimy ją unieruchomić. Tym samym zakłębem, którym przykuła mojego tatę do ciała i w krytycznej chwili jego duch nie mógł uciec.

- Chcesz ją unieruchomić w jej własnym ciele, tak?

- Mhm. - Podeszła do szkatułki i wyjęła szpulkę czerwonej nici i kawałek wosku pszczelego. Schowała te rzeczy w przedniej kieszeni zbyt obszernej bluzy i wróciła do mnie. - Potrzebujemy pudełka. Pudełka od zapalek, jakiegoś kartonowego pudła... czegokolwiek, w czym zmieści się kawałek wosku. No i musimy znaleźć jej ciało.

- Dobra.

Silla dotknęła mojego policzka.

- Myślę, że nam się uda.

- Na pewno - odparłem i cmoknąłem koniuszki jej palców. Potem pochyliłem się i pocałowałem ją w usta.

Silla nie ruszała się. Wręcz miałem wrażenie, że nie oddycha.

Wyprostowałem się, a ona otworzyła oczy. Przyjrzałem im się uważnie: krzywiźnie powiek, gęstym, podwiniętym rzęsom.

Znowu ją pocałowałem. Powietrze dookoła nas zrobiło się gorące. Krew paliła mnie w żyłach; czułem bolesny przepływ magii od palców u stóp aż po koniuszki dłoni, a także miejsce, gdzie stykały się nasze usta.

- Silla.

- Hm? - Popatrzyła na mnie. Na jej twarzy malował się upór, czy nawet pewna gwałtowność.

Pocałowałem ją jeszcze raz, mocniej.

- Nie martw się, Nick. Poradzimy sobie.

Nie byłem w stanie nic odpowiedzieć.

S I L L A

Zeszliśmy na dół. Podczas gdy Nick szukał odpowiedniego pudełka, ja czekałam z kieszenią bluzy Reese'a wypchaną składnikami zaklęcia.

Na zewnątrz kruki obsiadły trawnik grubym kozuchem. Siedziały pomiędzy tylnymi drzwiami domu a lasem, gdzie wisiał Eric. Oddychałam głęboko, powoli. To dzisiaj. Dzisiaj znajdę ciało Josephine i uwięzę ją w nim na zawsze. W kieszeni ścisnęłam rączkę nożyczek.

Nick wrócił z metalowym wizytownikiem z rysunkiem lilii na wieczku.

- Może być?

- Miejmy nadzieję.

Otworzyłam pudełko. O spód wieczka zaczepiła się wizytówka Lilith. Wyjęłam ją, a Nick rzucił ją na podłogę.

- Ups. Tej nie zauważyłem. — Zmarszczył brew. Mimo że był w ponurym nastroju, widziałam, jaką przyjemność sprawia mu niszczenie jej rzeczy.

Przez grube szklane drzwi widzieliśmy kruki skaczące po trawniku i kraczące w stronę lasu. A kawałek dalej — dwa rzędy szczurów pełznących powoli po gałęziach, na których wisiał Eric. Nerwowo przełknęłam ślinę.

Nick otworzył kluczem szklane drzwi i rozsunał je. Wyszliśmy.

Niebo było, co prawda, nadal rozświetlone, ale słońce zeszło już dosyć nisko. Tutaj, koło lasu, wszystko było zasnutę cieniem, jakbyśmy patrzyli na świat przez szkła przeciwsłoneczne. Skrzywiłam się na myśl, że przecież mogłam zabrać magiczne okulary; ale wówczas znowu widziałabym tę straszną, zalewającą wszystko czerwień.

Czarna masa kruków rozdzieliła się, by nas przepuścić. Za nami znowu obsiadły cały trawnik i śledziły nas maleńkimi, czarnymi oczkami, kłapiąc z cicha dziobami, a wiatr mierzwił im pióra. Przytuliłam się do Nicka i wreszcie spojrzałam na wiszącego między drzewami Erica.

Jego głowa opadła luźno, oczy miał zamknięte. Całe jego ciało zwieszało się bezwładnie i delikatnie huśtało. Krew przykleiła mu włosy do czaszki i zabarwiła koszulkę na bordowo, a z palców jego tenisówki kapała miarowo strużka jasnoczerwonych kropli.

N I C H O L A S

- Josephine! - wrzasnąłem. - Wyłaż. Wiemy, że tam jesteś.

Krew Erica kapała na leśny dywan z liści.

— Uwolnij go - zażądała Silla.

Mając przed sobą gromadę paskudnych szczurów, od razu przestaliśmy się martwić o kruki za plecami. Utrzymywały się na gałęziach za pomocą pazurków wbitych w korę. Niektóre nie miały oka, większość była ubabrana krwią. Nie jakieś zwykłe szczury, tylko szczury zombie. Byłyby niesamowite, gdyby nie to, że istniały naprawdę.

- Daj spokój - rzuciłem z maksymalną dawką szyderstwa, na jaką było mnie stać. - Nie boimy się ciebie. Jesteś tylko jak zwykle irytująca. Nic dziwnego, że Philip puścił cię kantem.

Drzewo zatrzęśło się i osypało deszcz poplamionych czerwienią liści. Za nami zaskrzeczał jeden kruk, drugi, trzeci.

- Podchodzą bliżej - zauważyła cicho Silla.

Zerknąłem do tyłu. Stały w rzędzie. Skrzydła miały rozpostarte jak orzeł w godle Stanów Zjednoczonych.

Silla krzyknęła cicho. Spojrzałem przed siebie i zobaczyłem, że Eric podniósł głowę. Miał zamknięte oczy i całą twarz we krwi. Jakby ktoś wrzucił go do wanny z krwią, a potem rozwiesił, żeby wysechł. Rozchylił usta i odezwał się:

- Sillo Kennicot, kiedy tylko się zbliżysz, moje zwierzęta zerwą cię na strzępy.

Był to głos Erica, ale brzmiał płasko i dziwnie nisko.

- Zrobiłaś mu krzywdę? - syknąłem.

- Nie, Nick. Nie zrobiłam. Radzę ci przybrać inny ton, gdy do mnie mówisz. - Usta Erica ułożyły się w przykry, obnażający zęby uśmiech.

Silla zrobiła krok do przodu.

- Czego chcesz?

Pewnie nas zabić. Dotknąłem Silli ramieniem, żeby było jasne, że stanowimy jeden zwarty front.

- Pobawimy się trochę magią. — Usta Erica wykrzywiły się w pogardliwym uśmieszku.

Z trawy poderwał się kruk i skierował ku Ericowi. Szczury zaszurały, zapiszczały i przesunęły się jeszcze kawałek po gałęzi. Kruk wrócił na swoje miejsce. Silla ścisnęła mnie za rękę.

Skrzyżowałem ramiona.

- Dlaczego mielibyśmy ci pomagać?

Jeden ze szcurek wlaźł na ramię Erica, przesunął nosem po jego włosach i wskoczył mu na głowę. Tam, gdzie pazurami

ranił Erica w czoło, pojawiała się świeża krew i spływała po jego zamkniętych powiekach.

- Ponieważ - powiedział, nie zwracając uwagi na strużkę krwi ciekącą tuż koło ust - w przeciwnym razie go zabiję.

- A co mamy zrobić? - zapytała Silla.

- Musisz mnie uzdrowić tą swoją piękną, lśniącą krwią.

Silla wcisnęła ręce do przedniej kieszeni bluzy.

- Nie możesz po prostu użyć Erica?

Miałem nadzieję, że Silla nie mówi tego serio, tylko próbuje nakłonić Josephine, żeby zdradziła nam, gdzie leży jej ciało.

Kolejny szczur zszedł z gałęzi i dotknął nosem twarzy Erica.

- Jego ciało nie ma tej mocy co krew Kennicotów.

- Jakoś do tej pory radziłaś sobie świetnie bez niej. - Silla rozpostarła ramiona. - Opanowałaś cały las, masę szczurów... no i Erica.

Eric podniósł raptownie powieki i popatrzył na nas zło-wrogo.

- Ale chcę dostać z powrotem własne ciało, rozumiesz?

- Jest chore, prawda? - Silla zrobiła kolejny krok do przodu i napięła wrogo ramiona. Nie podobało mi się to. - Ukryte gdzieś w lesie? Słabe, może umierające? Czy ty umierasz, Josephine? Co się stanie, gdy twoje ciało umrze?

- Idiotka - prychnął Eric. Kilka kruków załopotowało skrzydłami. Ciało Erica zatrzęśło się całe, a szczur, który na nim siedział, zasyczał wściekle i zatopił w nim pazury. - Uzdrowicie mnie, a potem oddacie mi drogocenną książkę Philipa, jasne?

- Nie mamy jej.

Drzewa znowu się zatrzęśły, spadło jeszcze trochę liści.

- Gdzie ją schowaliście? - wrzasnął Eric. Zacisnąłem pięści.

Jego głos był niesamowicie napięty. Czy wiedział, co się z nim dzieje? Do czego dopuściłem?

Silla uniosła podbródek.

- Jest zakopana z moim bratem dwa metry pod ziemią. Poza twoim i moim zasięgiem.

Josephine roześmiała się, a z gardła Erica wydobył się suchy, chrypliwy odgłos.

- Doskonale, moje wy skarby! Odkopimy go, zabierzemy książkę i użyjemy jego bezbronnych kości do przygotowania tynktury.

- Tylko spróbuj. - Silla złapała mnie za rękę.

- Oczywiście, że spróbuję. - Głowa Erica przechyliła się.

- Nick, przynieś mi z domu trochę soli. Zaraz zaczynamy.

Spojrzałem na Sillę. Czy nadal graliśmy w tej samej drużynie? Ona pokiwała głową i rzekła:

- Idź.

S I L L A

Usłyszałam z oddali ciche t r z a ś n i ę c i e . Znak, że Nick wszedł do środka. Kruki powoli biły skrzydłami o suchą jesienną trawę, a z gałęzi popiskiwały szczury.

Ciało Erica zakołysało się.

Miał zamknięte oczy i rozluźnioną twarz. Pomyślałam, że arcytrudno będzie wmówić Josephine, że chcę ją uleczyć. Pod tym pozorem zamierzałam przecież unieruchomić jej ducha. Jeżeli się domyśli, spanikuje, to co wtedy zrobi? Ucieknie w ciele Erica albo jakiegoś zwierzęcia? Nie mogłam na to pozwolić. Nie skrzywdzi nikogo więcej. Wystarczyło unieruchomić ją i zniszczyć.

Gdy zdałam sobie sprawę, że planuję morderstwo, przeszył mnie zimny dreszcz.

Było już na tyle ciemno, że las zlał się w jedną mroczną plamę. Pomiędzy czarnymi drzewami zauważyłam jakieś cienie. Ruchome. I nie były to tylko szczury. Wyteżając wzrok, dostrzegłam też inne zwierzęta - przyczajone pod krzakami, wciśnięte za korzenie. Ich oczy błyszczały. Króliki, szopy pracze, oposy, parę lisów. Wszystkie martwe. Zwłoki, które widzieliśmy z Nickiem wcześniej na skraju lasu, teraz wpały się we mnie, mrugając raz po raz. W całym tym zwierzyńcu zauważyłam nawet kilka małych ptaszków. Dziwnie wyglądały zgromadzone wszystkie razem. Nienaturalnie. Króliki zwykle nie kumplują się z lisami czy myszami.

W nich wszystkich była Josephine.

Musiała być naprawdę potężna. Jakim sposobem zakłęcie unieruchamiające pomieści ją w małym pudełku? Co jeśli okaże się, że unieruchomienie jej ciała to za mało i że będziemy musieli rzucić zakłęcie na cały las i każde najmniejsze zwierzątko, jakie opętała? Czy miałam dość siły?

Odniosłam wrażenie, że cisza skropliła się i spływa teraz po mojej skórze. Na ramionach i karku poczułam gęsią skórę. Dłoń, ta z wczorajszym nacięciem, bolała i mrowiła. Popatrzyłam na nią.

Nie uleczyłam jej, żeby lepiej pamiętać to, co powiedział Nick. „Tym jestem”.

Tamtego wieczoru po imprezie, kiedy całowaliśmy się po raz pierwszy, do stworzenia kwiatów użyłam tylko i wyłącznie krwi. Głębokie nacięcie na obojczyku Reese zagoił mi samą krwią i wolą. Do zakłęcia na wypędzenie i samego zresztą opętania, jak też wielu innych zakłęb, potrzeba było jedynie krwi. Krwi i... wyobraźni. Rany, tego miałam aż nadto.

Wystarczyło, że moja wola będzie silniejsza niż Josephine.

Popatrzyłam na Erica. Byłam zła, że miał zamknięte oczy. To tak jakby Josephine nie przejmowała się mną za bardzo. Miała jednak całe zastępy innych oczu - szcurzych, lisich, kruczych.

- Josephine. Powiedz, po co ci ta książka z zaklęciami? Skoro do magii w zasadzie potrzeba tylko krwi?

- Chcesz sobie uciąć pogawędkę filozoficzną, Silla? Teraz?
- Oczy Erica otworzyły się nagle. Poruszył palcami.

- Chętniej odnalazłabym twoje ciało i rozerwała je na tysiąc kawałków - rzuciłam, ale mimo wszystko czułam potrzebę, żeby ktoś - ktokolwiek - wyjaśnił mi tę durną, wkurzającą magię.

Zaśmiała się. W wyblakłym głosie Erica usłyszałam jej rozbawienie.

- Och, bez wątpienia. Ale dobrze. Krótka lekcja. Nie jest łatwo skumulować wolę, opierając się jedynie na rzeczywistości, którą znasz od urodzenia, nieprawdaż? Rzeczywistości, na którą patrzysz własnymi oczami, smakujesz własnym językiem. Otóż zaklęcia pomagają nam skoncentrować wolę. Ogień oznacza oczyszczanie, zniszczenie, przemianę — rzeczy, które od tysięcy lat pozostają niezmiennie. Rytuał łączy rzeczywistość odbieraną zmysłami z tym, co uważają za możliwe nasz mózg i serce. A słowa to najbardziej precyzyjne narzędzia, za pomocą których możemy wmówić naszemu umysłom, że magia jest możliwa. Wiara, wola - nazywaj to, jak chcesz. Spotkałam tylko jednego człowieka, który rozumiał magię tak doskonale, tak głęboko w nią wierzył, że mógł przenosić góry samym słowem.

- Diakon - powiedziałałam bez namysłu.

- Tak. Diakon. Takie niepozorne imię dla kogoś tak bliskiego boskości.

Zadrżałam na dźwięk bałwochwalczego tonu w głosie Erica. I jakoś cieszyłam się, że w końcu nie skontaktowałam się z tym Diakonem. W kieszeni bluzy ścisnęłam chłodne ostrza nożyczek.

Wtem szklane drzwi otworzyły się. Odwróciłam głowę, niechętnie spuszczać z oczu opętany las. Szedł ku nam Nick z niebieskim pudełkiem soli pod pachą.

- Dobra, mamy, czego chcesz - rzekł, gdy stanął koło mnie. Głowa Erica uniosła się. Wbił w nas spojrzeń.

- Co teraz? - zapytałam.

Jego usta rozchyliły się w przerażającym uśmiechu.

- Teraz Nick i ja pójdziemy zbecześcić groby.

- Nie mam zamiaru ci w tym pomagać! - krzyknął Nick.

- Nie masz wyboru. Twoje ciało należy do mnie.

Roześmiałam się. Naprawdę się roześmiałam.

- Bardzo się mylisz, Josephine. Nie dostaniesz nas. Mamy pancerz. — Wyciągnęłam ku niej moje pierścionki. — Przecież wiesz.

- Niemądra dziewczynko. - Eric zrobił zmartwioną minkę.

- Jak to, nie wiesz? Taki pancerz chroni tylko osobę, dla której został zrobiony.

Nick szepnął mi do ucha:

- Złap ją, ziemio.

Podłóże pod moimi stopami eksplodowało, uderzył we mnie grad bryłek ziemi. Kostki oplotły mi grube, węzowate korzenie. Kopałam i wyrывałam się, ale udało mi się jedynie przewrócić na plecy. Kości przeszył mi ból. Posmakowałam krwi, a sekundę potem w miejscu, gdzie ugryzłam się w język, poczułam ostre szczypanie.

Kolejne korzenie strzelały z ziemi i owijały moje nogi. Wydałam z siebie nieartykułowany okrzyk. Złapałam pnącza i próbowałam je oderwać. Kruki wzbity się w powietrze, skrzeczały i uderzały skrzydłami. Korzenie znieruchomiały, ale ja byłam uwięziona. Gdy się szarpałam, one zaciskały się jeszcze mocniej. Przekreściłam się na brzuch i rozejrzałam się, ale po Nicku nie było śladu.

ROZDZIAŁ 60

N I C H O L A S

To było jak w moim śnie z psem. Obrazy i emocje spadały na mnie bezładnie, a ja nie miałem na nie żadnego wpływu ani nie wiedziałem, co się właściwie dzieje. Mój mózg jakby drzemał. Było to o wiele gorsze niż wcześniej, przed domem Silli. Wtedy mogłem walczyć, wrywać się i czułem, jak palą mnie naczynka krwionośne w palcach u rąk i stóp. Teraz byłem tylko biernym widzem.

Ale w zasadzie cieszyłem się, że w tym nie uczestniczę.

Ziemia drżała. Przede mną migało ramię koparki, raz po raz zagłębiając się w ziemię.

W mojej głowie rozpanoszyło się coś oślizgłego i obrzydliwego. Kierowało moimi nogami i rękami, poruszało ustami i oczami. Słyszałem, jak w czaszce przemykają mi się cudze myśli, pragnienia, złość i bardzo stary, zapiekły żal. To wszystko napierało na mnie, a przede mną koparka drażyła grób Reese'a.

S I L L A

Niebo nade mną było bezchmurne. W kręgu drzew, pod którymi leżałam zakleszczona w korzeniach, było ciemno, ale trochę wyżej świeciło jasno słońce, a kruki krążyły jak oszalałe.

Czułam pod sobą ziemię. Wyobraziłam sobie, jak ciągnie się w głąb kilometrami, przez podłoże skalne, płyty tektoniczne aż do samego rozżarzonego wnętrza Ziemi. Jak daleko sięgała władza Josephine? Panowała nad drzewami, ptakami, zwierzętami. Może nad samą Ziemią także?

Miała Nicka. I Erica. A wcześniej Reese'a. Nie mogłam pozwolić na to, żeby i teraz wszystko wymknęło się spod kontroli, tak jak w dniu śmierci mojego brata.

Zacisnęłam powieki. Musiałam się uwolnić, znaleźć ciało Josephine i unieruchomić ją, zanim skrzywdzi następną osobę. Nożyczki.

Wyjęłam je i usiadłam. Większość kruków odleciała, ale kilka dreptało w pobliżu. Trzepotały skrzydłami i patrzyły. Musiałam się spieszyć, bo Josephine kontrolowała każdy mój ruch. Inne opętane zwierzęta ukryły się, jakby na coś czekały. Bezwładne ciało Erica bujał lekko wiatr. Ścisnęło mnie w żołądku. Przyłożyłam nożyczki do jednego z korzeni i nacisnęłam. Ostrze zanurzyło się gładko. Cięłam dalej. Przepiłowanie całego korzenia trwało chyba całą wieczność.

Spod drzew wylazło kilka oposów. Wyglądały jak zmutowane szczury z innej planety. Pyski miały unurzane we krwi.

Nacięłam kolejny korzeń. Kruk zaskrzeczał, usłyszałam też chrząkanie, coś jakby świnię albo dziki. Czy rodzina Nicka trzymała w lesie dziki? Wolałam nie sprawdzać. Przejechałam nożyczkami po zranionej wczoraj ręce i roztarłam krew na obu dłoniach. Chwyliłam korzenie i rozkazałam:

- Puśćcie mnie. Natychmiast!

Wyobraziłam sobie, że wijącym ruchem chowają się z powrotem w ziemi. Wyobraźnię miałam wyćwiczoną. Dzięki temu dobrze grałam; na scenie z łatwością potrafiłam wmówić sobie, że jestem kimś innym, i przenieść się na parę godzin w inną rzeczywistość. Uda mi się.

Zamknęłam oczy i wyobraziłam sobie, że jestem uwolniona z korzeni.

- Puśćcie mnie. Puśćcie. Puśćcie. - Przypomniały mi się rymy Nicka. Myśli natychmiast ułożyły mi się w wierszyk. - Korzenie, puszczajcie, odejść dajcie. Ziemi, puszczaj, odejść daj. Krwi, puszczaj, odejść daj. - W głowie stworzyłam sobie obraz korzeni, które pękają i rozsypują się.

Pnącza spopieliliły się.

Krzyknęłam cicho. Niepewnie stanęłam na nogach. Popatrzyłam w stronę drzew - opasy popiskiwały gniewnie i syczały przez swoje obrzydliwe zęby. Na górze mignęły mi jakieś cienie. To kruki. Kołowały nade mną jak sępy. Josephine była wszędzie.

Trzeba będzie unieruchomić cały las.

Maska. Potrzebowałam maski. Ale nie wyobrażonej, widzianej tylko oczami duszy. Tym razem potrzebowałam prawdziwej.

Zanurzyłam palce w krwi płynącej z dłoni i pomazałam sobie policzek. Skóra zapiekła, a w środku mnie wybuchła magia. Rozsmarowałam krew na czole, nosie, podbródku.

Czerwona, mroczna, niebezpieczna. Była to najbardziej prawdziwa maska, jaką kiedykolwiek miałam na twarzy. Moja moc, moje wnętrze. Ja.

Tym jestem.

N I C H O L A S

Stałem na dnie grobu. Dookoła mnie wznosiły się ściany wilgotnej ziemi, a pod stopami miałem trumnę Reese'a. Jej jasna, błyszcząca powierzchnia pokryta była warstwą błota. Moje ciało schyliło się i widziałem tylko uderzająco białe, niczym księżyc albo marmur, tworzywo trumny.

Gdy zatrząsk puścił, otworzyłem ze skrzywnięciem górną część wieka. Oto i on. Miał poszarzałą, wiotką twarz, rozchylone usta i na wpół przymknięte powieki. Cienie na policzkach były zielonkawe, a włosy leżały płasko na satynowej poduszce.

Serce mi załomotało, krew uderzyła do uszu niczym huragan. Do nosa wpełzł mi smród. Odruchowo zakrztusiłem się i poruszyłem językiem, ale nie byłem w stanie odsunąć się od trumny ani uciec z grobu. Nie mogłem nawet zamknąć własnych oczu.

Moja ręka przysunęła się do ust, ale zamiast zatkać nos, ugryzłem się w palec mocniej, niż gdybym wgrzyzał się w jabłko. Ból wyostrzył mi świadomość. Przez sekundę byłem wolny. Zachwiałem się i upadłem na trumnę z taką siłą, że prawie pękła.

Moment wolności szybko się skończył. Podczołgałem się ku otwartej połowie trumny i sięgnąłem do środka. Na czole trupa Reese'a krwawiącym palcem narysowałem runę.

Jego skóra pękła i zsunęła się po skroni. Płatek naskórka zostawił za sobą smugę wydzieliny przypominającą ślad po łożu.

Na policzku Reese'a wylądowała wielka, ciężka kropla krwi. I jeszcze jedna.

Popatrzyłem do góry. Wbrew swojej woli.

Nad krawędzią otwartego grobu przyczał się lis. W długim pysku trzymał pogruchotanego kruka, którego zaraz upuścił.

Złapały go moje ręce i wyciągnęły nad serce Reese'a. Krew kapłała na garnitur, w którym go pochowano.

Zamknąłem oczy. *Mogę zamykać oczy!* Odrzuciłem kruka na bok. Zbierało mi się na wymioty, a ugryziony palec okropnie bolał. Rwanie biegło aż do palców u stóp. Ale nie przejmowałem się bólem. Cieszyłem się, że odzyskałem kontrolę nad własnym ciałem. Opuściła mnie.

W tym samym momencie, gdy ja ukląknąłem na trumnie, Reese otworzył oczy.

Jęknąłem i znowu upadłem do tyłu. Jego oczy były szkliste, bez wątpienia martwe. Ale jednak podciągnął się i usiadł w trumnie. I spojrział na mnie. Szarawymi, zniszczonymi dłońmi sięgnął po coś, co miał na kolanach. W palcach ścisnął książkę z zaklęciami.

Z jego drżących ust wydobył się chrapliwy szept. Włosy stanęły mi dęba.

- Nick.

Jego oddech ohydnie cuchnął. Wyciągnął rękę w moją stronę, ale ja szybko odskoczyłem. Huknął dziwnym, krztuszającym się odgłosem. Śmiał się. A raczej to Josephine się śmiała.

Ciało Reese'a wstało i odwróciło się w stronę ściany grobowca, po czym z wielkim trudem dźwignęło do brzegu i wyszło na powierzchnię.

Ja przypadłem do ziemi. Ledwie oddychałem.

S I L L A

Obejście lasu dookoła zajęłoby mi za dużo czasu, więc zdecydowałam się przeciąć go przez środek. Oznaczało to, że będę musiała przedzierać się wśród opętanych zwierząt. Podeszłam

parę kroków bliżej, wystawiając przed sobą nożyczki niby miecz. Zranioną rękę trzymałam przy boku, żeby krew nie przestawała płynąć.

Gromadka wiewiórek zimno, ohydnie zaszcebiotała w moim kierunku. Może wcale nie zamierzały mnie zaatakować. Może tylko patrzyły.

Stanęłam na skraju lasu, gdzie pierwsze drzewa rozpościerały swoje gałęzie. Za nimi już tylko ciemność. Konary spletały się tak ściśle, a poszycie było tak gęste, że promienie słońca właściwie nie miały tam dostępu.

Przełknęłam ślinę i pomyślałam o Nicku. Musiałam go znaleźć. Chciałam unieruchomić Josephine, zanim go zrani. Albo zabije.

Pieprzyć te wszystkie zwierzęta. Przecież w lesie nie ma tygrysów. Jeżeli tylko nie natknę się na dziką, wszystko będzie dobrze.

Ścisnęłam nożyczki i wmaszerowałam między drzewa.

- Silla - usłyszałam z góry. Eric otworzył oczy. W jego ciemnej od krwi twarzy błyskały białka.

- O Boże. Eric? - Czy to on? Czy Josephine na pewno opuściła jego ciało?

- Silla, czuję się... Pomóż mi zejść. - Zwiesił luźno głowę.

Gałęzie, w które był zaplątany, owinęły się dookoła jego ramion i torsu. Nawet gdyby udało mi się do niego dostać, nie mogłabym go tak po prostu uwolnić. Do ziemi było co najmniej trzy metry. Połamie sobie kości.

- Silla - szepnął znowu.

Na gałęzi wylądował kruk. Ciało Erica zabujało się lekko. Ptak rozpostarł skrzydła i zbliżał się powoli. Zakrakał. Eric skrzywił się, a jego jabłko Adama poruszyło się, jakby zbierało mu się na wymioty.

- Zaczekaj - zawołałam. Jeżeli to Josephine, rozprawię się z nią nożyczkami.

Dotknęłam zakrwawioną dłońią drzewa, które trzymało Erica w górze. Oparłam się o nie i rzekłam:

- Postaw go na ziemi, zegnij gałęzie i postaw go na ziemi.
- Byłam potomkinią Diakona. Starczy mi siły. Potrzebowałam tylko krwi. - Bądź posłuszne - wyszeptalam, muskając ustami korę. Nie przychodziły mi do głowy żadne durne rymy. - Oddałam ci krew. Teraz bądź mi posłuszne. - Wyobraziłam sobie, że gałęzie pochylają się, rozplatają i puszczają Erica wolno.

Na dźwięk trzasków i skrzypienia odwróciłam głowę. Drzewa pochylały się. W ciemności wyglądały jak zrobione z czegoś miękkiego, wręcz płynnego. Przypominały faliste czarne wstążki i sznurki powoli układające Erica na zaścielanej liśćmi ziemi.

Podbiegłam do niego. Leżał na brzuchu.

- Eric? - Przygryzłam wargę, niepewna, czy go dotknąć.

- Dzięki - wyszeptał bez otwierania oczu.

- Jesteś ranny? - Niesamowite, że w ogóle żył. I to w jednym kawałku.

- Tak, ale... nic poważnego. Chyba. Muszę tu tylko poleżeć.

- Wiesz, co się dzieje? - Zerknęłam na szopa, który podkradł się bliżej, usiadł na tylnych łapach i złączył przednie.

- Mniej więcej. - Wykrzywił się i zakaszłał.

- Muszę iść. Po Nicka. Ale najpierw pomogę ci wyjść z lasu. Zwierzęta są, yyy... opętane.

Przełknął ślinę, otworzył oczy i przekręcił głowę. Koło szopa ustawił się rząd myszy.

- Jezu, twoja twarz - wymamrotał.

Zacisnęłam zęby. Czas był na mnie, ale nie mogłam go tak zostawić.

- Nic mi nie będzie - zachrypiał Eric. - Dam radę wyjść sam. Dojdę do samochodu.

- Wrócę jak najszybciej.

- Zaczekaj. - Zanurzył rękę w kieszeni dżinsów i wyciągnął zapalniczkę. - Ogień.

Ja rozejrzałam się w poszukiwaniu pochodni.

N I C H O L A S

Osypywały się na mnie grudki ziemi, ale wspinałem się dalej. W końcu wydzwignąłem się na powierzchnię i położyłem na trawie, w poprzek śladu krwi. Odór w powietrzu był bardzo intensywny. Zgnilizna, siarka, palone włosy, świeża ziemia, cierpka krew. Złapałem się koparki i wstałem. Musiałem natychmiast tam wracać. Zanim coś się stanie Silli. I zanim Josephine znowu mnie opęta.

Bez pancerza to pewnie i tak nie miało znaczenia, ale resztką krwi z palca namalowałem na sercu ochronną runę.

Zniknęli stąd najwyżej pięć minut temu, ale po trupie nie było śladu. Przypomniało mi się, jak w zeszłym tygodniu, zasępiony złością, wolałem być sam, a nie z Sillą, gdy mnie potrzebowała. Teraz jej pomogę.

Rzuciłem się pędem.

ROZDZIAŁ 61

S I L L A

Rzuciłam się pędem.

Drzewa rosły tak gęsto, że tłumiły ostatnie promyki zachodzącego słońca. Parę kruków śmigało na przedzie, najwyraźniej zaganiając mnie w kierunku najszybszego wyjścia z lasu, żeby opóźnić moje dotarcie na cmentarz. W kółko krakały i krakały, aż miałam ochotę zakryć sobie uszy dłońmi. Zamachnęłam się na nie pochodnią i wrzasnęłam, żeby je odstraszyć. Odleciały, ale zaraz wróciły łukiem i prowadziły mnie w lewo.

Nagle zmaterializował się przede mną jakiś ciemny kształt. Stanęłam jak wryta. Koło mnie śmignęła głowa jelenia. Celował we mnie, ale chybił. Wylądowałam w krzakach, nieomal upuszczając pochodnię. Jeleń obnażył zęby i zawył jak dziecko. Podniosłam się.

- Zostaw mnie! - krzyknęłam, wymachując płonąca gałęzią.

Na jelenia runęło stado kruków, ale on odpędził je porożem. Odfrunęły, kracząc niezadowolone.

Jeleń cofnął się i znowu zawył rozdzierająco. Machnęłam w niego pochodnią i spróbowałam go wyminąć, on jednak trafił mnie kopytem w udo. Wrzasnęłam i jeszcze raz zamierzyłam się na niego płonąca gałęzią. W końcu jeleni uciekł.

Kruki nadał próbowały mnie prowadzić. Usiłowałam je obejść, ale nic z tego. Jak miałam *znaleźć* ciało Josephine, skoro one cały czas mnie gdzieś pchały?

Jeden z nich dał nura w moją stronę i zakrakał mi prosto w twarz. Upadłam, zanurzając dłoń w miękkim błocie. Miękkim, ciepłym błocie. Ogień zaskwierczał. Uniosłam pochodnię. Błoto miało odcień czerwieni.

Rozległo się krakanie. Wtedy to zobaczyłam. Spomiędzy dwóch korzeni wystawał złoty lok. Jej ciało zostało dosłownie wchłonięte przez las. Wbiłam pochodnię w ziemię i wyjęłam z kieszeni bluzy składniki zaklęcia. Obcięłam lok nożyczkami i wcisnęłam go w kawałek wosku, który następnie przytrzymałam przy ogniu, żeby zmiękł. Urobiłam masę w kulkę z włosami w środku.

W czasie gdy ja pracowałam nad woskiem, kruki trajkotały między sobą. Dopóki mnie nie atakowały, nie zwracałam sobie nimi głowy. Otworzyłam wizytownik i wcisnęłam tam wosk. Upchnęłam go dokładnie i wyrównałam, żeby zamknąć wieczko. Na końcu kilkakrotnie owinęłam całość czerwoną nicią, szepcząc w rytm uderzeń serca:

— Unieruchamiam cię.

I zapieczętowałam zamknięcie kroplą krwi. Potem wcisnęłam pochodnię między korzenie drzewa. Sucha trawa zajęła się za jednym podmuchem wiatru.

Wstałam i rzuciłam się przed siebie. Kruki nie chciały mnie teraz zepchnąć z drogi, przeciwnie - leciały tam, gdzie ja.

Zamajaczył przede mną kraniec lasu, dalej ciemna płaszczyna ugoru i zniszczony mur cmentarza. Przymrużyłam oczy, zacisnęłam pięści i jeszcze przyspieszyłam.

Wypadłam spomiędzy drzew.

Prosto na mojego brata.

Odskokczyłam. Oczy miał jasne, jakby zasnute bielmem. Skóra zwisała mu luźno z kości. Po jego twarzy spływała krew i kapała na krawat z pogrzebu. Wystający obojczyk lada chwila mógł przebić skórę.

- Siostro - rzekła jego martwymi ustami Josephine. Rozpoznałam jego głos. Był ochrypły i charczący, ale należał do niego.

- Zostaw mnie w spokoju!

- Silla, chodź, to twój brat. - Jego usta uśmiechnęły się, a wargi zatrzęszczały, jakby były bardzo, ale to bardzo spierzchnięte. Wypłynęła z nich przezjrzysta wydzielina. - Pomóż mi, Silla, a będziemy razem żyć wiecznie. Potrzebujemy tylko jego sproszkowanych kości.

- Nigdy. - Przyglądałam się jego twarzy, na której zwisała skóra. Byłam jakby pusta w środku. R e e s e!

Wyciągnął rękę z książką z zaklęciami.

- Cofnij się i chodźmy uleczyć moje ciało. Już prawie po wszystkim, złotko.

Walnęłam go dłonią w pierś.

- Wypędzam cię z tego ciała!

Trup zatrząsał się i skręcił. Na języku poczułam coś kwaśnego. Zakrztusiłam się żółcią.

N I C H O L A S

Gdy przeskakiwałem przez mur cmentarza, w dłonie wbiły mi się okruchy kamienia. Potem ruszyłem pędem do Silli. Stała na drodze i walczyła z trupem swojego brata.

Reese uniósł książkę z zaklęciami i cisnął nią w Sillę.

Ona wywróciła się do tyłu, a ja rzuciłem się na trupa.

Uderzyłem w jego ciało z miękkiem c i a p n i ę c i e m , po czym obaj upadliśmy na ziemię. Poczułem mdłacy smród. Po chwili Reese stał na nogach i podciągał mnie do góry. Kopałem, wymachiwałem łokciami, ale on najwyraźniej nie czuł bólu i zdawał się w ogóle nie zauważać moich wysiłków. Jakbym próbował zrobić krzywdę figurce z ciastoliny. Nie byłem w stanie uciec.

Nad naszymi głowami kruki krążyły coraz szybciej i szybciej.

Ramię Reese'a objęło mnie za szyję. Zmusiłem się, żeby nie zamknąć oczu.

— Z przyjemnością znowu upuszczę ci krwi — syknęła Josephine martwymi ustami Reese'a. — Chcę tylko odzyskać swoje ciało. Czy to naprawdę takie skomplikowane?

Ramię zacisnęło się. Nie mogłem oddychać. Kątem oka zauważyłem pomarańczowy błysk.

— Nic nie rozumiesz!

Wykręciłem szyję i w tym samym momencie usłyszałem trzask ognia. Płonął las.

— Ogień - wycharczałem.

Josephine poluzowała uścisk i obróciła nas obydwoje twarzami do drzew.

— Nie! — krzyknęła. — Moje ciało!

Spadło na nas stado kruków. Na twarzy czułem muśnięcia ich skrzydeł. Josephine puściła mnie i uniosła ręce Reese'a, żeby je odpędzić, ptaki jednak zaganiały ją do lasu.

Dwa kruki wczepiły się pazurami w jego włosy. Nagle ciało Reese'a zwiotczało i runęło na ziemię.

Przez chwilę tylko dyszałem i gapiłem się w płomienie. Była tam. Ze swoim ciałem. Pewnie Silla je tam uziemiła. Gdy spłonie, to razem z duchem Josephine.

Podczołgałem się do Silli. Jej głowa opadła na bok, a cała

twarz wysmarowana była krwią. Z rozcięcia na skroni świeża krew ściekała na włosy. Nie ruszała się, ledwie co oddychała.

Kruki, które nękały Josephine, teraz szaleńczo krążyły dookoła mnie.

Zamknąłem oczy i szepnąłem:

— Ziemio i krwi, róbcie swoje, niech magia jej ból ukoi.
— Powtórzyłem to znowu, tym razem głośniej. I znowu. Było coraz goręcej. Błagałem Sillę, żeby nie odchodziła. Błagałem, żeby magia krwi zadziałała.

Serce miałem ściśnięte cierpieniem. Pochyliłem się, żeby pocałować ją w usta. Były gorące, tak samo jak moje.

- Silla - wyszeptalem.

Ocknęła się, łapiąc powietrze.

S I L L A

Wszystko było czarne.

Całe moje ciało mrowiło boleśnie - w taki sposób jak wtedy, gdy człowiek usiądzie sobie na stopie, a potem nagle wróci mu krążenie. Nie byłem w stanie się poruszyć, ale w oczach zbierały mi się łzy i spływały po nosie. Usłyszałam krzyk, poczułam zapach dymu. I krwi. Mnóstwa krwi. Miałam zdarte gardło i ociężały język. Moje serce dudniło głucho.

Głęboko do płuc nabrałam chłodnego powietrza, które dostało mi się do ust razem z lepkim posmakiem dymu i krwi.

Uderzyły we mnie szpile wiatru. Zakaszlałam.

- Silla?

Nick. Odwróciłam się, wtuliłam krwawiącą twarz w jego brudną koszulę i go objęłam. Zwinęłam dłonie w pięści.

— Maleńka — powiedział tonem, jakby miał się zaraz rozśmiać. — O Chryste!

— Reese. — Przypomniałam sobie widok ciała Reese'a z odpadającą skórą. Różowe mięśnie. Żółte kości.

- Chodź, mała. - Nick usiłował postawić nas oboje na nogi.
- Musimy stąd spadać. Las płonie.

— Zaraz. — Zachwiałam się pod własnym ciężarem. — Josephine.

— Zginie w lesie.

Odsunęłam się nieco i przechyliłam głowę. Nigdy nie widziałam nic równie cudownego jak jego półuśmiech. Ale pokręciłam głową. W czaszce szumiało mi od mdłości, jakby całemu mojemu ciału zbierało się na wymioty.

- Musimy ją unieruchomić. Tylko wtedy naprawdę spłonie. Inaczej znowu ucieknie. - Wyjęłam z kieszeni wizytownik i uniosłam go w dłoni. - Już pora. Runa, pamiętasz? - Pochyliłam się i na lepkiem błocie narysowałam palcem znak runiczny.

Z lasu dobiegała wrzawa zwierząt i trzaski drzew. W stronę zarośli dmuchnął wiatr. Oczy bolały mnie jak od wpatrywania się w słońce.

- Pomóż mi, Nick.

Wstałam. Pomiędzy czarnymi pniami błyskały płomienie. Nad lasem niczym korona krążyło kilkanaście kruków. Kracząc, goniły sójki i rudziki, które próbowały uciec przed ogniem. Spomiędzy drzew wybiegł lis, ale jeden z kruków obniżył lot i skrzeczeniem zapędził go z powrotem. Nadlatywało ich coraz więcej. Otaczały las żywą barierą.

Przyciągnęłam Nicka do najbliższego drzewa.

— Zrób runę. Krwią. Musimy to powtórzyć w czterech stronach lasu. Zaczynamy tutaj i idziemy w prawo.

- To kawał drogi.

- Damy radę. Nie mamy wyjścia. - Już było prawie po wszystkim.

Nick zacisnął szczękę, ale skinał głową.

N I C H O L A S

Byłem w stanie iść przed siebie tylko dzięki temu, że trzymałem Sillę za rękę.

S I L L A

Każdy krok przybliżał mnie do zniszczenia istoty, która zabiła mi mamę, tatę, brata. I może Erica. Z każdym krokiem byłem bliżej zamknięcia kręgu-pułapki.

N I C H O L A S

Las krzyczał w płomieniach. Piski i ryki z gardeł zwierząt zlewały się w jeden niesamowity jazgot. Lewa strona mojej twarzy nagrzała się i napięła od płomieni. Biegliśmy po obwodzie lasu - krok po kroku przedzierając się przez wybujałą trawę, przecinając drogę. Trzy razy zatrzymaliśmy się, żeby namalować na korze runę krwią.

S I L L A

Z nieba spadło kilka ciągnących za sobą smugę ognia kruków. Pozostałe krakały i kołowały nad lasem niczym czarne, lśniące iskry unoszące się nad wielkim ogniskiem. W końcu przestaliśmy słyszeć ich krakanie w huku płomieni i gęstym słupie gryzącego dymu.

N I C H O L A S

Kiedy wróciliśmy na początek, opadliśmy na kolana. Nama-

lowałem na drzewie runę, a Silla wydrążyła w ziemi dół i zakopała tam wizytownik. Złapaliśmy się za ręce i na obrysowane runą pudełko upuściliśmy parę kropel naszej zmieszanej krwi. Silla zawołała:

— Unieruchamiam cię! Na zawsze!

Buchnęło gorąco. Zatkaną mi się uszy. Podmuchał mnie i Sillę do tyłu. Nie wstawałem, tylko gapiłem się w niebo. Gwiazdy schowały się za grubą warstwą dymu. Zaciśnąłem palce na dłoni Silli.

Las wył.

ROZDZIAŁ 62

SILLA

Leżałam policzkiem do ziemi. Widziałam czarną trawę odcinającą się od pomarańczowej łuny, a dalej ciało mojego brata. Kruki skakały dookoła niego z przekrzywionymi głowami i nastroszonymi piórami. Dotykały dziobami jego włosów, rąk, spodni.

Kruki. Obserwowały mnie, ale nigdy mnie nie zaatakowały. Ostrzegły nas, że Eric jest opętany. Zaprowadziły mnie do ciała Josephine. Pilnowały, żeby żadne jej zwierzę nie uciekło z lasu.

A Reese z taką łatwością wcielił się w kruka.

Usiadłam.

- Silla? - odezwał się Nick drżącym głosem. Wiedziałam,

że jest wykończony. Sama byłam ledwie żywa. Straciłam tyle krwi, przebiegłam w rozpaczy tyle kilometrów. Ale Reese... Reese tu był. Żył. Ta myśl wpompowała we mnie adrenalinę.

— Nick, te kruki. To... to jest Reese. — Weszłam między nie na czworakach. — Boże, Reese!

Kruki wystrzeliły w niebo i zaczęły latać dookoła mnie. Popatrzyłam na martwą twarz Reese'a i wyobraziłam sobie, że nabiera życia, światła. Przypomniałam sobie, jak w śmiechu marszczy skórę dookoła oczu.

— Możemy przywrócić go do życia — wyszeptałam.

- Sil.

— Zakłębem odnawiającym. Tak jak liść.

Nick usiadł koło mnie i wziął mnie za rękę.

— Sil — rzekł cicho. — Pomyśl.

Przez ciało przebiegła mi błyskawica ekscytacji. W uszach zahuczało.

— Właśnie myślę! Wystarczy przywrócić życie jego ciału. Duch już jest. W krukach. - Wyciągnęłam ręce w ich stronę. Z wnętrza wyrwał mi się szalony śmiech, zatrzęsł plecami i rozdzwijał w uszach. — Uleczymy go, odnowimy jego ciało i duch będzie mógł wskoczyć na miejsce. Reese! - zawołałam do stada śmigających kruków. — Reese, naprawię twoje ciało, będziesz mógł znowu go używać!

Kruki zaskrzeczały. A właściwie Reese. Kręciło mi się w głowie. Złapałam się za kolana i wbiłam w nie do bólu paznokcie. Myśl, że odzyskam brata, niemal mnie przerastała. Zwróciłam się w stronę Nicka. On mi pomoże.

Nick nie patrzył na kruki, lecz na mnie. Z jego zmęczonej, wymizerowanej twarzy trudno było cokolwiek wyczytać.

— Nick — powiedziałam.

- Pomogę ci, mała, jeśli naprawdę tego chcesz.

Uśmiechnęłam się dziko, mimo że świat dookoła mnie wirował. Uklękałam przy zwłokach, żeby się nie przewrócić. Dam radę. Starczy mi sił. Niedługo zobaczę brata.

N I C H O L A S

Unikałem jej spojrzenia.

Wyciągnęła drżące ręce nad klatkę piersiową Reese'a. Nie potrzebowaliśmy więcej krwi, byliśmy nią cali upaprani. Nie ruszaliśmy się. Poczułem impuls, żeby odepchnąć ją od zwłok, przycisnąć do ziemi i krzyknąć, że to, co robi, jest nienormalne. On umarł. Jego ciało było martwe. Ożywianie go nie było wcale lepsze niż pomysły Josephine albo mojej mamy. Dawanie życia nie było w naszej mocy. Nie byliśmy Bogiem.

Krwawa maska na jej twarzy była cała rozmazana. Czerwone smugi wyglądały przerażająco. Silla spojrzała na ciało brata. Ścisnęło mnie w dołku. W moich żyłach krew płynęła powoli, niemal przykuwała mnie do ziemi. Skamieniały patrzyłem, jak moja dziewczyna przygotowuje się do wskrzeszenia trupa.

Ale ona ani drgnęła, tylko ze świstem wdychała i wydychała powietrze. Zadymione powietrze szczypało mnie w oczy.

Jeden z kruków zaskrzeczał i wylądował na czole Reese'a. Zapadł się pazurami w jego miękkie ciało. Cofnąłem się, lecz Silla ani drgnęła. Znowu rozległo się krakanie. Spojrzałem w oczy ptaka, który przechylił głowę, rzucił Silli intensywne spojrzenie i uniósł skrzydła w dramatycznej pozie.

Silla zmarszczyła się.

— Reese — wyszeptwała.

Silla, maleńka. Nie byłem w stanie wydusić słowa. Nie mogłem

zdecydować za nią, choćbym nie wiem, jak bardzo chciał. To ona musiała rozstrzygnąć, czy chce zrobić tę straszną rzecz. Nie mogłem pozbawić jej wyboru.

Z gardła wyrwał jej się szloch.

Wciągnąłem ku niej ramię. Nasze dłonie splotły się i ścisnęły. Krwawiącą ręką objęła się za brzuch.

- Reese - jęknęła.

Kruki skrzeczały i krążyły na tle pomarańczowego, zadmionego nieba.

Silla opadła na ziemię koło mnie. Objąłem ją, pogłaskałem jej włosy i dotknąłem jej głowy ustami. Jej drżenie czułem na całym ciele.

Ciepło ognia wysuszyło pot na mojej twarzy. Trzeszczące, huczące płomienie szarpały powietrze. Ledwo oddychałem.

Silla coś szepnęła. Uniosłem jej podbródek, żeby usłyszeć, co mówi.

- Nick, Reese. Musimy... ukryć ciało.

Ścisnąłem ją lekko. Miała rację. Zaraz zjawi się tu tłum policji i wścibskich sąsiadów. Silla stanęła na nogi, chwiejąc się nieco. Ja także się podniosłem, mimo że nieomal przewracałem się ze zmęczenia. Straciłem tyle krwi, zużyłem tyle energii. Ale czekało nas zadanie.

Krztusząc się dymem, zawlekliśmy ciało Reese'a do lasu. Ułamałem palącą się gałąź i położyłem ją u jego stóp, żeby mieć pewność, że ciało spłonie. Po policzkach Silli bez przerwy płynęły łzy. Kiedy było po wszystkim, potarła dłońmi o ziemię i położyła się spokojnie. Przez chwilę bałem się, że odleciała, ale zaraz wzięła mnie za rękę i rzekła:

- Stos pogrzebowy to dobry sposób, żeby odejść.

Ścisnąłem jej dłoń i dodałem:

— Jak wikińscy królowie.

- Ty naprawdę masz dziwne informacje - rzekła pogodnym głosem.

Ułożyliśmy się obok siebie pod murem cmentarza. Silla oparła głowę na moim ramieniu, a ja zamknąłem oczy. Miałem wrażenie, że ziemia kołysze się pode mną, jakby mnie ktoś spuszczał w toalecie.

ROZDZIAŁ 63

N I C H O L A S

Pamiętałem wszystko jak przez mgłę. Najwyraźniej takie są efekty dużej utraty krwi. Nawet nie bardzo wiedziałem, jak znalazłem się w szpitalu. Przypominałem sobie tylko, że stałem w korytarzu z kafelkami w szachownicę i patrzyłem, jak odwożą półprzytomną Sillę. Kiedy zacząłem tracić przytomność, tata mnie złapał. Następny obraz to obskurny, chropowaty sufit. Przez cienki materac czułem miejsce, gdzie zgięłoby się łóżko, gdybym nacisnął odpowiedni przycisk. Poza dzwonieniem w lewym uchu niewiele słyszałem. Kiedy uniosłem się na rękach, zauważyłem, że w ramię mam wbita igłę podłączoną do długiej, plastikowej rurki, która z kolei była podłączona do pojemnika z przezroczystym płynem. Pewnie sól fizjologiczna.

Pokój był mały, jednoosobowy. Do ściany przytwierdzono stary telewizor na wysięgniku, a okno zasłonięto ciężką,

niebieską zasłoną. Czułem lekkie zawroty głowy, ale oprócz tego nic mi nie dolegało. Żadnego bólu, pieczenia czy szczypania, poza ogólnym osłabieniem, jakby brakowało mi snu. Mimo że przed chwilą się obudziłem.

Przez zamknięte drzwi wyłapałem przytłumione dźwięki szpitala.

Przyjrzałem się igle sterczącej z ramienia. Zastanawiałem się, czy mógłbym ją po prostu wyciągnąć. Przecież nie zakrwawię całego pokoju. Ani nie umrę. Przez moment wyobraziłem sobie, że wszystkie moje wnętrzości - w imprezowych kolorach: zielonym, fioletowym, różowym — przeciskają się przez maleńką igłę.

Drzwi się otworzyły. Stanęła w nich Lilith. Miała na sobie pomarańczową sukienkę obszytą czarnym futrem. Futrem. Jakby urwała się z jakiejś pieprzonej opery. Chociaż w pewnym sensie tak było. Fryzurę miała trochę potarganą - nigdy czegoś takiego nie widziałem, nawet o szóstej rano przed kawą. Zaciśnięta usta pomalowane tą ohydłą strażacką czerwieńią i odezwała się:

- Nick, nawet nie próbuj wstawać z łóżka.

Chwyciłem się brzegów materacyka.

- Gdzie tata?

- Rozmawia z lekarzami. I szeryfem.

- A Silla?

- Nieprzytomna, ale... nic jej nie jest. - Oczy Lilith błyszczały czymś nie do końca złym. - Twój kolega powiedział, że mieliście wypadek z ogniem.

Potarłem oczy, żeby zyskać na czasie.

- Yyy, kolega?

- Tak. Chłopiec, który wezwał pomoc. Eric. Ma kilka

niegroźnych obrażeń: złamał kostkę, stracił trochę krwi. Mówi, że ocaliliście mu z Sillą życie.

Miałem wrażenie, że za tym, co mówi, kryje się jakiś przekaz. Jakby Lilith dawała mi do zrozumienia, że to, co mówi, jest superważne. O co chodziło? Czy to jakiś kod?

Ciągnęła:

- Powiedział, że chcieliście rozpać w ogrodzie ognisko i wrzucić do niego parę rzeczy Reese'a. Takie małe pożegnanie.

Otworzyłem szeroko oczy. Lilith podsuwała mi alibi. Żeby wiedział, co mówić, kiedy przyjdzie szeryf - to samo co Eric. Cholera, ona mi pomagała.

- Straty są tylko w obrębie naszej posiadłości. Twojej posiadłości, którą, dopóki jesteś niepełnoletni, rozporządza twój ojciec.

Boże, dopiero teraz zajarzyłem.

- Aha... czyli tata mógłby pociągnąć nas do odpowiedzialności. Za straty. Pożar.

Lilith skinęła głową i skrzyżowała ręce pod piersiami. Stukała pomarańczowymi paznokciami prawej ręki o lewe ramię, jeden po drugim.

- Myślę, że mogłabym mu to wyperswadować.

- Czemu? - rzuciłem, zanim zdążyłem pomyśleć. Powiniennem raczej zapytać, czego chce w zamian, albo po prostu przyjąć pomoc i obiecać dożgonną wdzięczność.

Rozłożyła ramiona i zaprezentowała przyklejony, niewinny uśmiech.

- Czemu nie? Wyszedłeś cało z okropnego wypadku. A ojciec ma wystarczająco dużo pieniędzy i posiadłości, Nicholas.

- Jezu, nie mów tak do mnie - wyszeptałem.

— Pójdę porozmawiać z twoim ojcem. Namówię go, żeby zapomniał o sprawie. - Odwróciła się i dotknęła klamki.

— Zaczekaj.

Lilith zamarła odwrócona plecami do mnie. Wiedziała, o co zapytam.

— Co chcesz w zamian? - *Pierworodnego? Dziesięć lat pańszczyzny?*

Obróciła się i rzuciła mi swój rekini uśmiech, który działał na tatę za każdym razem. Nagle wyglądała o dziesięć lat młodziej.

— Hmm, Nick. Chcę tylko poznać prawdę. Opowiedz mi całą tę historię: z magią, morderstwem, zazdrością i dawnymi czasami. I cmentarzem w centrum wszystkiego.

Opadła mi szczeka.

— Pa, Nick. Zastanów się. — Lilith wyszczerzyła zęby i zniknęła za drzwiami.

Okazało się, że wszyscy uwierzyli w tę historyjkę - że byliśmy na tyle głupi, by podpalić las niechcący.

A następnego ranka powiedziałem Lilith prawdę. Chyba mi uwierzyła. Moją historię uwiarygodniło stado kruków, które fruwały dookoła szpitala, a później odprowadziły nas parę ładnych kilometrów. Może czas zapomnieć o przezwisku i zacząć nazywać ją „M a r y”.

ROZDZIAŁ 64

S I L L A

Kiedy się obudziłam, z wielkim trudem otworzyłam oczy, bo skleły mi się rzęsy.

- Silla!

Nad łóżkiem pochylała się Wendy. Nad moim własnym łóżkiem. Kiedy tego ranka obudziłam się w szpitalu, byłam przekonana, że wszyscy zginęli. Ale przyszła do mnie Judy i podsunęła mi wersję wydarzeń dla szeryfa. Powiedziała, że rozmawiała z Nickiem i pojechała na cmentarz zasypać koparką grób Reese'a.

Według lekarzy byłam po prostu wycieńczona po szoku i ogromnym stresie. Kazali mi odpoczywać, co było o tyle łatwe, że czułam się kompletnie wypompowana. Z trudem dowlokłam się do własnego pokoju.

Wyglądające zza Wendy maski obserwowały mnie niczym mała widownia. Poruszyłam językiem. Był suchy. Uniosłam się - żadnych mdłości ani zawrotów głowy. Zaspana marzyłam o kawie.

- Silla! - Wendy usiadła na krześle. - Strasznie się martwiłiśmy. Spałaś dwadzieścia godzin!

- Wody - zachrypiałam. Paliło mnie w gardle. Niemożliwe, że spałam prawie dobę i dalej czułam się beznadziejnie.

- A, jasne! - Wendy zakręciła się i wzięła butelkę wody

z szafki nocnej. Dobrze wyglądała. Jej włosami poruszył lekki wietrzyk wpadający przez otwarte okno. Wyteżyłam wzrok w poszukiwaniu kruków na niebie.

Wendy dotknęła mojego ramienia, a potem pomogła mi usiąść i napić się wody. Wydudliłam pół butelki, ale czułam się tylko troszeczkę lepiej.

- Jak tam... wszyscy? — *Widziałaś w pobliżu kruki? Gdzie Reese? Czy mój brat jest wśród kruków?*

- Z Erikiem w porządku. Tylko kiedy uciekał z pożaru, złamał kostkę. Mówi, że uratowaliście mu życie. - Ściągnęła brokatoworóżowe usta. Przypomniałam sobie, że Josephine zginęła.

- Coś w tym stylu - wymamrotałam. Chciałam, by już poszła - wtedy mogłabym się położyć. Albo wybiec na dwór i poszukać Reese'a.

- Nie bardzo wierzę w to, co się mówi w miasteczku. — rzekła cicho. - Pani Margaret i pani Pensimonry zasypują Judy pytaniami o pożar, cmentarz... o całą waszą rodzinę, czy jesteście, no... szaleni. - Wendy skrzywiła się przeprasząco.

- Spoko. Ja chyba jestem.

Ścisnęła mnie za ręce, aż zawyłam, bo na ranę na dłoni lekarze założyli mi szwy.

- Przepraszam - powiedziała i puściła moją rękę, jakby była toksyczna, ale wbiła wzrok w opatrunek. - Ty naprawdę się... tniesz, prawda?

Otworzyłam usta. Nadszedł moment, żeby powiedzieć jej prawdę. Ale chociaż magia stanowiła nierozzerwalną cząstkę mnie, wciąganie w to kolejnych osób byłoby niebezpieczne. Ja byłam niebezpieczna. Oczy zaszyły mi łzami. Rozpłakałam się, pokazując Wendy jedyną zrozumiałą dla niej maskę. Skinęłam głową. Łzy kapnęły na dłonie.

- Och, Sil - wyszeptała. Usiadła na łóżku i objęła mnie.
- Ty po prostu... tyle przeszłaś. Pomogę ci. Żebyś nie musiała tego więcej robić.

- Wygląda na to - wymyśliłam naprędce kłamstwo - że babcia Judy zabierze mnie do Chicago. Tutaj wszystko mi ich przypomina. - Pomyślałam, jak planowaliśmy z Reese'em wyprowadzkę, i kolejnych parę łez pociekło mi po policzkach. Wiedziałam, że Judy zgodzi się na mój plan. Tylko co z Nickiem?

Przytuliłam Wendy. Ciężko było mi się pogodzić z myślą, że muszę ją opuścić. Ale w zasadzie nie miałam wyboru. Zwłaszcza że znowu byłam na językach wszystkich. Moja rodzina od miesiący stanowiła tutaj główny temat. Miałam dosyć. Westchnęłam.

- Gdzie Nick? Co z nim?

- Wszystko dobrze, ale... — zmarszczyła brwi — tata zawiózł ich wczoraj do hotelu w Cape Girardeau. O, właśnie, powinnam do niego zadzwonić, że się obudziłaś.

- Jasne.

Jeszcze raz objęła mnie mocno i po cichu wyszła z pokoju. Ja wygramoliłam się z łóżka i, trzymając się ściany, podeszłam do okna.

Spojrzałam na wschód, w stronę drzew i domu Nicka. Las był czarny i spustoszony, niczym zwęglone ruiny jakiegoś starożytnego miasta. Wieże i mosty pogruchothane, zmurszałe. Z kilku miejsc nadal unosiły się cienkie wstążki dymu. Ale ogień nie wydostał się poza krąg magii. Wszystko dookoła było nietknięte.

I mimo że uważnie przyglądałam się niebu, nie zauważyłam żadnych kruków.

Mój żołądek tolerował tylko zupę. Cała byłam rozdygotana i rozbita. Chyba to, co się stało, nie do końca do mnie dotarło. Gdy jadłam, zapatrzyłam się w powiewającą nad zlewem niebieską zasłonkę i całe fragmenty wydarzeń z poprzedniego wieczoru wywietrzały mi z głowy. Ale gdy tylko szczęknęłam łyżką o zęby, wszystko wróciło. Musiałam przestać jeść i zamknąć oczy.

Babcia Judy krzątała się po kuchni, ale milczała; jakby wyczuła, że nie dojrzałam jeszcze do rozmowy, lecz chciała dać mi do zrozumienia, że nie jestem sama. Wendy cmoknęła mnie w policzek, obiecała, że do mnie zajrzy, i poszła. Obserwowałam Judy i zachodziłam w głowę, jak powiedzieć jej o Reesie i kruchach. Uwierzy? Czy pomyśli, że kompletnie mi odbiło?

Przed domem zachrząscyli kroki. Odłożyłam łyżkę. Judy wyskoczyła z kuchni i usłyszałam, jak wita się z kimś w korytarzu.

Zza rogu wyszedł Nick. Miał na sobie prążkowaną kamizelkę i czarne spodnie. W mgnieniu oka znalazłam się po drugiej stronie kuchni w jego ramionach.

Przytulił mnie i uniósł na palce. Czułam zapach jego żelu i hotelowego mydła, którym przesiąknęła mu skóra szyi. Pocałował mnie we włosy i wypowiedział moje imię.

Nie byłam w stanie go puścić, nawet kiedy wyszeptał mi do ucha:

- Hej, mała. — Ścisnęłam go, zanurzając palce w jego czuprynie i z trudem powstrzymując się, żeby nie owinać się wokół niego nogami. — Chodź - roześmiał się cicho - usiądziemy.

I usiedliśmy. Ja na jego kolanach. On mówił, a ja dotykałam palcami jego policzka i całowałam go raz po raz. Opowiedział mi, co się stało: jak Eric dowłókł się do samochodu, a Judy zobaczyła pożar z okna i przybiegła na pomoc. Jak zabrano nas do szpitala. Jaką wersję wydarzeń wymyślił Eric, żeby nas kryć. O układzie z Lilith.

- Tata chce mnie zawlec z powrotem do Chicago - zakończył. Przyłożyłam palce do jego ust.

- Ja też jadę.

Nick otworzył szeroko oczy i uśmiechnął się.

- Serio?

- Mhm. Liceum mogę skończyć wszędzie. Najlepiej tam, gdzie nikt mnie nie zna. Dobrze będzie oderwać się od śladów przeszłości. Judy ma tam mieszkanie. I tak planowałam przeprowadzkę. Mówiliśmy o tym z Reese'em. Zanim...

Otulił mnie ramionami. Po długiej pauzie powiedział:

- Jak się czujesz?

- Czuję się... krucha. Silna. Dużo rzeczy naraz. Uratowałeś mi życie.

- A ty mnie.

Znowu pomyślałam o krukach, które śmigały po niebie, ciągnąc za sobą ogień. Pomogły nam ją unieruchomić. Niestety, Reese'a nie uratowaliśmy.

- Co się dzieje, mała?

- Nic, nic. Tylko pomyślałam o krukach.

- O Reesie.

Z ulgą zamknęłam oczy. On też w to wierzył. Dzięki Bogu.

- Mhm. Długo ich... czy może go... nie widziałam.

- Krążyły w pobliżu szpitala. I poleciały za nami kawał drogi do Cape Girardeau.

- Tak? Gdzie są teraz?

- Pewnie gdzieś w okolicy. Musi być równie zmęczony co my.

Otworzyłam dłoń z długimi bliznami po zakłęciu unieruchamiającym. Potem przysunęłam jego rękę i popatrzyłam na nacięcia.

- Powiedz, że dobrze zrobiłam.

Nick przykrył moją dłoń swoją. Nasze gorące rany zetknęły się.

- Na pewno.

N I C H O L A S

Zostałem u niej cały dzień. Gotowaliśmy z babcią Judy zupę i rozmawialiśmy o Chicago. Kiedy usłyszała o planie powrotu, jej pomarszczone policzki zaróżowiły się z radości.

Po zmroku wyszliśmy na dwór, chociaż widziałem, że babcia Judy wolałaby nas zatrzymać. Z ogrodu weszliśmy w gąszcz forsycji, gdzie straciliśmy z oczu światła domu. Przed nami rozciągał się cmentarz. Wziąłem Sillę za rękę i staliśmy tak przez chwilę. Oddychała spokojnie. Patrzyłem, jak w wieczornym chłodzie przed jej ustami kumuluje się obłoczek.

Zwróciła twarz w stronę mojego domu. Nad spustoszonym lasem ciągle unosiły się cienkie smużki dymu.

- Cały dzień ich nie słyszałam - rzekła Silla, patrząc w dym.

- Chodź, mała. - Ścisnąłem jej dłoń.

Cmentarz był upiornie biały; kontrastował z czarnymi, ponurymi zgliszczami. Intuicyjnie skierowaliśmy się ku obcemu nagrobkowi, z dala od grobów jej rodziców i Reese'a. Do tamtych żadne z nas nie miało ochoty się zbliżyć.

Oparłem się plecami o zimny marmur, a Silla usiadła między moimi nogami. Objąłem ją i przytuliłem policzek do jej miękkich włosów. Otaczała nas cisza. Zero wiatru, samochodów. Żadnych ptaków ani nawet owadów. Zamknąłem oczy i skupiłem uwagę na ciepłym ciele Silli, które miałem przed sobą, i zimnym kamieniu za plecami. A pośrodku ja — żywy.

- Nick?

- Hmm?

- Myślisz, że warto żyć wiecznie?
- Żeby być gwiazdą rocka?
- I prezydentem. - Uśmiechnęła się.

Pocałowałem ją w czubek głowy.

- Nie. To niemożliwe.

Przez chwilę milczała.

- Masz na myśli: możliwe, ale wtedy stajesz się potworem
- rzekła potem.

Ciszę rozdarło krakanie. Silla wyprostowała się i uniosła twarz ku niebu. Wyglądała jak posąg wpatzonego w niebo anioła.

W naszą stronę, machając synchronicznie skrzydłami, nadleciała gromadka kruków. Rozsiadły się na okolicznych nagrobkach. Tylko jeden wylądował dokładnie naprzeciwko Silli, zbliżył się i zakrakał.

- Reese. Boże, Reese - powiedziała. Słowa zawisły w powietrzu jak wcześniej obłoczek oddechu. - „W imię prawdy! mówcie: czyście wy tylko łudzającymi mary?”* - wyszeptała tekstem *Makbeta*.

Kruk przekrzywił łeppek, a ja zacisnąłem dłonie na ramionach Silli. Niebawem z okolicznych grobów sfrunęła reszta ptaków. Było ich pięć. Znieruchomiały. Pierwszy kruk znowu zakrakał i kiwnął głową.

Ptaki otoczyły nas kręgiem. Pięć punktów w kółku. Silla spojrzała głęboko w oczy pierwszego i wyciągnęła rękę.

* W. Szekspir, *Makbet*, przeł. J. Paszkowski, Siedmioróg, Wrocław 1996, s. 13.

PODZIĘKOWANIA

Chcę podziękować następującym osobom, bez których *Magia krwi* zwyczajnie by nie istniała:

Natalie - która poświęciła wszystko to, co ja, dzieliła ze mną szaleństwo, a kiedy z nerwów nie mogłam spać, oglądała kolejne odcinki *Zabójczych umysłów* o drugiej w nocy, zносиła mieszkanie w brudzie i podtrzymywała mnie, gdy uginały się pode mną kolana, a wszystko to, bo we mnie wierzyła.

Maggie Stiefvater - za to, że napełniła mnie niezbędną odwagą. I za wzywanie mnie na dywanik w chwilach kryzysu.

Brennie Yovanoff - za pokazanie, jak atmosfera może stać się bohaterem książki. I za to, że była trochę dziewczynką rzucającą kwiatki, a trochę demonem.

Laurze Rennert - która potrafi sprawić, że nawet gdy sprawy wyglądają źle, czuję się jak gwiazda rocka, i świętuje ze mną, gdy wyglądają dobrze. Za to, że gnała do przodu niczym biały rycerz i że dzwoni, żeby powiedzieć, że nie może zadzwonić.

Suzy Capozzi - za „sto procent krwi, zero wampirów” i za przekonanie mnie, że koniec końców napisałam coś całkiem porządnego. Jej intuicja i entuzjizm nie znają granic!

Jocelyn Lange i całemu działowi sprzedaży praw - nikt lepiej nie przekuł w rzeczywistość moich marzeń o panowaniu nad światem!

Wszystkim pracownikom Random House - są nieocenieni!
Mam wrażenie, że za każdym rogiem czekają nowi, niesamowicie pomocni ludzie.

Gotyckim Dziewczynom - Carrie, Dawn, Heidi, Jackie, Jackson, Lindzie - za to, że przyjęły mnie do swojego grona, jeszcze zanim cokolwiek podpisałam.

Czytelniczkom czytającym w sieci wersję roboczą - Star, Amber, Nikki, Laurze i Kate, które zawsze błagały o więcej.

Mamie, tacie i braciom - za dar czytania, wieczory w Ponaks i wzmacnianie mnie psychiczne. Letni domek czeka!

A zwłaszcza mojemu braciszkowi Travisowi - za pewność, że któregoś dnia opiszę go w powieści.

Robin Murphy - wycierpiała pierwszą napisaną przeze mnie książkę i w dodatku powiedziała, że jej się podoba.

Mojemu ojcu chrzestnemu Randy'emu - za ustawiczne pytanie, jak idzie powieść, i pomoc w księgowości.